

# MARIUSZ ZIELKE ARTUR NOWAK



# ZŁO

SERIA ZBRODNI NIE/DOSKONAŁA

OD  
DESKI  
DO  
DESKI

# MARIUSZ ZIELKE ARTUR NOWAK



ZŁO

OD  
DESKI  
DO  
DESKI

# Spis treści

Strona tytułowa

Od autora

Prolog

CZEŚĆ 1

CZEŚĆ 2

CZEŚĆ 3

Epilog

# Od autora

Wszystkie postaci i wydarzenia przedstawione w książce **Zło** są fikcyjne i są wytworem wyobraźni autora. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób i zdarzeń jest przypadkowe.

# Prolog

Przesłuchuje mnie trzech mężczyzn. Na zmianę lub razem. Maglują ciągle to samo, nie bawią się już nawet w dobrych i złych policjantów. Nie interesuje ich prawda, próbują udowodnić, że kłamię, że wszystko wyglądało inaczej, niż przedstawiłem to na pierwszym przesłuchaniu, tego dnia, kiedy zostałem zatrzymany.

To był jedyny raz, gdy się zламаłem, potem adwokat nakazał mi milczenie. Słusznie, na tym etapie składanie zeznań nie ma sensu. Tamto się nie liczy, bez mojego podpisu relacja śledczych i zebrane dotąd dowody to ciągle za mało, by iść z tym do sądu.

A może wciąż liczą, że złapią grubą rybę zamiast płotki?

Pierwszy, Drugi, Trzeci – tak ich sobie nazywam. Przedstawiają się, pokazują dokumenty, odznaki, papierki. A potem mnie podpuszczają. Są zatroskani i uśmiechnięci. Udają, że adwokat się spóźnił, zaraz przyjedzie, zagadują, dają mi papierosa, raz nawet próbowali poczęstować mnie wódką.

– Nie piję – odmówiłem.

Ale papierosa wziąłem.

Nie paliłem pięć lat. I skończyło się, znów palę, ale dziś jestem innym człowiekiem. Najgorszym, jakiego można sobie wyobrazić.

Zabójca. Jestem zabójcą.

Dlaczego?

Zadaję sobie to pytanie sto razy dziennie, a może dwieście. Mam dużo czasu, żeby sekunda po sekundzie analizować tamte dni, zastanawiać się, co mogłem zrobić, żeby zapobiec temu, co się wydarzyło.

To mnie wykańcza, ale ciągle muszę do tego wracać. Każdy szczegół jest przecież ważny. Jestem ich jedynym świadkiem, a zarazem podejrzanym.

Pomiędzy pytaniami myślę o Basi. Marzę o niej. Wyobrażam sobie, jak siedzi obok na pryczy, trzyma mnie za rękę i patrzy mi w oczy.

Będzie dobrze, ułoży się.

Trudno tu o intymność, choć w celi jestem sam. Obserwowany przez cztery kamery, stoję, siedzę albo leżę na wyciągnięcie ręki wpatrzonych w ekrany klawiszów. Ich obiektywy. Kadrują każdy centymetr przestrzeni, patrzą na mnie z wysokości, zakratowane tak, bym nie mógł się do nich dostać.

Jestem w celi dla szczególnie niebezpiecznych przestępców. Tak zwana enka. Trzy metry na cztery, łóżko i meble przymocowane do podłogi, plastikowe naczynia, zakamarek z muszlą klozetową, małą umywalką, czymś w rodzaju lusterka wbudowanym w ścianę, niewielkie okienko wysoko, tuż pod sufitem.

Wszystko jest tu przemyślane. Samotność, wilgoć, smród, nawet to mrugające przez całą noc światło jarzeniowe. Nie skarżę się i o nic nie proszę. Oni tylko czekają, żeby mi pokazać, że zależę od nich. Jak będzie trzeba, przerobią tę celę na pokój jak w Marriotcie. Zależy im, żebym zeznawał. Chcą mieć cokolwiek, na czym będzie można mnie złapać.

Nad ranem budzi mnie młot pneumatyczny. Ponoć wymieniają instalację wodną i dlatego ryją bez przerwy do czternastej. A może jest to kolejna zaplanowana tortura, jak ta z muzyką disco polo włączaną o drugiej w nocy po sąsiedzku? Jestem pewny, że klawisz robi mi na złość. Na bloku siedzę sam.

Szczęśliwie aktualnie jestem jedynym niebezpiecznym przestępcą w areszcie w Mirowie.

W pojedynkę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Często rozmawiam sam ze sobą, z Bogiem, z diabłem. Czasem, kiedy słyszę kroki strażników, zrywam się z łóżka, jakbym miał prawo do nadziei, że wyjdę na wolność, że znaleziono dowody mojej niewinności.

Dobrze wiem, że to niemożliwe.

Przynoszą mi breję z kawałkami porośniętymi świńską sierścią, spleśniały chleb w folii, przesłodzoną, chlorowaną herbatę w plastikowym kubku.

Po południu zabierają na spacerki.

Przed wyjściem i wejściem muszę rozebrać się do naga. Noszę pomarańczowy drelich i wykrochmaloną, niewygodną bieliznę. Gdy stoję

nago, każą mi się pochylać i dokładnie sprawdzają ciało i włosy. Zostawili mi je, nie kazali obcinać.

Na spacerunku przez godzinę zataczam koła. Wreszcie jestem na powietrzu. Jak zraniony ptak krążę w kółko, obolały, nieszczęśliwy, niezdolny do rozpostarcia skrzydeł nietot. Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam.

Czasem myślę o czekającym mnie procesie. Gdyby sędzieli mnie trzydzieści lat temu, pewnie po groteskowej rozprawie dostałbym czapę.

Kara śmierci została zniesiona. Ostatni raz wykonano ją chyba w osiemdziesiątym ósmym ubiegłego wieku, trzydzieści lat temu, na gwałcicielu i mordercy. Zastąpiono ją dożywociem, co w praktyce oznacza dwadzieścia pięć lat odsiadki. Bo przecież nawet najgorszych zwyrodnialców w państwie prawa nie wolno trzymać pod kluczem zbyt długo.

Bzdura. Znam takich, którzy nie powinni się urodzić.

A ja? Czy ja powinienem? Czy jestem sprawiedliwy wobec siebie? Po tym, co zrobiłem? Po tym, jak z pełną premedytacją zabiłem człowieka? Po tym, jak zaplanowałem sobie nie tylko, w jaki sposób to zrobić, ale też jak się z tego wyplątać?

– Mauer, zbieraj się!

Kolejne przesłuchanie. Mają nadzieję, że się rozpruję.

Nic z tego, nauczyłem się przez te wszystkie lata, że z policjantami i prokuratorami nie ma sensu rozmawiać.

Głupcy zadadzą mi znów te same pytania i odegrają swoje role, ponownie wpisując się w moją strategię. Świat jest pełen głupców, którzy rozgrywają jeszcze większych głupców.

Pierwszy czeka na mnie w pokoju. Trzyma w dłoni długopis. Jest to zwykły, prosty pisak. Jednorazówka. A jednak myślę sobie, że wiele bym dał, by go dostać. Nie mam długopisu, bo boją się, że odbiorę sobie nim życie. Nie jestem taki głupi. Nie zamierzam się zabijać. To tylko ułatwiłoby im życie. Zamierzam stąd wyjść.

Drugi znów mnie przesłuchuje. Nie jest już taki gorliwy. Standardowo nie odpowiadam na najważniejsze pytania. Odmawiam składania jakichkolwiek podpisów. Na nic się nie zgadzam, w niczym nie

współpracuję. Dopiero na koniec podsumowuję:

- Wszystko powiedziałem pierwszego dnia.
- Podtrzymujesz tamte zeznania?
- Nigdy mi ich nie przedstawiono do podpisu.
- No to może podpiszesz?

Uśmiecham się.

Żałuje chyba, że zapytał. Myśli, zastanawia się, czy nie wpakuje się w jakiś problem proceduralny, jak zacznie dopytywać.

W końcu jestem adwokatem. Jednym z najlepszych, jakich miał za przeciwników. Tego jestem pewien.

Koniec. Wstać, dać się zakuć, wyjść!

Znów do celi.

Czeka mnie dwieście pięćdziesiąt pięć męczących kroków. Potem ponownie rozebranie do rosółu.

Pochyl się, rozstaw nogi, ręce wysoko.

I znów droga przez piekło do piekła.

Odwracam się w ostatniej chwili. Mam pomysł, przebłysk geniuszu.

– Chciałem jeszcze o coś zapytać.

Nadzieja. Może jednak coś mu powiem. Coś, co będzie mógł wykorzystać w sądzie. Czym sam się pograżę. Prokurator pewnie by się ucieszył.

– Tak? – Wyraźnie słyszę tę nadzieję w jego głosie.

– Mogę dostać długopis?

Patrzy jak na idiotę. Otwiera usta, by prychnąć albo od razu rzucić krótkie: nie.

– Długopis i zeszyt – dodaję.

Wahanie. W końcu pytanie:

– Po co?

– Chcę pisać pamiętnik.

Nadzieja.

– Pamiętnik? Wszystkie twoje dni są takie same. Nie masz nawet telewizora.

– Nigdy nie przepadałem za telewizją. I mam o czym pisać. Chcę napisać



bestseller. – Mrugam okiem.

Mam nad nim kontrolę. Wiem, co sobie myśli. Liczy, że napiszę w pamiętniku coś, co mnie pogrąży. Marchwicki ponoć tak właśnie się załatwił. Prowadził pamiętnik, w którym opisywał swoje niewiarygodne zbrodzenia, jak zabijał, jak okrutnie traktował kobiety i siebie samego. Tyle że niektórzy mówią, że ten pamiętnik napisał ktoś za niego, żeby uzasadnić wyrok śmierci i zamknąć nierozwiązywalną sprawę. Akta poszły na przemiał, pamiętnik też. To była komuna. Prawie pół wieku temu. Dziś takich dowodów się nie fabrykuje. Czyżby?

Obserwuję go. Wiem, że to kupił. Wzrusza ramionami.

– Pewnie, czemu nie.

Sięga do szuflady, wyjmując notatnik z logo jakiejś firmy. Pinta czy Finta, nie jestem pewien. Dostał go za darmo, w prezencie, pocztą albo na jakiejś konferencji. Zwija zeszyt w rulon i wkłada mi w kieszeń. Na koniec daje długopis. Ekologiczny, z papieru. Też Pinta albo Finta. Ale wkład ma ostry. Rzeczywiście mógłbym go jednym szaleńcym, mocnym ciosem wbić w szyję i byłoby po sprawie.

Nie jestem samobójcą. Nie jestem szaleńcem. Jestem zabójcą.

Mogę zacząć pisać.

Mogę spisać swoją historię.

# CZĘŚĆ 1

## 1.

Zaczął się w poniedziałek. Przeklęty dzień.

– Podwiesz Anię?

Zawiesiłem się na kilka minut, zanim pytanie do mnie dotarło, a potem zerknąłem na zegarek. Ciągle coś rozważam. Za dużo mam na głowie. Moja praca to rozwiązywanie łamigłówek. Zbieranie poszlak, dedukcja, domyślanie się faktów. Mordercza robota, której nikt z zewnątrz nawet nie zauważy. No i przeszłość. Ciągle wraca jak niespłacony weksel. Ósma trzydzieści pięć. Mała miała dziś na trzecią lekcję. Zawsze lubiłem ją odwozić. Przez te kilkanaście minut w samochodzie była naprawdę obecna. Jedyny moment dnia, kiedy mogliśmy porozmawiać.

– Nie trzeba. Przejdę się – krzyknęła z piętra, a potem usłyszałem tupot małych stóp. Małych?

Po chwili wychyliła się zza drzwi na antresoli, machając do mnie z szerokim uśmiechem, który miał mi powiedzieć „Dam sobie radę”.

Boże, wyglądała już jak kobieta, jak jej mama. Burza jasnych włosów, ładna okrągła buzia, dołeczki w policzkach, kocie ruchliwe oczy, pełne biodra, piersi. Niemożliwe! Moja córka ma piersi!? I niemal tyle samo wzrostu co Basia, a ja wciąż nazywam ją „Mała”. Odebrało mi mowę. Znów się zawiesiłem.

– Co się gapisz? – Tym razem oberwałem kuksańca z drugiej flanki. Starsza wersja „Małej” atakowała, robiąc wymowną minę.

Ależ były do siebie podobne.

„Możesz sobie mieć córeczkę tatusia, ale to ja wciąż jestem pierwsza, wciąż najpiękniejsza, jedyna. Nie zapominaj o tej prostej prawdzie” – wyczytałem w oczach, w które nie mogłem się napatrzeć od czternastu lat.

Czasem miałem wrażenie, że wie o mnie więcej niż ja sam. Kiedy jest

obok, czuję się bezpiecznie. Prawdę mówiąc, tylko przy niej potrafiłem być do końca szczery. Jej oczy są moim sumieniem. Odkąd ją poznałem nigdy nie przestałem się bać, że ją stracę. Może bardziej lękałem się o to, że wówczas straciłbym też siebie. Miłość to coś więcej niż te kilka miesięcy fascynacji i magicznych uniesień. One są zaledwie preludium. Ta prawdziwa nie kończy się nigdy. Ktoś, kto kocha, doskonale to rozumie. Zawdzięczam jej wszystko, włącznie z życiem, a nawet życiem po śmierci.

– Tu masz swoją księżniczkę.

– I tylko na nią wolno mi patrzeć?

– Wyłącznie.

Całuję ją, a ona znacząco ściska moje ramię. Niby to wszystko żarty, ale... Nawet nie zauważyłem, kiedy powoli dwie najważniejsze dla mnie kobiety na tej planecie zaczęły ze sobą rywalizować. Nie wystarczy przynosić kwiatów jednej. Perfumy i inne drobiazgi zamawiałem już także podwójnie. Ba, ostatnio u jubilera zapytałem, czy dostanę identyczne bransoletki, i dopiero ekspedientka mnie oświeciła, że nawet jeśli kobiety się nie znają, lepiej nie kupować tych samych, tylko dwie różne.

– Znają się – odparłem, nie dostrzegając ukrytego podtekstu, jak przystało na ostatniego durnia w tych sprawach.

– Tym bardziej.

Czekałem na wolne dni, popołudnia po pracy, kiedy byliśmy wreszcie razem. Nic wielkiego się nie działo. Często studiowałem jakieś akta, Ania bawiła się z psem, Basia coś czytała. Były na wyciągnięcie ręki, moje życie miało swój porządek.

– Zbieraj się – zawołałem w kierunku antresoli, jakbym nie słyszał odpowiedzi córki. Nigdy nie odmawiam prośbom... jednej czy drugiej.

– Mówiłam, że się przejdę – dobiegł nas wyraźnie zirytowany głos Ani. – To nie Warszawa.

Pasuję. Mam dość. Im bardziej byłem stanowczy wobec jednej czy drugiej, tym wychodziło gorzej. Zresztą na szczęście nigdy nie byłem typem, który chce za wszelką cenę postawić na swoim.

Zerkam ponownie na zegarek, raczej z przyzwyczajenia, bo wcale mi się nie spieszy. Jeśli ktoś ma do mnie interes, musi się umówić. Kiedy nie mam rozpraw, pracę zaczynam przed dziesiątą. Klientów każę umawiać od

jedenastej. Lubię mieć przedtem trochę spokoju. To czas, kiedy mogę przejrzeć akta, wykonać kilka telefonów, wypić kawę, sprawdzić w kalendarzu, czy Wanda na pewno wpisała wszystkie terminy, choć przecież niemożliwe, by było inaczej, bo ona nigdy się nie myli.

Dojazd do biura zajmuje mi kilka minut, kilkanaście, jeśli po drodze odwożę Anię. Jadę wolno, nigdzie się nie śpieszę. Nie cierpię się spóźniać.

A może w tych wyjściach do pracy godzinę czy nawet dwie przed czasem tkwiła inna tajemnica? Czy już nadszedł ten etap w moim życiu, że marzyłem jak wielu moich kolegów po fachu, by uciekać z domu jak najwcześniej i wracać jak najpóźniej? Nie, gdyby tak było, poniedziałki nie byłyby najgorsze. Wręcz przeciwnie.

– Jesteś jakiś podekscytowany. – Głos Basi dobiega jakby zza zamkniętych drzwi, w uszach coś szumi.

– Ja? Skąd. – W takich chwilach czuję się jak sztubak złapany przez nauczyciela na kłamstwie.

– Nowa sprawa? Coś ciekawego?

Chciałem zaprzeczyć, ale coś mnie kusilo, żeby ją podpuścić, więc zacząłem snuć jakąś mroczną opowieść o typie, który po wyjściu z więzienia zabłąkał się w Mirowie, by wyrównać rachunki z kompanami, bo wydali go na komendzie. Gdzieś się nagle zapodziali z dnia na dzień, jeden, potem drugi, wreszcie trzeci. Niby wszyscy wiedzieli, że to prawdopodobnie wendeta, ale to przecież byli dorośli ludzie, którzy mogą robić ze swoim życiem, co chcą. Wyjechać, a nawet uciec przed bliskimi. Radziłem ich żonom, żeby wzięły detektywa, który będzie miał gościa na oku. Tyle że detektyw przepadł jak tamci bez wieści.

– Nie słuchaj, wkręca cię – rzuciła nasza córka.

Basia dobrze o tym wiedziała. Pamiętam błysk w jej oczach, gdy kilkanaście lat temu po raz pierwszy opowiadałem jej podobną historię. Kiedy budowałem napięcie, była zasłuchana jak dziecko. Potem, gdy wyczułem, że to ten moment, wreszcie odważyłem się ją pocałować. Nie ona jedna dała się na to nabrać.

– Zaraz będzie, że ten typek przychodzi do ciebie w nocy – ciągnęła moją opowieść Ania. – Wiesz, we śnie, rzuca ci się w ramiona i ani się spostrzeżesz, już cię obejmuje jedynie w tym celu, żeby głęboko spojrzeć ci

w oczy i skraść...

– Skoro już wszystko wiesz... – Zamilkłem.

Wróciła na chwilę do swojego pokoju, a potem stanęła przede mną, jakby chcąc mnie dodatkowo sprowokować. Miała na sobie bluzkę do pępka i spodnie składające się niemal wyłącznie z dziur. Te największe łapały po brzegach agrafki. Goła skóra wyzierająca z boków i z przodu jeszcze jakoś nie raziła tak bardzo, lecz gdy Ania obróciła się zadowolona na pięcie, zobaczyłem jeden z pośladków i złapałem się za głowę... Jezus Maria, to już naprawdę przesada!

– Lepiej już idź. – Basia wyczuła, że miła w gruncie rzeczy i niewinna potyczka może zmienić się w prawdziwą batalię, więc wypchnęła mnie w kierunku drzwi. – Weź psa.

Rosa, dwuletnia suczka, nieco skundlony beagle znajda, merdała ogonkiem na wycieraczce. Jeszcze dwa lata temu była pieskiem „córuni”, a dziś to ja musiałem z nią wychodzić, karmić ją, sprzątać po niej... Ania wyganiała ją nawet czasem z łóżka i wówczas sunia spała z nami, zagrzebana pod kołdrą jak małe dziecko. Jak to było? Właściciele psów dzielą się na pozwalających swoim pupilom leżeć w łóżkach i pozostałych, którzy się do tego nie przyznają.

– I ty w zmowie? – westchnąłem.

Wyszedłem z Rosą, która jak szalona pobiegła w kierunku jeziora, hałaśliwie ujadając na wiewiórki i kaczki, czy co tam dostrzegła w krzakach gęsto porastających brzeg koło pomostu. Uwielbiałem na nią patrzeć. Wigor, chęci i zdrowie. Cieszyła się z każdej sposobności wyjścia na dwór. Stanąłem na ganku i zaciągnąłem się zabójczo świeżym powietrzem.

Przez długi czas nie znałem tego zapachu. Przez kilkanaście ładnych lat potrzebowałem dwóch kaw i kilku papierosów, żeby zebrać się do wyjścia. Pochodzę z małej miejsciny, ale odkąd pamiętam, zawsze marzyłem, żeby się stamtąd wyrwać. Kiedy mi się to jednak wreszcie udało, miasto mnie pochłonęło, porwało, wciągnęło i nie chciało puścić. A teraz, proszę, dom na przedmieściach, odludzie, wokół bezkres pól, w oddali las, a za wąską, szutrową dojazdówką jezioro. Wróciłem do dzieciństwa i starych traum. Dziwne, do dziś mam sny, że się topię, jestem cały sparaliżowany, nie mogę nawet krzyknąć. Co ja tu właściwie robię? Na dodatek bez papierosa?

Aż klepię się po kieszeni, by sprawdzić, czy to się dzieje naprawdę, czy gdzieś tam nie została jakaś zmięta paczka w kolorze écru z ostatnią sztuką, którą chętnie bym wydobyl z zapomnienia.

Cholera, to już tyle lat bez fajek, a ja wciąż miałem sny, w których zaciągałem się z lubością mocnym davidoffem, w których wcale nie zerwałem z nałogiem. Z tym i innymi.

– Szczęśliwy?

Aż podskoczyłem. Basia potrafiła poruszać się bezszelestnie, a może miałem tak niepodzielną uwagę, że błyskawicznie wyłączałem się z rzeczywistości, gdy o czymś zbyt intensywnie myślałem.

– Tak – szepnąłem.

Objęła mnie od tyłu, przylgnęła całym ciałem. Zapach chanel 5, nasz ulubiony. Poczulem też jej piersi i... cóż, jestem tylko słabym mężczyzną, wciąż na tyle młodym, że nie pozostaję obojętny na takie impulsy. Jej dłoń wniknęła pod moją koszulę, ale zatrzymała się nieco nad brzuchem. Po lewej stronie.

– Bije tylko dla mnie?

Zazdrośnica. Lubię jednak, kiedy tak do mnie mówi.

– Wyłącznie.

Palce mocniej przylgnęły do skóry nad sercem.

– Nie żałujesz?

Poczulem pałące gorąco, jakby miała umieszczone w opuszkach sensory jakiegoś tajemniczego wykrywacza kłamstw, i wiedziałem już, że w nocy przyśni mi się ta scena, tylko dłoń nagle przebije skórę, wniknie do środka, ekran zaleje krew, całe morze krwi, a bestia zacznie wyrwać ten pulsujący kawał mięsa...

Miłośnicy horrorów tak już mają. Uwielbiałem sceny gore, im bardziej makabryczne, przejmujące i ponure, tym lepiej, mimo że wracały w nocy snami na pograniczu realności i budziły, wywołując zimne poty.

A może oglądamy takie filmy, żeby wytłumaczyć złe sny, które i tak by nadeszły?

– Kocham cię – odparłem.

– To odpowiedź na moje pytanie?

– Na wszystkie pytania.

2.

Stara Wiedźma stała pod kancelarią i patrzyła na mnie z nienawiścią. Nie wiem, może przesadzałem, ale po prostu czułem to w jej wzroku. Ona mnie autentycznie, szczerze, do bólu nienawidziła. I za co?

– Niech pani stąd idzie – powiedziałem znacznie łagodniej, niż zamierzałem, a ona wykrzywiła jeszcze bardziej tę swoją brzydką, czerwono-fioletową gębę pokrytą zmarszczkami. Przez chwilę byłem niemal pewien, że mnie opluje, ale zamiast tego zarechotała obrzydliwie głośno i syknęła:

– On nadchodzi. Już niedługo nadejdzie.

Minąłem ją, myśląc, że mam za swoje. Pewnie za dużo czytam o opętaniach i przekleństwach, poza tym te horrory. Wszędzie więc odnajduję ślady diabła.

Wanda siedziała za biurkiem nad stosem dokumentów. Nie wiem, czy tak dobrze udawała, czy miała świetny refleks, ale nigdy nie złapałem jej na nicnierobieniu. Bez względu na porę, w której wchodziłem do biura, pracowała. Mam ją przed oczyma z okularami na nosie, kiedy sprawdza coś w poczcie elektronicznej, głowi się nad tym, jak rozwiązać kolizję terminów, ewentualnie tłumaczy cierpliwie klientowi przez telefon, że rzeczy pilne załatwia od ręki, a na cuda trzeba poczekać jeden dzień.

Była tytanem pracy, prawdziwym złotem, najtrafniejszym wyborem rekrutacyjnym, jakiego dokonałem w życiu (nie wliczając Basi, ale tu przecież nie było żadnego castingu), może dlatego, że pięć lat temu zgłosiła się na ogłoszenie o pracę jako pierwsza i spełniała wszystkie moje wymagania. Umiała znacznie więcej. Bez niej nie byłoby żadnego sukcesu Tomasza Mauera i jego pierwszej samodzielnej kancelarii, tylko jeden wielki bałagan wymieszany z chaosem.

Taka sekretarka czy, jak kto woli, asystentka to prawdziwy skarb. Stała na pierwszej linii w kontaktach z klientami, prokuratorami i sędziami.

– Cześć.

Podniosła wzrok, spojrzała zmrużonymi oczami. Pomyślałem przez moment, że rzeczywiście jest atrakcyjna, o czym mówiła czasem zazdrosna Basia, a na co ja kompletnie nie zwracałem uwagi. Poza takimi momentami.

– Cześć. Wiedźma cię w końcu opluła? – rzuciła, wracając jednocześnie do czytania, co miało znaczyć, że odpowiedź jej nie interesuje.

Nauczyła się tego ode mnie. Czasem miałem wrażenie, że w ten sposób mnie przedrzeźnia, daje znać, jakim potrafię być irytującym dupkiem.

– Nie, przekazała tylko, że ON nadchodzi.

– Idzie, idzie i jakoś dojść nie może – wyszeptwała, po czym podniosła wzrok, tym razem zainteresowana moją reakcją. – Wyglądasz jakoś inaczej.

Cóż, Wanda niebezpiecznie upodabniała się do Basi.

– Pozory.

Chyba jestem wam winny parę słów o Wiedźmie.

Mirowski mit, jedyny w swoim rodzaju. Była lokalną atrakcją. Nie bardzo wiem, dlaczego upatrzyła sobie między innymi właśnie mnie. Tydzień rozpoczynała od kancelarii. Wtorki rezerwowała dla znanego w całym mieście ginekologa. Co środę kręciła się koło domu kultury, jedynego w Mirowie. Mieściła się tam również biblioteka, a swoją siedzibę miał teatr. Skąd Wiedźma miała blisko do ośrodka pomocy społecznej, gdzie otrzymywała kupony na jedzenie i środki czystości. W czwartek znikwała, bo pewnie rozpoczynała przepijanie talonów z Ziutkiem czy innym Frankiem, by piąteczek przywitać na przystani, gdzie pozostawała już przez cały weekend, nawet w zimie. Twarda sztuka. Nie zamarzała, nie zatrzuwała się denaturatem, nie poddawała grypie i ospie, za to gdyby mnie podrapała czy opluła, to pewnie żarłoby i nie chciało się zagoić przez miesiąc. Wracała co poniedziałek, tydzień w tydzień. I twardo obstawała przy nadejściu Onego, kimkolwiek był.

– Przyśni ci się.

Żebyś wiedziała, już nieraz mi się śniła.

Kiedyś w tajemnicy przed Wandą próbowałem zgłosić te najścia Wiedźmy na policji, ale dyżurny doradził:

– Panie mecenasie, śmiać się z pana będą. Wiedźmy w Mirowie się nie rusza. To przynosi pecha.



No to wycofałem ten, hm, donos obywatelski, co niestety nic nie dało w kwestii drwin, bo ktoś z komisariatu opowiedział o tym pijaczkom z lokalnej mordowni, a potem rozeszło się dalej. Pan mecenas, co się boi starej wariatki.

Przeszedłem przez niewielki sekretariat, otworzyłem swój gabinet, ale zanim wszedłem, moja niezastąpiona asystentka zapytała:

– Chcesz kawę?

– Sam sobie zrobię. – Podeszedłem do automatu i nacisnąłem guzik.

Wanda codziennie pytała mnie, czy chcę kawę, jakby nie mogła pogodzić się z faktem, że sam sobie potrafię ją zrobić równie dobrze jak ona. Przecież to w końcu tylko naciśnięcie guzika w automacie.

Zniknąłem z kubkiem w dłoni w swoim gabinecie, ale zanim jeszcze włączyłem komputer, Wanda stała już przy mnie z terminarzem, patrząc, jak wpisuję hasło, loguję się do systemów i... uruchamiam pasjansa. Zapamiętajcie sobie: jeśli adwokat nie gra w pasjansa, to znaczy, że dupa z niego, a nie adwokat.

– Najpilniejsze są umowy z Viaskonem i pozew w sprawie dostaw dla Drumexu, bo jutro mija termin, a Szymura chce przeczytać przed wysłaniem.

– Pan Szymura – upomniałem.

W końcu to był mój najlepszy klient, nie tylko zresztą mój. W Mirowie Szymura znaczył więcej niż wszyscy inni razem wzięci. Był najbogatszym przedsiębiorcą, najprężniejszym samorządowcem, społecznikiem, radnym i „nadburmistrzem” w jednym; najmądrzejszym, najprzystojniejszym, najwspanialszym mężczyzną w okolicy. Prawdziwym dobrodziejem tej krainy. Jej najważniejszym aktywem, jak to lubił określać mój lokalny procesowy przeciwnik, a po godzinach kolega i prawie przyjaciel, prokurator regionalny Bańka.

Gdyby położyć Witolda Szymurę na szali wpływów, dla równowagi trzeba by na drugiej upchnąć z tysiąc takich Tomaszów Mauerów. Wanda mogła go nie szanować, ale nie wolno było tego okazywać. Zresztą w ogóle zwracałem uwagę, by o klientach wyrażać się z należną estymą, na jaką zwyczajnie zasługują. Jeśli znacie jakiegoś adwokata, wiecie, o czym mówię. Jesteśmy ludźmi, którzy starają się nie oceniać nawet ostatniej kanalii. Nie

wolno nam osądzać. Czy to źle, czy dobrze – to już inna sprawa. W każdym razie, tak żyje się prościej.

– Pan Szymura – przytaknęła bez złośliwości, choć w kącikach ust coś drgnęło. Wiedziałem jednak, że w obecności Szymury czy innych osób nigdy by się nie zdobyła na jakąkolwiek oznakę lekceważenia. – Prosił też, żebyś jak najszybciej zaopiniował dokumentację przetargową z Ministerstwa Środowiska. Wiesz, konkurs na dotację dla działu badań i rozwoju. Mówiłam, że możesz nie dać rady, ale się uparł.

– Dam radę. Coś jeszcze od Szymury?

– Pana Szymury. – Czy mogła zdobyć się na szerszy uśmiech? Skinałem głową, choć miałem ochotę skrzywić się z przekąsem, a ona podjęła: – Jest zaległa sprawa z tym dziennikarzem Zimnym czy jak mu tam. Nie zamieścił sprostowania i pan Szymura chciałby, żebyś go bardziej postraszył, może napisał jakieś pismo procesowe, wezwanie do zaniechania naruszania dóbr osobistych czy coś podobnego z jakąś dużą kwotą odszkodowania, tak żeby dostał zawału, jak to zobaczy. Ci z Gdańska mówili, że jak się go straszy sądem, to sprostowania publikuje. Tylko, przepraszać, cytuję, „skurwiel, nie chce”.

– Pan redaktor. – Tym razem to ja wyszczerzyłem zęby. Mam całkiem ładny uśmiech. Kosztował mnie piętnaście tysięcy. Musiałem go sobie zrobić na życzenie szefa, jeszcze jak pracowałem u Nowotarskiego i Korczaka, rzekomo najznamienitszych prawników w Warszawie, a może i w całej Polsce, choć ci z Krakowa na pewno mają na ten temat inne zdanie.

„Adwokat powinien uśmiechać się nieskazitelnie” – twierdził Nowotarski na długo przedtem, zanim przyznał się, że jest gejem i w zasadzie to ten uśmiech jest w jego interesie.

Miałem wrażenie, że Wanda chce splunąć. Nie na gejów, bo przecież nie czytała w moich myślach. Szczerze i ostentacyjnie nienawidziła dziennikarzy. Nie wiem, co jej zrobili, nie chciała powiedzieć, ale to było coś bardzo osobistego.

Sam miałem zupełnie inne zdanie o czwartej władzy. Nawet jeśli popełniała błędy, trudno się bez niej obyć. Nieraz zawdzięczałem mediom uczciwe wyroki, a wielu podsądnych jakąś namiastkę sprawiedliwości w tym chorym na procedury kraju.

Gdy aparat państwa zawodził, żurnaliści byli ostatnią deską ratunku. Cóż, dla równowagi przyznajmy, że czasem czwarta władza się myliła i krzywdziła ludzi może bardziej niż cały ten administracyjny burdel.

– Szymurze wystarczy, żeby... pan redaktor zamieścił suchy tekst prostujący, że napisał nieprawdę. Piarowcy roześlą to potem po wszystkich świętych i będzie dobrze. No ale możemy z tym poczekać do jutra. Dostaliśmy też kopię akt, o które prosiłeś. – Zerknęła do notatek. – IIC 385/10 z Gdańska, od Jelińskiego. To znaczy... mecenasa Jelińskiego.

Akurat Jelińskiego bym nie poprawiał..

– Prosił, żeby ci przekazać, że jego zdaniem to nie do wygrania i jest gotów podwoić stawkę. Podobno będziesz wiedział, o co chodzi.

Skinałem głową. Pierwszy raz założyłem się z Jelińskim o flaszkę wódki, drugi raz o skrzynkę. Oba zakłady wygrałem, choć przy tym drugim były wątpliwości, gdyż sąd orzekł co prawda na moją korzyść, ale z uzasadnieniem, że nie powinien mi przyznać racji, bo może i prawnie jestem góram, ale moralnie rzecz ujmując... Tak to bywa z sądami.

Mimo wszystko mój przyjaciel, mecenas z Gdańska, nie kłócił się, kupił wódkę, co prawie tydzień odchorowywaliśmy. Potem równie długo go przeklinałem. Wtedy jeszcze obaj piliśmy, i to dużo, jak to adepci toruńskich uczelni.

Niektórzy prawnicy upierają się, że w Warszawie, Gdańsku czy Krakowie też się sporo pije, ale naprawdę powinni zobaczyć, co się dzieje pod okiem samego diabła, czy – jak kto woli – ojca dyrektora w szlachtetnym Toruniu.

Uniosłem do góry brwi, co miało znaczyć: „coś jeszcze?”.

– W niedzielę dzwoniła do mnie Szewińska, ta z bazaru, co u niej kupujesz grapefruity. – Wanda uśmiechnęła się złośliwie i powiedziała, naśladując bazarową babę: – Najzdrowsze, niepryskane, soczyste i słodziutkie. Bez GMO! Za to z witaminami. Prosiła, żeby ci przypomnieć o jej siostrzeńcu...

Pamięć przywołała obraz stojącej na schodach Ani i jej dziurawych spodni. Już raz dziś myślałem o tym chłopcu i wtedy również zestawiłem go z własną córką.

– ...chłopaku – kontynuowała moja rozmówczyni – który bez powodu pociął nożem kolegę.

Wandzie jeszcze nie mówiłem, ale rozmawiałem już o nim z Bańką. Od prokuratora wiedziałem, że dopalacze całkiem zryły chłopakowi łeb. Kompletnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co zrobił, a przecież niemal zadźgał nożem najlepszego przyjaciela. Jak zeszło z niego całe świństwo, wciąż nie mógł w to uwierzyć, a Bańce trudno było pogodzić się z faktem, że młody człowiek potrafi tak po prostu przekreślić swoją przyszłość, bo wziął jakieś gówno, po którym nie sposób nie dostać małpiego rozumu. Wiedziałem na ten temat coś więcej, ale tylko potakiwałem milcząco.

– Powiedziałaś jej, że nie bierzesz spraw karnych i najlepiej będzie, jeśli poprosi o adwokata z urzędu, a ona na to, że nie ma w Mirowie lepszego od ciebie i że jak dla Szymury, to bierzesz też kryminały. Obiecałam, że zapytam. No ale mogę zaraz zadzwonić...

– Nie, w porządku. Daj tę sprawę chłopakom, niech się wykażą. Powiedz jej, żeby szykowała z pięćdziesiąt tysięcy na poręczenie.

– Jakies sugestie?

– To żadne usiłowanie zabójstwa, przecież pokrzywdzony zaczął. Młody Szewiński też był poharatany. Myślę, że Bańka to kupi. Może się nawet uda zrobić z tego obronę konieczną – rzuciłem hasłowo. – Tylko nie rób za nich całej roboty. Niech trochę pomyślą, bo tylko tak mogą się czegoś nauczyć. To wszystko?

Są takie chwile w życiu, że instynktownie przeczuwamy, jak mocno wpłyną na naszą przyszłość. Właśnie w tym momencie coś takiego poczułem. Wanda zamknęła notes, schowała go za plecami i zaprzeczyła takim tonem, jakby wszystkie poprzednie omówienia nie miały dla mnie najmniejszego znaczenia, bo od dziś liczyć się będzie tylko ta jedna, absolutnie priorytetowa sprawa, o której właśnie mi opowie.

– Nie. Został jeszcze Janio Wiśnik.

– Kto taki?

Czy już wtedy powinienem był przeczuć także to, jak tragicznie skończy się dla mnie ta sprawa?

„Janio Wiśnik” brzmiało dziwnie. Pewnie kolejna postać z mirowskiego panteonu mitów. Samo zdrobnienie imienia i sposób wypowiedzenia go przez Wandę były jakoś złowieszczo znaczące. Dwa słowa skrzyphiały mi w uszach, odbijały się echem, kipiały i syczały niczym palone w piekielnym

kotle. Jakby przeznaczenie dawało mi ostatnią szansę, krzycząc: „Uciekaj, Mauer! Spieprzaj, jeśli chcesz przeżyć. Przecież to nic nowego. Nieraz już uciekałeś”.

Gdy wyszedłem tamtego poniedziałku z kancelarii, nie spotkałem Wiedźmy. Zniknęła spod kamienicy, a mimo to w niewytłumaczalny sposób czułem jej obecność. Było mi zimno, telepało mną od środka, miałem dreszcze. Próbowałem to jakoś racjonalnie wyjaśnić: chłodem, poniedziałkiem, pustym żołądkiem, ogólnie złą kondycją w ostatnich dniach. To uczucie nawiedzało mnie czasem bez powodu, przynajmniej jakiegoś wyraźnego. Przyczyna leżała gdzieś daleko, poza granicami czasu i snu. Byłem wobec niego bezradny. Jakbym zbliżał się do miejsca jakiejś dawnej traumy, w którym nie umiałem się odnaleźć.

Wsiadłem do samochodu, instynktownie nacisnąłem guzik centralnego zamka, a potem dobry kwadrans siedziałem bez ruchu, patrząc w szybę. Kompletny paraliż.

Przez ten czas przed maską samochodu przeszły trzy osoby. Najpierw przez moment mignęło mi dwóch rozbrykanych malców, którzy starali się, tak dla zabawy, stąpać po białej zebrze. Za nimi, taszcząc ciężkie siaty, tempem zółwia szła starsza kobieta. Pozazdrościłem chłopcom beztroski, wigoru i dziecięcych marzeń. Ile bym dał, by wrócić do tych dni, kiedy uganiałem się za piłką albo chodziłem do sąsiada na jabłka. Nic mnie nie przytłaczało, marzyłem o tym, żeby w końcu dorosnąć. Widok kobiety zasmucił mnie. Brała na siebie ciężary ponad swoje siły, żeby dogodzić dzieciom, a i tak nikt jej pewnie za to nie podziękuje. Chłopcy uważali, że im się to wszystko po prostu należy. Będąc w ich wieku, też tak myślałem.

Przez chwilę przyszło mi do głowy, żeby wziąć od niej zakupy, pomoc, podwieźć samochodem, i wtedy stało się coś niewytłumaczalnego. Starsza kobieta zatrzymała się dokładnie na wysokości maski samochodu. Wolno obróciła głowę w moim kierunku. Jej pogodną, choć spracowaną twarz w jednej chwili zalał wyraz nienawiści. Wyrzucając głowę w moim kierunku, syknęła, jakby była jednym z demonów Legionu. Wbiło mnie w fotel, kurczowo chwyciłem za kierownicę. Jej usta rozwarły się w uśmiechu i niemal usłyszałem kpiący głos: „Już za późno, Mauer. Przecież nie uciekniesz, prawda?”.

Janio Wiśnik cię zatrzyma.

Janio Wiśnik, do diabła!

„Prosta sprawa, ale pan Szymura prosi, żebyś zajął się nią osobiście” – usłyszałem ponownie słowa Wandy, które wypowiedziała ledwie kilkanaście minut temu w kancelarii. Dudniły mi gdzieś z tyłu głowy jak echo.

### 3.

Prosta sprawa.

Janio Wiśnik, pensjonariusz zakładu psychiatrycznego od dziesięciu lat przetrzymywany w tym przybytku, ma za kilka tygodni stanąć ponownie przed sądem i pan Szymura bardzo prosi (czytaj: każe), żebym go reprezentował.

– Nalega – podkreśliła Wanda.

– Czemu? To ktoś z rodziny?

– Nieee. To znaczy, nie wiem, ale chyba nie.

– Więc dlaczego mu zależy?

Spojrzała z wyrzutem. Dobrze, może i jest kimś więcej niż asystentką i może dokonać wstępnego rozpoznania, a nawet czegoś w rodzaju analizy sprawy, ale ona się z Szymurą prawie nie zna, a już na pewno nie przyjaźni. W przeciwieństwie do mnie. Więc jeśli ktokolwiek ma tu znać drugie dno, to ewentualnie ja, a nie ona. Moje pytania są zwyczajnie nie na miejscu.

– Przepraszam – szepnąłem. – Pochodzisz z Mirowa. Myślałem, że może coś...

– Miałam czternaście lat, gdy zamykali tego Jania Wiśnika, nic o nim nie wiem – wyjaśniła. – Przejrzałam akta. Wynika z nich, że oskarżono go o usiłowanie zabójstwa. Miał rzekomo napad szału, zaatakował siekierą jakiegoś gościa w sklepie, groził kilku innym i dlatego go posadzili. To znaczy, uznali za niepoczytalnego i zamknęli w szpitalu.

– Zranił kogoś?

– Nie, nawet nie drasnął.

Coś tu nie grało.

– Jak to? I zakwalifikowano to jako usiłowanie zabójstwa?!

Wanda wzruszyła ramionami.

– Może czegoś nie doczytałam, ale chyba nie było nic o ranach. Groził, że zabije. Nie zadał żadnego ciosu. Wymachiwał siekierą przed ludźmi, potem go obezwładnili, wezwali policję. Tyle że to było tydzień po tym, jak gdzieś na południu inny wariat zabił tę dziewczynkę... Ja tego nie pamiętam, ale może ty kojarzysz? Z tego, co wyczytałam, głośno się w mediach zrobiło. A jak wiesz...

– W Mirowie nie lubią dziennikarzy.

– Właśnie.

– Już wtedy nie lubili?

– Taki jest Mirów.

Sięgnąłem po akta i słuchając Wandy, przebiegłem oczami po najważniejszych ustaleniach.

Rzeczywiście, facet nie miał szczęścia. Coś go podkusiło do występu z siekierą w najgorszym z możliwych momentów. To był czas, kiedy w związku z wybuchami agresji i napaściami z użyciem ostrych narzędzi, przedmiotów niebezpiecznych prokurator generalny miał swoje pięć minut. Pomstując na prokuraturę, która za poprzednich rządów rozpuściła przestępców, zapowiedział surowe kary dla sprawców tego typu występków. Bo okazało się, że przypadek z południa nie jest jedyny, choć najgłośniejszy. Statystyka – królowa prokuratorskich procedur – wymuszała zatem zmianę zasad postępowania: wobec wszystkich napastników uzbrojonych w ciupagi, widły, szpadle czy krajalnice sądy na wniosek prokuratury z automatu stosowały areszt. Po kilku miesiącach ktoś rozsądny wreszcie dostrzegł, że jak tak dalej pójdzie, to zabraknie miejsca w aresztach. Wszystko wróciło do normy.

Gdyby Janio Wiśnik zaprzyjaźnił się z panią siekierą kilka dni wcześniej, może odpocząłby dobę na dołku, a potem przez lata chodził po sądach, którym niespecjalnie zależałoby na zamknięciu nieinteresującej nikogo sprawy.

Ostatecznie dostałby zawiasy, prace społeczne, kuratora.

A tak... na fali społecznego gniewu przybili mu usiłowanie zabójstwa.

Oskarżyciel też był wyjątkowo skrupulatny – namnożył tonę

dokumentów, szkiców z oględzin, protokołów eksperymentów. Stary wyga wiedział, co robi. Pewnie z ostrożności procesowej pod połową tej makulatury nawet się nie podpisał. Sąd potraktował incydent poważnie, a biegli psychiatrzy podeszli do opinii z nad wyraz należytą starannością, przepisując z jakiegoś mądrego podręcznika w języku niezrozumiałym dla nikogo normalnego informację na temat szeregu przypadłości, które uczyniły z biednego Wiśnika wyjątkowo niebezpiecznego dla otoczenia zwyrodnialca.

Prawda, jakie to proste, gdy media z kamerami czyhają na frajera? Kiedy czwarta władza poszukuje kozła ofiarnego, prokurator zaraz jakiegoś wynajdzie i da zagniewanemu tłumowi igrzyska.

W efekcie furiata Wiśnika zamknięto w szpitalu. Na dziesięć lat. Aż złapałem się za głowę. Co za historia? Dziesięć długich lat. Boże, przecież ten człowiek może być zupełnie niewinny i siedzieć za nic, bo ktoś się przestraszył pismaków i statystyk.

Czy to dlatego Szymura kazał mi się tym zająć? Może ktoś teraz ponownie grzebie przy sprawie i trzeba zaklepać pull position, żeby potem grać jedyne go sprawiedliwego, który się pochylił nad losem niewinnego. Tak, to doskonale pasowało do Szymury. Witek był człowiekiem świetnie wyczuwającym koniunkturę. Potrafił jednego dnia grzmieć na skorumpowaną administrację, a następnego z uśmiechem przyjmować od niej medale. Człowiek kameleon. Rano ganił, by wieczorem całować. Zimy nienawidził, by lato kochać w dwójnasób, a może odwrotnie. Byle interesy szły do przodu. Byle polechtać nienajedzone ego.

– Nie dzwonił jeszcze żaden dziennikarz? – zapytałem.

– Nie. A spodziewasz się?

Kto wie, czy nie jestem tylko małym pionkiem w większej grze Witolda? Może Szymura sam zamierza nagłośnić sprawę Jania Wiśnika, bo z jakiegoś powodu widzi w tym interes dla siebie, kolegi, a może i całego Mirowa? Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że zanim zlecił mi to zadanie, podrzucił temat kilku dziennikarzom.

O tak, ten człowiek dla Mirowa gotów jest wiele poświęcić. To jego miasto. Ukochane i oddane.

Tak czy inaczej, sprawa pozornie mała i nieistotna mogła okazać się dość



spektakularna. Tylko dlaczego Szymura nie powiedział mi o niej bezpośrednio przy okazji ostatniego meczu tenisa czy wizyty na strzelnicy?

Instyktownie spojrzałem pod biurko. W niepozornej szafce na wysokości kolan ślusarz zainstalował niewielki sejf, w którym trzymałem rewolwer Smith & Wesson, prezent od Witolda Szymury. Nie lubiłem broni, a jednak najważniejszy klient, mój dobrodziej i przyjaciel, przekonał zasłuchanego jeszcze nie tak dawno w dźwięki pokojowego przystanku Woodstock pana mecenasa, że jest inaczej. Każdy jego znajomy powinien mieć broń, jak w Teksasie. Szymura jest wszak republikaninem, konserwatystą, zwolennikiem świętego prawa własności, strażnikiem miru domowego, prawa do własnoręcznego wymierzania sprawiedliwości.

„Bo jakbym miał liczyć na to, że ochroni mnie państwo...” – mawiał ostatnio zdecydowanie zbyt często. Niby żartem, ale czy na pewno?

„Przecież fajnie się strzela, nie?” – Hologram masywnej, władczej sylwetki przedsiębiorcy zamajaczył mi w głowie. Stał tam, wrośnięty w mój umysł, z założonymi na piersi rękami i szerokim, szczerym uśmiechem na ustach. – „Nawet do tarczy, choć do ludzi lepiej. Żartuję przecież... nie bądź taki poważny”.

Bywały sprawy, które traktowałem śmiertelnie poważnie. Szczególnie jeśli dotyczyły ludzkiego życia albo pozbawionego podstaw ograniczenia wolności. Byłem na nie wyczulony. Zwłaszcza kiedy jakiś zakompleksiony smarkacz na czele ministerstwa sprawiedliwości za nic miał prawa obywatelskie.

Więc może Szymura robił mi grzeczność?

– Jezus Maria – powiedziałem głośno, przerzucając kolejne strony z dokumentacji Jania Wiśnika. – To jest aż niewiarygodne. Ten facet siedzi od dziesięciu lat w szpitalu, a ktoś kseruje co pół roku opinie biegłych i chyba zamierza robić to dalej. W tych dokumentach nawet przecinki są w tym samym miejscu. To się nadaje do Strasburga.

– Podejrzewam, że takich Wiśników są setki.

– Przedziwne. Gdyby Wiśnik był normalnie sądzony, dostałby rok odsiadki, niekoniecznie na twardo. To mi się po prostu nie mieści w głowie... dziesięć lat w zamknięciu. Aż dreszcze przechodzą.

Myślałem, że Wanda mi zawtóruje, ale powiedziała coś zupełnie nie

w swoim stylu.

– Polska, panie mecenasie. Taki kraj.

Tak, Polska. Kraj, w którym bandyci i gangsterzy stają się celebrytami, najgorsze menty potrafią zyskać status świadka koronnego i nie ponieść konsekwencji za swoje czyny, biznesmeni tracą majątki z powodu błędów administracyjnych, za które nikt nie odpowiada, ale gdy „sprawiedliwość” dopada jakiegoś biednego, nic nieznaczącego, pewnie lekko szurniętego i nieporadnego prostaczka, to za publiczne wymachiwanie siekierą dostanie tyle, że starczyłoby tego dla tych wszystkich „niewinnych”, którzy potrafią się migać.

– Lepiej uważać – ostrzegła Wanda.

Popatrzyłem na nią pytająco. Zagryzła wargę. Robiła tak zawsze, gdy miała na końcu języka coś, czego wagi nie do końca była pewna.

– No?! – ponagliłem. – Co tam masz jeszcze do powiedzenia?

– W sumie nic, tylko że...

– Wando!

– Dzwoniłam do mamy. Wiem, że to wbrew zasadom, ale pomyślałam, że ona może coś więcej słyszała o tym Wiśniku, coś zasugeruje, podpowie...

– Tak?

Uciekła wzrokiem. Kilka razy widziałem już ten wystraszony wyraz twarzy, gdy na przykład miała mi do powiedzenia coś naprawdę niewygodnego na temat Szymury. Miało to miejsce niezwykle rzadko, ale się zdarzało. Kiedyś w podobnym przypadku poprosiłem ją, żeby zawsze była szczerą. Argumentowałem wówczas, że jesteśmy zespołem i musimy sobie ufać.

– Nic mi nie powiedziała – bąknęła teraz. – To znaczy nic konkretnego, dlatego miałam ci nie mówić...

Więc po co ten cyrk?

– Wando! Ile czasu się znamy? Wal prosto z mostu.

Przez chwilę milczała, spoglądając za okno, jakby szukała jakiejś odpowiedzi, a potem powiedziała tak cicho, że gdybym stał choć krok dalej, mógłbym nie usłyszeć. Ale dobrze ją słyszałem. Zdecydowanie za dobrze.

– Przestrzegła, żebyśmy nie grzebali w gównie, bo się rozejdzie

i wszędzie zacznie śmierdzieć.

#### 4.

Coś naprawdę śmierdziało. W samochodzie też czułem nutę tego mdłego, drażniącego fetoru.

Mirów na pierwszy rzut oka wydawał się być enklawą zieleni, czystości i beztroskiego wypoczynku. Miał przystań jachtową, plażę miejską, w okolicy nieźle prosperowała sieć kempingów i hoteli. Wokół miasta rozpościerały się lasy, a w centrum wielki park ze starodrzewem, który jakby oplatał klimatyczne knajpki. Czasem, przyglądając się soczystej ciemnozielonej trawie, miałem wrażenie, że ktoś ją na wiosnę maluje. Żadnych zatruwających środowisko kominów, postpeerelowskich zakładów otoczonych betonowym murem. Zbudowana z lekkiej konstrukcji aluminium i szkła fabryka rowerów Szymury została zgrabnie wkomponowana w ten krajobraz.

A jednak czasem coś nieprzyjemnie zalatywało, jakby mieszanką celulozy, siarkowodoru, odpadów. Co ciekawe, ten zapach pojawiał się zawsze wtedy, gdy wiało z zachodu, jakby na przekór czasom. Kiedyś zamierzałem o to nawet popytać ludzi, ale pomyślałem, że wyjdzie jak z tą Wiedźmą i ktoś skomentuje: „Panu mecenasowi znów coś nie pasuje. Śmierdzi mu. Kury może mu śmierdzą, te od Majcherka. Albo świniarnia Lenarciaka czy może stadnina Waryńskiego. Wieś, panie mecenas, to i wsią pachnie. Mirów jest otoczony wsiami. Kiedyś to też była wioska, a niektórzy mówią, że wciąż jest”.

Zasunąłem okna, włączyłem klimatyzację z zamkniętym obiegiem i poczekałem, aż filtry poradzą sobie z fetorem. Prawdziwym lub wyimaginowanym przez mój pokrętny, podatny na sugestie umysł.

Dopiero potem wybrałem numer na komputerze pokładowym połączonym z telefonem.

– Tu Witek, nagraj się – rozległ się sztuczny głos Szymury, który co chwilę zmieniał formułkę na automatycznej sekretarce.

Wcześniej lubił takie bardzo poważne, kazał nagrywać asyistentkom coś

w stylu: „Tu telefon pana prezesa Szymury”. Rok temu dla żartu kupił od jakiegoś internetowego trolla nagranie zmanipulowanego głosu Krystyny Czubówny. Nie do końca na serio ostrzegłem go, że za takie naruszenie praw autorskich można ponieść poważne konsekwencje, nie tylko finansowe.

„A nie można by tej Czubówny wynająć? Zapłacę przecież” – zaproponował całkiem poważnie.

„Wątpię – odparłem wtedy. – Obawiam się, że to zbyt osobista sprawa, by pani Krystyna zgodziła się nagrać dla ciebie powitanie na sekretarce”.

„Pieniądz nie śmierdzi. Zapytaj”.

„Sam zapytaj”. – Podąłem Witoldowi aparat. Tak się składa, że miałem numer telefonu do pani Krystyny. Chyba zorientował się, że za chwilę może zrobić z siebie idiotę, więc szybko się opamiętał.

„Żart przecież”.

„Tu Witek, nagraj się” brzmiało bardzo młodzieżowo i nienaturalnie, ale przynajmniej głos był jego.

Zaraz potem komputer zmienił kolor i na ekranie pojawiła się informacja: „Połączenie przychodzące”. Z niecierpliwością nacisnąłem zieloną słuchawkę, jeszcze zanim wyświetliła się identyfikacja dzwoniącego. Byłem pewien, że to Witold.

– Cześć, już w samochodzie? – Basia prawdopodobnie dostała na swoim aparacie informację o mojej lokalizacji, bo tak mieliśmy ustawione aparaty. Pomyślałem, że współczesny świat, chcąc nam ułatwić życie, zakłada niezłe obroże i kagańce. – Wrócisz wcześniej? Skoczmy coś zjeść na mieście?

Pomyślałem, że dobrze by mi to zrobiło.

– Przepraszam, dziś nie mogę – odparłem z autentycznym smutkiem. – Muszę jeszcze załatwić jedną wizytę u klienta.

– Brzmisz, jakbyś wybierał się na wojnę.

– Prawie. Jadę do szpitala na Rakowie.

– Do czubków? Witold trafił w końcu tam, gdzie jego miejsce? – zażartowała.

– Witold nie jest moim jedynym klientem. I naprawdę wybrałaś nie najlepszy moment na żarty – powiedziałem zdecydowanie za poważnie

i zaraz tego pożałowałem.

– No przecież wiem, tygrysie. Nie obrażaj się jak ostatni dupek.

– Może nim jestem.

– Nie wyszłabym za dupka.

– Minęło trochę lat, ludzie się zmieniają.

– Raczej gorzknieją.

– Ania w domu? – Zmieniłem temat. Jakoś nie byłem w nastroju do przekomarzań. Coś mnie nieprzyjemnie kłuło w skroniach. Gdzieś głęboko w sobie już dawno temu zakopałem przeszłość. Pomimo tego lęk dawał czasem o sobie znać. Bardzo często w trakcie rozmowy z Basią gdzieś z tyłu głowy pojawiała się dziwne przeczucie, jakbym przez te wszystkie lata nieustannie czekał na moment, kiedy przeszłość zażąda zapłaty. Super, mecenasie, udało ci się mnie oszukać, bardzo dobrze, że ci się tak fajnie żyje, ale w końcu musisz uiścić należność. Ciesz się, że tak późno, ale zaboli mocniej.

– Jest na boisku.

– Zabrać ją po drodze?

– Da sobie radę, już ci mówiła. Odnoszę wrażenie, że potrzebuje po prostu trochę luzu. Irytuje ją, że ciągle traktowana jest jak dziecko.

– Wiem. Masz rację – odrzekłem smutno. – Postaram się wrócić jak najszybciej.

– Pa, kocham cię.

– Ja też.

– Co ty też?

– Już raz dziś mówiłem.

– Wyczerpałam limit?

– Cały wieczór przed nami.

– I noc. Nie zapominaj o nocy.

Uruchomiłem silnik, ale przez całą drogę na Raków nie mogłem wyrzucić ze swoich myśli Szymury, Basi oraz tego nieprzyjemnego, świdrującego kłucia w skroniach, choć wiedziałem, że powinienem skupić się na Wiśniku.

W co, do cholery, grał Szymura? I dlaczego Basia od razu wiedziała, że

chodzi o szpital psychiatryczny? Czyżby Witold rozmawiał z nią o Wiśniku? Przyszło mi jednak na myśl, że to nic dziwnego, że Basia wie o Mirowie więcej ode mnie. W końcu tutaj mieszkali jej rodzice. Była poniekąd u siebie. To ja mimo pięciu lat obecności pozostawałem obcy.

Mirów, pozornie miasto, jakich wiele, jednak za tą kotarą miejsce to skrywa wiele osobliwości.

Leży gdzieś w środkowej Polsce, pomiędzy stolicą a Łodzią, a może bardziej w drodze na Poznań czy nawet Gdańsk. Gdyby wykwitło pod Krakowem lub Wrocławiem, też by się nie zmieniło.

Ma niespełna pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców, pięć kościołów, dwa zakony, trzy duże szkoły i parę mniejszych, stadion miejski, prawie jak olimpijski, z trybunami, zespołem orlików i hal, duży park, o którym już wspominałem, z zieloną trawą, zapuszczonym pomnikiem wieszczą i drugim – oficerskim bez głowy. Przedstawia podobno jakiegoś bojownika, ale nikt nie jest pewien, z którego przegranego powstania.

Przez Mirów przepływa rzeka, na której utworzono zalew. Jest marina z żaglówkami i motorówkami, a latem pojawiają się turyści.

Basię ominęły te wszystkie atrakcje, bo kiedy jej rodzice postanowili się tutaj osiedlić, nie przeniosła się razem z nimi. Uciekła najpierw do babci do Marek, a następnie do Warszawy na studia. W Mirowie bywała niezmiernie rzadko aż do tych dni pięć lat temu, gdy zmarła jej mama, a niedługo potem ojciec. Z obojgiem nie specjalnie się dogadywała. Nie zaprosiła ich nawet na nasz ślub.

„Nie pytaj” – poprosiła, gdy delikatnie starałem się rozwikłać tę rodzinną dramę, przyjmując rolę mediatora. „Nie pytaj” brzmiało wystarczająco poważnie, bym zastosował się do prośby albo raczej polecenia. Też miałem swoje tajemnice. Każdy, do cholery, ma do nich prawo. I nikt nie może go zmuszać do zmiany nastawienia.

A potem temat nagle wrócił, gdy Basia weszła pewnego dnia do naszego warszawskiego mieszkania i powiedziała chłodnym, pozbawionym emocjonalnego ładunku głosem: „Zmarła moja mama, muszę jechać na pogrzeb”.

Żadnych łez, przytulania, nic. Sucha informacja, niemal nekrolog. Matka nie żyje, jadę na pogrzeb. A teraz pozmywam.

Wiem, że to brzmi przerażająco sucho, ale, proszę, nie wyciągajcie pochopnych wniosków. Moja żona nie była pozbawionym serca robotem. Miała swoje powody, by się tak zachować.

Oczywiście dziś wiem już wszystko o Basi, jej ojcu i matce, ich relacjach, ale chcę wam opowiedzieć tę historię przez pryzmat własnych doświadczeń i wiedzy na dzień, w którym dzieje się akcja, więc wybaczcie tę tajemniczość.

Tak czy inaczej, w dniu pogrzebu nie miałem szczegółowej wiedzy o trudnościach w relacjach mojej żony z jej rodzicami. Hasło „nie pytaj” zwyczajnie działało. I choć sam o własnych demonach chciałem Basi opowiadać bez końca, bo mi to pomagało, uznawałem jednocześnie, że moja wylewność nie może oznaczać prawa do oczekiwania od niej podobnego zachowania. Być może – tak wówczas myślałem – roztrząsanie problemów i traumatycznych wspomnień było ponad jej siły.

Nie musiałem być jednak detektywem, by zdawać sobie sprawę z faktu, że z ojcem i matką mojej żony coś jest nie tak (ale czy z moimi rodzicami było lepiej?). Przyjąłem po prostu do wiadomości, że Basia nie utrzymuje z nimi kontaktu i nie starałem się ingerować w tę sferę jej życia. Gdyby nie śmierć jej matki, pewnie tak by pozostało.

Ojciec okazał się smutnym, małomównym, zimnym człowiekiem. Był niski, przygaszony, ciągle patrzył w ziemię, unikał mojego spojrzenia i jakichkolwiek ludzkich gestów. Tłumił emocje, sprawiając wrażenie, jakby dla niego świat wokół nie istniał.

Na pogrzebie nie padli sobie z moją żoną w objęcia, nawet nie uścisnęli sobie dłoni. Moją rękę stary ujął tak, jakby dotykał czegoś bardzo nieprzyjemnego. Miał miękki uścisk, ledwie wyczuwalny. Nie płakał, nie wyrażał żadnych emocji. Była jesień, dość zimno, więc z ust buchały mu obłoczki pary i to mi się potem przyśniło, jakby los zdecydował, że ktoś tu musi, do diabła, cierpieć. W końcu jesteśmy na pogrzebie.

Po ceremonii pojechaliśmy do domu, w którym dziś mieszkamy. Już wtedy byłem tym miejscem zachwycony. Właśnie o czymś takim marzyłem – pełna przestrzeni, światła, staroci, klimatu willa na uboczu, nad jeziorem, ukryta w starodrzewiu i zapuszczonym tajemniczym ogrodzie.

Ojciec prawie się nie odzywał. Po wejściu rzucił coś do Basi, że zna tu

każdy kąt, więc niech się rozgości, a sam zniknął w swoim gabinecie. Do dziś pamiętam, jak usłyszałem zgrzyt przekręcanego dwukrotnie klucza w zamku. Musiałem wyglądać w tej chwili jak Harker podczas pierwszej nocy u gościnnego hrabiego Drakuli, bo Basia ponownie poprosiła: „Nie pytaj”.

Chyba zdawała sobie sprawę z tego, jak mnie to wszystko dręczy, ale nie tłumaczyła.

Potem pokazała mi dom, dość sucho informując, że tu jest sypialnia, tam pokój gościnny, a pomiędzy nimi graciarnia, gdzie ojciec trzymał gadżety z podróży, bo dawniej, jeszcze za komuny, sporo jeździł po świecie, zwożąc niezliczone rzeźby, posążki, obrazki, dzbanki, łuki, miski, noże, bransoletki, kolczyki, szpikulce, sztucce i inne przedziwne przedmioty.

Brakowało mi tu bardzo Ani i strasznie mnie drażniło, że Basia uparła się, by nie brać jej na pogrzeb babci.

Ojciec zmarł kilkanaście dni później. Chyba coś połknął, choć to tylko przypuszczenie, bo nie zrobiono nawet sekcji. Zresztą nikt w to nie wnikał i nikt tego nie oczekiwał. Uznano za zupełnie naturalne, że po śmierci żony w końcu jesieni życia ma prawo udać się w tym samym kierunku.

Tym razem na pogrzeb pojechaliśmy z Anią. W ciągu kilku następnych tygodni załatwiliśmy formalności, pozamykaliśmy warszawskie sprawy i przeprowadziliśmy się do nowego domu.

Basia postawiła tylko jeden warunek: „Przemaalujemy i przemeblujemy wszystko”.

Nie do końca dotrzymałem słowa, bo nie pozwoliłem wyrzucić zawartości graciarni. Ostatecznie się z tym pogodziła, a dzięki temu mój gabinet wygląda tak, jakbym sam zwiedził już cały świat. Basia zaś powoli zaczęła się przyzwyczajać do starego/nowego miejsca.

Tak rozpoczęliśmy kolejny etap życia.

Nasze pięć lat w Mirowie. Pięć lat, w ciągu których się zaaklimatyzowałem, by w końcu poznać największy mit tego miejsca. Niezwykłą historię Jania Wiśnika.



Blady, chudy facet w czerwono-czarnym dresie zupełnie nie wyglądał na szaleńca. Miał krótkie, jasne, kręcone włosy i okrągłą, niewinną buzię cherubinka z obrazu Rafaela Santiago. Przypominał mi trochę norweskiego piłkarza, którego nazywano Baby-face killer – morderca o twarzy dziecka. Wyglądał dużo młodziej niż na czterdzieści sześć lat. Młodziej i jakoś tak... zdrowo, co zważywszy na miejsce, wydało mi się nienaturalne i podejrzanе. Zwróciłem uwagę na jego ręce. Mimo że chude jak całe ciało sprawiały wrażenie wyjątkowo silnych i nieproporcjonalnie długich. Jak u orangutana.

Siedział na krzeselku i czekał na mnie.

– Tylko spokojnie, Janio – powiedział pielęgniarz, a następnie dał mi ostatnią szansę na zmianę zdania: – Na pewno nie chce pan, żebym został?

Cóż, jakoś nie wyobraziłem sobie, że małpie kończyny Wiśnika zaraz po wyjściu opiekuna złapią mnie gwałtownie, zaciskając się na szyi z mocą szaleńca...

– Nie, dziękuję, poradzę sobie.

Uśmiechnął się szeroko i wzruszył ramionami, co miało znaczyć: „Jak pan mecenas sobie życzy, tylko żeby potem nie było, że nie pytałem”. Poczekalem, aż zamknie drzwi po drugiej stronie, i się przedstawiłem:

– Tomasz Mauer. Jestem pana adwokatem. – Chciałem podać Wiśnikowi dłoń, ale coś mnie powstrzymało. Bałem się, że zlekceważy gest, zrobi się niezręcznie i od razu powstanie między nami mur. Ale czy już go tam nie było? – Jeśli oczywiście zechce mi pan udzielić pełnomocnictwa.

Janio Wiśnik spojrział nieco beznamiętnie w moje oczy. Przez chwilę mierzył mnie od stóp do głów. Czułem się trochę nieswojo, kiedy milcząc, z pewnym zaciekawieniem wpatrywał się w moje świeżo wypastowane oxfordy, nad którymi falowały dopieszczone kanty spodni od garnituru. Po tylu latach odosobnienia wizyta adwokata była pewnie dla niego ciekawostką w marazmie codzienności.

Nie, Wiśnik nie był jakimś desperatem czy kimś w rodzaju Hannibala Lectera. Nie panował nad sytuacją, nie prowadził żadnej gry. Odniosłem wrażenie, że jest obojętny, pogodzony, rozżalony. Smutny – chyba tym jednym słowem najlepiej bym go scharakteryzował. Człowiek pozbawiony radości.

A ja? Kim w takim razie byłem? Wypacykowanym błaznem odgrywającym heroiczną rolę zbawcy?

Zawstydził mnie swoją pokorą.

– Chciałbym doprowadzić do ponownych badań i...

– Kto pana przysłał? – przerwał mi.

W zasadzie powinienem być przygotowany na takie pytanie, a jednak zachowałem się, jak złapany na gorącym uczynku sztabak. Może dlatego, że spodziewałem się prymitywnego, nawet nieco upośledzonego, łatwowiernego typka. Janio mnie zaskoczył. Aż poczułem rumieniec, który mi się wylał na twarzy.

Jawna oznaka, że zamierzam kłamać.

– Fundacja Nowoczesnej Demokracji – odparłem. W gardle mi zaschło i pożałowałem, że nie wniosłem tutaj kubka z wodą.

– Fundacja – powtórzył Janio, a ja nie byłem pewien, czy w jego głosie zadźwięczała drwina czy pogarda. To coś, co zastąpiło smutek, było wyniosłe i zwiastowało kłopoty. – Więc teraz ma też fundację...

Przełknąłem głośno ślinę. Bardzo głośno. Udałem, że nie słyszę podtekstu, którego nie chciałem słyszeć.

– Staramy się reagować, jeśli dochodzi do nadużyć sądowych. Wygląda na to, że w pana przypadku owo nadużycie jest dość jaskrawe – wyrecytowałem.

W zasadzie to nawet nie kłamałem. Szymura był twórcą i głównym darczyńcą wspomnianej fundacji i podobne akcje jak ta z Wiśnikiem finansował za jej pośrednictwem. Instytucja zresztą służyła mu do wielu rzeczy dobrych i kilku... dyskusyjnych. Oczywiście, jak przystało na porządnego adwokata, sygnalizowałem, że mi to nie odpowiada. Czasami nawet wyrażałem werbalnie sprzeciw, ale żeby dać temu wyraz na piśmie, aż tak odważny nie byłem.

Zresztą, prawie każdy mój biznesowy klient miał fundację zarejestrowaną u tego samego notariusza, co spółki „krzaki”, działalności gospodarcze prowadzone na „słupy” oraz podmioty cypryjskie, andorskie, panamskie i inne, które umożliwiają tak zwaną optymalizację podatkową, czyli zwykle oszustwa. Dzięki nim oddawali do wspólnego społecznego garnia mniej danin niż ci, którzy zarabiają najniższą krajową. Cóż, prawo

wyznacza granice. Wszystko, co nie jest zabronione, jest dozwolone. To żelazna zasada demokracji liberalnej. Bezlitośnie nadużywana przez takich jak... Szymura. I tysiące innych.

„Taki kraj” – przypomniało mi się stwierdzenie Wandy.

Fundacje dobrze przechowywały jeden procent, czasem komuś rzeczywiście pomogły, a w razie potrzeby, medialnych awantur czy nalotów służb specjalnych podnosiły krzyk, że zacnym dobroczyńcom dzieje się oczywista krzywda. Media kreowały fundacje na twory bez skazy, niemal nietykalne.

– To on, prawda?

Nie byłem pewien, czy to zdanie padło, więc uniosłem do góry brwi, marszcząc czoło. Tak właśnie wygląda zdziwiony Tomasz Mauer.

– Słucham? – bąknąłem.

– To on tu pana przysłał, tak?

– Kto taki?

„Sam diabeł” – zasyczał w mojej głowie głos Jania Wiśnika.

– Dobrze pan wie, panie mecenasie. Skończmy z tymi gierkami.

– Ale...

– Darujmy sobie ten teatr – przerwał mi wyraźnie zirytowany. – Czego tym razem chce?

– Panie...

– Niech mu pan przekaże, że zrozumiałem. Już jestem grzeczny. Pojąłem lekcję. – Wstał gwałtownie, a ja przez ułamek sekundy pomyślałem, że fakt odmowy asysty pielęgniarki był jednak moim błędem. Na szczęście podszedł do drzwi i walnął w nie kilka razy pięścią. Zadudniło, jakby była wykonana z żelaza, a w mojej obolałej głowie natychmiast pojawił się obrazek chudego, ale silnego mężczyzny, który zamierza się na mnie siekierą. Długie ramiona naprężyły się, grube żyły wyszły ze skóry, palce zaciśnięte na rękojeści zbieleły...

Łup. Łup. Łup.

– No dalej, Pietia, wypuść mnie! Chcę wyjść, Pietia, no już! – krzyknął Wiśnik.

Siedziałem jak kretyn. Bez ruchu, bezradny jak słup. Mało tego, serce mi

waliło, krew pulsowała w skroniach, a krtań ledwie nadażała z regulacją wdechów i wydechów.

Chyba się modliłem, żeby Pietia nie był zbyt daleko...

Janio przestał walić w drzwi, spojrział na mnie i wtedy zobaczyłem to w jego oczach. Smutek i drwina zmieniły się w coś obłąkanego, pewnie podobnego do tego, co opanowało go dziesięć lat temu i kazało chwycić za siekiere.

Jezus Maria, niech on już zostanie w tym wariatkowie, bo naprawdę kogoś zabije. Kto wie, może jeszcze dziś. Chwilę później wydało mi się to nawet zabawne i głupie, ale w tamtym momencie byłem niemal pewien, że już po mnie, że zaraz Janio Wiśnik mnie tu, na widzeniu w psychiatryku, uśmierci. Chwyci krzeselko albo skończy ze mną gołymi rękami.

– Po coś tu przylazł?

Oddychaj brzuchem, uspokój się, opanuj, oddychaj – instruował mózg jak na szkoleniu w radiu, na którym uczono mnie radzenia sobie ze stresem podczas występów medialnych.

– Chcę pomóc. – Napiąłem mięśnie tyłka. Dobry trick, który pomaga opanować nerwy. Serce chyba odrobinę zwolniło. – Nie mogę niczego zagwarantować, ale są duże szanse, żeby sąd ponownie przeanalizował pana sprawę.

– Po co?

W tym momencie oddychałem już całkowicie normalnie. Z gorąca zrobiło mi się nawet zimno. Poczułem dreszcz na szyi i brzuchu.

– Spędził pan tu dziesięć lat – zacząłem ostrożnie, usiłując opanować głos, który nadal nieco drżał. – Jeśli wszystko dobrze pójdzie, mógłby pan wkrótce wyjść.

„Przy czym wcale nie jestem pewien, czy tego chcę, a w zasadzie to już wiem, że nie chcę...”

– Jak to?

– Chciałby pan wyjść czy nie? – Zabrzmiało nawet odważnie.

– Mogę wyjść? – zapytał, ale jakby siebie. Uśmiechnął się pod nosem, lekko, a potem szerzej. Prychnął i roześmiał się już głośno. – Mogę wyjść. Po co? Po co mam wyjść?

Nie bardzo wiedziałem, co mam odpowiedzieć.

– Ciekawe, po co mu jestem potrzebny. Niech go pan zapyta, po co mu jestem potrzebny.

– Panie Wiśnik – zacząłem i wtedy drzwi się otworzyły.

Pielęgniarz wyglądał na lekko zdenerwowanego i zdyszanego, jakby biegł tu z Mirowa.

– W porządku? – zapytał. – Kto walił w drzwi?

Żaden z nas nie odpowiedział. Mierzyliśmy się wzrokiem. Janio podszedł wreszcie do opiekuna, ale przed wyjściem powtórzył:

– Niech pan zapyta, po co mu jestem potrzebny.

## 6.

– Tato, podoba ci się bycie prawnikiem?

Ania z podkurczonymi nogami pólleżała na kanapie w salonie, jednocześnie czytając jakąś opasłą książkę i prowadząc korespondencję z grupą przyjaciół. Zapis pojawiał się i znikał na wyświetlaczu z zawrotną prędkością. Mogłem jej tylko pozazdrościć podzielności uwagi. Wymachiwała przy tym głową w rytm jakiegoś hip-hopu dudniącego w słuchawkach tak głośno, że niemal czułem uderzenia rytmu, siedząc trzy metry dalej, przy stole.

Dobre pytanie. Od jakiegoś czasu miałem problem, by na nie odpowiedzieć. W tej chwili jednak dręczyło mnie co innego. Po co Szymurze Janio Wiśnik i dlaczego mnie w to wplątał?

– Smacznego, panie mecenasie. – Basia podała mi odgrzaną pieczeń, lekko za twardą i niezbyt dobrze przyprawioną, jakby chciała się na mnie zemścić za to, że znów jemy kolację w domu, choć obiecałem, że w poniedziałki...

– Oczywiście, że mi się podoba – rzuciłem w kierunku kanapy. Starałem się bardzo, by mój głos wypadł naturalnie i lekko żartobliwie, bo przecież taką naturę miało pytanie Ani.

Wzruszyła ramionami.

– No bo tu piszą o takich jak ty, to znaczy o prawnikach, dość nieciekawie.

„Takich jak ty” zabrzmiało bardzo... nieciekawie, nawet w tej żartobliwej konwencji.

– Czytasz książkę o prawnikach?

– Niby tak.

– Co oni takiego robią?

Uśmiechnęła się szeroko.

– Ciągłe ćpają, piją i pie... no wiesz. Strasznie smutni ludzie.

Poczułem, jakbym dostał tą siekierą Jania Wiśnika przez łeb. Owszem, staraliśmy się rozmawiać z córką na wszystkie tematy dość otwarcie, bez tabu i nie unikając trudnych słów czy wulgaryzmów, ale jakoś nie byłem przygotowany na tę rozmowę.

Szybko pomiędzy nami stanęła Basia. Nie wiem, czy chciała pospieszyć z ratunkiem któremuś z nas, a może obojgu, ale oczywiście swoje karcące spojrzenie skupiła na mnie.

– Będziesz jeszcze jadł? – zapytała, a ja usłyszałem:

„Naprawdę chcesz rozmawiać z córką w taki sposób?”.

– Bardzo smaczne...

„Niby jak?” – odpowiedziałem równie bezgłośnie.

– To dam ci jeszcze. – Basia położyła na moim talerzu kolejną, jeszcze większą porcję nieprzyprawionej, twardej pieczeni. Wiedziałem, że to zemsta. Nie mogła nie pamiętać tych moich wyznań, jak to na szkolnej stołówce nienawidziłem „sztuki mięsa” w sosie myśliwskim czy chrzanowym, bez znaczenia, bo „sztuka” zawsze była okropna. Jak znam życie, same zjadły wcześniej coś innego, znacznie lepszego. – Smacznego.

„Udław się, a w każdym razie zamilknij”.

– Jaki tytuł ma ta książka?

– Wilk z Wall Street.

– To nie jest o prawnikach, tylko o maklerach – zaprotestowałem.

– Jest jakaś różnica? – Ania posłała mi prowokacyjny uśmiech.

Tak, chciała mnie sprowokować. Tylko po co? Żebym zaprzeczył sam

sobie i powiedział, że pewne książki i filmy nie są dla niej? A może, żebym pokłócił się o to z Basią?

Kto wie, czy Ania nie słyszała, jak kilka dni temu rozmawialiśmy o naszych znajomych i opowiadałem żonie historię wyszczekanej pociechy krakowskiego prawnika. Rodzice dali temu dziecku pełną wolność, odkąd skończyło jedenaście lat. Prowadzili z nim dorosłe rozmowy, pozwolili oglądać filmy nieodpowiednie dla nieletnich i zanim ukończyło podstawówkę, musieli kolejne dyskusje kontynuować na oddziale zamkniętym w szpitalu dla osób z ciężkimi przypadkami depresji.

Jasne, to nie musiał być powód. Pewnie nie był. A nawet jeśli, nie musi to wcale oznaczać, że u nas taki „tryb wychowawczy” się nie sprawdzi.

„Poza tym Ania nie jest taka jak inne dzieci. Jest wyjątkowa, zapomniałeś?” – zakończyła wtedy Basia.

– Prawnicy są jeszcze gorsi – zazartowałem, a zaraz potem przypomniałem sobie o jej „wyjątkowości”.

Przypomniałem? Nie, nigdy tak naprawdę nie zapominałem tych godzin nad inkubatorem, gdy lekarze nie dawali większych szans na jej przeżycie, choć oficjalnie mówili: „wszystko będzie dobrze”. Do dziś ich echa pojawiały się w snach i... nie tylko. Także w wizjach na jawie.

Ania urodziła się w szóstym miesiącu ciąży, z wieloma wadami, niedoborami i problemami, które przewyciężaliśmy przez następne lata. Dziś nie różniła się niczym od rówieśniczek. No może poza tym, że często krwawiła z nosa i miała bóle głowy, których nikt nie potrafił wyjaśnić.

Tylko i aż tyle.

– Też tak myślę – odparła poważnie Ania, zupełnie nieświadoma moich wspomnień i ocen. – Jest tutaj jeden taki prawnik, który naprawdę wszystkich tych maklerów i innych finansistów przebija.

Poczułem dreszcz, jakby mówiła o mnie, a nie o postaci z książki. Boże, nie wiesz nawet, jak blisko jesteś prawdy, dziewczyno.

– Ale ty przecież w ogóle nie pijesz, nie palisz, no... wiesz, w ogóle nie robisz nic na pe – dodała.

Basia aż prychnęła, co rozładowało napięcie i spowodowało, że nieprzyjemne wspomnienia uleciały.

Ania na szczęście nie ciągnęła tego tematu.

– Głowa mnie rozboleła, położę się.

Żadne z nas nie zareagowało. Basia poczekała, aż córka zniknie na antresoli, po czym roześmiała się szczerze, a chwilę później wylądowała na moich kolanach.

– Nic na pe! To jej się udało.

– Jeszcze chwila, a wylądujesz na stole – warknąłem, obejmując ją mocno i ściskając wystarczająco znacząco, by wiedziała, że jestem o krok od spełnienia groźby-obietnicy. Choć tak naprawdę zupełnie nie byłem w nastroju. Teraz poza Janiem Wiśnikiem w mojej głowie rozgościły się moje własne stare, dobrze znane demony.

– I co mi zrobisz... Wilku z Wall Street?

– Nie prowokuj, kobieto!

A jednak nie przestała. Jej dłoń zagłębiła się w moje włosy, powoli, z uczuciem i wprawą przeczesala je, a potem poczułem ją na szyi, za uchem, niżej...

– Jeszcze chwila, a...

– Co zrobisz? – powtórzyła.

– Lepiej przestań.

– Ona już nie wyjdzie od siebie.

– Słucha – szukałem ratunku.

– Przeszkadza ci to?

– Basiu!

Przestała. Zeszła z moich kolan i zabrała się za sprzątanie ze stołu, a ja zastanawiałem się, kiedy ostatni raz spontanicznie się kochaliśmy, tak kompletnie żywiołowo, na stole, przy zlewie, pod drzewem, gdziekolwiek, byle nie w łóżku i... doszedłem do wniosku, że to było całkiem niedawno.

Nie, nie i jeszcze raz nie!

Nie dam sobie wmówić, że jestem już starym prykiem, który nie potrafi cieszyć się życiem. Nie dam się Janiowi Wiśnikowi i demonom! To, że już nie jestem żadnym Wilkiem, nie znaczy, że nie potrafię robić rzeczy na pe.

– Może jednak skoczymy na kolację?

Basia stanęła w pół kroku.



– Przecież przed chwilą jadłeś?

– Wciąż jestem głodny. – Zagryzłem znacząco wargę. – Mam ochotę na deser. Najlepiej jakiś... pikantny.

– Jak bardzo?

– Oстро, oстро – zaszczebotałem, naśladując swojego ulubionego Chińczyka. – Bedzie pani zadowolona.

Rosa zaszczekała w proteście, jakby rozumiała ludzką mowę i instynkty lepiej, niż sądziłem. Dziś przypadał dzień na dłuższy spacer. Staralem się tego pilnować, bo jak beagle się nie rusza, robi się gnuśny i obły. „Zapomniałeś draniu?” – pytał chwytający za serce psi wzrok.

Podszedłem ją udobruchać i wtedy zobaczyłem za oknem jakieś mignięcie, błysk, jakby ktoś robił nam zdjęcia z zewnątrz. Żywiotowo ruszyłem do wyjścia na taras, przycisnąłem twarz do szyby i próbowałem przeniknąć wzrokiem ciemności.

Niczego nie dostrzegłem, za to chyba usłyszałem.

Coś jakby warkot silnika odjeżdżającego pośpiesznie auta.

## 7.

Wtorek. Potężny, zwalisty mężczyzna o specyficznej urodzie południowego kacyka siedział w moim gabinecie i zerkał znacząco na zegarek wskazujący dziesiątą pięć.

Szymura nie był pedantem, nie miał też hopla na punkcie terminowości, ale wykorzystywał każdą okazję, by inni czuli się w jakiś sposób „winni” temu, że są od niego gorsi – mniej uporządkowani, punktualni, zaradni, wspaniałomyślni, męscy i tak dalej. Była to okropna cecha, ale zdążyłem się przyzwyczaić.

– Byliśmy umówieni? – zapytałem głosem, który celowo zabrzmiał, jakbym mówił: „Proszę wyjść z mojego gabinetu i poczekać w poczekalni”.

Drzwi do biura moich trzech aplikantów też stały otworem. Każdy siedział przy swoim biurku i zapamiętałe wertował akta. „Bo uwierzę w wasz zapach” – miałem na końcu języka, ale nic nie powiedziałem. W tym

fachu liczy się nie tyle pracowitość co dobra gadka. Ludzie nie rozumieją tego prawniczego bełkotu. To konkurs piękności zgrabnych tyrad, teatralności. Adwokaci wymyślają niemal epepeje na swój temat. Najśmieszniejsze jest to, że chyba sami w nie wierzą.

– Powiniennem ci odpalać dodatek za motywowanie mojego zespołu – mruknąłem.

Szymura uśmiechnął się od ucha do ucha. Miał bardzo zdrowe zęby i chyba wszystkie własne. Nie musiał płacić piętnastu tysięcy, żeby bezwstydnie je szczyrzyć.

– Za to cię lubię, Tomaszu. – Wstał, uściśnął moją dłoń, a potem spontanicznie mnie objął, jakbyśmy naprawdę byli najlepszymi przyjaciółmi. W sumie może i byliśmy? Bo kogo innego miałem tutaj, w Mirowie? Przez te pięć lat zdążyłem wygasić większość warszawskich znajomości. Toruńskie odeszły jeszcze wcześniej. Jeden Jeliński został, ale on był daleko, w Gdańsku. Poza tym pije wciąż więcej i więcej, na dodatek to mu nie szkodzi. W Mirowie wszystkich, z którymi utrzymywaliśmy teraz kontakty towarzyskie, poznałem przez Szymurę – dyrektora domu kultury, lekarzy, nauczycieli, księdza, nawet prokuratora Bańkę.

Poczułem stalowe mięśnie Szymury. Miał siłę tura, ale przy tym dawkował ją z ogromną precyzją. Wkładał w każdą czynność dokładnie tyle energii, ile było trzeba, by wywołać oczekiwany efekt. Gdyby chciał sprawić mi ból, zrobiłby to. Nie chciał.

– No wypłuj ten prawniczy kij. Coś się zmieniło od soboty? Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Lubisz mnie, prawda?

Jak można nie lubić najlepszego klienta, który nigdy nie zalega z fakturami i nie negocjuje stawek, w sobotę daje ci lekcję tenisa czy strzelania, a wieczorem traktuje przy wszystkich ze szczególnym szacunkiem, pokazując w tłumie, kto z jego świty jest najważniejszy? Jak nie lubić najpotężniejszej osoby w mieście, która w zasadzie bezinteresownie dzieli się swoją władzą i wpływami? Czy można odrzucić przyjaźń człowieka bliskiego ideału, przynajmniej jeśli wziąć pod uwagę standardy takiego miasta jak Mirów?

– Pod warunkiem, że nie czekasz na mnie we wtorek o dziesiątej – mruknąłem.

Dobrze wiedział, że nie lubię tych jego wtorków. Upatrzył je sobie na załatwianie zaległych spraw. Odwiedzał wtedy wszystkich w Mirowie, z którymi łączyły go poważniejsze interesy, i przypominał im o rzeczach nieprzyjemnych: długach, niespełnionych obietnicach, zaległych realizacjach, reklamował źle wykonane usługi, wadliwe produkty, nieszczerze uśmiechy, rozliczał z zasłyszanych plotek.

Podjeżdżałem, że od ósmej był już u kilku kontrahentów, a mnie zostawiał sobie trochę na drugie śniadanie, posiłek przed atakiem na główne cele. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, żebym to ja był jednym z nich, nawet jeśli w naszych sprawach coś rzeczywiście nie szło, zgrzytało, gdy przegrywaliśmy, co przecież się zdarzało, choć rzadko, a Szymura nie lubił przegrywać, o nie.

Za to mnie lubił. Ja go też.

– Zrobiłeś ten Drumex i Viaskon?

Dlaczego miałem wrażenie, że pyta tylko na odczepne, a przyszedł tu w zupełnie innym celu? Przyszedł dla Jania Wiśnika i dobrze, bo ja też chciałem z nim o tym jak najszybciej porozmawiać.

– Kawa?

– Z przyjemnością. – Uśmiechnął się. – Wszystkim klientom przygotowujesz napoje osobiście?

– Nie. Wybranim – skłamałem. – Tylko tym, którym trzeba coś podsypać, żeby byli bardziej ulegli.

Żart. Zaryzykowałem trochę, bo Szymura nie lubił żartów, ale ten wyjątkowo przypadł mu chyba do gustu. Chwilę potem zamknąłem drzwi i przez godzinę rozmawialiśmy o toczących się sporach i aktualnych sprawach gospodarczych. Witek poza fabryką rowerów miał udziały w trzydziestu firmach, w tym budowlanych i spożywczych, było więc o czym gadać. Lubił ponarzekać na koniunkturę, braki kadrowe i rozdawnictwo świadczeń. Nieźle się przy tym rozgrzewał. Specjalnie odłożyłem pytanie o Wiśnika na deser. Ciekawiło mnie, czy sam zacznie temat.

Skubaniec był twardym zawodnikiem. Przegrywałem takie pojedynki z kretesem i czułem, że teraz też przegram. Po godzinie rozmów o śrubkach, dotacjach, certyfikatach i Vacie weszliśmy na przetargi w Anglii oraz obligacje firmy z kapitałem szwajcarskim, a potem Szymura

ponarzekał jeszcze, ile to musi płacić na tych wszystkich wypacykowanych radców, manipulatorów, lobbystów i innych cwaniaków z Gdańska czy Warszawy. W końcu wstał i rzucił:

– Dobra, na mnie już czas.

Był już przy drzwiach, gdy pogodziłem się ostatecznie z porażką i zapytałem:

– Po co ci ten Janio Wiśnik?

## 8.

Oczywiście nawet nie udawał zaskoczonego. Szymury się nie zaskakiwało. Rzucił coś w stylu:

– Zapomniałbym...

Następnie kazał mi się ubrać i zabrał na przejażdżkę swoim mercedesem. Bardzo lubił samochody tej marki i jeździł nimi nawet wówczas, gdy było go już stać na droższe auta. Pamiętam, jak kiedyś byłem świadkiem jego negocjacji w sprawie wymiany floty. Przedstawiciel handlowy namawiał go do kupna maybacha, oferując potężny rabat. Szymurę nie przekonał nawet fakt, iż to rzekomo ten sam koncern.

– Mercedes to mercedes. Po co mi jakiś maybach? – odparł, a handlowiec na szczęście taktownie zamilkł, bo jeszcze słowo i wyleciałby przez okno.

Witek uwielbiał też jeździć niby bez celu po mieście. Jechał wolno, przepisowo, jak król wizytujący włości. Za każdym razem starał się opowiedzieć mi o Mirowie coś nowego, podzielić się jakąś dygresją o ludziach lub miejscach, jakby udowadniając, że i tu wciąż jest coś ciekawego do odkrywania.

– Pamiętasz jak opowiadałem ci o kinie? – zapytał, parkując koło placu budowy w samym centrum.

Spojrzałem na krzywe ogrodzenie i wyrastający za nim potężny budynek nowego centrum multimedialnego Szymura Cinema, które za parę miesięcy miało się zmienić w galerię handlową z biurowcem i nowoczesnym multipleksem. Większość ludzi pukało się w głowę, że

Szymura zwariował, a taka inwestycja nigdy się nie zwróci, lecz Witek się uparł i szedł do przodu niemal po trupach. Dziś można już było powiedzieć, że znów miał rację. Dostał, a w zasadzie załatwił dotację unijną na kino i bibliotekę, a na dodatek jeszcze zanim burmistrz symbolicznie wykopał łopatą pierwszą grudę ziemi na placu budowy, część biurowa została niemal w całości wynajęta przez lokalne firmy i instytucje, a w galerii zarezerwowano prawie wszystkie powierzchnie sklepowe. Mirów miał zyskać nowe centrum życia towarzyskiego i społecznego. Ukochane miasto Szymury rosło w oczach.

– Pamiętasz? – powtórzył.

Mam dobrą pamięć. Potrafię sypać paragrafami, sygnaturami orzeczeń, rzymskimi paremiami i cyframi. W zasadzie nie zdarza mi się mylić ludzi. Jeśli z kimś zamienię słowo, jestem w stanie go rozpoznać po wielu latach. Rozmowę o kinie też pamiętałem i teraz, w tej jednej chwili wszystko zrozumiałem...

Pięć lat temu, niedługo po tym, jak się poznaliśmy, Witek Szymura wziął mnie na przejażdżkę jak dziś i pokazał właśnie to miejsce, tylko jeszcze bez placu budowy. Stał tu wówczas zapuszczony budynek kina Światowid, tyle że z kina została tylko nazwa, a w środku i na całej posesji handlarze rozstawili stragany z warzywami, serami, pieczywem, ciastkami, ciuchami, dewocjonaliami.

„Zobacz, jaki zrobili śmietnik” – powiedział zagniewany.

Wyciągnął mnie z samochodu na spacer. Od jednego z handlarzy kupił ser i kielbasę, zapłacił, zostawiając duży napiwek.

„Jak byłem takim szkrabem – pokazał mniej więcej na pas – to kino było jedyną rozrywką w mieście. Przychodziliśmy tu, ja i jeden mój kumpel, jako pierwsi stawaliśmy w kolejce, godzinę przed otwarciem, żeby nie zabrakło biletów. A potem siedzieliśmy seans po seansie, oglądając jeden i ten sam film dwa, trzy razy pod rząd. »Godzilla«, »Wejście smoka«, »Gamera Superpotwór«. Takie produkcje. A z czasem i ambitniejsze, bo Janio był kinoman z serca prawdziwy. Ciągnął mnie więc na »Siódmą pieczęć« i na »Personę«, »Czas apokalipsy« oraz »Piękność dnia«, bo w kinie działał Dyskusyjny Klub Filmowy, którego szef, chłopak z układami u komuchów, sprowadzał też stare dzieła, czasem oficjalnie zakazane. A jak wyświetlali »Dzieci Sancheza«, które były tylko dla dorosłych, to Janio klęczał przed

kasą, żeby pani Hania pozwoliła nam wejść, bo on przecież nie chciał filmów oglądać dla cycków, tylko dla sztuki.

„Pozwoliła?” – zapytałem.

„A skąd. Pani Hania to była babka nie do przejścia. Jak dla dorosłych, to dla dorosłych. Dowody pokazać i koniec. Ona psuć dzieci nie będzie. Wtedy to było małe miasto, mniejsze niż teraz. Jakies dwadzieścia tysięcy. Dopiero za mnie tak się rozrosło”.

Za niego!

Szymura klepnął mnie w ramię i dokończył.

„Ale Janio miał sposób na taką panią Hanię. Gdy już ostatecznie się nie godziła, szliśmy o tam, za winkiel, i wchodziliśmy od tyłu, a potem po cichu za ekran. Oglądało się to wtedy odwrotnie, jakby lewo na prawo. Napisów się nie dało czytać, ale oglądać już tak. Leżeliśmy cicho za ekranem z bandą dzieciaków seans po seansie, a jak nam się nudziło, to obracaliśmy się do góry nogami. Z czasem zaczęliśmy też kopcić fajeczki, a ludzie na widowni zastanawiali się, skąd tak śmierdzi papierochami, bo to były już czasy, że się w kinie nie paliło, choć wszędzie indziej było wolno”.

Kopnął butem w budynek tak, że odpadła z niego warstwa tynku.

„A teraz niszczeje. Ale wiesz co? Nie pozwolę mu tak zdechnąć. Nie pozwolę, by ludzie tylko żarli i się pierdolili. Kultura też musi być”.

Wtedy mi nie powiedział, co dokładnie zamierza, ale jakiś czas później poprosił o pomoc w obsłudze prawnej wykupu budynku i organizacji multiplexu Szymura Cinema.

Dziś myślę, że wszystko to sobie doskonale zaplanował. Gdyby przyszedł do mnie z tym projektem do kancelarii, pewnie bym się nie zgodził, bo przeprowadzając się do Mirowa, obiecywałem sobie, że nie będę wchodził w żadne lokalne układy i zajmę się tylko prostymi sprawami. Ale kiedy opowiedział mi wcześniej, jakie to dla niego ważne, jak bardzo istotne ze względów sentymentalnych, a także moralnych, po prostu nie mogłem odmówić.

„Ten jeden raz”.

Jeden raz skończył się Drumexami, Viaskonami, setkami innych zleceń.

## 9.

– Janio z kina Światowid to Janio Wiśnik?

Szymura wyszczerzył te swoje piękne zęby w szerokim uśmiechu, wypiął wielki, twardy brzuch, rozłożył ręce, wzdychając głęboko z triumfem. Cały on.

Niektórzy uważali, że jest obleśny, wulgarny, za głośny, zbyt ostentacyjnie okazuje emocje. Ale nie sposób było odmówić mu przy tym oryginalności, odwagi, czasem wręcz wdzięku. Umiał zdominować swoją osobowością każdą konkurencję. Najgłośniejszy, najlepiej zorientowany, słowem Kopernik z Mirowa. Działał na kobiety, które oczywiście pociągał ze względu na pozycję i władzę, ale kiedyś – nie pamiętam przy jakiej dokładnie okazji – od Basi usłyszałem, że w ocenie kobiet jest też zwyczajnie przystojny.

„On?” – zdziwiłem się, bo moim zdaniem trzeba było się bardzo postarać, by powiedzieć o Szymurze „przystojny”, nawet gdy siedział w tym swoim mercedesie i wystawiał z niego łokieć z przegubem ozdobionym szwajcarskim zegarkiem za sto tysięcy.

„Nie piękny, ale pociągający. Tak, jest przystojny”.

Miał też urodziwą żonę Wiołę, kobietę, która kiedyś wygrała jeden z wojewódzkich konkursów piękności. Wciąż wspaniale się poruszała, ubierała, prezentowała, błyszczała. I znana była w naszym środowisku z jednego: była bardzo posłuszna. Wykonywała polecenia Szymury, jeszcze zanim Witek o nich pomyślał.

– Janio Wiśnik, mój Janio – szepnął Szymura. – Przyjaciel z dzieciństwa. Najlepszy. Od takiego się znaliśmy, mówiłem ci?

– Tak – mruknąłem.

Wcale nie byłem w tak dobrym nastroju jak Szymura. Pachniało mi tu mocnym konfliktem interesów, jeszcze może niewyraźnym, ale jak wnosilem z postawy Wiśnika, raczej nieuniknionym, i bałem się, że im dalej w las, tym będzie gorzej. W zasadzie przeczuwałem już od jakiegoś czasu, że ta sprawa przysporzy mi siwych włosów, a teraz miałem się w tym przekonaniu utwierdzić.

– Janio Wiśnik, mój Janio. – Szymura zachichotał jak chory na władzę Agamemnon pod Troją. – Mówiłem ci o pani Hani? Tak, tak, mówiłem. A o tym, jak Janio próbował zmusić Światowid do wyświetlenia takiego filmu... kurwa, nie pamiętam tytułu, ale coś w nim było o... zaraz, o truskawkach? Nie mówiłem? No to ci opowiem. Było to już w czasach wideo i do kina ludzie przestali przychodzić, a już na te seanse DKF-u to w ogóle nikt w Mirowie nie chciał. Janio tylko był chętny i mnie namawiał. Przychodził i mówił: „Wicia, chodź ze mną na film, dobry będzie”. Nie miałem ochoty, bo te filmy w DKF-ie mnie już też nudziły, no ale z przyjaźni i... z paru innych względów chodziłem. Jeszcze trzech potrzebowaliśmy, bo film wyświetlano, gdy zebrało się co najmniej pięć osób. Jak było mniej, seans odwoływano. Czasem tych pięć uzbieraliśmy, ale na ten o truskawkach to nikt nie chciał iść poza nami dwoma. Janio wymyślił, że zapłacimy na spółę za te trzy dodatkowe bilety, ale pani Hania była zasadnicza. Ma być pięć osób, a nie pięć kupionych biletów. No to Janio, dawaj, lata po mieście i szuka jeleni. A ja za. Proszę pani albo pana, chodźta z nami do kina, ha, ha, ha. Zapłacimy za wasze bilety. Nikt nie chciał, nawet jak proponowaliśmy, że dorzucimy coś więcej za stracony czas. Potem rozeszło się po mieście, że my jacyś sataniści, że coś złego chcieliśmy tym ludziom w kinie zrobić. A... przypomniałem sobie... te truskawki... to był film pod tytułem „Tam, gdzie rosną poziomki”. Widziałeś?

Kiwnąłem głową. Myślałem jednak bardziej o tym, co będzie dalej.

– Nuda, nie? Dużo później to sobie obejrzałem na wideo, ale zasnąłem przed końcem. Ech, ten Janio... Poznaliście się już?

– Tak.

– No i co sądzisz? Da się go wyciągnąć?

– Za mało wiem...

– Przestań... ty nie wiesz? To kto ma wiedzieć?

– Poczekaj. Najpierw musimy ustalić parę rzeczy.

– Jakich?

– Musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań. Szczerze odpowiedzieć.

– Przecież po to mnie tu zaciągnąłeś, nie? – przekomarzał się ironicznie. Objął mnie, zanim zdążyłem odskoczyć, przycisnął do siebie i przestraszyłem się, że zaraz pocałuje, ale w końcu puścił. – Pytaj!



Uff.

– Zaczniemy od końca. Po co jest ci potrzebny?

Spoważniał.

– No jak to, po co? Zająbać go chcę i zakopać w ogródku. – Odczekał chwilę dla lepszego efektu, a gdy rzeczywiście zbladłem jak kreda, wybuchł nieokleśnianym śmiechem i przez dłuższy czas nie mógł się opanować. – Żebyś widział swoją minę, ha, ha, ha.

– Bardzo zabawne – mruknąłem.

– Pewnie, że zabawne – przyznał, poważniejąc. – Przyjaciela chcę wyciągnąć z wariatkowa, a ty pytasz, po co. Jak to, po co? Z przyjaźni.

– Dziesięć lat jakoś o tej przyjaźni nie pamiętałeś...

O, Tomasz Mauer odważył się powiedzieć coś naprawdę niebezpiecznego dla swoich relacji z Szymurą. Przedsiębiorca jednak nie wyglądał na urażonego.

Pokiwał smutno głową.

– Racja. Na dziesięć długich lat zapomniałem o przyjaźni. Ale teraz chcę to naprawić. Nie wolno mi? Od razu to musi być dla ciebie podejrzone?

– Nie tylko dla mnie. Wiśnik zadał to pytanie.

– Jakie?

– Po co ci jest potrzebny? Dokładnie tak mi kazał zapytać.

– No... – Nabrał głęboko powietrza. – Dobre pytanie.

– Więc?

Podszedł do mercedesa i pogłodził go, jakby to nie był przedmiot, tylko zwierzę z duszą. Traktował tak wszystkie ukochane rzeczy. Wiołę również.

– Tylko, proszę, nie patrz stereotypowo, że jak przez dziesięć lat nic nie robiłem, to znaczy, że to podejrzone albo że jestem sukinsynem. To nie tak. Janio Wiśnik przez całe dzieciństwo był moim najlepszym przyjacielem, życie bym za niego oddał. Potem to się skończyło nie z mojej winy. On... odszedł, uciekł z Mirowa. I to gdzie? Do wojska uciekł. Zostawił mnie, żeby... Dasz wiarę? Pójść na wojnę. Moim zdaniem do służby się w ogóle nie nadawał. A oni nie dość, że go przyjęli, w kamasze wzięli, to jeszcze na front posłali. Do Bośni, Serbii czy innej Jugosławii. Wyobrażasz sobie?

Dlaczego nie było o tym śladu w aktach? Zdążyłem je już przeczytać

wczoraj w nocy bardzo dokładnie. Byłem dobrze przygotowany do rozmowy.

– Dwa kontyngenty odbębnił w siłach niby pokojowych ONZ czy NATO, sam nie wiem. Tam mu po prostu odbiło. Z wojny wrócił inny człowiek, jakby nie Janio. Podobno brał leki. Rodzina tak mówiła, gdzieś słyszałem. Mnie to nie obchodziło. Chciałem mu pomóc jak przyjacielowi. Dałem pracę. Najpierw tu, w Mirowie, w fabryce rowerów, a potem w lakierni, a jak i tam nie pasowało, przy elektronice, na komputerach. Ale w pewnej chwili on przestał doceniać. Nawet mnie obrażał. Nie pracował. Nie starał się. Brałem go na bok i tłumaczyłem, że jak nie będzie zapierdalał, jak trzeba, jak inni zapierdalają, to go w końcu wyleję, bo psuje mi ludzi, pokazuje, że można nie pracować, można się lenić, a gdzie jak gdzie, ale u Szymury dwóch rzeczy nie wolno robić: kraść i się objajać. Stare czasy nie mają tu nic do rzeczy. Obiecał mi wówczas, że już będzie sumiennie pracował. A potem znowu robił swoje. Więc go wywaliłem. Spojrzałem mu w tę kochaną gębę, w te oczy wierne i powiedziałem: „Dość”. Ucałowałem w pysk, a potem... kazałem iść do piekła. Gdzie sobie chce. Ale dzień później sumienie mnie ryszyło i cofnąłem wymówienie. Powiedziałem mu: „Janio, przez wzgląd na stare czasy, ale to ostatni raz, miej litość, chłopie, i się postaraj”. I przenieśliśmy go w ostatnie możliwe miejsce.

Szymura przerwał i miałem wrażenie, że chce urwać ten wątek, ale we mnie odezwał się człowiek przywiązany do drobiazgów.

– To znaczy, gdzie?

– A... do takich zakładów mięsnych za Mirowem, w Szelkowie.

Starałem się zamaskować zdziwienie, bo pierwszy raz o nich słyszałem. Nie wiedziałem, że Szymura ma zakłady mięsne. Nie musiałem wiedzieć i teoretycznie nic to nie znaczyło, ale...

– Wiem, wiem. Dziwisz się, że nic dla nich nie robiłeś, ale uwierz mi, nie ma czego żałować. Ten Szelków obrabiają mi tacy dwaj mecenasie ze wsi, stamtąd.

– W porządku.

– Wracając do Jania, posłałem go do tego Szelkowa. Dałem go do pakowania mięsa. Niedaleko zakładów mieszka jego brat cioteczny. Myślałem, że to coś może da, ale ten gość to jeszcze gorszy miglanc niż

Janio. Nie tylko nie pomógł, ale pewnie zaszkodził. Janio zaś, cóż, mógł sobie brać do woli gratisy na obiady i skwarki na śniadanka. Prosta praca. A on co? Pojawił się tam parę razy i znów przestał przychodzić. Wtedy już nie miałem wyjścia. Rozstaliśmy się na zawsze. Trudno. Co robić? Pół roku w spokoju wytrzymał. Na zasiłku. A potem... ciąg dalszy już znasz, coś mu odbiło, rzucił się na tego człowieka z siekierą i go posadzili.

– Smutne.

– To było dawno temu, ale trochę mnie ostatnio ruszyło. Może źle go potraktowałem? Może wymagał więcej? Sam nie wiem... Może się starzeję? W końcu to był kiedyś... przyjaciel. Prawdziwy, jak brat krwi. Ile my żeśmy razem tych filmów obejrżeli... Potem to się trochę rozeszło. On przegrał gdzieś w życiu, ja wygrałem. Wtedy wydawało mi się, że to, co zrobiłem, wystarczy, że powinien być wdzięczny, ale dziś myślę, że tego nie rozumiałem. Obejrzałem parę filmów i teraz wiem, co to trauma wojenna. Widziałeś „Snajpera”? Albo „Braci”? Więc tak czy inaczej, może źle go potraktowałem i może to trochę przeze mnie? Dlatego chcę mu pomóc. Od dawna o tym myślałem i w końcu dojrzałem. Wierz mi, nie ma w tym żadnego drugiego dna. Mam poczucie winy, chcę dobrze, nic więcej.

Nie odpowiedziałem od razu, więc dodał:

– Ja chcę tylko, żeby Janio miał najlepszego adwokata i opiekę. A ty... jesteś najlepszy.

– Dziękuję, ale...

– Nie dziękuj, tylko go wybroń. Wyciągnij go z tego psychiatryka, a ja już się nim zaopiekuję.

Westchnąłem głęboko. Nie było sensu mówić Szymurze o etyce, on tego zwyczajnie nie przyjmował, jak to mówił, „na bęben”. Miał swoje prawo. Był jak konstytucja, która kasuje inne regulacje obowiązujące w kodeksach, ustawach, zasadach etyki.

A jednak musiałem to powiedzieć.

– Witoldzie, konflikt interesów to poważna sprawa, poważne naruszenie etyki. Janio Wiśnik potencjalnie może być z tobą w sporze, bo nie tylko się przyjaźniliście, ale dla ciebie pracował. Reprezentując go, mogę stracić uprawnienia do wykonywania zawodu. Rozstaliście się skonfliktowani, a w trakcie rozmowy z nim wyczułem, że ma do ciebie jakiś żal.

– E tam, nie pierdol mi tu. Swoją drogą, lubię, jak mnie tak nazywasz. Brzmi... starodawnie.

– Witoldzie! Jeśli ktoś się zorientuje...

– Ale w czym ma się zorientować? Odbiło mu. Pieniacz chciał zaistnieć w gazetach. Pokazać jakąś swoją prawdę. No to wziął za siekiereę i poleciał w miasto. Ale to jest dobry chłopak.

– Ma prawie pięćdziesiąt lat.

– Jak ja.

– To nie jest dziecko. Cierpi na poważne zaburzenia psychiczne. Poza tym gdzieś tam może się przewijać twoje nazwisko. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, w co mnie pakujesz?

– Nie unoś się. Popatrz na to inaczej. Trzymanie go w zamknięciu przez dziesięć lat i dłużej nie jest rozwiązaniem. Pomóżmy mu, zapewnijmy opiekę i terapię. Zróbmy coś... dobrego.

Chyba mówił szczerze. Szymura miał swoje wady, ale potrafił zachować się po ludzku. Janio był jego przyjacielem z dzieciństwa. Być może biznesmen chciał naprawić coś, z czego nie był dumny, co przed laty uważał za słuszne, a teraz – nawet jeśli nie przyzna się wprost – wypiera z siebie.

– Czego ty chcesz?

– Żebyś go wyciągnął, a ja go potem... wyleczę.

– Jak?

– Mam swoje sposoby. Pogadam z nim, a jak sam nie poradzę, to wezwę jakiegoś specja. Przemodeluje mi Jania na nowo, a ja potem zrobię z niego dyrektora kina. Będzie zarządzał Szymura Cinema. Jakoś pójdzie. No, Tomku, zgódź się. Dobry uczynek zrobimy!

– A jeśli... – Sam nie wiedziałem, czy chcę pytać o możliwe konsekwencje, czy o coś innego. Szczęśliwie Szymura mi przerwał:

– To nie tak, że mam jakiś kaprys nieprzemysłany. Ja naprawdę chcę temu chłopakowi pomóc. Chcę pomóc... przyjacielowi.

Odwiózł mnie pod kancelarię, ale zanim wysiadłem, zapytał:

– To jak, zgadzasz się?

Chciał mieć pewność. Moje słowo jak podpisany cyrograf.

– Najpierw muszę wszystko sprawdzić – odpowiedziałem.

Uniósł do góry ręce.

– Sprawdzaj, ile chcesz. Chętnie pomogę.

Gdy wychodziłem z auta, coś mnie zaniepokoiło. Rozejrzałem się i zobaczyłem ją.

Wiedźma stała na rogu ulicy i coś szeptała. Powinna być o tej porze daleko stąd, pod gabinetem ginekologa, jemu odstraszać klientki. A jednak stała koło wejścia do mojego biura i szeptała:

– On nadchodzi!

## 10.

Sąd w Mirowie mieści się na ulicy Grzybowej, w dzielnicy już podmiejskiej, zwanej przez miejscowych Wypiżdziejewo, a to dlatego, że wszędzie tam pusto, płasko, tylko takie budynki jak ten sądu porzucone niczym dzieci we mgle, a między nimi wiatr.

To nowy gmach bez historii, za duży i zbyt nowoczesny jak na prowadzone w nim sprawy. Bywam tam średnio dwa razy dziennie. Siedziba prokuratury rejonowej mieści się w tym samym budynku, ma tylko inne wejście.

Prokurator rejonowy nazywa się Ludwik Bańka. Już go wspominałem. Jest brzydki, mały i wredny. Adwokaci mówią o nim BMW. Urzęduje na pierwszym piętrze. Ma pod sobą trzech młodych prokuratorów i asesora. Papierowy tygrys. Pracę ceduje na podwładnych. Już dawno zauważyłem, że wybiera sobie proste sprawy: jazdę po pijanemu, groźby, niepłacenie alimentów. To mu robi statystyki. Młodym zostawia wielotomowe oszustwa, niejednoznaczne przypadki znęcania się, przestępstwa podatkowe.

Tak jak ja ma rewolwer 686 tylko z dłuższą lufą. On również dostał broń od Szymury. Strzela jednak znacznie lepiej ode mnie.

„Skoro ty bronisz bandytów, ja muszę umieć obronić się przed nimi” – żartował, gdy go chwalilem.

Lubi mnie. Ja jego? Niespecjalnie. Udaję jednak – z grzeczności

i wyrachowania. Wiele od niego zależy w sprawach moich klientów, a poza tym to przyboczny w gwardii Szymury. I człowiek pozbawiony zasad, skrupułów, często nieludzki. Potrafi wsadzić kogoś za kradzież bułki czy batonika. W sądzie upiera się przy byle czym. Dla niego to gra, rozgrywka, a dla mnie ciekawostka medyczna. Fakt, że potem wspólnie wpadniemy do knajpy na kolację, że umówimy się z żonami na grilla, że pójdziemy razem na łódkę, nie ma znaczenia. Oczywiście są też sprawy, przy których Bańka zachowuje znacznie większy rozsądek, dużą wstrzemięźliwość, a niekiedy przymyka po prostu oko. Wystarczy, że poprosi się Szymurę o wsparcie.

– Nie mam czasu – burknął, gdy zapukałem. – Muszę obrobić dwa wypadki, kradzież w Biedrze, oszustwo u Szopena i jeszcze podobno jakiś terrorysta się w szkole trafił.

– Terrorysta?

– Klasówka z matematyki. Ktoś zadzwonił, że jest bomba. Głos dorosłego, więc pewnie dzieciaki poprosiły jakiegoś zula. Z budki koło remizy dzwonił. Zamówiłem już monitoring. Zaraz będę miał tych terrorystów. Coś pilnego?

– Nie. O Wiśniku chciałem pogadać.

Miałem już wyjść, gdy chrząknął.

– Jak to, o Wiśniku?

– No, dostałem jego sprawę.

– Ty, ty, ty... poczekaj. Jak o Wiśniku, to ważne. – Poderwał nagle te swoje dziewięćdziesiąt pięć kilo lekkiej nadwagi. Minął mnie, otworzył drzwi, zerknął na korytarz, czy nikt nie podsłuchuje, po czym wrócił na miejsce i ściszone głosem syknął: – Co ty pierdolisz? Jak to dostałeś jego sprawę?

– Przez fundację – wyjaśniłem.

– Aha, fundacja. – Podrapał się po głowie. – No ale przecież chyba nie chcą go wypuścić, nie?

– Zwrócili uwagę na to, że długo siedzi, i postanowili się przyjrzeć. Mam zrobić analizę prawną. Gdyby nawet dostał za sprawę jakiś wyrok, dawno by już wyszedł na warunkowe przedterminowe zwolnienie.

– Nie było cię tu, jak to się rozegrało.

– Właśnie. Dlatego przyszedłem.

Skrzywił się, jakby poczuł nieprzyjemny zapach.

– Mnie też nie było – wycedził. – To znaczy, byłem, ale nie byłem prokuratorem, jeszcze. Pamiętam za to, jak miasto zareagowało...

– Właśnie. I mi opowiesz, prawda?

Nabrał głośno powietrza i wypuścił je z sykiem.

– To było dawno. Po co w tym grzebać? Gość rzucił się na człowieka. Chciał mu łeb rozwalić. Krzyczał, że wszystkich pozabija.

– Chciał, żeby wezwano media – dodałem.

– Rzeczywiście, pierdolił coś o mediach, ale na mój gust zobaczył taką scenę w telewizji i chciał zaistnieć. Po prostu mu odjechało. Na dodatek to były żołnierz, kombatant. Pewnie mu się na tej wojnie, czy gdzie on tam był, w głowie poprzestawiało. Takich gości trzeba trzymać w zamknięciu.

„Bańka. Gdzieś ty kończył prawo? W Mińsku?” – miałem na końcu języka.

Typowy prokurator. Ciągnięcie tego wątku nie miało sensu. Nie chciałem też rozmawiać o tym, czego dowiedziałem się od Szymury. Jeśli sam nie powiedział Bańce o Janiu, musiał mieć jakiś powód.

– Ponoć zwolniono go z pracy i pozbawiono zasiłku. Nie miał za co żyć. Z biedy różne rzeczy się robi.

– Chciałby pracować, toby pracował. U nas praca jest. On wolał pić, bić i z siekierą latać. No to siedzi.

Tak, siedzi. Wyglądało na to, że Bańka wie mniej ode mnie i nie ma najmniejszego pojęcia o związkach Jania z Szymurą. Jeśli tak, lepiej, żeby pozostał nieświadomy. A jednak jakoś nie mogłem tego zostawić. Przynajmniej jedną kwestię musiałem tu poruszyć.

– Na mieście mówią, że ktoś go przycisnął i dlatego eksplodował. Że do tego dnia to był całkiem normalny człowiek, ale zadarł z kimś niewłaściwym i stąd to wszystko – zablefowałem, zdając sobie sprawę, że właśnie rozpoczynam bardzo niebezpieczną grę z konfliktem interesów w tle. W sumie to dawno ją rozpocząłem.

– Z niewłaściwym? – Bańka się skrzywił. – Niby z kim?

– Nie wiem. Może z Szymurą?

Bańka prychnął śmiechem.

– Gdyby zadarł z Szymurą, to Szymura by go zgniótł ot tak, jak pchłę. –

Potań palcem o palec.

– Tak się nie da – odpowiedziałem.

– Czego się nie da?

– Pchły roznieść. Jest za twarda. Trzeba pazurami, a nie tak. –  
Powtórzyłem jego gest.

Bańka zrobił grymas, który mówił ni mniej, ni więcej, tylko: „Co ty pierdolisz?”.

– Szymura ma tak twarde paluchy, że by sobie poradził. Wiesz co, Tomku, idź ty lepiej z tymi pytaniami do diabła. Chcesz, to się baw z tą sprawą, ale beze mnie. Zamierzasz wariata uwolnić, to uwalniaj. Może ci się uda. A jak się uda i komuś łeb utnie, to sam miej to na sumieniu. Mnie w to nie mieszaj. Szymury tym bardziej.

Szymura już jest wmieszany i to znacznie mocniej niż sądzisz, szanowny panie prokuratorze.

## 11.

Szelków leży na zachód od Mirowa. Trzydzieści kilometrów. Najlepiej z centrum przejechać przez Czumulki, minąć sąd i prokuraturę, zakład energetyczny, a potem dalej drogą nad zalewem. Początkowo jak do Szymury, za skrzyżowaniem do willi biznesmena trzeba jednak skrócić w pierwszą w prawo, na Autostradę Słoneczną, jak tu nazywają wąską, dziurawą, krętą dróżkę raz za razem znikającą w gęstym lesie, to znów wypadającą na sam brzeg zalewu.

Piętnaście kilometrów od granic miasta las się skończył. Szare pustkowie malowane ponurą barwą obumierających łodyg skoszonych roślin rozlewało się daleko pod sam widnokrąg złowrogich chmur. Jakiś czas temu straciłem zasięg, na dodatek komórka sygnalizowała, że wyczerpuje się bateria. Zrobiło się zimno i wiał wiatr. Dziwne, ranek w Mirowie był pogodny, a tu taka nagła zmiana.

Wjechałem między pola. I niemal od razu to poczułem.

Smród.



To nie było jakieś gówniane miejsce jak Radiowo czy okolice innych wysypisk śmieci. Jedziesz kilometr dalej, robisz krótki przewiew i jest okej.

Śmierdziało coraz gorzej, jakbym jechał w kierunku czeluści odoru odorów. Przypomniałem sobie, jak lata temu moja babcia mówiła, że każde miejsce, które nawiedzają złe duchy, ma perfidną woń. Mówiła o objawieniach aniołów, pod których podszywał się diabeł. Zdradzał go właśnie smród, choć wyglądał pięknie.

„To nieciekawa okolica” – przestrzegł mnie Szymura.

Smród. To miał na myśli. Nigdy na tych polach ładnie nie pachniało. Rolnicy zawsze używali dużo nawozów i różnych mikstur, które sprawiały, że pachnieć nie mogło. Ale specyficzna woń wsi, pól, upraw w najmniejszym stopniu nie korespondowała z tym, co pozostało po powodzi.

Lata temu na świeżo odkrytych przez rzeki terenach woda zostawiła śmierć. Miliony ton padliny, spasionych byczków, zdrowo wyglądających kiedyś krów, kóz, owiec i Bóg wie czego jeszcze.

Ludzie ratowali w pośpiechu siebie. Niemcy pierzchający pięćdziesiąt lat wcześniej przed zwycięskim frontem sowieckim mieli czas zakopać swoje złoto. Uciekający przed wodą mieszkańcy wsi zostawili wszystko na pastwę żywiołu.

Rozkładające się komórki żywiły bakterie. Postępowały procesy gnilne. Pęczniały pulchne byki napompowane gazami i trupim jadem. Rozsadzane przez ciśnienie płyny ustrojowe szukały ujścia w uszach, oczach i odbytach krów. W spękanej skórze owady składały jaja i świeżo upieczone larwy rozpoczęły wielkie żarcie aż do białej kości.

Groziła epidemia: dur brzuszny idący za pochodem gorączki i czerwonej wysypki. Padlinę trzeba było zutylizować. Stosowny zakład wybudował nie kto inny jak Szymura. Dobrodziej.

Jeden z jego pierwszych strzałów biznesowych, o którym opowiedział mi zdawkowo, z niechęcią, podczas tej ostatniej rozmowy o Janiu, a o którym dziś, siedząc w więzieniu, wiem już znacznie więcej.

Nikt nie liczył, ile zwieziono tej padliny. Nie zachwiała się ręka księgowych z ministerstw, kiedy trzeba było zatwierdzić stopy niezweryfikowanych faktur za usługi.

Przekupni wagowi dopisywali zera do wielu już zer. Trzeba było działać szybko, zatrzymać pożogę.

Nikt nie zbadał okolicznych pól, chociaż mówiło się, że część padliny zamiast zutylizować ludzie Szymury zakopali w ziemi.

Na tych porządkach zarobił tyle, że nie musiałby już pracować do końca życia, ale on był biznesmenem pełną gębą. Nie chciał być jakimś tam Szymurą z prowincji, który odniósł lokalny sukces, chciał być jak Maciarz, chciał przekupywać prezydenta i premiera, a nie tylko urzędników skarbowych, chciał ruchać najlepsze kurwy, eksportowe, po tysiąc dolców za noc, a nie prowincjonalne, ruskie, za dwieście co najwyżej.

Chciał być kimś, kogo nazwisko budzi podziw i strach.

Zamiast przehulać, zainwestował. Wybudował kolejne krematorium. Przy jednym zakładzie stanął drugi, niemal bliźniaczy. A potem jeszcze przerobił miejscowe budynki popegeerowskie na rzeźnię i zaczął hodować świnię. Do tego postawił największe silosy na paszę w województwie i faszerował zwierzęta stymulatorami wzrostu.

Wszystko to razem sprawiło, że pachnieć nie mogło.

Do dziś Szymura zacierał ręce na pomór świń, chorobę wściekłych krów i inne epidemie. Z tego ciągle były dobre pieniądze. Ale akurat tym jednym jedynym biznesem się nie chwalił, w nazwie zakładu nie było jego nazwiska.

Smród.

Nasilał się bardziej, im byłem bliżej Szelkowa. Nic dziwnego, że mało kto chciał tu mieszkać. Przy drodze nie mijałem praktycznie żadnych gospodarstw, dostrzegłem natomiast kilkadziesiąt opuszczonych siedlisk. Zabite dechami okna i spękane ściany nie pozostawiały wątpliwości, że w obejściach od jakiegoś czasu nie ma gospodarzy.

Wreszcie dostrzegłem dom, z którego komina dobywał się dym. Postanowiłem skręcić.

Zaparkowałem przed bramą i czekałem przy samochodzie, aż ktoś wyjdzie. Wreszcie pojawił się brudny, krępy chłop w gumiakach. W rękach trzymał widły.

– Czego?

– Chciałem o coś zapytać.

– O co?

– Co to za... zapach? – Słowo „smród” nie przeszło mi przez gardło. Nie miałem ochoty dostać widłami.

– O co ci, człowieku, chodzi? Ja tam nic nie czuję. Jak pan czujesz, to wachaj.

Wsiadłem z powrotem do auta i wtedy chłop zawołał:

– To z zakładów tak jedzie. Ale da się przyzwyczać.

– Panu nie przeszkadza?

– Świnie też nie pachną perfumami, nawet francuskie świnie. A Szymura żywiec bierze, na czas płaci, to co ma przeszkadzać.

Taki los. Nauczyłem się już dawno nie współczuć ludziom, którzy współczucia nie szukają.

Ruszyłem w dalszą drogę i już do Szelkowa nigdzie nie stawałem.

Zakłady mięsne to nie była fabryka volvo czy choćby fiata. Budynki w większości pamiętały poprzednią epokę wielkiego budowniczego Edwarda Gierka. Prześarte zębem czasu hale wykonano z wielkich płyt. Smród stał się niemal trudny do wytrzymania.

Gdy wszedłem do niewielkiego biurowca, gdzie mieściła się dyrekcja, marzyłem, by jak najszybciej stąd wyjechać.

– Pan prezes dzwonił, że pan przyjedzie – zawołał uśmiechnięty dyrektor. Wyglądał trochę jak bohater serialu oglądanego przez szkło powiększające. Jego ciało mieniło się wprost kształtami. Był tak tłusty, że głowa spoczywająca bezpośrednio na karku wydawała się zdecydowanie za mała, ale uśmiech miał przyjazny, jowialny, dyrektorsko wręcz zakłamany. – Wódeczki?

– Nie piję.

– Jak to? – zażądał wyjaśnień.

– Po prostu. – Przeszedłem od razu do rzeczy: – Dokumenty pan dla mnie ma?

– Oczywiście, jak pan prezes Szymura prosił.

– Gdzie?

– O tu, tu. – Podał mi teczkę.

– To kopia?

– Tak.

– W takim razie zabieram.

Chciałem już wyjść, ale zaczepił mnie:

– A pogadać pan nie chcesz o tym Wiśniku?

– Pan go znał?

– Znać to za bardzo nie znałem. Tutaj jestem dyrektorem od ośmiu lat, ale Janka pamiętam trochę ze szkoły, choć do innych klas chodziliśmy. Ja, pan prezes Szymura i Janio. Zamknięty był, więc wiele nie powiem. Nawet się nie bił na przerwach, nie popychał z nikim, dziewczyn nie macał. Tylko z panem prezesem Szymurą się trzymał jeszcze jako tako, a tak to chyba z nikim.

– A w wojsku nie byliście razem?

– Nie, ja do wojska się nie nadawałem. Waga za duża. – Zarechotał. – Janio chyba też nie, choć z innych powodów. To był pierwszy przecież pacyfista, słabowity na dodatek i chorobliwy, ale poszedł i to od razu na wojnę. Pewnie za kasą poszedł.

– Za kasą?

– Dobrze przecież za te misje płacili. Tak mnie się zdaje...

– No tak. Ktoś może mi o nim coś więcej opowiedzieć?

– Z zakładu to chyba nikt. Wszyscy, co Jania znali, ziemię już gryzą. Tu długo się nie żyje. – Roześmiał się, jakby to był dobry żart. A potem nagle posmutniał i dodał: – We wsi możecie zajść do jego brata ciotecznego. Też się nazywa Wiśnik. Albert Wiśnik. Numer na domu pięć. Poznacie, bo z czerwonej cegły, jedyny taki we wsi.

Zabrałem dokumenty i z trudem opanowując chęć zatkania nosa, ruszyłem do samochodu, a potem do wsi.

Budynek numer pięć rzeczywiście wybudowano z czerwonej cegły, jednak lata temu. W obejściu piętrzył się złom. Przed domem królowały zdziczałe krzewy i uschłe rośliny – umarły ogród. Za skorodowaną siatką minąłem zardzewiały stary rower i kanki na mleko pamiętające chyba poprzedni ustrój. Rwący się z łańcucha pies charczał, aż piana ciekła mu z pyska. Metalowa kolczatka boleśnie zaciskała się na jego szyi. Założono ją pewnie lata temu. Pies przybierał na wadze, rosła sierść i teraz po prostu się

dusił.

## 12.

Albert Wiśnik siedział za stołem, jakby na mnie czekał. Na blacie butelka bimbru i zapchana po brzegi popielniczka. Ujmując przedziwną techniką tłący się skrawek papierosa w pokrytych pomarańczową skorupą palcach, mężczyzna strzepywał popiół na klepisko, które było podłogą tego śmierdzącego petami mieszkania. Ale już lepszy był ten zapach od smrodu z zewnątrz.

– Ujada, bo głodny. Nie daję mu jeść przed wieczorem. – Zarechotał. – Bardziej zły wtedy, lepiej pilnuje.

Albert ledwie trzymał się krzeselka. Na głowie miał czarną czapkę, która wraz z wielodniowym zarostem nadawała mu wygląd groźnego zakapiora. Gdy wszedłem, próbował wstać. Wcześniej na moje pukanie zawołał „wejść”, a potem wyjaśnił mi, że tu się nie puka, tylko wchodzi. Wchodzi się i drzwi nie zamyka, jak to na wsi. Tu każdy wejść może i nikt nic nie wyniesie. Zresztą, nie było czego wynosić.

– A kto wejdzie, może też dostać w ryj. Ryzyko zawodowe – dodał na koniec.

– Wie pan, w jakiej sprawie przyszedłem?

– Byli u mnie z zakładów, uprzedzili. Ale adwokata kazali czekać, a pan nie wygląda.

– Nie wyglądam?

– No nie. Już weterynarz od Szymury lepiej się prezentuje – powiedział szczerze.

„Ujmujący człowiek” – pomyślałem.

Miał taki miły, swojski głos.

– Adwokat, i to ze Warszawy, to przecież w gajerku powinien chodzić, a nie w dresie.

Istotnie, miałem na sobie bluzę z kapturem z logo jakiegoś zespołu Premier League. Tylko w biurze chodziłem w garniturze. W terenie

starałem się nie wyróżniać.

– Ja nie z Warszawy, tylko z Mirowa.

– Z Warszawy – poprawił mnie. – W Mirowie jest pan przecież przypadkiem. Przelotnie.

– Mieszkam tam już jakiś czas i nigdzie się nie wybieram.

W sumie po pięciu latach już chyba nie powinienem być traktowany jak obcy. Ale byłem.

– Nie zostanie pan. Oj, nie zostanie.

– A to dlaczego?

Roześmiał się tylko. Gdy już myślałem, że nie odpowie, szepnął ze swadą wróżbity:

– Mirów nie dla pana. Wódki?

– Nie piję.

– Widzi pan? A w Mirowie wszyscy piją. To jak, wódki?

– Już mówiłem.

– Nie to nie. – Nalał sobie, ale nie wypił. Miałem wrażenie, że ruszył go jakiś odruch wymiotny. Zaraz jednak wziął głęboki wdech i dał znać, że jest gotów porozmawiać. – To co chcesz pan wiedzieć, panie adwokat?

– Opowie mi pan o Janku?

– Ale co dokładnie? O tym, jaki był czy jaki jest? Co pan chcesz wiedzieć?

Uznałem, że chyba nie potrzebuję więcej opowieści o tym, jaki był lub jest mój klient, pacjent czy jak tam powinienem sobie nazwać Jana Wiśnika.

– Domyśla się pan, dlaczego tak... wybuchł? Robił wcześniej coś takiego? Zdarzały mu się ataki?

Roześmiał się szczerze.

– Od czego zacząć? – zapytał, ale nie czekał na moją odpowiedź. – Domyślać się, domyślam... zwariował, jak to wariat, musiał kiedyś zwariować. Janio to był człowiek od dawna lekko stuknięty. No bo sam pan powiedz, panie adwokat, jak nazwać człowieka, którego nie lubi wojen, nie chce wojować, jest słabowity i trochę taki artysta, do kina chodzi na filmy, a nie żeby baby macać, a filmy takie ogląda, że innych by trzeba końmi ciągnąć... Wie pan, że czasem wiersze pisał? No więc jak nazwać takiego człowieka, piszącego i książki czytającego, który nagle, nie wiadomo czemu, idzie do

wojska i to od razu na wojnę, chyba po śmierć?

– Po śmierć czy dla pieniędzy?

– Moim zdaniem po śmierć. Ale szaleńcy już tak mają, że śmierć im nieposłuszna. Nie chce ich gonić, a jak sami do niej przychodzą, to wypycha, jak wyjść nie chcą, to kopniaka daje. To jak z pijakami, panie adwokat. Jebnie taki czołówkę z busem, w busie wszystkich zabije, a sam bez draśnięcia. Pijaków i wariatów śmierć nie tyka. I Janio też dostał kopniaka z wojska. Wie pan, że dali mu tam medal za odwagę?

– Nie – szepnąłem, a pomyślałem: „Ciekawe”.

– Janio i medal za odwagę. – Albert pokręcił głową z niedowierzaniem. – Słyszałem taką opowieść, że jego oddział dostał się pod ostrzał. Dwóch zginęło, jeden ranny, samochód jeszcze na minę wjechał, a Janio się jakoś wygramolił i ogniem przegonił napastników. Nie trafił żadnego, ale chyba się wariata wystraszyli, bo uciekli. Amerykański generał medal mu wręczał, bo ci nasi uratowali amerykański konwój pod ostrzałem. Nie wiem, czy to prawda, ale tak w gazecie pisali. – Albert sięgnął do szuflady starego kredensu i wyciągnął z niej egzemplarz gazety „Głos Mirowa”. Na pierwszej stronie był artykuł „Bohater z Mirowa”. – To o Janiu, uwierzy pan? Ale jak z siekierą wyskoczył, nikt już tego nie pamiętał. Wszyscy pisali tylko o czubku. Jakby chcieli rozdzielić jedną osobę na dwie. Bohatera zostawić na chwałę miasta, a szaleńca... na pohybel. Tak można, panie adwokat? Można tak człowieka podzielić na dwóch?

– Nie wiem.

– A Jania podzielili. Jak wrócił z wojska, no bo jakąś tam ranę miał po tej akcji, to go zwolnili, wysłali do rezerwy, ale emerytury czy renty nie dali. A może by dali, ale Janio zapomniał się upomnieć jak to on. Dziwny się zrobił jeszcze bardziej. Zamknięty w sobie jeszcze mocniej. Wyniósł się od rodziców, a oni zaraz potem zmarli. Sam został. Do mnie w ogóle nie zaglądał. Uważał mnie za fiuta i pewnie miał rację.

– Kłóciliście się?

– Nie da się kłócić, nie rozmawiając. Ja dla Jania nie istniałem. On dla mnie też nie. Więc jak się pan, panie adwokat, pytasz, to odpowiadam, że Janio szaleńcem był od dawna i szaleństwo w końcu wyszło, chwyciło za siekierę i, szczęście Boże, tylko postraszyło zamiast zabić. Następnym razem

pewnie by zabiło.

- Uważa pan, że powinien zostać w szpitalu?
- Gdzie mu będzie lepiej?
- Może się zmienił?
- Szaleńcy się nie zmieniają. To nieuleczalne.

### 13.

Rozmawiałem jeszcze z dwoma osobami we wsi, obie w zasadzie mówiły to samo. Pamiętały artykuł o bohaterze i zdarzenie z siekierą, potwierdzały wszystkie słowa Alberta Wiśnika, a do tego jedna z nich wychwalała dobrodzieja Szymurę, zanim w ogóle o niego zapytałem, a druga na pytanie o rolę prezesa odparła, że dobrodziej chciał pomóc Janiowi, ale nie zdołał.

Byłem zmęczony i zły na siebie. Adwokat nie jest od jeżdżenia po domach i odpytywania świadków. To policyjna robota. Z drugiej strony, może to dobrze, że mogłem zobaczyć Szelków od środka.

W drodze powrotnej nadrobiłem drogi i zahaczyłem o miasteczko Przyszów, w którym miałem tylko jeden cel.

Kancelaria adwokacka Mirowski i Wandzlik mieściła się w samym centrum, tuż przy ratuszu, w najlepiej utrzymanej kamienicy. Cały budynek należał do panów Mirowskiego i Wandzlika, a jedynym ich klientem był Szymura.

– Dzień dobry, dzień dobry, witam szanownego kolegę – zawołał na mnie młody, szeroko uśmiechnięty Mirowski, którego spotkałem przed wejściem. Wyglądał bardziej jak agent ochrony niż adwokat. Potężne mięśnie rozpychały białą koszulę i garnitur. Czuć było od niego jakieś duszące perfumy.

Wandzlik miał w sobie jeszcze więcej sterydów i czuć było od niego podobnie mdłymi i ciężkimi nutami. Łyse głowy, brak szyi i potężne karki zdecydowanie wyróżniały tych osobliwych członków na tle całej palestry. Egzemplarze kolekcjonerskie. Aż miałem ochotę zapytać, kto i za ile kupił im dyplomy.



– Pan się czegoś napije, panie mecenasie? – Głos urzędującej przy biurku dziewczyny jak z obrazka w magazynie dla mężczyzn brzmiał dziwnie ponętnie. Miała na nogach czarne kozaczki do kolan, tego samego koloru mini i kuszą koszulkę z głębokim dekoltem.

Odmówiłem.

Wprowadzili mnie do pomieszczenia, które w zamierzeniu miało prawdopodobnie pełnić funkcję sali do przyjmowania klientów. Nie było tam jednak kodeksów, laptopa, walających się na pułkach papierów czy innych tradycyjnie spotykanych elementów adwokackiego bałaganu. Były za to magazyny dla mężczyzn, napoczęta brandy i dwa kieliszki.

Od razu przeszedłem do rzeczy. Chciałem to mieć jak najszybciej za sobą. Gdy zadawałem pytania, najpierw zerkali po sobie, potem odpowiadali. Nie kłamali, Szymura kazał im mówić prawdę, uprzedził, że mogą mi zaufać, że jestem jego człowiekiem. Kilka zdań wystarczyło, żeby upewnić się, że nie mają bladego pojęcia o prawie cywilnym i gospodarczym, a karne raczej praktykują od zupełnie innej strony niż większość adwokatów.

W zasadzie wiedziałem już wszystko i nie potrzebowałem akt, które przygotowali.

– Jest komplet, jak kazał pan prezes Szymura – stwierdził mecenas Mirowski, wręczając mi dokumenty. – Sto dwanaście postępowań.

– Sto dwanaście wygranych – ponuro uściślił Wandzlik i spojrzał wyzywająco. Nie powiedział już nic więcej, ale jestem pewny, że pomyślał: „ciekawe, czy pan mecenas swoimi metodami uzyskałby takie efekty, jakie my osiągnęliśmy naszymi”, po czym objął potężną jak bochen chleba dłoń swoją prawą pięść i ścisnął ją. Chrupnęły kostki, jakby przechodząc w tryb: „to jak, podpisujesz ugode czy wpierdol?”, a może nawet: „wpierdol najpierw czy po podpisaniu ugody?”.

Szymura na koniec naszego ostatniego spotkania wyjaśnił mi, dlaczego nigdy nie słyszałem o Zakładach mięsnych w Szelkowie, dlaczego nigdy nie prowadziłem ich spraw. Przeprosił, bo rozumiał, że mogłem to przyjąć jako wyraz braku zaufania. Ale to były po prostu inne postępowania, nie dla mnie. Pozwy, w których specjalizowali się tacy jak Mirowski i Wandzlik, którymi nie należy zaśmieczać tak tęgiej głowy jak moja. Naprawdę... drobne sprawy.

Sto dwanaście pozwów przeciwko Szymurze, przeciwko zasmradzaniu, zaśmiecaniu, zatrutowaniu. Sto trzy roszczenia prawomocnie oddalone, dziewięć ugód. Sto procent skuteczności. Jakby chleby tu piekli albo rwali bratki. To był jakiś fenomen. Przy takich statystykach o ten duet powinny się bić wszystkie uznane korporacje. Tyle że te sprawy załatwiano inaczej.

Nie miałem już żadnych wątpliwości. Mirowski i Wandzlik byli bezkonkurencyjnymi mistrzami perswazji. Ekspertami od naprawę brudnej, śmierdzącej roboty.

Do Mirowa wróciłem późnym popołudniem przesiąknięty trudnym do nazwania, za to zdecydowanie najpodlejszym z możliwych smrodem. Aż gryzły mnie oczy.

W domu rozebrałem się do naga, a ciuchy zapakowałem w worek na śmieci.

– Tylko tego nie pierz. Zanieś do pralni – poleciłem Basi.

Jadła właśnie w kuchni kisiel, ale wyszła do mnie, spojrzała na goliznę i zaczęła żartobliwym tonem:

– Jeśli obiecasz, że zawsze zaraz po powrocie tak mnie przywitasz... – A potem nagle to poczuła. – Co tak śmierdzi?

– Nie oddychaj – poprosiłem.

– Za późno.

Szorowałem się prawie godzinę, wpychając mydło wszędzie, gdzie weszło. Nawet w oczy. Kiedy wyszedłem, torba z ubraniem była już daleko za drzwiami, w śmietniku.

– Sprawdziłam kieszenie. Nie zrobię nikomu czegoś takiego, żeby to dać do prania. Stać cię na nową bluzę i dzinsy.

– Dobrze.

– Jak sprawa tego Wiśnika? Pomożesz mi?

Usiłowałem ukryć zaskoczenie. Nie byłem pewien, ale wydawało mi się, że nie rozmawiałem o Wiśniku z Basią. Skąd więc o nim wiedziała? Nauczyłem się już jednak, żeby kontrolować moje „wątpliwości”.

– Nie wiem. Muszę odbyć jeszcze jedną rozmowę.

– Z kim?

– Świadek zdarzenia.

Nie chciałem kłamać, a jednak skłamałem.

#### 14.

„Dziewczyna Jana Wiśnika. Numer telefonu i adres...” – tak zaczynał się esemes, który dostałem od Szymury w drodze powrotnej z Szelkowa. Oddzwoniłem, ale nie odebrał. Napisał: „Spotkaj się z nią. Dużo ci powie”. Zatelefonowałem z samochodu. Była zaskoczona.

– To już tyle lat – szepnęła.

– Porozmawia pani ze mną?

– Po co?

– Jestem obrońcą, adwokatem Jana Wiśnika. Muszę zdecydować, co zrobić z tą sprawą.

– Chce pan pomóc Janiowi czy mu zaszkodzić?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zawahałem się zdecydowanie zbyt długo, ale po prostu mnie zaskoczyła. Najlepszą odpowiedzią byłaby prawda, wyjaśnienie, że sam nie wiem. A jednak coś mi podpowiedziało inaczej:

– Pomóc.

Tym razem to ona przez chwilę milczała.

– Dobrze, niech pan przyjedzie. Dziś o dziewiętnastej. Postawi mi pan kolację?

„Bezpośrednia babka” – pomyślałem.

– Chyba mnie na to stać – próbowałem żartować.

– To dobrze, bo mnie nie.

Umówiliśmy się w restauracji U Pinkosza. Była to chyba jedyna duża knajpka niezależna od Szymury. Właściciel podobno nienawidził Prezesa, ale tylko nieoficjalnie. Wprost nigdy nie występował przeciwko niemu. Mówiło się jednak, że jeśli ktoś źle mówi o największym biznesmenie regionu, to finansuje to Pinkosz i jego mafia. Opozycję polityczną też. Nie wnikałem w takie rozgrywki. Polityka mnie nie interesowała. Wszędzie jest tak, że nawet jak ktoś osiągnie prawie całą władzę, gdzieś zrodzi się choćby

mała opozycja. Nawet w Rosji Putin ma przeciwników.

Pinkosz ponoć święty nie był. Miał jakieś konszachty z przestępcami finansowymi, handlarzami trefnym towarem, mówiło się o jego związkach z napadami na tiry w okolicy, ale tego mu nie udowodniono. Jego nazwisko wypłynęło też w ostatnich latach przy okazji kilku zagadkowych kradzieży. Zagadkowych, bo nikt tych kradzieży nie zgłosił. Chodziło o czarne pieniądze z haraczy, narkotyków i łapówek, które jedni bandyci kradli drugim. Ktoś puścił parę, że tego i tego dnia ma być dopinany jakiś geszeft, ale nim do niego doszło, kontrabanda i pieniądze dziwnym trafem padały łupem nieznanym sprawców. Ile w tym było prawdy?

Kilka lat temu Pinkoszowi porwano syna, żądając miliona złotych okupu. Oczywiście o związek z porwaniem posądzano Szymurę. Ten jednak zmobilizował policję i ponoć wyłożył milion na okup, bo konkurent tyle nie miał.

Ujęci porywacze jednoznacznie odcięli się od Prezesa, a Pinkosz oficjalnie podziękował mu na łamach lokalnej gazety.

A potem wrócił do opozycji. Jednak już taki napastliwy nie był. Za to załatwił sobie pozwolenie na broń i założył Stowarzyszenie Samoobrony Mieszkańców Mirowa. Bańka twierdził, że to przykrywka do prowadzenia działalności przestępczej, do zastraszania innych i walki z Szymurą.

„Przecież go pochwalił w gazecie” – przypomniałem.

„Ściema” – uciął prokurator.

Tak więc spotkaliśmy się w restauracji U Pinkosza i już to podpowiedziało mi, że moje życie się zmieni, ale gdy zobaczyłem dziewczynę Jana Wiśnika, byłem na sto procent pewien.

## 15.

Stała przede mną czterdziestoletnia kopia Julii Roberts w wersji Erin Brockovich. Chuda, wręcz anorektyczna. Rude włosy miała spięte w kok, co jeszcze bardziej podkreślało ostre rysy trochę końskiej twarzy. Może nie była tak piękna jak Julia, ale jedynie odrobinę mniej. A może piękniejsza, bo przecież telewizja kłamie, a ona stała przede mną na żywo. Jej brązowe,

wielkie jak spodki oczy przypominały mi jakieś zabytkowe ryciny. Gdyby zrobić zdjęcie twarzy tej kobiety w sepii, można byłoby wyświetlać je na ścianach jaskini jako odkrycie sprzed tysięcy lat. Piękno archeologiczne – tak je określiłem.

Podawała mi chudą dłoń, która ścisnęła moją po męsku, mocno. Długie palce przywodziły na myśl macki jakiegoś Marsjanina z ekranizacji Wellesa czy innego porypanego wizjonera.

Ubrana była w marynarkę i spódnicę za kolana. „Zero cyca” – powiedziałaby Szymura, ale za to całość niezwykła.

Była to kobieta szalenie intrygująca. Kompletnie nie pasowała mi do lokalnej społeczności. Miała w sobie jakąś ikrę, ciekawość świata i trzeźwy osąd otaczającej rzeczywistości. Pierwsze pytanie, jakie sobie zadałem, kiedy ją zobaczyłem, brzmiało: „Co taka kobieta z klasą, urodą, z niezaprzeczalnym powabem i wdziękiem robi w Mirowie?”.

Drugie pytanie nasunęło się równie szybko. „Czy Szymura ją także zaliczył?” Przyszło mi na myśl, że zaraz usłyszę historię jakiegoś miłosnego trójkąta i zupełnie inne wyjaśnienie całej sprawy Jana Wiśnika. Wyjaśnienie, na które nie byłem przygotowany?

– Usiądziemy?

Widać było, że jest tu nie pierwszy raz. Przeszła przez salę aż do końca, skręciła w bok do niewielkiej niszy. Stał tam tylko jeden stolik.

– Może być?

Wzruszyłem ramionami. Bałem się wprawdzie, co powie Pinkosz, jeśli się pojawi, rozpozna mnie i do nas podejdzie, ale liczyłem też trochę na to, że po prostu nie przyjdzie. W końcu raczej sam nie obsługiwał lokalu. Był tylko właścicielem. Druga sprawa, że wcale nie musiał mnie rozpoznać. Widział mnie tylko dwa razy. Zapamiętałem go, bo wiedziałem, że jest jednym z nielicznych „wrogów” Szymury w mieście. Ja byłem dla niego jednym z tysiąca żołnierzy przeciwnika, choć mógł przecież zdawać sobie sprawę z tego, że nie jestem zwykłym żołdakiem.

Kelner pojawił się niemal od razu. Podał nam karty. Nawet w swoją nie spojrzała.

– Sałatkę na przystawkę, potem ravioli. Podają tu świetne ravioli – zwróciła się do mnie z uśmiechem.

Peszyła mnie. Złapałem się na tym, że uciekam przed jej wzrokiem.

Dziewczyna Jana Wiśnika. Julia Roberts. Prawie.

Nazywała się Monika Lewińska i od razu, jeszcze przez telefon zaznaczyła, że jeśli pozwolę sobie na jakikolwiek żart z tego powodu, dostanę w gębę, a umie bić mocno.

Nie wątpiłem, że to potrafi. Skracała dystans, prowadziła naszą rozmowę i była bardzo swobodna.

Monika Lewińska. Ależ nazwisko! Obiecałem sobie, że nawet spojrzeniem nie zdradzę rozbawienia, ale to ona zaczęła.

– Przez ostatnie dwa lata studiów miałam przefikane. Musiałam wziąć dziekanę, gdy Bill zapomniał przypilnować rozporzeka.

– Ponoć zapominał wiele razy, z wieloma osobami.

– A jednak Hillary go nie zostawiła.

– Polityka.

– A może miłość? – Uśmiechnęła się po raz kolejny, a potem oddała mi swoje oczy. Rozwarła powieki i czekała, aż wpadnę w pułapkę. Omal nie utonąłem. – Ma pan piękną żonę. Nie będzie zazdrosna?

Zdawała sobie sprawę, kim jest, jaki wywołuje efekt. Wiedziała, że będzie błyszczeć na każdej sali, wywołując zupełnie odwrotne reakcje u mężczyzn i kobiet. Obie płcie będą jednak co do jednego zgodne: nie zapomną jej. Nie chodziło tylko o jej powierzchowność. Była magnetyczna.

Nie zaskoczyło mnie, że znalazła w internecie nasze zdjęcia. Takie czasy.

– Ufamy sobie. Poza tym...

„Czy to już flirt? Czy w flircie jest coś złego?”

– Tak?

– Nie wie, że jestem na kolacji z piękną kobietą.

– Dziękuję. Dużo pana ten komplement kosztował, prawda? – Czarowała mnie, a ja udawałem, że nie ulegam jej zakłębciom.

– Podobno czasem jednym słowem można przekroczyć granicę – odparłem. – Przyszedłem tu rozmawiać o sprawie...

– A zje pan pyszną kolację – przerwała. – Knajpa Szymury nie umywa się do tej. Pinkosz nie oszczędza na kucharzach i towarach. Jak serwuje włoskie danie, to z włoskich składników, jak greckie, to produkty ściągają

z Peloponezu. Kucharz pochodzi z Sycylii, w młodości pracował na Krecie, a potem w Warszawie w najlepszych restauracjach, aż zakochał się w prostej dziewczynie z Mirowa.

Musiałem głośno przelknąć ślinę. Te dziewczyny z Mirowa...

– No i Pinkosz nie kupuje mięsa od Szymury – kontynuowała – który ładuje wszystkie odpady z tego swojego Szelkowa nawet na własny talerz. Dla niektórych to nie do pojęcia, że samemu można się tak truć, chwalić się tym i się z tego śmiać. Wie pan, że on popiera ładowanie w mięso antybiotyków i innego świństwa? Jego tuczniaki rosną kilka centymetrów przez noc. Tam nie ma ubytków, żywe świny zjadają te, które padną. Nawet szambiarze narzekają, że nie da się u niego normalnie wybierać nieczystości, bo pływają w nich trupy zwierząt. Szymura uważa, że co nas nie zabije, to nas wzmocni. Jest kompletnie niereformowalny.

Co to za farsa? Julia-Monika najwyraźniej nie przepadała za Szymurą. Wyczuwałem, że dziś dowiem się o moim zleceniodawcy znacznie więcej niż przez te wszystkie lata przyjaźni. Dlaczego w takim razie Witold mnie na nią nakierował? Co to za spisek? Spodziewałem się zupełnie innej rozmowy, zupełnie innej kobiety.

– Wyjaśni mi pani, co tu jest grane? – wypaliłem.

– Zabawne – odparła i myślałem, że powie coś jeszcze, ale ona tylko skwitowała moje zdanie.

– Co takiego?

– Zabawne, bo chciałam zadać panu dokładnie to samo pytanie. Ale dopiero po ravioli.

– Po co czekać?

– Bo po wyjaśnieniach może nam już nie smakować. A dobra kuchnia w Mirowie jest w cenie. W ogóle dobre rzeczy w Mirowie są w cenie, bo większość sklepów Szymura zaopatruje w tandetę. I nie mówię tylko o mięsie. Niech pan kupi gdzieś kiełbasę nie od Szymury, nawet w supermarketach nie mają innych. Można by było zmienić dietę na wegetariańską albo nawet wegańską, ale Szymura i to przewidział: wszystkie warzywa na tutejszych bazarkach pochodzą z jego plantacji, także tych spod Szelkowa. Był pan kiedyś w Szelkowie? Jeśli nie, to trzeba się wybrać. Warzywa stamtąd pachną jak mięso. Dziwne, nie? Kupował pan

pewnie w czerwcu truskawki na miejscowym targu, to też tylko od niego. Szczęśliwie nie z Szelkowa, tylko z południa, z pól Wrześni i Jabłony. Dobre truskawki, tyle że od Szymury, więc porządnym ludziom mogą stać w gardle. Czereśnie? Zgadnie pan, do kogo należą te sady w drodze na Konin? Nie, nie do Szymury, ale do jednego z jego zauszników, który pewnie się musi nieźle dzielić, żeby działać na taką skalę. A same owoce? Są jak z obrazka, spryskane i pędzone. Ale dorodne, przyznam. A teraz Szymura podobno jakąś spółkę zawiązał z ludźmi z Gdańska i ciuchy będzie sprowadzał z Azji. Pewnie małe dzieci je szyją, to i tanie będą. W sklepach niedługo innych nie dostaniemy. Jak komuś nie będzie się podobało, będzie musiał jechać do Warszawy albo do Łodzi. Najzabawniejsze jest to, że on niekiedy nawet na tym nie zarabia. Chodzi o radość, jaką mu sprawia wykańczanie konkurencji. Czy to jest w porządku? Jak pan sądzi, panie mecenasie Mauer, w porządku czy nie? A jeśli nie, to czy w porządku jest, że pan reprezentuje takiego człowieka jak Szymura? Podobno ludzie pracujący dla mafiosów zawsze podkreślali, że to tylko ich praca...

– Nie reprezentuję Szymury. Przynajmniej nie teraz. Jestem tu w sprawie Wiśnika.

– Nie wierzę panu.

– Proszę. – Pokazałem jej pełnomocnictwo.

– To tylko papierek, nic nie znaczy. Obsługuje pan Szymurę, a jeśli raz wejdzie się z nim w spółkę, to już na wieki. To jest jak zaraza albo pakt z diabłem.

– Może...

– Proszę zapamiętać moje słowa. Szymura nie wypuszcza swoich zdobyczy. Kogo włoży do kieszeni, tego tylko on sam może wyjąć. A wyjmuje niechętnie.

Dobrze wiedziałem, że ona ma rację, a jednak męska duma nie pozwalała mi otwarcie się do tego przyznać.

– Miałem już z takimi do czynienia i jakoś mnie nie zniewolili.

– Z takimi jak Szymura na pewno pan nie miał. Widać, że naprawdę niewiele pan rozumie.

W tym momencie kelner przyniósł jej sałatkę, a przede mną postawił kilka przekąsek na spróbowanie w ramach przystawki. Monika miała rację.



Dobrze tu gotowali.

– Dlaczego Szymura dał mi do pani kontakt? – zapytałem.

– Dostał go pan od niego?

– Tak. – Miałem ochotę pokazać jej esemesa, ale na to się nie zdobyłem. Zresztą uwierzyła na słowo.

– Przebiegły typ.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Może uznał, że i tak się pan o mnie dowie? Wolał wyprzedzić fakty? Jeśli... jeśli jest pan taki uczciwy, jak mówi, może Szymura doszedł do wniosku, że lepiej będzie, żeby pan się dowiedział o wszystkim ode mnie już teraz. Potem może będzie mógł to z panem skonfrontować, przekonać pana, że to, co panu powiedziałam, to nieprawda. On się pewnie w tym momencie bardzo dobrze bawi. Siedzi podekscytowany w głębokim fotelu niedaleko stąd i podnieca go ta myśl. To lepsze niż kolejny milion. Zorganizował nasze spotkanie i poniekąd w nim uczestniczy. Może powinniśmy coś dla niego zamówić?

Poczułem bardzo mocny ucisk w piersi. Wiedziałem, o czym mówi. Dostrzegła coś, czego nie chcieli widzieć ci wszyscy zahipnotyzowani ludzie pozostający na usługach Szymury. Opowiadała o nim, a ja miałem wrażenie, że on tu z nami jest. Ucisk promieniował, z trudem robiłem dobrą minę. To nie było uczucie niepokoju, żadne jakieś mało znaczące ostrzeżenie. Zwyczajnie ktoś wtrącił moje serce i płuca w imadło i zarechotał, szepcząc: „To teraz oddychaj”. Kutas wiedział, że się nie da. Zanosił się śmiechem.

Co tu było grane?

Patrzyłem jak Monika je. Pomyślałem, że jeśli się uspokoję, odegnam złe emocje, postaram się potraktować to wszystko zawodowo, będzie dużo lepiej. Po prostu zbierasz dane, Mauer. Jesteś tu po to, żeby je przegadać. Ściągnąć na swój dysk, a potem przeanalizować. Nie masz kierować się emocjami. Za dużo ci płacą, żebyś reagował wzwozem na sobowtóra jakiejś super cizi. Jesteś ponad tym. Ponad.

– Czego się dowiem? – Wysiłem się mocno, by kontynuować i brzmieć naturalnie.

– Tego, co powinien pan dawno zauważyć. Ile lat pracuje pan dla

Szymury?

– Trzy. Może cztery – odparłem. W zasadzie pełne pięć, powinienem dodać. Nie dodałem.

– Wystarczy. Niczego pan nie zauważył?

Wzruszyłem ramionami.

– Niczego szczególnego.

– To miasto należy do Szymury. Zawłaszczył je. Przekupił, zdobył, wygrał w karty, obił, ukradł, okadził smrodem padliny. Czuje pan jeszcze ten zapach czy już się pan przyzwyczaił? A może powie pan, że śmierdzi tylko na zachodzie? Wschód jest wolny od smrodu. Szelków to przecież nie Mirów. Może pan jednak wstawić jeszcze parę innych niezbyt pochlebnych czasowników do opowieści o Szymurze, a nie będzie w nich kłamstwa. To indywiduum przez dwadzieścia ostatnich lat zdobywało Mirów i w końcu mu się udało. Podbił miasto i zniewolił. Jest jedynym, niepodzielnym władcą. Mogą się zmieniać burmistrzowie, urzędnicy, komendanci, naczelnicy, ale on jeden się nie zmieni. To jemu będą składać raporty.

– Jest po prostu dobrym biznesmenem, przedsiębiorcą. Wygrał w uczciwej walce...

– Naprawdę pan tak myśli?

– Naprawdę.

– To jest pan głupi i nie ma o czym gadać.

Przemilczałem.

– Ale pan nie jest głupi, prawda? Pan po prostu skłamał. Skłamał pan, bo za kłamstwa panu płacą.

– Nie mogę oceniać klientów.

– To wbrew etyce?

– Dokładnie.

– A prawda też jest wbrew etyce? – Kończyła sałatkę. Kelner pojawił się już na horyzoncie z daniem głównym, ale ona nagle rzuciła sztuczkami i walnęła pięściami w stół. Była teraz o milimetry ode mnie. – A branie sprawy Jana Wiśnika nie jest wbrew etyce, skoro reprezentuje się Szymurę?

Zmarszczyłem brwi. Chyba powinienem wstać i wyjść. A jednak tam siedziałem.

– Proszę posłuchać. Szymura twierdzi, że chce pomóc przyjacielowi. Nie rozumiem, co w tym złego...

– Najpierw go zniszczył, a teraz chce ratować... – warknęła. – Typowe dla niego. Upodlić, zmieszać z błotem, pokazać małość i pełną beznadziejność, a potem... wielkodusznie uratować. Oto pan i władca Szymura okazuje łaskę. Wysłał swojego paza, dobrego mecenasa Mauera, żeby wypełnił wolę.

– Co tak naprawdę stało się te dziesięć lat temu? Niech mi pani o tym opowie. Nie było tak, jak napisano w gazetach? Nie było tej siekiery?

Wahała się przez chwilę, a potem ucięła:

– Była.

– Mogę liczyć...

Przerwała mi gestem dłoni, ponownie przybliżyła swoją twarz do mojej i spojrzała mi w oczy.

– Nie wiem, jakie są tam u was zasady, nie wiem, czy pan kłamie, nie wiem, po co pan tu przyszedł, ale... Niech pan mi obieca, że pomoże Janiowi, a wszystko panu opowiem. Od początku do końca. Jedna jedyna obietnica. Że nie zdradzi pan Jania, że to jego będzie pan reprezentował, a nie Szymurę. Obiecuje pan?

– W tej sprawie...

– Obiecuje pan czy nie?

– Obieczę!

## 16.

Przyjaciele. Do szesnastego roku życia zawsze razem. W kinie i nie tylko. Janio ciągał małego Wicię zawsze za sobą. Wicia był biedny, bo miał w domu koszary, prawdziwy horror. Wychowała go przemoc i poczucie winy, że uchybia zasadom regulaminu.

Jego ojciec był wojskowym i prokuratorem czułym jak każdy zakuty trep. Ciosał charakter chłopaka pasem, pomalował mu świat na czarno-biało. Stara dobra metoda Pawłowa, tylko że bez nagród. Nagrodą był brak kary,

choć stan ten nie mógł nigdy trwać zbyt długo, bo spokój usypia czujność, zatruwa trądem wyobraźni.

On nawet chodzić nie umiał, tylko maszerował. Miał w głowie zegarek i wskazówki ustawione na poszczególnych obowiązkach. Wicio siedział pod stołem i merdał ogonem, wkuwając ojcowski kodeks zachowań. Normy nie były jednak jednoznaczne, zawsze popełniał jakiś błąd, zawsze znalazł się powód, by go ukarać.

Na co dzień spokojny i opanowany, przykładowy funkcjonariusz, wielki pan prokurator Szymura, gdy wracał do domu, pokazywał swoją prawdziwą twarz. Jedynym sposobem na młodego była według niego dyscyplina. Wiedział, co robi. Bicie mokrym ręcznikiem, lodowaty prysznic, godziny glancowania oficerskich butów. Nocne zbiórki, musztry, alarmy, ścielenie łóżka, tak by nie było zagięć na prześcieradle – pięć, dziesięć, sto razy, w międzyczasie wpierdol kablem albo pasem. Za nocą noc.

Piekło.

Własny ojciec je Wici urządził, umeblował łóżami tortur. Chłopak nie miał nikogo. Matka założyła pewnej nocy sznurek na szyję i się skończyło. Miała wreszcie spokój. Jak ona mogła? To była reakcja prokuratora. Nie poszedł nawet na jej pogrzeb. Był zły, bo został mu już tylko jeden worek treningowy.

Janio za to żył na innym biegunie. Swojego prawdziwego ojca nie znał, miał ojczyrna. Pierdołę takiego, który nawet wkręcić żarówkę nie umiał. Za to pracowity był. Szewc z powołania. Uczynny, dokładny, wszystko dla ludzi. Prawdziwy ojciec Jania to był ponoć jakiś mózg, co się z Mirowa wyniósł z rodzicami, jak jego przygodna znajomość zaszła w ciążę. „Z rodziny adwokatów, panie mecenasie, niech pan sobie wyobrazi. Z dobrej katolickiej rodziny”.

Matka była polonistką, ale zwolniono ją z pracy, bo podpisała jakieś papiery strajkowe. Wiersze pisała. On się od niej uczył. A potem też się zmarnowała, popadła w jakąś paranoję. W domu się nie przelewało. O dziwo partia pomagała. Tak narzekają dziś na komunę, na PZPR, wychwalają Solidarność, ale to nie Solidarność ukochana uratowała tę kobietę i jej rodzinę, a inspektor z PZPR, co przyznała pomoc socjalną, a potem pomogła matce znaleźć pracę przy sprzątaniu zakładu za miastem.

To był zakład chemiczny, już nie istnieje. Kupił go dawno temu Szymura, a potem sprzedał Szwedom. Szwedzi na koniec splajtowali, bo to był jakiś przekręt finansowy, a nie prawdziwa inwestycja.

Ale to nie ma znaczenia. Tak czy inaczej matka Jania, polonistka i wierszokletka, jeździła na szmacie w zakładach za miastem, takie to były czasy (a teraz to niby inne?).

Jania to wszystko specjalnie nie interesowało. Polityka, opozycja, pieniądze, matka, ojczym, nawet nieznanym ojciec. To były światy równoległe do rzeczywistości, w której on funkcjonował. Tylko w filmach i książkach siedział. Żył w nich. Zakradał się z Winnetou pod obóz Apaczów, spacerował z Markiem Winicjuszem zasłuchany w głos Ligii. Siedział w tych wszystkich Lemach, Waltarich, Márquezach, Cortázarach, Łysiakach, Zajdlach i Howardach. Jednego kończył, zaczynał drugiego. Czasem naraz czytał cztery książki. Przy śniadaniu i w szkole coś lekkiego, do obiadu i telewizji lektury szkolne i publikacje naukowe, a wieczorami chorował na jakichś pokręconych Pynchonów, Palahniuków, Célinów czy wydanych w podziemiu Kerouaców.

Poza Szymurą przyjaźnił się z Franiem z bloku obok. Franio był synem policjanta. Rówieśnikiem Jania. Ale w osiemdziesiątym piątym w grudniu Franio wziął siekiere i zajeł ojca.

Siekiera. Symboliczne, prawda?

Może Mirów powinien mieć w herbie tę siekiere.

Pewnie wiele takich miast by się u nas znalazło.

Wracając do Frania. Prawie ojcu łeb odrąbał i zniknął.

Dwa miesiące później ojciec innego kumpla Jania z kina zarębał żonę na oczach dziecka. Też siekiere, tylko taką małą, obozowo-kieszonkową. Jakieś fatum herbowe.

Janio zaczął wtedy pisać. Pisanie było fajne. Takie bezpieczne, takie... równoległe.

I kino. Też było dobre.

Lata mijały, drogi Jania i Wici się z czasem rozeszły. Wicia słuchał ojca prokuratora. Był wyćwiczony i zdolny. Na studia poszedł, ale ich nie skończył, za to biznesy zaczął kręcić, korzystając z osłony ojczulka, z jego wyrobionych układów i esbeckich związków, z jego łajdactwa i możliwości.

Janio zaś na studia nie poszedł, tylko do wojska.

– Przeze mnie – zakończyła Monika.

– Co się stało?

– Kochał się we mnie. Młodsza byłam od niego trochę, ale i tak mnie kiedyś wyłowił z powodu mojego podobieństwa do jednej aktorki, bo kiedyś byłam podobna...

Kiedyś.

– ...kochał się więc w tej dziewczynie jak z „Mystic Pizza”, a ona go nie chciała.

– Pani go nie kochała? – Coś w jej głosie i słowach sprawiło, że musiałem o to dopytać, upewnić się. Mówiła o Janiu z miłością. Jak siostra o bracie. Co najmniej.

– Ja go lubiłam. Byliśmy przyjaciółmi. Kochałam...

– Szymurę?

Aż nią wstrząsnęło. Nie, znów nie trafiłem.

– Co pan? Szymury nigdy nie kochałam, nawet nie lubiłam. Znałam się na takich jak on. Kochałam Piotrka z bloku na Hynka w dzielnicy Bema, ale on mnie nie kochał, tylko taką jedną Aldonę.

– Głupiec.

– Grzeczny pan jest, mecenasie, ale Aldona była po prostu lepsza ode mnie. Ja już miałam to swoje skrzywienie.

– Jakie?

– Może pan się dowie. Nie byłam specjalnie łatwa, w sensie do życia, do wspólnego życia z kimś. Po Piotрку kochałam Leona, chłopaka z Warszawy, ale ten z kolei to był drań i na szczęście szybko się odkochałam. Łajza zwykła z niego była, niech pan nie pyta dlaczego.

– Potem był Janio? – Coś mi mówiło, że ta przyjaźń...

– Byłby, gdybym się zorientowała. Ale głupia byłam. Zresztą, to tak jest, że nie widzi się miłości, jak za blisko podejdziesz. Sercem się czuje, ale nie widzi. Janio za blisko poszedł. Zdecydowanie za blisko. Zobaczyłam to za późno. Rozmawiałam z nim, przyjaźniłam, wyzalałam mu się, a miłości nie widziałam. Kiedy więc poznałam Romka, mojego obecnego męża, kiedy się w nim zakochałam, Janio po prostu odszedł. Zdradzony przez wszystkich.

Przez Frania, przez Wicię, przeze mnie. Przez cały ten podły, wcale nie tak równoległy los. Poszedł do wojska. Dziś wiem, że nie jestem bez winy, ale... co zrobić? Nie kochałam go, Jania nie dało się kochać tak jak innych. To, co nas łączyło, to był związek mentalny, zaślubiny myśli.

– Nadal jest pani z mężem?

– To moja miłość – powiedziała, ale jakoś bez przekonania. Może dlatego podkreśliła: – Jesteśmy razem.

Pokazała mi obrączkę.

– Ale łatwo nie jest? – Wyczułem to, wiedziałem już mniej więcej, czego się zaraz dowiem. Nawet nie musiałem pytać, bo to było oczywiste. Tylko w szczegółach mogło się różnić od ogółu.

– Wicia dba, by nie było – przyznała.

Powróciły pytania: „Miał ją, czy nie? A jeśli miał, to czy ona mi powie? A jeśli nie miał, to czy chciał mieć, czy próbował? I jak się obroniła?”.

– Nie – syknęła nagle ostro. – Wiem, co pan teraz myśli, ale ze mną akurat się nie odważył. Może pan nie uwierzy, ale nie próbował.

Rzeczywiście nie wierzyłem. Może dlatego dodała:

– Kiedyś jeden jego wspólnik powiedział mi, że Szymura o mnie kawały opowiada. Że na moim ciele można sobie siniaków narobić, takie chude i bez zderzaków, a w pochwie mam zęby. Kto wsadzi, już nie wyjmie.

Wiedziałem, że był do tego zdolny. Poczułem się źle. Nie niezręcznie. Po prostu źle. Że reprezentuję kogoś takiego, że przecież już nieraz sobie obiecywałem, że z tym skończę, że przez tyle lat, wiedząc, jaki jest, coraz bardziej usypiam swoje sumienie, czujność, coraz staranniej relatywizuję, uzasadniam, tłumaczę Szymurę.

W istocie jednak tuszowałem swoją sprzedajność. Szymura był synem Mirowa. Takiego chciałem go akceptować, przedkładając dobre rzeczy nad złe. Nieustannie porządkowałem moje wrażenia, ciągle układając na wierzchu te lepsze rzeczy – sukcesy, biznesowy zmysł, dzielenie się tym wszystkim z ludźmi, organizację, pozytywny wpływ na miasto.

Jednak zawsze dobrze wiedziałem, że ile bym nie ułożył na wierzchu, pod spodem będzie cuchnąć coraz bardziej, aż smród stanie się do niewytrzymania jak w Szelkowie. Pytanie tylko, czy wtedy to zauważę, wywącham. Czy nie będę nim już zbyt przesiąknięty. Może wówczas tylko

inni będą mi mogli zwrócić na to uwagę. Śmierdzi pan, panie mecenasie. Nie czuje pan, nie widzi, ale śmierdzi jak cholera.

– Pewnie najlepiej byłoby, jakbym się stąd wyniosła – powiedziała Monika. – Przecież nawet nie mam związków z tym całym Mirowem. To miasto Szymury, nie moje.

– Dlaczego pani tego nie zrobi?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. Chyba miała na końcu języka coś w stylu, że nie da się zastraszyć i przegonić, ale powiedziała zupełnie co innego: – Nie wiem, gdzie mogłabym pójść.

– A pani mąż? Może on mógłby...

– Mój mąż... – Machnęła ręką.

– Co z nim? – Poczulem jakieś podniecenie. Niezdrowe. Nie powinienem chyba zadawać tego pytania.

– Powiedzmy, że się wycofał.

– Z czego? Z walki?

Uśmiechnęła się.

– Nie, walczyć nigdy specjalnie nie umiał. Z życia się wycofał. Trochę jak Janio. Kto wie, może to ja jestem femme fatale, niszcę moich mężczyzn. Niech pan uważa, panie mecenasie, żeby przez jedną kolację i pana moja klątwa nie dotknęła.

– Nie wierzę w takie rzeczy.

Spojrzała ponad moją głowę.

– Wie pan, kiedyś Mirów to było piękne, małe miasteczko. Nie było tu za wiele pracy, ale powietrze było inne, woda w zalewie czysta, a ludzie dość otwarci i szczerzy. Dziś jest inaczej. Mój mąż też taki był. Szczery, otwarty, czysty. Nie śmierdział. Był też mądry. A teraz... jest inaczej.

Chrząknąłem. Chyba za daleko się posunąłem.

– Wróćmy do Jania – poprosiłem. Zauważyłem, że zwilgotniały jej oczy, ale szybko oblizwała usta i znów siedziała przede mną twarda, niepokonana kobieta o sile dziesięciu takich jak ja.

To mnie uderzyło. Przy tym wszystkim ciągle biła od niej kobiecość i może to sprzężenie było jej siłą. Wszyscy mężczyźni jej życia się poddawali, a ona trwała. I walczyła. Potrafiła tu przyjść i powiedzieć prawdę



o Szymurze.

– Wróćmy.

– Opowie mi pani o tym, co się stało tego konkretnego dnia, kiedy Jania zatrzymano z siekierą?

– Dokładnie nie wiem. Nie było mnie przy tym.

– A co pani sądzi, że się stało?

Zawahała się. Chyba jednak nie była jeszcze do końca pewna, na ile może sobie ze mną pozwolić.

– Myślę, że częściowo to prawda. Janek rzeczywiście... wybuchł.

– Częściowo?

– Tak, częściowo.

– Sądzi pani, że ktoś go sprowokował?

– Nie sądzę, ale wiem. Wszystko, co pan słyszał o Janku, jest prawdą. Rzeczywiście nie chciał pracować u Szymury. Zwolnili go, był bezrobotny i bez pieniędzy. Ale nie dlatego wybuchł. Akceptował to. Nie obchodziło go to. To było...

– Równoległe?

– Właśnie.

– Więc dlaczego pani zdaniem, wybuchł?

– Dokładnie niestety nie wiem. Nie chciał ze mną rozmawiać, nie chciał pomocy. Udawał przede mną, że wszystko pomiędzy nim a Szymurą jest w porządku, żebym się nie włączyła. Myślę, że chciał mnie w ten sposób ochronić.

– Bo tak naprawdę między nimi coś nie grało? – Ująłem ją odruchowo za nadgarstek i zaraz cofnąłem rękę. – Proszę powiedzieć.

Ostatnia bariera puściła. Przegryzła ją tak jak prawie przegryzła wargę.

– Według mnie Janio miał coś na Szymurę, coś poważnego. Szymura dlatego nie chciał go spuścić z oka. I sądzę, że jak Janio się wymykał, to bardzo się to Wici nie podobało. Dlatego kazał za nim chodzić różnym takim typom jak ten... Pawlak. Tak się nazywał ten zaatakowany.

– Pawlak pracował u Szymury?

– Przy rowerach – potwierdziła. – A potem jako koleś do specjalnych

poruczeń. Po aferze z Janiem Szymura przeniósł go gdzieś na północ do jakiejś spółki handlowej.

„Cholera” – pomyślałem, a ona kontynuowała:

– I w końcu w Janiu coś pękło i próbował się urwać. Napadł na Pawlaka, a że siekiera była pod ręką... dobrze, że nikomu nic się nie stało. Resztę już wiesz. Ojciec Szymury wsadził Jania do psychiatryka na zawsze, bo wybaczyć, mecenasie, nie wierzę, że go wyciągniesz.

Aż poczułem ból w skroniach, gdy uświadomiłem sobie wagę jej słów. I to, że skróciła dystans, tak jakoś naturalnie, bez fanfar zrezygnowała z „pana”, co mi pasowało.

– Zaraz, powiedziałaś: ojciec Szymury?

– Tak. Mówiłam przecież, że był prokuratorem. Szefem tutejszej prokuratury.

Chciałem to usłyszeć głośno i wyraźnie.

– Jesteś pewna, że sprawę Jania prowadził ojciec Szymury? To on wnosił o umieszczenie oskarżonego w szpitalu psychiatrycznym?

Nie było to bez znaczenia. Ona może nie wiedziała, ale ja już tak, że tylko prokurator może zwrócić się do sądu z takim wnioskiem. Nikt inny. Jeśli zrobił to ojciec Szymury, istniała bardzo poważna podstawa do wznowienia postępowania. Po tym, czego się właśnie dowiedziałem, osoba oskarżyciela publicznego powinna być wyłączona z tej sprawy.

Ojciec Szymury zwyczajnie nie miał prawa jej prowadzić. A prowadził. Ale na ten temat nie mogłem rozmawiać z Moniką. To było coś, co musiałem sobie dokładnie przemyśleć. Jak i całą tę rozmowę.

– Co Janio chciał powiedzieć mediom? – zapytałem w zasadzie tylko po to, żeby trochę zamaskować swoje ożywienie. – O czym chciał im opowiedzieć wtedy, tamtego dnia?

– Nie wiem. Ale chciał powiedzieć prawdę.

## CZĘŚĆ 2

17.

Zdradzałem wszystkie swoje kobiety. Basię też. Dwa razy. Jestem draniem. Nie potrafię tego swojego draństwa wytłumaczyć. Kiedyś, kiedy byłem jeszcze zwykłym draniem, sporo czasu przed Basią, było to dla mnie naturalne.

Nie wiązałem seksu z miłością, potrafiłem oddzielić jedno od drugiego. Kochałem jakąś kobietę, a uprawiałem seks z wieloma innymi, bo po prostu uważałem, że to nowoczesne, przyjemne, w gruncie rzeczy nieszkodliwe. To nie był seksoholizm. Zwyczajnie nie chciałem sobie odmawiać, w końcu raz się żyje.

Nie uświadamiałem sobie, że mogę w ten sposób ranić bliskie osoby, moje narzeczone, dziewczyny, moje miłości. Gdy one wyrzucały mnie z domów, serc, byłem zaskoczony i cynicznie rozkładałem ręce: zaraz, przecież ty też mogłaś uprawiać seks z innymi. Nie zabraniałem tego. Żadnej mojej kobiecie tego nie zakazywałem.

Basia mnie zmieniła. Uratowała. Po raz pierwszy zrozumiałem, że mam obok siebie kogoś naprawdę ważnego, bliskiego. Byłem pewien, że już nie potrzebuję innych wrażeń. Wydawało mi się, że jestem pewien siebie. Nie zwracałem uwagi na inne kobiety, przestałem kierować się w swoich wyborach sekretarek seksapilem, urodą, przestałem oglądać się na ulicy za kusymi spódniczkami. Zmieniłem się.

A jednak nie udało mi się całkowicie uchronić. Pierwszy raz to było z jakiejś dziwnej ciekawości, wyrachowania. Daleko stąd. Uważałem, że Basia nigdy się nie dowie i będzie to usprawiedliwione. W hotelu, bez zobowiązań, tylko seks. Ona miała męża, ja żonę. Razem mieliśmy tylko parę godzin seksu. Chyba udanego.

Okazało się, że mogę i że nic się nie zmieniło. Kochałem Basię jeszcze mocniej.

Drugi raz zrobiłem to przez złość. Jedna z prokurek tak ostentacyjnie mnie prowokowała, że musiałem jej udowodnić, że to ja jestem panem.

To był seks z zemsty. Chciałem tę babę upokorzyć. Pokazać jej, że jest gorsza. Skończyło się totalnym fiaskiem.

„Ogierem to ty nie jesteś, Mauer” – oceniła po fakcie.

Piszę o tym teraz, żebyście zrozumieli, co czułem, gdy odwoziłem do domu Monikę Lewińską po długiej rozmowie, w ciągu której się zbliżyliśmy, która nie była zwykłą rozmową biznesową, w której była masa emocji i wrażeń, z której przekaz miał wpłynąć na całe moje późniejsze życie. Miał je zniszczyć, zmiażdżyć, doprowadzić do totalnego rozbicia. I ja w jakiś sposób czułem, że to się dzieje. Że tego nie da się już zmienić.

Równoległe światy zbyt się do siebie zbliżyły.

Więc próbowałem zabić te przeczucia myśleniem o seksie. Seksie z Moniką Lewińską. Przez całą drogę do jej domu za miastem, na wschód od Mirowa, w przeciwną stronę niż dom Szymury, zastanawiałem się, czy za chwilę nie poprosi mnie, bym wjechał w jakąś dróżkę i ją wziął. Czułem to napięcie. Ona czuła, że mam wzwód, że jestem na granicy rzucenia się na nią. To się po prostu wie.

Mauer, jesteś świnią, przekłętą świnią. Masz ukochaną Basię, wspaniałe życie erotyczne, wszystko poukładane, a tak skutecznie to rozpieprzasz. Dlaczego?

– Szymura to diabeł – powiedziała w pewnej chwili, może chcąc, by to erotyczne napięcie prysło. – On ci nie daruje, jeśli staniesz przeciwko niemu. Nie masz z nim szans. Dobrze się zastanów, co chcesz zrobić.

Nie odpowiedziałem. Nie oczekiwała tego.

– Upokarza swoich wrogów do końca, chyba że chwycą podaną na zgodę dłoń, poddadzą się, okażą szacunek, złożą sztandary, skapitulują. Jest bezwzględny i okrutny. Jeśli będziesz chciał poszukać, dowiesz się o wielu rzeczach, o których nie masz pojęcia. A wtedy nie będzie już odwrotu. Będziesz musiał zdecydować. Jasna strona albo ciemna. A jak wybierzesz jasną, to wejdiesz do pokoju, z którego jedynym wyjściem jest śmierć. Jak Janio. Nie wiem, dlaczego Wicia chce mu teraz pomóc, ale to nie jest szczerze. On ma w tym inny cel. Uważaj na siebie.

– Cały czas uważam.

– Zatrzymaj się tu – powiedziała w pewnej chwili, gdy wjechaliśmy w gęsty las. Znowu poczułem obawo-nadzieję. Czy to już? Czy zaraz pogłuszcze dłonią mój policzek, a potem zsunie ją niżej, przybliży usta do mojego ucha i szepnie: „Może w końcu przestaniemy udawać, Tomi?”. Tak nazywała mnie tylko Basia.

– Nie chcę, żeby Romek cię zobaczył – wyjaśniła Monika.

Stanałem w lesie jakiś kilometr od jej domu, jeśli dobrze wskazywał GPS. Zatrzymałem samochód i patrzyłem na jedną z najwspanialszych kobiet, jakie poznałem. Przyglądałem się niczym ostatni dureń, jak wysiada i odchodzi w dal. Dumny z siebie, że udało mi się oprzeć, że niczego nie próbowałem, że ujarzmiłem demony. Patrzyłem, jak znika w ciemności. We mgle. W lekko siąpiącej mżawce.

Zawróciłem i zanim odjechałem, spojrzałem jeszcze na zegarek. Minęła północ.

## 18.

Gdybym wcześniej skończył kolację z Moniką Lewińską, zapewne zadzwoniłbym od razu do Szymury. Nie wiem, co bym powiedział, ale pewnie nie byłaby to miła rozmowa. Kiedyś nauczyłem się, by nie reagować na nic w emocjach. Na przykład na drażliwe e-maile starałem się odpowiadać z co najmniej jednodniowym opóźnieniem. Żeby wszystko dobrze przemyśleć.

W nocy kochałem się z Basią. Jestem pewien, że wyczuła we mnie zmianę. To, że chciałem coś zamanifestować. Byłem zbyt zaborczy. Zbyt się starałem, by jej pokazać, że wciąż jestem dobrym kochankiem. By udowodnić, że cały czas ją zdobywam, będę zdobywał i nie traktuję jak własność. Że nie jest dla mnie tym, czym dla Szymury, mojego dobrodzieja Wici, była jego Wiola.

A potem pojawiło się przecucie. I wiedziałem już, że stało się coś złego.

Około ósmej rano zadzwonił Bańka.

– Powinieneś tu przyjechać.

– Gdzie?

Podał mi, co mam wpisać w GPS, a ja poczułem, jak coś mnie nagle obejmuje, zaciska się na piersiach i szyi. Oddychaj, oddychaj!

Chrubieszów, wioska niemal przylegająca do Mirowa. Kilkanaście starych chałup i dwa osiedla domków jednorodzinnych, segmentów oraz większych willi. W jednym z tych pierwszych mieszkała Monika Lewińska.

– Co się stało?

– Morderstwo.

Nie musiał tego mówić. Mój anioł stróż już dawno dzwonił w dzwony. Morderstwo.

– Kobieta – dodał. – Gwałt i morderstwo.

Przełknąłem głośno ślinę.

Układało mi się to w głowie.

Gwałt i morderstwo.

– Dlaczego chcesz, żebym przyjechał?

– Wciąż jesteś adwokatem prezesa Szymury, tak? – zapytał Bańka bez krępacji. – Jeśli się nie mylę, karne też obsługujesz, prawda?

– Tak. Jest o coś podejrzany?

Prychnął.

– No co ty? Ale na pewno będzie chciał złapać sprawcę. Jak wiesz, Szymura nie lubi, gdy na jego terenie się kogoś gwałci i zabija. Przyjedziesz?

– Szymura nie lubi, gdy na jego terenie... – powtórzyłem i pomyślałem: „tylko Szymura może na swoim terenie gwałcić i zabijać”.

Odłożyłem aparat, a potem powiedziałem gdzieś w pustkę:

– Tak, pewnie.

## 19.

Ciało znaleziono w głębi lasu. Morderca musiał spotkać ją na drodze, tam obezwładnił, pobił, a następnie przeciągnął całkiem daleko, prawie sto metrów. Taka była pierwsza teza postawiona przez śledczych na podstawie

zebranych dotąd danych. Ślady traseologiczne ujawnione na trasie, którą napastnik włókł ofiarę, wskazywały, że nosi rozmiar buta czterdzieści trzy. Albo założył za małe lub za duże obuwie, żeby zmylić śledczych.

Leżała tam. Z rozrzuconymi na boki nogami, bez bielizny, bez życia. Zakrwawiona, cała pokryta krwią, jakby ktoś włożył ciało do wanny z czerwoną farbą. Ale to nie była farba. To była jej krew.

– Przeciął jej tętnicę – wyjaśnił Bańka. – Na cipie.

Chodziło mu o tętnicę udową. Poczulem nagle do Bańki niesamowite obrzydzenie. Ten knur powinien dawno dostać porządnego kopa w zęby. Najlepiej od jakiejś kobiety. Byłem pewien, że Monika by sobie poradziła i spełniła moje życzenie. Gdyby żyła.

– Podejrzewam, że zastraszył ją nożem, wepchnął jej go w pochwę, a potem pociągnął i się rozlało. Mocne serce. Pompowało, aż wyszło tyle, że wszędzie chujnia...

Bańka! Miałem ochotę na niego wrzasnąć.

Ale nie wrzasnałem.

– Mąż ją znalazł. Zaniepokoił się, że nie wróciła. Nie tak bardzo, bo... już się zdarzało, że późno wracała, ale jak nie było jej rano, gdy się przebudził, to poszedł na spacer, trochę po piątej, no i znalazł. Coś taki blady?

– Znałem ją – szepnąłem. Miałem wiotkie ramiona i nogi jak z waty. Cała ta sytuacja wydawała się absurdalna, ale to nie był zły sen.

– A kto jej nie znał. Lewińska – mruknął. – W Mirowie to legenda. Wszyscy się nabijali, że mamy w mieście laskę, co Clintonowi robiła loda, i to tak dumną z tego, że nawet jak miała okazję, to nazwiska nie zmieniała na mężowskie. Szymura po pijaku omal nie uchwalił powstania jej pomnika. Miała być na nim na kolanach pod...

– Stołem – przerwałem. Tak naprawdę jednak nie miałem głowy do kontynuowania tej rozmowy.

– Ale bez Billa – dodał ze smutkiem Bańka. – Taki pomnik bez Billa nie miałby sensu. Ale Kościół i tak by nie klepnął. Pewnie proboszcz by przyszedł i nas przeklął, że wyzywamy los. Jeszcze ktoś by zapytał, czy to czasem nie o księdza proboszcza chodzi, bo przecież wszyscy wiedzą, że on lubi po francusku. Leniwy jest, to lubi. Brzuch ma taki, że jak mu laski robią loda, to nie widzi, więc może udawać świętoszkowatego. Taki, kurwa,

czyścioszek.

– Odwiozłem ją wczoraj w nocy – szepnąłem.

Bańka przez chwilę nie odpowiadał, jakby nie załapał znaczenia moich słów. Przez moment pomyślałem nawet, że każe mnie natychmiast zakuć w kajdanki. To przecież oczywiste, że byłem w kręgu podejrzanych. Większość morderstw w Mirowie i okolicach miała tło alkoholowe. Bańka mówił, że to takie wiejskie uboje. Po pijaku szły w ruch widły, siekiery i noże. Sprawców łapano niemalże na gorącym uczynku. Zbrodnie popełniano zazwyczaj w afekcie, nikt ich nie planował. Z kobietą zabitą w lesie, z motywem seksualnym, chyba mieli do czynienia pierwszy raz. Gwałty się zdarzały, ale morderstwo... Tak, z pewnością był to pierwszy raz. Żeby chociaż siekierą ją zarąbali. Ale przecięta tętnica udowa?

– Co?

– Mówię, że byłem z denatką wczoraj w nocy – powtórzyłem. Denatka. Sam się zdziwiłem, że tak gładko przeszło mi to przez gardło. Nawet nie zadrapało.

Skrzywił się.

– Z tą tu?

– Nie, z tamtą. – Wskazałem gdzieś w bok.

– Jak to byłeś? Bzykałeś ją?

– Nie, tylko odwiozłem do domu, to znaczy tutaj, do lasu.

– Dlaczego do lasu, a nie do domu?

– Nie chciała, żeby mąż zobaczył...

– Aha, i nie bzyknałeś?

– Nie. Tylko odwiozłem.

Machnął ręką, choć skrzywił się z niedowierzaniem.

– E tam, nie pierdol. Jak odwiozłeś tu, to pewnie bzyknałeś, tylko przyznać się nie chcesz, żeby czasem Basia gdzieś nie wyczytała. Spoko, pismacy Szymury wiedzą, że nie wolno ujawniać tajemnicy śledztwa.

– Mówię ci, że do niczego nie doszło.

– Mam nadzieję, że użyłeś gumy, bo jak znajdziemy twoją spernę, to może być chujnia.

– Nie znajdziecie. Ale i tak powinieneś mnie z tego wyłączyć, żeby nie



było...

Rozprostował ramiona. Przeciągnął się.

– Tomku, przestań pierdolić, przecież nikt cię nie oskarży o zabójstwo tej wariatki. Przywiozłeś ją, ale nie zabiłeś, prawda? Nawet jeśli bzyknąłeś, to nie zabiłeś. Ja to wiem, ty to wiesz, nie trzeba nikomu udowadniać.

– No tak.

– Przyjąłem, wierzę ci. Zrobimy potem zeznanie do protokołu. Jak chcesz, będziesz świadkiem numer dwa, zaraz po mężulku, bo to on ją znalazł.

„Świadek numer dwa – powtórzyłem w myślach – po mężulku”. On będzie pierwszym podejrzanym. Jeśli coś na niego znajdą, na tym się skończy. Jak nie, to na drugiego podejrzanego może awansować „świadek numer dwa”.

– Wiem, że muchy byś nie skrzywdził – kontynuował prokurator rejonowy – a co dopiero taką sukę. Tomku, ty się lepiej zastanów nad innymi sprawami, a nie nad pierdołami.

Czynności na miejscu zbrodni trwały już dobre dwie godziny. Pracował przy tym cały sztab, również ci z Komendy Wojewódzkiej Policji. Udział prokuratora w oględzinach był obowiązkowy. Pierwsi przybyli funkcjonariusze musieli zaczekać na Bańkę.

Nie przysłał nikogo z podwładnych. Chciał osobiście dopilnować spraw. To on tu wszystko nadzorował, dyktując protokół oględzin, w którym zapisywano szczegóły.

Technicy policyjni systematycznie uwijali się z zabezpieczaniem śladów. Zdjęto odciski palców, ale na tym nie poprzestano. Zbierano szyszki i skrawki odzieży poplamione krwią, przyporządkowując im odpowiednie numery, których szerszy opis znajdował się w protokole.

Dowody rzeczowe zamykano w woreczkach strunowych, ale przedtem fotograf utrwał ich pierwotne położenie. Wykonano też szereg zdjęć ciała w różnych ujęciach i zbliżeniach. Policjanci z wojewódzkiej przyjechali z psem. Podjął ślad, tyle że rozkojarzyła go przebiegająca w oddali sarna i przestał współpracować.

Te same procedury dotyczyły śladów biologicznych – krwi, wymazów. To była już działka miejscowego patomorfologa.

Krzysztof Bednarz miał ten sam posepny, niezdradzający emocji wyraz

twarzy co zwykle. W milczeniu wykonywał swoją pracę. Doktor miał już na karku prawie sześćdziesiątkę i napatrzył się przez te lata na tysiące ciał: samobójców, ofiar wypadków komunikacyjnych, topielców. Jak doświadczony mechanik ogląda zepsuty silnik, on oglądał zwłoki i znał się na swojej robocie.

Stałem w środku leśnej enklawy. Czuję w nozdrzach zapach igliwia i szyszek zmieszanych z kurzem. Śpiewały ptaki, grała mi w uszach orkiestra gzów i świerszczy. Kilka godzin temu w tym miejscu rozegrała się tragedia. Monika pewnie krzyczała, szukała ratunku. Tuż po tym, jak ją zostawiłem. Kto wie, może gdybym nie włączył muzyki w aucie, usłyszałbym ją, wrócił i... dał się zabić. Jakoś nie widziałem siebie w roli ratownika. Nie dałem się jednak dalej ponieść wyobraźni, to było zbyt trudne.

Jakiś czas potem przyjechali burmistrz z Szymurą. Burmistrz wyraźnie nie w sosie. Biedak nie znał się na zabijaniu. Na gwałceniu trochę lepiej. Trzy lata temu jedna taka go oskarżyła, ale potem wyszło, że przez rok z nim sypiała, więc co to za gwałt. Jak mówił pewien mąż stanu: „Kurwy nie można zgwałcić”. Sędzia z trudem zachowywał na procesie powagę, a gazeta Szymury donosiła, że prostytutki z Mirowa uczą się od tych z Brukseli. Drobne nieporozumienie pomiędzy kochankami i zarzut o gwałt gotowy. Jak znam burmistrza, coś było na rzeczy. Typ był dziwny, co najmniej podejrzany. Ale do takiego prezydenta Wiśnickiego z Mazurowa było mu daleko. Przy nim to żaden gwałciciel.

Tak czy inaczej nie chciał obejrzeć ciała, nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Za to Szymura aż się oblizywał z nadzieją, że będzie mógł się nacieszyć chociaż widokiem.

Stanął koło mnie, oddychał gardłowo, a kiedy na chwilę zostaliśmy całkiem sami, zapytał o to samo, o co pytał Bańka.

Skrzywił się, gdy powiedziałem, że jej nie bzyknałem.

– Szkoda. Fajna była z niej laska.

– Fajna – potwierdziłem.

Mieliśmy jednak co innego na myśli. Chyba pierwszy raz, od kiedy poznałem Szymurę, miałem ochotę chwycić go za gardło. Najmocniej jak potrafiłem. Ale co by to dało? Mój najsilniejszy cios wywołałby jedynie

uśmiech politowania tego draba.

– Ale ktoś ją bzyknął – podsumował.

Potem zjechali się dziennikarze z telewizją regionalną na czele. Bańka ich przestrzegł:

– Jakakolwiek sensacja i macie szlaban na zawsze. Żadnych szczegółów. Tylko ogólniki.

– Co możemy przekazać?

– Że był wypadek i jest jedno ciało.

– Morderstwo, gwałt?

– A czy to ja ją zamordowałem i zgwałciłem, że mam wiedzieć? Przecież nie wiadomo. Jest ciało, tyle wiemy. Po sekcji dowiemy się więcej.

Widziałem, że Szymura ma ochotę wyrwać się ze zgoła odmiennym przekazem, ale się powstrzymał. Tego, co zostanie powiedziane, nie da się już wymazać. Dobra strategia. Kiedy dziennikarze odeszli, mój nieszczęsny mandant nachylił się i szepnął:

– Głupi ten Bańka. Nie chciałbyś go zastąpić?

Szczerze mówiąc, zastanawiałem się właśnie, czy Szymura może stać za tym zabójstwem. Tylko po co wcześniej mnie na nią nakierował? Gdyby chciał się obronić przed jej informacjami, powinien zadziałać w odwrotnej kolejności. Poza tym cała jego mowa ciała w tej chwili, a nawet samo to, że tutaj przyjechał i że zachowywał się tak bezpretensjonalnie, jak zawsze wulgarnie, to wszystko świadczyło, że nie miał z tym nic wspólnego.

To ja przez swoją obecność na miejscu tuż przed zdarzeniem powinienem być podejrzany. Miałem jednak ochotę podpowiedzieć Bańce, by zapytał o alibi mecenasów Mirowskiego i Wandzlika. Oni mi tu bardzo pasowali.

Burmistrz wyłgał się jakoś i odjechał. Powoli inni też się zmywali. Karawan zabrał ciało. Zwłoki umieszczono w czarnym, foliowym worku, a potem przeniesiono do plastikowej trumny. Przypominała trochę deskę surfingową oglądaną przez szkło powiększające. Wyświetlony przedmiot, w którym transportowano wcześniej do prosektorium niezliczoną liczbę trupów. Pomyślałem o rzeźnikach przeprowadzających rozbiór mięsa, którzy pakują łopatki, schaby, karkówki do plastikowych pojemników, rozwożą je po sklepach, a potem myją podłogę wodą ze szlauchu i szlachtują

następne świnie.

Komendant policji zaprosił nas na wódkę.

– Nie dziś – odparł Szymura, a potem zwrócił się do mnie: – Tomku, jedziesz ze mną.

Nie zdążyłem zapytać o swoje auto, bo przekazał policjantom, by zabrali je do miasta i zaparkowali przed kancelarią. Wiadomo, Mirów. Szymura jest tu nadkomendantem.

Chcąc nie chcąc, wsiadłem do prezesowskiego merca, a ten ruszył gwałtownie i zdecydowanie za szybko pokonywał wąską dróżkę.

– Kurwa, akurat teraz – warknął.

– Musimy pogadać – odparłem. Chciałem to z siebie zrzucić.

– Przecież gadamy.

– Ale tak poważnie pogadać. – Ugryzłem się w wargę. Nie mogłem dłużej tego przeciągać.

– Wal.

– Tu?

– A co, źle ci? – Zahamował gwałtownie, wyszukał jeden ze zjazdów w las, skręcił i zatrzymał auto. – Może być?

– Witoldzie... – zacząłem niepewnie.

– Nie pierdoł, tylko do rzeczy!

Zawahałem się. Pomyślałem, że jeśli powiem o słowo za dużo, mogę zaraz wylądować koło Moniki Lewińskiej. I kto będzie dociekał? Może dla Bańki byłoby to nawet idealne wyjaśnienie. Kochankowie się poprzytykali. Kochaś zadał jej śmierć, a potem z rozpaczony wpakował sobie kulkę w łeb, otrul się albo utopił. Ta wersja miała nawet jakąś logikę i była przesycona romantyzmem. A że nie byli kochankami? Tym gorzej dla nich. Mogli skorzystać, kiedy jeszcze żyli. Zresztą, kto będzie się w to zagłębiał?

Wysiedliśmy z samochodu. Szymura wyszedł pierwszy i ruszył skrajem lasu. Wolno podążałem za nim. Nie naciskał, był jakiś zamyślony. Wreszcie przystanął i pytająco spojrział mi w oczy, jakby chciał powiedzieć: „No mów wreszcie”.

– Monika opowiedziała mi o tobie i Janku. O sobie też.

– Co ta kurwa zmyśliła? Nie tknąłem jej.

– Też tak mówiła.

– Dobrze. Prawdę mówiła. Może i ładna była, ale nie w moim typie. Tej jednej suki nawet nie chciałem.

Kłamał, przynajmniej w tym ostatnim aspekcie. Nie mógł jej mieć, więc sobie kłamstwo obmyślił, opatulił je legendami, żartami, dygresjami. Ale kłamstwa nic nie zmieni w prawdę. Żeby uzyskać efekt odwrotny, wystarczy fałszywy świadek czy spaczone lustro, ale gdy się próbuje kłamstwo ubrać w szaty prawdy, to zawsze coś je zdradzi. I Szymura dobrze wiedział, że ja to wyczułem, a jednak uparcie trzymał się tej wersji. Mówił z wyjątkową pewnością siebie.

– Dlaczego mnie do niej posłałeś?

– Bo mogła ci opowiedzieć o Janku bez ściemy. Prawdę mówiła.

– Prawdę?

– Tak sędzę.

Powtórzyłem z pamięci, co usłyszałem od Moniki Lewińskiej, a Szymura słuchał uważnie. Czasem kiwał głową. W kilku miejscach pokręcił nią przecząco, ale raczej nie po to, żeby zaprzeczyć faktom, tylko ich interpretacji.

– Wszystko prawda – orzekł w końcu. – Wyciągnij mi teraz Jania z tego psychiatryka i będzie w porządku.

– Nasłałeś na niego Pawlaka? Wywieraleś na nim jakąś presję? – dopytałem, choć bałem się usłyszeć odpowiedzi.

Widziałem, że cofa się pamięcią w jakieś odległe czasy. Szukał ich, spoglądając w dal. Było w tym coś przekonującego.

– Janio był niebezpieczny sam dla siebie. Chciałem o niego zadbać. Pawlak... chuj miał inny pomysł. Nie po mojemu. Nie moja wina.

– Nadal u ciebie pracuje?

– Pawlak? – Uśmiechnął się pod nosem, jakbym zadał żartobliwe, retoryczne pytanie, na które nie trzeba odpowiadać.

– Co robi?

Zawahał się, czy mnie okłamać, ale powiedział prawdę:

– Zdechł kutas. Utopił się. Dużo pił i się utopił.

Kolejna śmierć. Zagadkowa? Może nawet nie. Ale śmierć. Coraz bardziej

mi tu śmierdziało. Szymura też to musiał poczuć, bo nagle spojrzął na mnie zupełnie nie jak na przyjaciela. Spojrzął swoim wzrokiem biznesowego negocjatora, z błyskiem, który tak dobrze znałem. Który przekazywał: nie podskakuj, szczeniaku, bo lew zaryczy.

Błysk zgasł równie szybko, jak się pojawił.

Może dlatego, że nie chciałem, by wrócił, nie zadałem tego najważniejszego pytania: o ojca. O prokuratora, którego nigdy nie widziałem, który był w Mirowie tematem tabu, o którym Bańka powiedział mi na początku naszej znajomości: „o jedno Szymury nie wolno ci pytać”.

Szymura odstąpił, wypuścił powietrze z płuc, rozluźnił mięśnie. A potem szepnął bardzo łagodnie, tak subtelnie i delikatnie, jak jeszcze nigdy wcześniej:

– Tomku, niczego od ciebie więcej nie chcę, tylko żebyś mi przyjaciela Jania z psychiatryka wyciągnął.

## 20.

Stosowanie środka zabezpieczającego to nie jest zwykły pobyt w szpitalu. Pacjent w istocie zostaje pozbawiony wolności i dozwolone jest używanie wobec niego środków przymusu bezpośredniego. Można kontrolować i przeszukiwać miejsca, w których przebywa. Można mu założyć kaftan i opowiadać sprośne dowcipy. Można go torturować i szydzić z jego nagości pod prysznicem. Jest wiele metod na upokorzenie...

Osobiste kontakty sprawcy przebywającego w zakładzie psychiatrycznym z osobami odwiedzającymi odbywają się tylko za pozwoleniem kierowników tych placówek, którzy mogą odmówić udzielenia takiej zgody, w szczególności gdy kontakty te powodują wzrost ryzyka zachowań niebezpiecznych.

Podpisując pełnomocnictwo, Wiśnik upoważnił mnie również do zapoznania się z wszystkimi dokumentami dotyczącymi jego pobytu w szpitalu psychiatrycznym, które znajdowały się w administracji tej placówki. Ze zdumieniem stwierdziłem, że przez wszystkie te lata nikt go nie odwiedzał, a przynajmniej nikt nie uzyskał zgody na bezpośredni

kontakt z nim.

Podczas pierwszej rozmowy Jan Wiśnik wydał mi się dość oczywistym przykładem nadużycia prawa z wszystkimi jego brakami, podejścia systemowego bez spojrzenia na jednostkowy przypadek z pożądaną w takich sytuacjach dozą zrozumienia, empatii, krytycyzmu i wnikliwości.

Potraktowali go „na sztukę”.

Sędzia, prokurator, lekarze. Zawiódł cały system. Najlepiej pójść na skróty. Pozbyć się problemu przez przesunięcie. Oznakować, zakolczykować, zamknąć w „przeczekalni”.

Owszem, Jan Wiśnik popełnił wykroczenie, przestępstwo, może nawet poważne, zagrażał ludziom, ale od tamtych zdarzeń minęło już przecież tyle lat. Na pewno nie zasługiwał na dziesięcioletnie przymusowe osadzenie w szpitalu.

Nawet jeśli przyjąć, że zamierzał kogoś skrzywdzić, i jeśli w sprawie chodziło o tę nieszczęsną siekierę, to dziś przy odpowiednich procedurach, programach leczenia, resocjalizacji w tym przypadku można było pokusić się o optymizm co do prognozy kryminalno-społecznej na przyszłość. Nie mówiąc już o tym, że może wcale nie zamierzał nikogo skrzywdzić, tylko chciał się bronić przed Pawlakiem i innymi siepaczami Szymury.

Tego proces Jana Wiśnika nie wyjaśnił, bo się zwyczajnie nie odbył. Łatwiej było zamieść problem pod dywan...

Mimo naprawdę wielkich samokontrolnych barier, jakie postawiłem swojemu myśleniu, nie potrafiłem wyzbyć się przeświadczenia, że Wiśnik został osaczony przez złych ludzi i dlatego tak zareagował. Po wizytach w Szelkowie, u Wandzlika i Mirowskiego, po rozmowach z Albertem, Bańką, Szymurą i Moniką po prostu to czułem. Ukuto legendę, że to groźny wariat, dla którego właściwym miejscem jest psychiatryk. Być może nawet straszono nim dzieci.

Tylko dlaczego potem milczał i się nie bronił?

Dlaczego nie powiedział w sądzie tego, co chciał powiedzieć mediom?

Może nie mógł? Może ktoś mu zagroził, że skrzywdzi kogoś z rodziny (nie pamiętałem, czy matka z ojczymem jeszcze wtedy żyli, więc zanotowałem, żeby to sprawdzić) albo... Monikę. To było prawdopodobne. Może Lewińska była nieświadomą lub świadomą zakładniczką? Miałem sto

wersji, ale żadna nie trzymała się do końca kupy. Pomyślałem, że gdybym nie wziął tej sprawy, nie poznałbym pewnie Moniki. Jej śmierć nie zrobiłaby na mnie większego wrażenia. Może bym o niej usłyszał, ale bym się kompletnie nie przejął.

Spędziłem z nią jednak tych kilka godzin, które zmieniły moje życie. Ciągłe brzmiały mi w uszach jej pełne troski słowa: „Niech mi pan obieca, że pomoże Janiowi”. W jakimś sensie byłem wykonawcą tego testamentu. I miałem świadomość, że mogła zginąć właśnie przez tę sprawę, przeze mnie, że to ja odegrałem rolę posłańca śmierci.

– Pogadamy szczerze, panie Wiśnik? – zapytałem. – Janio, mogę się tak do ciebie zwracać? Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

Wzruszył ramionami, jakby chciał odpowiedzieć: zawsze jestem szczerzy. Ale nie powiedział nic. Milczał.

– Staralem się możliwie najdokładniej przyjrzeć twojej sprawie i uważam, że jest duża szansa, żeby cię stąd wyciągnąć. Pytanie, czy tego chcesz?

Wiśnik patrzył mi w oczy. Myślał. Odniosłem wrażenie, że nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Nie dostrzegłem w jego oczach tego błysku, który wielokrotnie widziałem w więzieniach i aresztach w źrenicach klientów zostawianych z nadzieją na wolność.

– Nie wiem – powiedział w końcu.

Trudno o lepszą odpowiedź. Ja też nie wiedziałem.

– Mam spróbować?

Znów milczenie.

– Co się wtedy stało? Dlaczego napadłeś tego Pawlaka?

Cisza.

– Chodził za tobą, straszył? Szymura go na ciebie nasłał?

Wzdrygnął się. Miałem wrażenie, że stąpam po kruchym lodzie.

– Nic nie powiem. Nie powiem nic złego na Szymurę.

Ktoś dał mu cynk, znak, że powinien o tym zapewnić? Że to mu pozwoli kontynuować grę?

– Rozmawiałem z Moniką – szepnąłem.

Nagle się ożywił, jakby miał ochotę podskoczyć. Pomyślałem, że jeśli powiem mu o jej śmierci, to mnie udusi. Wybuchnie. Albo w końcu powie



mi prawdę. Wyzna wreszcie, co się wydarzyło wtedy i co się dzieje teraz. Dlaczego Szymura chce, żeby wyszedł.

– Nie mieszaj jej w to. Jej to nie dotyczy.

– Po prostu próbowałem się czegoś o tobie dowiedzieć.

– Monika... Już nie ma Moniki...

„Zadziwiające, ale nawet nie wiesz, że się nie mylisz” – pomyślałem i natychmiast zgańłem się za cynizm.

– Powiedziała mi o was, o tobie, Wici, o innych sprawach. Powiedziała mi, że coś musiałeś zobaczyć u Szymury i dlatego...

– Nic nie wiem – przerwał mi. – Niczego nie widziałem.

– O czym zamierzałeś opowiedzieć mediom? Po co wołałeś, że chcesz telewizję i gazety?

Nie odpowiedział.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę w tym klimacie, a potem uznałem, że trzeba się ewakuować. I wtedy nagle Janio zdecydował.

– Jednak wolę zostać.

– Co takiego?

– Niech pan mnie zostawi w spokoju. Zostanę w szpitalu. Nie chcę, żeby pan robił cokolwiek w mojej sprawie, panie mecenasie.

Nic nie zrobiłem.

W normalnych okolicznościach poprosiłbym o oświadczenie na piśmie, że wypowiada mi pełnomocnictwo.

Robiłem tak nieraz z klientami, z którymi nie było mi po drodze, i miałem święty spokój. Zazwyczaj zwracałem połowę honorarium i rozchodziliśmy się w pokoju.

Tym razem zdecydowałem sam, zdecydowałem za niego.

## 21.

W miastach takich jak Mirów wszystko jest powtarzalne. Każdy rok zaczyna się podobnie, ma identyczny wakacyjny środek i niby wystrzałowy,

pełen fajerwerków, a tak naprawdę dość ponury, smutny, ciężkostrawny po bożonarodzeniowym obżarstwie koniec. Ludzie nie mają wielkich ambicji. Ciężko pracują, z trudem wiążą koniec z końcem. Są wdzięczni za pracę, choć lubią sobie ponarzekać. W takich miastach nie ma wielkich perspektyw. Młodzież wyjeżdża do Anglii albo pracuje „u Niemca”.

Każdy tydzień poza świętami wygląda podobnie, choć i święta nie różnią się specjalnie od siebie.

W poniedziałki wszyscy przeklinają, że to już koniec weekendu. Niedopici, przepici, niewyspani idą do roboty, pomstując na swój podły los. Wtorek jest do bani, ale trochę mniej niż poniedziałek.

W środę ładne kobiety robią zakupy, a przystojni mężczyźni wyławiają je z tłumu. Środa jest dniem kochanków. Motel za miastem notuje tego dnia najwięcej rezerwacji. Leśnicy z nadleśnictwa ustawiają wtedy ostrość w kamerkach i oglądają sobie parkujące w ustronnych miejscach luksusowe limuzyny i tanie busy. Z mojego doświadczenia wynika, że większość zbrodni na tle damsko-męskim ma miejsce właśnie w środy.

Gdy sobie odgrzebałem własne rzeczy z przeszłości, okazało się, że dwa razy zdradziłem Basię dokładnie tego dnia. Dziwne, nie?

W czwartki mieszkańcy Mirowa uprawiają sport. Może dlatego, że ci, którzy nie zdradzają żon i nie szukają kochanek, w środę oglądają Ligę Mistrzów. W czwartek też bywają mecze i to może nawet bardziej interesujące dla lokalnego widza. Tak więc w czwartki wzmożony ruch odnotowują siłownie, basen, sale sportowe, korty. Dlaczego? Jeśli wyżej nie wyjaśniłem wystarczająco, to nie wiem.

Szymura bierze mnie czasem w czwartek na kort. Szczęśliwie w Mirowie nie ma pola golfowego, bo pewnie też bym musiał z nim jeździć, nabierając obrzydzenia do tego sportu, do którego zraziłem się już w Warszawie.

Piątki... wiadomo. Piątek, piąteczek, piątunio. Piątki w każdym miejscu na świecie są takie same. Podobno statystycznie w piątek wydarza się najwięcej zapłodnień (i wcale nie kłóci się to z faktem, że to środa jest dniem kochanków). Zawsze myślałem, że najplodniejsze dni przypadają w sobotę, a okazuje się, że to nieprawda. Piątek jest królem bzykania. Bo wtedy nie tylko kochankowie szukają ujścia, ale i wszyscy inni, pary, małżonkowie, poszukiwacze. Pary normalne i gender. Biseksualni,

homoseksualni, transwestyci i normalni. W Mirowie wszyscy są normalni. Pozostali boją się ujawnić.

Piątek to dzień nader szczęśliwy.

Sobota próbuje przebić piątek, ale z miernym skutkiem. Większość ludzi już czuje niedzielę. Wie, że trzeba będzie pójść do kościoła, że w telewizji nie puszczą już nic ciekawego, że uświadomimy sobie, jak beznadziejne jest nasze życie. Jakkolwiek byśmy nie próbowali zakłamać rzeczywistości, przebalować sobotę, to się nie uda.

Niedziela już czeka, czai się na długo przed północą, przygotowuje, by nas pochłonąć, przemieścić i wypluć w poniedziałek do codziennego, ponurego kieratu.

Mirów walczy bezskutecznie jak każde inne miasto, ale walczy.

W Mirowie w soboty odbywają się dyskoteki i dancingi. Na dyskoteki chodzą małolaty. Te bardziej odważne wybierają się do największej tancbudy, namiotu ustawionego za zgodą Szymury nad zalewem, tuż przy plaży miejskiej. Witold zezwolił na ten namiot, bo dzieciaki uciekały na wieś na imprezy disco polo, więc w końcu przyjął argumenty burmistrza i radnych.

Ta tancbuda zarządzana przez jakichś macherów od imprez masowych z Krakowa stoi mu kością w gardle. Może za mało na niej zarabia? Macherzy opłacają mu placowe z opóźnieniem i nieregularnie. A może chodzi o władzę? Może Szymura chce po prostu mieć te wszystkie dzieciaki w ryzach, nie pozwolić im się wyszumieć.

Za to sobotnie dancingi odbywają się w Mirowie w Szyнку u Szymury i tam regularnie zbiera się cała miejska śmietanka. Z żonami z konieczności.

Dużo by opowiadać, dlaczego tak się dzieje. Żonom też coś się od życia należy, a miastu należy się co jakiś czas kilka skandali.

Przez te parę lat, od kiedy zamieszkaliśmy w Mirowie, byliśmy z Basią świadkami kilku mniejszych i większych afer towarzyskich.

Największa dotyczyła burmistrza i tego domniemanego gwałtu na jednej z sekretarek. Przez kilka kolejnych miesięcy burmistrz unikał imprez. Nie pokazywał się z żoną, słoneczną matroną wagi ciężkiej, prawdopodobnie seksualnie od dawna nieczynną. Ale potem wszystko wróciło do normy.

Burmistrz z małżonką znów zaczęli przychodzić na dancingi do Szymury, a Mirów wybaczył. Obgadywał, wskazywał palcami, ale w końcu wybaczył. Życie wróciło do normy, matrona tańczyła z burmistrzem, a ten znalazł sobie inną sekretarkę, bardziej wyrozumiałą, dyskretniejszą i grzeczniejszą niż poprzednia.

Druga wielka afera dotyczyła żony doktora Pieńkowskiego. Imienia nie pamiętam. Była to ładna, zadbana, szczupła kobieta o dość nieskoordynowanych ruchach. Nie potrafiła tańczyć, źle się poruszała i sprawiała wrażenie kiepskiej w łóżku. Tak sobie tłumaczyliśmy z bandą męskich szowinistów (Bańka, Szymura i Stenka, dyrektor domu kultury, poeta) fakt, że Pieńkowski zdradzał ją z dość mało atrakcyjną logopedką. Nie potrafiliśmy zrozumieć, dlaczego całkiem przystojny lekarz, mając niezłą żonę, bierze się za towar przeterminowany, zdecydowanie nieatrakcyjny, wręcz zalatujący stęchlizną. Znienawidzicie mnie za te wszystkie męskie gadki, ale – jak to mówił bohater jednego z moich ulubionych filmów – jak się spowiadać, oczyszczać, to po całości. Może nie byłem aż tak wulgarny i przesiąknięty patologiami małomiasteczkowej męskości jak moi towarzysze, ale akceptowałem je w ich wykonaniu, więc nie ma co się teraz wybielać.

Tak czy inaczej Pieńkowski zdradzał Pieńkowską, a ta pewnego dnia postanowiła mu się odwdziaczyć i zrobiła to z przytupem, bo na oczach kamery miejskiego monitoringu i to na dodatek jedynej udźwiękowionej.

Może dałoby się to jakoś zatuszować, ułożyć, Mirów by wybaczył jak wszystko, ale jakiś złośliwy strażnik miejski wrzucił nagranie „Pieńkowska&kelner” na YouTube i kilka serwisów pornograficznych. Z YouTube’a udało się to w miarę skutecznie usunąć. Z pornoserwisów już nie. Swego czasu film miał rekordową liczbę wyświetleń w regionie Europy Środkowowschodniej i Afryki. Globalizm dał się we znaki Pieńkowskiemu, bo Pieńkowska wcale się tego nagrania nie wstydziła. Wydawała się nawet zadowolona. Chodziła uliczkami dumna jak paw, z wypiętą pierśią, cofniętym kuprem, kroczyła niczym księżniczka rozpusty, wszem i wobec ogłaszająca swoje wdzięki. Cóż, lepszej reklamy chyba nie można było sobie wyobrazić. Dość powiedzieć, że potem nie miała problemów z kochankami i żaden mężczyzna w Mirowie nie śmiał powiedzieć, że źle tańczy, a już na pewno, że jest słaba w łóżku.

Pieńkowski rozwiódł się z nią po kilku miesiącach i wyniósł z miasta. Nie wiem gdzie, ale pewnie daleko, na Pomorze. Może nawet zmienił nazwisko, a jeśli nie, to przedstawia się głosem cichym i zapewne zaraz potem chrząka znacznie głośniej, żeby rozmówca skupił się na owym kaszlnięciu, a nie na jego danych osobowych.

Kolejny skandal dotyczył księdza proboszcza i hazardu. Duchownemu wybaczano kochanki, rubaszość i różne inne historyjki, ale kuria mocno się wkurzyła, jak się okazało, że Kazio (taką miał ksywkę, bo na imię mu było Tymoteusz) przegrał na Foreksie parę ładnych milionów. Dokładna kwota jest nieznana. Szymura twierdzi, że bliżej dziesięciu niż pięciu.

Kazio hazardzistą był od dawna. Grał jednak głównie w karty i czasem w Warszawie chodził na ruletkę do kasyna. Przegrywał sporo, ale nie w milionach. Raz się sflukał i nie miał jak oddać, to najpierw mu mafia przetrąciła rękę, a potem założył za niego Szymura. Dlaczego nie uchronił go przed mafią wcześniej?

„Niech Kazio wie, że długi kosztują. Czasem boleśnie. Nawet księdza”.

Nowe technologie dały mu nowe możliwości i nagle okazało się, że Kazio jest hazardzistą pełną gębą. Co zarobił, wkładał w piramidy finansowe albo inwestował na Foreksie. Zawierzył bardziej szczęściu niż samemu Bogu.

Kuria bogata, długi spłaciła, duchownego nie wyrzuciła, ale dostał zakaz korzystania z internetu, a Szymura ogłosił, że w Mirowie żaden hazardzista nie ma prawa z Kaziem siadać do stołu.

Spotkałem go kiedyś w Warszawie u Świętej Barbary na mszy dla uzależnionych. Był w cywilu. Jak mnie zobaczył, wystraszył się. Myślał, że Szymura mnie za nim posłał. Zaraz potem w moich oczach dostrzegł jednak, że jestem „bratem”, że też mam swojego demona. Uśmiechnął się nieznacznie, ale w Mirowie zapierał się, że musiałem go z kimś pomylić, bo tego dnia nie było go w stolicy.

Afer rzecz jasna było więcej, ale już mniejszej wagi. Jak w każdym innym zakątku świata, w Mirowie ludzie się kochali, zdradzali, bili, złorzeczyli sobie i się godzili. A czasem (trzeba przyznać, stosunkowo rzadko) mordowali.

Byliśmy na dancingu u Szymury. Moja żona wesoło plotkowała z Wiolą. Szymura czasem zerkał na obie, jakby sobie wyobrażał, jak je naraz obrabia,

i zastanawiał się, jak ułożyć ten trójkąt. Stenka zabawiał ich wszystkich kawałami i dygresjami, a ja osaczyłem Bańkę przy barze. Było głośno, więc nie baliśmy się, że ktoś niepowołany usłyszy. Zresztą na dancingu u Szymury można było rozmawiać o wszystkim.

– Już po sekcji – krzyknął mi Bańka w ucho. – Tak jak przypuszczaliśmy, przyczyną zgonu było wykrwawienie z tętnicy udowej. Bednarz co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Gwałt też potwierdzony. Otarcia pochwy, te sprawy. Wychędożył ją tak, że wyzionęła ducha. – Prokurator chichotał, jakby właśnie opowiedział przedni dowcip. – Wkładał jej tam różne rzeczy...

W moim spojrzeniu musiał coś wyczytać, bo szybko dodał:

– Penisa też. I nie robił tego po śmierci. Patogen – tak Bańka nazywał Bednarza – uważa, że była przytomna. Pewnie krzyczała, bo wybił jej zęby, złamał nos. Silny facet, niemal wbił jej kufala w czaszkę. Pięścią lub czymś średnio twardym. Bednarz stawia na pięść w grubej rękawicy, może narciarskiej, bo bokserska by takiego złamania nie zrobiła.

– Te od MMA są chyba twardsze.

Wzruszył ramionami.

– Pewnie założył sobie, skurwiel, zwykłe skórzane rękawice.

– Może straciła przytomność – powiedziałem z nadzieją.

Pokręcił głową.

– Jak Patogen twierdzi, że nie straciła, to nie straciła. Przynajmniej w wersji oficjalnej. Nie potrzebujemy tu wątpliwości. Ogólnie kiepskie dowody, zebrane odciski to słaby materiał. Mąż nie słyszał krzyków.

Wiedziałem, że zatrzymano jej męża Romana do wyjaśnienia zaraz po tym, jak zgłosił odnalezienie ciała żony. Świadek numer jeden. Bańka go przemaglował na wszystkie strony, przesłuchał i pobrał dane do analizy, wysłał do lekarzy, ale nie postawił zarzutów i nie wystąpił o areszt. Roman zgadzał się na wszystko dobrowolnie, pewnie licząc, że taka pomoc będzie świadczyć na jego korzyść przy ewentualnym oskarżeniu.

Bańka był jednak prawie pewien, że to nie on. Owszem, w dziewięciu na dziesięć podobnych przypadków mąż był co najmniej podejrzany, a w połowie winny. Ten jednak miał doskonałe alibi. Pamięć. Potrafił dokładnie odtworzyć program publicystyczny, który leciał w telewizji w chwili dokonania zabójstwa. Niemal słowo w słowo był w stanie

powtórzyć kwestie poszczególnych rozmówców, a transmisja przebiegała na żywo i skończyła się późno w nocy, koło pierwszej, gdy Monika Lewińska już nie żyła. Do czasu przesłuchania nie było powtórki, nikt też tej audycji nie zamieścił w internecie. Niby Roman mógł go nagrać i potem się nauczyć, gdyby był dobrze zorganizowanym, działającym z premedytacją zabójcą. Ale nie miał nawet urządzenia do nagrywania.

– Dość dokładnie go sprawdziliśmy – wyjaśnił Bańka. – Wiesz, jest trochę przygłuchy. W ogóle to dziwak.

Każdy zabójca to dziwak. Profiler pewnie by nawet wytypował Romana na zabójcę. Ja też bym go wytypował. Oglądałem jego zeznanie w domu Szymury na komputerze. Bańka je nam dostarczył. Sam wyszedł, żeby nie być świadkiem „przestępstwa ujawnienia tajemnicy śledztwa osobom postronnym”. Obaj z Szymurą byliśmy postronni. Ale Bańka nam ufał. Dlatego wciąż współpracowaliśmy i mogliśmy podczas tego dancingu rozmawiać dalej.

– Kurwa, musiałby kogoś wynająć, żeby to zrobić. Pomijam już ten program w telewizji, ale lekarz twierdzi, że Roman na pewno nie uprawiał seksu w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Brak spermy. Żadnych plemników w moczu i na prąciu, plam na bieliźnie, także tej w praniu. Wiem, że jako adwokat mnie przeklniesz, ale nie mogliśmy sobie przecież odmówić dyskretnego pobrania materiału do analiz i zabezpieczenia potencjalnych dowodów w domu, skoro mężuś sam się podłożył.

Tak, Bańka nie powinien był tego robić. Były to działania nie tylko wątpliwe etycznie, ale i do podważenia podczas ewentualnego procesu. Ale prokurator nie był pierwszym i ostatnim, który w takich kwestiach nie ma skrupułów. Zresztą, można to było zrobić również całkowicie legalnie. Procedura karna otwiera taką ewentualność i jest na to specjalny paragraf, który mówi, że: „w celu ograniczenia kręgu osób podejrzanych lub ustalenia wartości dowodowej ujawnionych śladów można pobrać odciski, wymazy, włosy, ślinę, próby pisma, zapach, wykonać fotografię osoby lub dokonać utrwalenia głosu”. Sąd Najwyższy już dawno wyjaśnił, że w przepisie, o którym mowa, chodzi też o świadków. Bańka zamiast być nadgorliwy powinien po prostu poczytać czasem do poduszki kodeks.

– Spermy wprawdzie w pochwie Lewińskiej nie znaleźliśmy, cwaniak użył gumy, ale DNA łapiduchy zabezpieczyły. Mówię ci, to nie Roman. Pewnie,

że byłoby łatwiej, gdyby to był on.

Wiem, że Szymura nawet delikatnie to Bańce sugerował. Zrobić z męża Moniki mordercę, zamknąć na trzy miechy, a potem się pomyśli. Społeczeństwo żąda przecież od aparatu państwa stanowczych reakcji. Trudno więc się dziwić, że sędziowie, wychodząc naprzeciw tym oczekiwaniom, skwapliwie sankcjonują wnioski prokuratury o areszt w sprawach dotyczących najcięższych zbrodni. Trzeba mieć naprawdę jaja, żeby się postawić. Ilu to już sędziów obsmarowała prasa za puszczenie na wolność morderców i zwyrodnialców? Nikt nie wnika w materiał dowodowy, nie ma takiej potrzeby, już sam tytuł bije po oczach: „Prokurator złapał mordercę, a sąd go wypuścił”. Czasem więc wystarczy byle poszlaka i jakaś mętna wersja świadka, z której może wynikać motyw zabójstwa. Jeśli chodzi o mężów, przyjęło się zakładać, że co do zasady są w ścisłym kręgu podejrzanych. O, mężowie żon niewiernych strzeżcie się!

Mając już delikwenta pod kluczem, łatwo go złamać: „Przyznaj się, to wyjedziesz. Wystarczy tu podpisać”. Skąd ja to znam? Odkręcić takich wyjaśnień przed sądem po prostu się nie da. Owszem, sąd zapyta: „Panie aspirancie, czy bił pan świadka? Wymuszał zeznania szantażem albo przemocą?”. „Ależ skąd, wysoki sędzie. On się przyznał dobrowolnie. Zresztą może to potwierdzić drugi aspirant, który uczestniczył w przesłuchaniu”. Dzięki temu ludzie są spokojniejsi. Nie będą się denerwować, że może jakiś gwałciiciel krąży po okolicy. Gwałciiciel to jeszcze pół biedy, ale zabójca to już bieda cała.

Taka sytuacja wszystkim odpowiada. Jednostka musi zapłacić cenę za spokój społeczny. Śmiem twierdzić, że w podobnych sprawach wszelkie wątpliwości rozstrzyga się na niekorzyść oskarżonego. Presja społeczna jest katem sumienia.

„Jeszcze jakiegoś seryjnego mi tu potrzeba” – syczał Szymura.

Bańka jednak aż tak podły nie był. Na razie nie miał zresztą dowodów. Mógł Prezesowi pomagać, był gotów na wiele świństw i wypaczeń, jednak on także miał granice posłuszeństwa. I rozsądku. Wiedział, że w Polsce łatwo nadużywać prawa, ciężko dochodzić swego, ale system bywa nieubłagany, a świadome błędy i wypaczenia mogą wrócić w zupełnie nieoczekiwanych chwilach. Ostatnie, czego potrzebował, to kleks w papierach. Strategia dupokrytek to najlepsza strategia urzędnicza, jaką



wymyślili i dopracowali przez lata do perfekcji jemu podobni. Nawet Szymura nie mógł go w tej kwestii przekupić. Przynajmniej do chwili, gdy Bańka nie nabrałby stuprocentowej pewności, że Prezes i jego ludzie nie mają z zabójstwem nic wspólnego. A mimo wewnętrznego przekonania (i modlitw) nie mógł takiej mieć. Nie miał pewności, czy za dziesięć lat jakieś Archiwum X nie przylezie i nie zada niewygodnych pytań o to, dlaczego Szymury nie zaliczono do grona potencjalnych podejrzanych.

– Zrobimy po niedzieli przesłuchanie Witka, dobrze? – bąknął Bańka i szybko dodał: – Tak, żeby było do akt.

– Pewnie. – Nie miałem nic przeciwko.

Szymura, pomijając to, że naprawdę nie wierzyłem w jego bezpośredni udział w tej zbrodni, też miał alibi. Lepsze niż Roman Lewiński. Sam nam je wyznał:

„Moja żona jest przekonana, że tej nocy z niej nie schodziłem”.

Byli też inni świadkowie: ogrodnik, ochroniarze, pan złota rączka, który akurat tej nocy kombinował przy zepsutym mechanizmie sterującym siłownikiem do bramy.

Bańka dyskretnie sprawdził monitoring. Samochód Szymury nie wyjeżdżał z posesji. Żadna kamera w mieście tej nocy go nie zarejestrowała. Za to na wielu nagraniach uwieczniono moje auto.

– Jacyś podejrzani?

– Na razie nic. Może rzeczywiście byśmy coś pomyśleli z tym Romanem. Nie podjąłbyś się jego reprezentowania?

– Mówiłeś, że nie chce adwokata.

– Bo nie ma kasy. Wiesz, na razie jest świadkiem. Przesłuchaliśmy go jednak z pouczeniem o możliwości postawienia mu zarzutu. Zresztą zrobić ze świadka podejrzanego to żaden problem.

– Na jakiej podstawie?

Skrzywił się, jakby zaleciało z Szelkowa.

– Coś się wymyśli. Zresztą, jemu także jako pokrzywdzonemu i potencjalnemu oskarżycielowi posiłkowemu przydałby się dobry adwokat. Na wszelki wypadek.

– Czego ty chcesz, Bańka?

– No... może ci coś powie przez przypadek. Może coś, co będziemy mogli wykorzystać. – Patrzył na mnie przenikliwie z tym cwaniackim uśmiechem, zapraszając do geszeftu, dzięki któremu mógłby dość szybko zabłysnąć, uciąć temat brutalą, który lata po Mirowie z nożem i grzebie w pochwach tutejszych kobiet.

– Ty tak poważnie?

– Nie, kurwa, na niby. Tomek, chujnia jest w tej sprawie i trzeba ratować. Może byś go delikatnie podszedł, ugodę byśmy wynegocjowali, wszyscy byliby zadowoleni. – Mówił na serio i to mnie właśnie najbardziej przerażało.

– Żeby go zamknąć za niewinność?

– Za winność, za winność – bąknął, w końcu jednak machnął ręką. Chyba się zreflektował, że posunął się za daleko. – Przepraszam cię. Pijany jestem, pierdołę bez sensu. Ale weź się, kurwa, postaw w mojej sytuacji. Mord jak z horroru, zabójcy niet, świadków niet, wszyscy potencjalni podejrzani z alibi i nawet męża wsadzić nie można, a generalny chce efektów. Chuj z generalnym. Miasto chce efektów. I Szymura też chce.

– Dlaczego Roman Lewiński zmienił nazwisko?

– Co?

– Przyjął nazwisko żony, zwykle jest odwrotnie.

– A tak – przyznał Bańka. – Jakbyś się tak nazywał jak on, też byś zmienił.

– A jak się nazywał?

– Białek.

Zmarszczyłem czoło. Białek to przecież nie żaden Prąciak, Penisiewicz, Chujniacki czy Pierdolec.

– Co złego jest w nazwisku Białek?

Bańka najpierw popatrzył na mnie jak na debila, a zaraz potem spoważniał.

– A, ty przyjezdny, to nie wiesz.

– Czego?

– W tym mieście to nazwisko szczególne. Już lepiej nazywać się Lewiński niż Białek. Wpisz sobie w internecie, od razu ci wyskoczy.

– Nie możesz powiedzieć?

– Żeby mi się cofnęło? – Bańka minął mnie, a potem powiedział coś, co sprawiło, że całkowicie zapomniałem o Białku i poczułem wielki ciężar w piersi.

Mówiłem już, że tak mam? Wyczuwam kwestie, które będą miały dla mnie znaczenie. Przeczuję je jak Kasandra.

– A wracając do ciała Lewińskiej... – Bańka chrząknął. – Sekcja wykazała jeszcze coś dziwnego. Wiesz, że jak już się całkowicie wykrwawiła, ktoś wpakował jej kulkę prosto w serce? Dziwne, nie? Po co strzelać do trupa? Z bardzo bliska.

## 22.

Musiałem to sprawdzić od razu. Zostawiłem Basię na dancingu i wyszedłem niby na papierosa. Rzuciłem już dawno, ale czasem na imprezach popalałem. Albo udawałem, że popalałem, żeby czymś zająć ręce, żeby innym pokazać, że nie jestem aż takim dziwakiem, że mam swoje uzależnienia, swoje słabości jak oni.

Potem powiedziałem jednemu z sąsiadów, że coś mi wypadło, żeby podszedł do Basi i przekazał, że muszę na sekundę skoczyć do kancelarii.

– Przyjadę za pół godziny.

– Za pół godziny – powtórzył, ale był mocno pijany, więc nie miałem pewności, czy zapamięta.

– Przekaż, że ma na mnie czekać.

– Pewnie, przekażę...

Ruszyłem do auta i dziesięć minut później parkowałem pod kancelarią. Zaleta małych i średnich miast. W dziesięć minut dojedziesz wszędzie. Nawet jak są korki. Choć w Mirowie zwykło się mówić: „co to są korki?”.

Pokonanie zamków, schodów i korytarza oraz rozbrojenie alarmów zajęło mi może kolejne pięć minut. Otwarcie zamka w biurku – dziesięć sekund. I tak dwadzieścia parę minut po rozmowie z Bańką patrzyłem na leżący w szufladzie rewolwer Smith & Wesson, model 686. Przygnało mnie tu przecucie, wrodzona ostrożność zaś nakazała założenie rękawiczki,

zanim wzięłem go w dłoń. Przytykając broń do nosa, byłem prawie pewien, że poczuję smród niedawnego wystrzału, ale tak nie było. Ulga. Z tej broni nikt ostatnio nie strzelał. Była oczyszczona, pachniała tylko smarem i oliwą. Upewniłem się, że wszystkie pociski są na miejscu.

To nie ta broń.

Nie z niej padł strzał w serce Moniki Lewińskiej.

Otworzyłem sejf, schowałem rewolwer do środka, a potem zamknąłem. Na koniec zmieniłem szyfr w zamku.

Do diabła, nie wiedziałem, co bym zrobił, gdyby efekt tej błyskawicznej kontroli był inny.

Wyszedłem pośpiesznie z kancelarii i wtedy doznałem dziwnego uczucia. Ktoś mnie obserwował. Byłem tego pewien. Tak samo jak tego rewolweru? Może. Ale drugie błędne przeczucie jednego dnia? To mi się naprawdę nie zdarzało. Zrobiłem parę kroków i odwróciłem się gwałtownie.

Stał tam. W cieniu przy kamienicy.

Patrzył na mnie. Zabójca.

Byłem prawie pewien, że to on.

Przyszedł tu, żeby mi się przyjrzeć. Jakby zastanawiając się, czy będę jego przeciwnikiem, czy sprzymierzeńcem w tej grze.

Kto wie? Może szuka adwokata.

Mimo że to było naprawdę głupie – nie miałem przecież przy sobie broni i nie czułem się na siłach w pojedynku z potencjalnym draniem – rzuciłem się biegiem w kierunku zacienionego miejsca, ale gdy tam dotarłem, nikogo już w tym miejscu nie było.

Przeszukałem wszystko, odwróciłem się i wtedy usłyszałem cichy szelest, a potem syk oddechu. Tak pomyślałem, ale to było coś innego. Coś nadleciało z wielką prędkością i uderzyło mnie z tyłu z taką siłą, że szybko odpłynąłem w niebyt.

Ktoś zdzielił mnie w głowę i chyba tylko cudem to przeżyłem.

Bywały czasy, że piłem dwadzieścia dni pod rząd. Nieraz po takim maratonie o mało nie udusiłem się wymiocinami, o mało nie zszedłem z powodu arytmii albo zawału. Padałem byle gdzie: na ławkach parków, w mieszkaniach nieznajomych, w nocnych tramwajach i na wycieraczkach sąsiadów. Budziłem się ze wstydem, nic nie pamiętając, pełen obaw o to, co znowu nawywiјаłem, do kogo dzwoniłem, z kim zadarłem, kogo zawiodłem. A potem piłem dalej, żeby zabić wyrzuty, żeby sobie ulżyć, na odwagę, dla zabicia czasu, na koniec i początek dnia. Alkohol już nie działał tak jak kiedyś na poprawę humoru, stał się treścią wszystkiego. W pracy, w związkach, w relacjach – był zawsze obecny na pierwszym miejscu. Wokół alkoholu koncentrowało się całe moje życie. Z biegiem czasu eliminowałem każdą przeszkodę, by go beztrudno spożywać: szczerłość, punktualność, rzetelność, uczciwość i wierność. Pozostawił po sobie wiele strat: łez i ran zadanych bliskim, niedotrzymanych obietnic, zawałonych spraw klientów. Na końcu upijałem się już tylko na smutno. Wznosiłem toasty przed lustrami publicznych toalet, za winklami sklepów, w przejściach podziemnych. Picie to jedno, ale pozwalałem sobie też na znacznie więcej. Ekstazy, LSD, koka, grzybki – obietnice innych światów, sfer i doznań. Wszystko, co dawało kopa, było dobre. A potem woda. I na okrągło, i jeszcze raz. Bywało, że bałem się być sam, bo wydawało mi się, że widzę duchy, że ktoś do mnie mówi. Psychozy. Wynosiłem do piwnicy ostre przedmioty, klucz od kłódki oddawałem sąsiadowi, też alkoholikowi, który rozumiał. Z czasem uciekałem od ludzi, odtrącałem wyciągnięte ręce, nie przyjmowałem do siebie, że powinienem przestać, bo od tego można umrzeć. Nie radziłem sobie z emocjami, rzadkimi chwilami trzeźwości, szczerymi rozmowami.

Za zasłoniętymi żaluzjami, w ciemności, zupełnie sam, zatruty, bezwładny, powtarzalny.

Narkotyki i woda do twardy przeciwnik. Jest jedna metoda: przestać udowadniać im, kto jest mocniejszy.

Nawet się dziwiłem, że dają radę, że mnie to wszystko nie zabija, że wciąż i na nowo to pokonuję.

Byłem na szczycie. Stać mnie było na wszystko. I jednocześnie cały czas o sobie myślałem inaczej. Na początku, że nie zasługuję na takich klientów, takie angaże i kontrakty, relacje z tak wpływowymi osobami.

Ja, człowiek ze wsi nad Odrą. Bez układów, protekcji tatusia czy mamusi, bez drzewa genealogicznego. Nawet nie wiedziałem, kim był mój dziadek.

W środowisku, gdzie każdy znał swoich przodków na dziesięć pokoleń wstecz, potrafił wskazać herb i którego z królów jego pradziad całował w cztery litery, byłem zakałą, przybłądą. Matka kucharka, ojciec murarz, brat łajza.

A jednak mnie przyjęli. Chcieli. Nawet nie dla żartu. Nie po to, by się nabijać i szydzić. Może, żeby powiedzieć w mediach: zadajemy kłam o zamknięciu środowiska, o trudnościach w dostaniu się do naszego klanu. Tomasz Mauer jest tego widowym dowodem. Oto chłopak ze wsi, któremu się udało.

Wystarczy wiedza, umiejętności, determinacja i praca. Dużo ciężkiej pracy.

O tak, ciężko na to pracowałem. Pracowałem dniami i nocami. Byłem silny. Potrafiłem się uczyć i pracować jednocześnie. Spać dwie godziny na dobę. Fizycznie robić, żeby zarobić, przy noszeniu, przekazywaniu paczek, rozlepianiu plakatów, rozdawaniu ulotek. Brałem setki takich zleceń. Grosz do grosza. A w międzyczasie się uczyłem. Moi koledzy na roku bawili się, dymali, ćpali, a ja rzadko miałem czas, by do nich dołączyć. Głównie zapierdalałem i się uczyłem. Dwie czynności, które poznałem od a do z.

I udało się.

Miałem farta. Zauważyli mnie, dali szansę. Chcesz do nas, zapraszamy. Jeden sukces, drugi. I nagle wszystko stało się takie proste, a zarazem tak niezwykle. Że aż musiałem się wspomóc jedną kreską. Kieliszkiem. Papierkiem. Tabletką. Musiałem dać radę. Nie mogłem zawieść.

Na zdrowie. Nie zawiodę.

Tylko po co?

Owszem, zadawałem sobie to pytanie i nawet próbowałem na nie odpowiadać. Nie uciekałem od tych trudnych chwil, gdy człowiek traci chęci, wiarę, gdy zaczyna rozumieć, że świata nie da się tak zwyczajnie tylko swoim własnym postępowaniem naprawić.

Odpowiedź jednak zawsze była taka sama: zaraz zwolnię, ale najpierw znów wam coś udowodnię.

Błysk, nagle powracająca świadomość. To dziwne uczucie, że wracamy

z innego świata, z innej rzeczywistości.

Stare dzieje Tomasza Mauera przysły i nadeszła terażniejszość.

A z nią ból głowy. Potworny. Jeszcze gorszy chyba niż w tych chwilach, gdy płynąłem na całość, gdy się zapominałem i budziłem na kacu potworze. Człowiek zdzielony w łeb tak mocno, że aż stracił przytomność, marzy o tym, żeby to był tylko kac.

Sięgnąłem nieśmiało ręką do centrum bólu i poczułem lepką maź. Krew. Może coś jeszcze, może mózg albo któraś z klepek? Nacisnąłem mocniej, starając się wyczuć, na ile jest miękkie, czy kości czaszki są całe, czy ktoś zrobił mi w niej dziurę. Może to początek końca?

Wyczułem twarde podłoże. Mogłem pozbyć się obaw o uszkodzenie czy choćby pęknięcie czaszki. Guz za to był jak kopiec Kościuszki. Płasko i nagle bach, wyrasta taki fiut z bulgocącym niczym wulkan wierzchołkiem.

Żyjesz! Ciesz się, żyjesz!

Nagle wróciły inne myśli. Dancing, kancelaria, sobota. Spojrzałem na zegarek. Minęła jakaś godzina, od kiedy wyszedłem z biura, prawie dwie od opuszczenia dancingu. Pomyślałem, że Basia jest wściekła. Musiałem jak najszybciej wrócić do Szyngu.

Wstałem, zatoczyłem się, a potem ruszyłem w kierunku wozu. Sprawdziłem kieszenie. Nikt nie zabrał mi portfela i kluczyków. Oberwałem za ciekawość, to nie był napad rabunkowy. Trzeba było nie leżeć w ciemność, Mauera. Trzeba było pilnować własnych czterech liter. Ty nie jesteś superbohaterem od łapania zabójców. Ty ich bronisz. Zapomniałeś?

Kluczyki, stacyjka, silnik zamruczał.

Dziesięć minut później byłem na miejscu. Dancing dogorywał. Najlepsi zawodnicy przybili gwóźdź na barze. Nie było już ani Bańki, ani Stenki, ani Szymury. Co gorsza, nie było też Basi. Pewnie się wściekła i poszła do domu. Na piechotę? Może ktoś ją odwiózł?

Znów coś mnie uderzyło. Coś z przeszłości.

Ależ z ciebie głupiec, Mauera.

Łeb pękał. Kelner podszedł i zapytał, czy ze mną wszystko okej. Patrzył, jakby myślał, że za dużo w siebie wlałem, a kiedy zobaczył trzeźwe oczy, próbował mnie namówić na jednego.

– Pomoże. Co się panu stało?

– Uprawiałem parkur.

Skrzywił się. Chyba nie wiedział, co to takiego.

Wstałem i wróciłem do auta.

Do domu miałem kolejne dziesięć minut drogi.

Mirów to takie miasto, w którym wszędzie dotrzesz w dziesięć minut – przypominałem sobie własne refleksje. Mirów to prawie raj na ziemi. Bez oligarchów, przekrętów na akcjach, karuzel vatowskich, mafii paliwowych, piramid finansowych i seryjnych morderców. Nawet WSI trzyma się z daleka, żeby czasem nie wejść w bagno i nie zatonać. To miasto, w którym zbrodnia jest przyjemna i zawodowo nieskomplikowana. Miasto marzenie dla takiego adwokata jak ty, Mauerze.

Basia nie dotarła do domu. Zorientowałem się, jak tylko wszedłem. Nie było jej płaszcz. Nie było butów. Ania spała w swoim pokoju. Nie bała się zostawać sama. Czasem wręcz domagała się naszych wyjść, prosiła, byśmy dali jej trochę oddechu, zaufali, że nie jest już małą dziewczynką.

W pościeli obok niej leżała jej wierna towarzysza Rosa rozłożona w takiej pozie, że gdybym zrobił zdjęcie, wygrałbym każdy konkurs fotograficzny.

Ale nie myślałem o zdjęciach, daleki byłem od uśmiechów i żartów, i to nawet nie z powodu pękającej z bólu czaszki.

Miałem chęć ją obudzić mimo świadomości, jak bardzo bym ją przeraził, jak bardzo zmroziłby ją widok zakrwawionego, brudnego, pokiereszowanego jak ostatni lump tatusia. Chęć była silna, prawie nie do przewyciężenia. Sączyla się już w głowie. Szeptala do mojej maleńkiej: „Cześć. Wiesz, mamy nie ma, więc musisz z tatusiem pogadać, żeby nie zwariował. Żeby znów się nie zaczęło”.

Basia nie unikała alkoholu. W lodówce trzymała martini i bacardi. W zamrażarce była też normalna czysta dla gości. W razie czego. Zapewniałem ją, że mi to nie przeszkadza, że mnie nawet wzmacnia. Że nie mam chęci, że to już poza mną. Alkohol w lodówce nie stanowi pokusy. Przynajmniej w moim przypadku. Jestem silny. Oczywiście wszystkie te mądrości to autorski pomysł niewiele mający wspólnego z kanonami trzeźwienia.



Jestem.

Basia. Gdzie jest? Co robi? Czy powinienem się martwić? Nie, skąd. Może pojechała z kimś odwiedzić kogoś innego. Zaraz ktoś ją podwiezie. Ktoś. Nie martw się. Nic się nie mogło stać.

A jednak...

Stare czasy. One zawsze wracają właśnie w takich chwilach. Twoje demony. I inne demony. Basi. One też muszą czasem wrócić, żeby nie dać ci zapomnieć, na jakim dnie byłeś, z jakiego mułu się podniosłeś, w jakim bagnie ona została uwięziona z tobą.

Basia.

Kocham cię.

Wróć.

Błagam.

Wróć, choćby...

Tylko, żeby nic się nie stało.

Wróć.

Cichy szcęk zamka. Klucz. Basia w drzwiach, buty w jej ręku. Wchodzi cicho. Boże, już widno.

– Cześć – mruknęła. Uśmiechnęła się niepewnie. – Myślałam, że śpisz. Mówili, że pojechałeś się położyć.

– Gdzie byłeś? – Za gwałtownie, zbyt agresywnie. Wycofanie. To jej reakcja na takie pytanie. Zrozumiała reakcja. – Przepraszam – dodałem szybko – martwiłem się.

– Myślałam, że wróciłeś do domu, że pojechałeś się położyć – powtórzyła, jakby chciała zaznaczyć, że to był mój wybór, nie jej.

– A ty?

– Witek zabrał nas wszystkich do mariny na jacht.

– Wszystkich?

– Wiołę, Stenkę, Bańkę... Myślałam, że tam będziesz. Że może żartowali z tym pójściem spać. Ty i spać? Więc... myślałam, że tam na mnie czekasz. Niespodzianka.

– Aha.

– Chciałam wrócić od razu, ale nie miałam jak.

– W porządku.

– Upili się, posnęli... Witek mnie odwiózł.

Tak, Witek nigdy nie jest pijany. Dwa litry i wciąż może prowadzić. W Mirowie nikt go nie sprawdzi. Nikt go nie zatrzyma. Nikt nie oskarży. Mirów to jego miasto. Wszystko tutaj jest jego. Także kobiety. Szczególnie te piękne. Basia jest piękna.

Czy ją miał? Czy zatrzymał się w drodze z mariny, spojrzął jej głęboko w oczy i zapytał: „I co teraz, moja piękna?”

A co na to Basia? Co by odpowiedziała? Może nic? Może po prostu położyłaby mu rękę na klacie, a potem zjechała niżej, do krocza? A może dałaby mu w twarz? A może najpierw dałaby mu w twarz, a następnie rzuciła się na niego i zaczęła gorączkowo całować, domagać się miłości, której nie miała dziś ode mnie? Może zamknęła oczy i sobie mnie wyobrażała? A może nic z tego się nie wydarzyło?

Co z tobą, Basiu? Co się dzieje?

Podeszła i poczułem, jak drży. Miałem wrażenie, że powinna mi powiedzieć znacznie więcej. Ale nie mogłem od niej tego wymagać. Powiedziała wystarczająco dużo. Tyle, ile chciała powiedzieć.

Przytulałem ją i wachałem, starając się wyczuć samca alfa.

– Co to? – Nagle zauważyła ranę na mojej głowie. Guza, skrzep, którego nie mogłem i nie chciałem usuwać. Zbitek włosów, krwi i brudu. – Co się stało? Co się, do cholery, stało?!

## 24.

Ustaliliśmy z Bańką, że nie będziemy tego notować, nie będziemy oficjalnie zgłaszać. Mogłoby się z tego zrobić naprawdę poważne zamieszanie i polityczny dym. Złośliwi pewnie by powiedzieli: „Adwokat Szymury tak zapił, że przydzwonił łbem w krawężnik, a teraz szuka jakiegoś kozła ofiarnego”.

Prokurator rejonowy zrobił dyskretne śledztwo, które nie mogło jednak

przynieść efektu. Przy kancelarii nie było monitoringu. Typ musiał znać miasto, więc dokładnie wiedział, gdzie są kamery i jak się poruszać, by zejść z ich zasięgu.

Sam zaułek, gdzie oberwałem, został przebadana przez techników, ale śladów było tyle, że szukanie właściwych przypominało próby znalezienia igły w stogu siana.

– A i tak przecież nie wiemy, czy to przypadek, czy ktoś rzeczywiście się na ciebie zasadził. Może jakiś lump po prostu chciał cię obrobić.

Obaj wiedzieliśmy, że to nieprawda (lump zabrałby choćby portfel), ale obaj też uznaliśmy, że taka niedomknięta wersja nam odpowiada.

W poniedziałek i w całym tym tygodniu, który nastąpił po zabójstwie Lewińskiej, starałem się skupić na pracy i nie zajmować zbrodnią, z którą (próbowałem sobie to wmówić) nie miałem nic wspólnego.

Przysiadłem więc ostro przy bieżących sprawach: przejrzałem protokoły z rozpraw, w których brali udział aplikanci, poczytałem projekty dokumentów. Dopilnowałem pozwu przeciwko Viaskonowi, wysłałem ponaglenia do Drumexu, sporządziłem parę pism procesowych.

Manufaktura pracowała bez zarzutu. Głównie dzięki Wandzie i aplikantom.

Ci młodzi ludzie póki co byli ulepieni z innej gliny. Pełni ideałów, przejęci rolą i szansami, zapatrzeni we mnie, w wielkiego adwokata z Warszawy, który kiedyś rozgrywał sprawy za miliardy, wyciągał z bagna biznesowe tuzy i celebryckie gwiazdy, a teraz pracuje tu, na prowincji, w biednym, zaniedbanym, miejscami zwyczajnie cuchnącym Mirowie.

„Ale perspektywicznym” – żartowałem, gdy któryś zwracał na to uwagę.

Sądziли, że jestem od nich lepszy. A ja żyłem w tym kłamstwie i nie wyprowadzałem ich z błędu. Choć najuczciwiej byłoby stanąć przed nimi i wyznać całą prawdę. Opowiedzieć o dragach, alkoholu, seksie, o sędziach sądu najwyższego i sądu apelacyjnego, o okręgówce, prokuratorze Piłeckim, ministrach, biznesmenach, paskudnych zwyczajach i jeszcze gorszych niby przypadkowych wpadkach.

Świat wcale nie pachniał lepiej niż Mirów.

Wieczorem, gdy wszyscy już poszli, wygrzebałem z szuflady akta spraw od Wandzlika i Mirowskiego. Dwa rzuty okiem i nie chciałem dalej wnikać.

Typowe prawnicze przekręty. Grillowanie jak cholera.

Szymura miał rację, to nie było dla mnie. Ja nie układałem się w ten sposób z sędziami i prokuratorami. Owszem, mogłem dogadać się z Bańką czy innymi, nie byłem święty, ale do takich świństw jak te dwa kutasy z Przyszowa nie byłem zdolny.

A może tylko udawałem, że nie jestem.

Przekupieni biegli, urobieni sędziowie, jakieś dziwne pobicia i zastraszenia, świadkowie wycofujący się z zeznań, cofnięte zażalenia i skargi.

Efekt: ludzie woleli porzucać domy, sprzedawać ojcowiznę niż bić się z koniem. A ci, którzy nie woleli?

Postanowiłem nigdy więcej nie wracać do tych spraw. W końcu to nie mój problem. Szczęśliwie. Mogę nie widzieć.

W tym momencie stanęła mi przed oczami Lewińska. Usłyszałem, że mam klapki na oczach. To były jej słowa. Kąsały, uwierały. Bo mówiła prawdę.

Ale mogę pomóc Janiowi... Tylko czy na pewno mu pomogę, działając na zlecenie Szymury? Sporo myślałem o własnej ocenie całej tej sprawy i ostatecznie przyznawałem rację Lewińskiej. Szymura chciał upokorzyć Jania do końca. Pokazać mu, że wciąż ma nad nim władzę. Że kiedy chce, to wtrąca go do aresztu lub psychiatryka, a kiedy chce, to go wyciąga. Za pomocą swojego wiernego psa Tomasza Mauera.

Te myśli strasznie cisnęły mnie w skronie. Tak mocno, że szybko musiałem je odrzucać, starać się skupić na czymś innym. Wychodziłem do łazienki i oblewałem twarz zimną wodą. Jak najzimniejszą.

„Dobrze, Mauerze, niech tak będzie – mówiłem do lustra. – Ale jeśli się mylisz? Jeśli jednak Szymura jest tym razem szczerzy i rzeczywiście chce przyjacielowi coś wynagrodzić? Chce pomóc?”

Właśnie. Uczep się tej myśli, Mauerze. Choć w głębi ducha wiesz, że nawet jeśli teraz Szymura chce pomóc, to ostatecznie tylko po to, by znów Jania zniewolić. Może bardziej niż przez szpital.

„Ale ty, Mauerze, musisz przecież znaleźć jakieś wyjaśnienie tego, co zrobisz, prawda? – odpowiedziało mi lustrzane odbicie. – Musisz uzasadnić to, co zamierzasz?”

Tak, muszę. Nie byłem gotów na wypowiedzenie Szymurze posłuszeństwa. Jeszcze nie.

Przygotowałem ten cholerny wniosek do sądu apelacyjnego o wznowienie postępowania w sprawie Jana Wiśnika. A potem zadzwoniłem do Szymury, ale odburknął tylko, że nie ma czasu i jeśli to nie informacja o zmartwychwstaniu Lewińskiej lub że Bańka zgwałcił Stenkę, to żebym sobie darował. Darowałem.

We wtorek było bardzo ciepło. Po obiedzie sadziliśmy z Anią słoneczniki. Za kilka tygodni miały mieć po półtora metra i wyglądać na ulicę przez płot. Oboje z Basią lubiliśmy te niewymagające kwiaty. W ogóle mieliśmy podobny gust.

Różnie między nami bywało, ale najważniejsze było to, że ciągle lubiliśmy ze sobą rozmawiać. Uwielbiałem, gdy po prostu była obok. Tak wiele przeszliśmy, a mimo to dalej jesteśmy razem.

Rozłożyłem jej hamak. Po ładnej, skromnej buzi Basi błędził uśmiech jak za dawnych lat. Na plastikowym stoliku stał termos z kawą i świeże ciasto drożdżowe. Rosa jak zwykle kopała dołki. Nie bardzo potrafiłem ją za to karcić. Ganiałem więc po ogrodzie, zakopując kolejne norki, podczas gdy psina ryła nowe. Anię bardzo ten widok bawił. Trochę się denerwowałem, że zamiast mi pomóc, dopinguje Rosę, ale w końcu śmialiśmy się z tego wszyscy razem.

Potem zabrałem moje dziewczyny na jacht. Lubilem żeglować. Zrobiłem patent, jeszcze zanim się rozpiłem.

Szymura ma najlepszy jacht w okolicy, zacumowany w zarezerwowanym miejscu i zawsze gotowy do rejsu. To luksusowy maxus, ale choć miałem na to przyzwolenie, tego dnia nie zamierzałem z niego korzystać.

Może bałem się jakichś niechcianych wspomnień. Swoich lub Basi. Bo kto wie, czy wtedy, tamtej sobotniej nocy, na jachcie byli też rzeczywiście jacyś inni. Może była tylko ona i Witold?

Może znalazłbym na tej łajbie coś, czego wcale nie chciałem znaleźć?

Wypożyczyłem niewielką seryjną łódkę klasy Sportina. Bez silnika i na pagajach wypłynęliśmy na zalew. Nie wiało, więc w zasadzie był to sposób na taki mały piknik na wodzie. Zjedliśmy kanapki zrobione przez Basię i byczyliśmy się na wodzie, wlekąc się leniwie. Przyszło mi do głowy, że Ania

robi się coraz bardziej zamknięta. Nie bardzo chciała rozmawiać o szkole i przyjaciółach. Pomyślałem zaraz o córce Szymury Poli, dwa lata starszej od mojej i jeszcze gorszej pod tym względem.

Szymura. Wszędzie on.

– Dobrze ci w Mirowie? – zapytałem w pewnej chwili Basię. – Nie chciałybyś wrócić do Warszawy?

Moja żona roześmiała się głośno. A potem spoważniała i odparła krótko:

– Nie.

Nie byłem w stu procentach pewien, na które pytanie odpowiedziała. Zakładałem, że jednak chodzi o Warszawę.

Potem Basia przysnęła na chwilę na słońcu, a Ania rysowała coś w zeszyście.

Nasza córka była inna niż dzieci w jej wieku. Lubiła samotność, lubiła być sama. Nie przepadała za zabawami, grami i sportami w towarzystwie rówieśników. Nie znosiła rywalizacji. W zasadzie chętnie oddałaby z góry pole, gdyby tylko mogła. Z czego to wynikało? Basia wydawała mi się inna. Znacznie bardziej waleczna. Wyrywała garściami, co jej się należało, kurczowo trzymała wszystko, co ktoś chciałby jej zabrać.

Kiedyś pokazywała mi stare nagrania z dzieciństwa, na których biegała w zawodach szkolnych. Wyglądała zabawnie. Chuda jak tyczka, bez piersi, w spodenkach jak z niemieckich filmów propagandowych. Ale biegła pierwsza. Do utraty tchu. Zresztą w innych sytuacjach też widziałem, jak walczy, jak zaciska kciuki. Za siebie i innych.

Na sali sądowej aż podskakiwała, gdy coś nie szło, wyrywała się do przodu, by uściskać mnie po zwycięstwie lub porażce. Nie, Ania nie miała tego po mamie. Po mnie też nie, bo ja też walczyłem. Zresztą, po mnie... Nieważne.

– Co rysujesz?

Ania spojrzała na mnie. Jaką piękną miała buzię. Piękną i smutną.

– Ciebie.

– Mogę zobaczyć?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo nie.

Wzruszyłem ramionami i szepnąłem:

– Trudno.

Nie odzywała się dobre pół godziny.

– No dobra, zobacz. – Wyciągnęła zeszyt.

– Teraz to ja nie chcę.

– Chcesz, chcesz. Tylko zależy ci też, żebym cię prosiła. Nie będę cię prosić.

– Założymy się?

– Przegrasz.

– Kto przegra, ten się kąpie.

– Bo masz ochotę popływać?

Obejrzałem jej rysunek dopiero po kąpielu. Woda była wciąż bardzo zimna mimo kilku dni upałów, ale jestem przyzwyczajony do takiej. Gdy chodziłem na terapię, jeden trener namówił mnie do wstąpienia do grupy morsów. Trenowałem parę tygodni, zanim wszedłem do lodowatej wody, ale i tak coś zaważyłem w przygotowaniach, bo byłem bliski poważnego uszkodzenia serca. Tak stwierdził lekarz. Jednak nie zabronił mi pływać w zimnie.

Rysunek Ani przedstawiał jakiegoś gościa, który nie wyglądał jak ja. Ona upierała się jednak, że naszkicowała mnie.

Ten facet był bardzo smutny.

– Ja nie jestem smutny. Zobacz, cały czas się uśmiecham. Nawet jak mi tak piekielnie zimno, brrr... – Zadrzałem, miałem gęsią skórkę.

– Jesteś smutny. W środku zawsze jesteś smutny.

Pomyślałem, że ma rację. Po tym, co przeżyłem, zobaczyłem, czego doświadczyłem, nie mogę wewnątrz nie być smutny. Wszyscy jacyś tacy byliśmy. Smutek nas dotknął, splątał siecią, zniewolił. Mnie, Basię i ją. Stąd może jej refleksyjna natura.

Dopiero wieczorem przybiliśmy do brzegu i wróciliśmy do domu.

Tej nocy próbowałem się zbliżyć do Basi, ale powiedziała, że jest zmęczona. Nie mogłem zasnąć, a gdy już się udało, miałem jakiś okropnie morderczy sen. Był to bardzo chory, krwisty koszmar i po przebudzeniu

cieszyłem się, że go nie pamiętam, a z drugiej strony miałem wielką ochotę przeanalizować go. Jak jednak zdiagnozować coś, czego się nie pamięta?

W środę pękłem. Cały czas chodziło mi to po głowie i w końcu nie wytrzymałem.

Załatwiłem sprawy w kancelarii, wsiadłem do samochodu i przed dwunastą parkowałem pod domem Romana Lewińskiego. Romana Białka, który dzięki małżeństwu z Moniką Lewińską pozbył się karbu własnego nazwiska i zyskał nowe życie.

Życie, które szybko stracił.

## 25.

Oczywiście nazwisko Białek wpisałem w internecie dzień po tym, jak je usłyszałem. Z bolącym łbem w niedzielę po dancingu. W ukryciu, tak żeby Basia nie widziała, co robię.

Nie musiałem przebijać się przez setki linków, wystarczyła kompilacja haseł „Białek + Mirów” i już wszystko wiedziałem.

Pomyślałem, że gdybym był nim, też bym przyjął nazwisko żony.

Mieszkał w domu, jakich wiele było w okolicach Mirowa. Nic go nie wyróżniało. Typowy wybudowany w końcu lat osiemdziesiątych klocek pokryty niedawno odświeżoną elewacją w kolorze kawy z mlekiem. Krótka ścięta trawa, na parapetach bratki w skrzynkach, uprzątnięta kostka brukowa.

Pomyślałem, że zupełnie nie pasował do Moniki Lewińskiej, ale z drugiej strony zdawałem sobie sprawę z bezsensu takiej refleksji, bo cóż ja o niej wiedziałem?

Roman otworzył mi drzwi z grymasem twarzy mówiącym: „Co tak rano?”. Chyba go obudziłem. Miałem zresztą wrażenie, że większość dnia przesypia. Drzemie, ogląda telewizję, je, śpi. Nawet nie szuka nowinek technicznych. Nie miał smartfona, internetu, komputera. Tylko telewizor, kanapę, zestaw koców, pragnienie snu. Piwo, lubił też piwo. Na podłodze wałało się kilkadziesiąt butelek. Pewnie, gdy żyła Monika, wyrzucała je albo



zmuszała go, żeby sam wyrzucał.

Obok kanapy, na której chyba spędzał noc i dzień, leżał stos lokalnych gazet. „Głos Mirowa” rządził.

– Jestem kibicem Pęcława Junajtet – wyjaśnił Roman. – Teraz już tylko „Głos” publikuje wyniki i tabele okręgówki.

– W internecie ich nie ma?

Skrzywił się, jakby chciał zapytać: „A co to internet?”. Potem wzruszył ramionami i powiedział:

– Pewnie są, ale ja wolę gazety. Nie sądzi pan, że pięćdziesięciotysięczne miasto zasługuje na trzecią, a może i drugą ligę?

– Może.

– Druga i trzecia liga byłyby drukowane na głównej stronie sportowej, a okręgówkę wrzucają na boczku w ledwie widocznej ramce. Skandal.

– Skandal – przyznałem. – Możemy pogadać?

– A pan kto?

Przedstawiłem się, ale chyba niepotrzebnie. Dobrze wiedział, kim jestem. Byłem już w tym mieście znaną postacią, a Monika prawdopodobnie też napomknęła mu o spotkaniu ze mną. Miałem nieodparte wrażenie, że te jego pytania i zagrywki to pozór. Że dobrze wie, po co przyszedłem.

„Czy zabiłeś swoją żonę?” – miałem ochotę zapytać i zdałem sobie sprawę, że to idiotyczne pytanie.

Czy koleś w waciakach, zaniedbany, niezainteresowany życiem, tkwiący jak Janio w świecie równoległym, mógł kogokolwiek zabić? Na dodatek obmyślić sobie plan zabójstwa i je skrupulatnie zrealizować? Bzdura.

– A... – udał, że sobie przypomniał. – Pan jest tym adwokatem Szymury, prawda?

– Prawda.

– To... to pan spotkał się tamtego wieczoru z Moniką?

Nie musiał uściślać, o który wieczór chodzi.

– Tak.

– Odwiózł pan moją żonę do domu?

– Nie chciała do domu. Prosiła, żebym ją wysadził wcześniej, żeby pan

sobie nie pomyślał...

– Co miałbym pomyśleć?

– Że... nie wiem, że coś mnie łączy z pana żoną. Spotkaliśmy się pierwszy raz, wyłącznie zawodowo.

– O nic pana nie oskarżam, mecenasie.

Jego oczy wcale nie były tego takie pewne. Spuścił wzrok. To był człowiek, który wstydzi się samego siebie. Który nie znosi konfrontacji. Nie chce się wychylać i czegokolwiek dowodzić. Człowiek przegrany.

– Chciałem, żeby pan to ode mnie usłyszał – powiedziałem z naciskiem. – Pomiedzy mną i pana żoną do niczego nie doszło, nic między nami nie zaszło.

– Nic?

To pytanie mnie zaskoczyło. Jakby Roman dobrze wiedział, że z taką kobietą jak Monika nie może „nic nie zająć”. Poczułem na plecach dreszcz.

– To było spotkanie zawodowe. Jestem adwokatem Jana Wiśnika.

Pierwsza reakcja: jakaś obojętność. Potem nagłe prychnięcie.

– Jan Wiśnik. Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Co takiego?

– Wciąż słyszę: Jan... Janio Wiśnik. Słyszałem, gdy ją pierwszy raz spotkałem. Słyszałem to nazwisko w dniu ślubu. I słyszę teraz... kiedy jej już nie ma. Janio, Janio, ciągle tylko Janio...

Powiedział to z taką obojętnością, jakby Monika po prostu wyszła i nie wróciła, a nie została znaleziona martwa te paręset metrów od ich domu. Może dlatego poczułem złość.

– Jan Wiśnik – powtórzył Roman. Miałem wrażenie, że chce coś dopowiedzieć, lecz zamilkł.

– Nazwisko jak inne.

– Szczególne – poprawił. – W Mirowie szczególne.

– Jak Białek?

Poderwał głowę, popatrzył na mnie z nienawiścią, a potem wykrzyczał:

– Dość odpokutowałem za ojca. Całe liceum. I potem jeszcze nieraz jego nazwisko dawało mi się we znaki. Ja to nie on.

Pomyślałem, że po latach właśnie to mogło ich zbliżyć. Oboje przez nazwiska cierpieli nie za swoje grzechy. Ironia losu, że potem on nazwał się Lewiński, żeby pozbyć się swego miana, w jego poczuciu strasznie ciężącego, które ona przyjęłaby pewnie bez mrugnięcia okiem. Tyle że bez bagażu w postaci jego ojca. Bo to był rzeczywiście nieciekawym typ.

– Nie jest pan tchórzem?

– Nie jestem... – Miałem wrażenie, że chce nie tyle potwierdzić, co dopowiedzieć: „mordercą”.

– Może pana ojciec był bez winy. – Próbowałem go podpuścić.

– Gdyby był bez winy, to też by nie wrócił.

– To, że się uratował, czyni go winnym?

– Inni go obwiniali. I mieli rację.

– Śmierć byłaby wyjściem, prawda?

– Dla niego może nie, ale dla mnie, dla mamy, dla całej rodziny już tak. Nikt by nas nie wytykał palcami. Nikt nie grzebał w historii. Nikt nie wywlekał tego i... innych wydarzeń.

„Tak, trudno być dumnym z takiego ojca” – pomyślałem.

A czy ja byłem dumny ze swojego? Przypomniałem sobie te setki, tysiące razy, gdy drżałem ze strachu, kiedy nadchodził. Gdy na każdy dźwięk kroków na klatce schodowej przejmował mnie chłód i drżenie, gdy w nocy budziłem się spocony tak, że nie byłem pewien, czy to tylko pot, czy także siki.

Nie, nie byłem dumny ze swojego ojca. A jednak nie musiałem się go wstydzić. Mój rodzinny dramat działał się w czterech ścianach naszego mieszkania. Nie wyszedł na zewnątrz. Nikt go nie wynosił, jak wyniesiono dramaty Frania, Jania, Wici czy tego nieszczęsnego Białka. Zatem moja trauma powinna być znośniejsza niż jego. Nie miałem prawa – jak zapewne myślał – ich porównywać. A jednak poczułem chęć, by chwycić tego przegranego, zniszczonego i pogodzonego ze swoim losem wyrzutka za szyję i krzyknąć: „Gównu wiesz o cierpieniu”.

Zdusiłem w sobie protest, wspomnienia te i inne. Przelknąłem głośno ślinę, a w końcu zapytałem:

– Podejrzewa pan kogoś?

– O co?

Przecież to jasne.

– Kto mógł zabić pana żonę?

Wzruszył ramionami.

– Jakie znaczenie mają moje podejrzenia? I tak to ze mnie zrobią mordercę.

– Gdyby chcieli, już by to zrobili.

– Widocznie wcześniej muszą się przygotować. A potem zobaczy pan...

– Ale pan jej nie zabił?

– Kochałem ją.

„I tak to udowadniałeś? – miałem ochotę krzyknąć. – Pierdząc w kanapę i śmierdząc?”

– Może pan nie uwierzy – jakby słyszał moje myśli – ale nie zawsze tak wyglądałem. Był czas, że walczyłem. O nią i nasze ideały. Był czas, że Szymura nie miał takiego szerokiego uśmiechu.

– Uważa pan, że to on za tym stoi?

Nie odpowiedział.

– On pana do mnie przysłał? – zapytał za to. – Jeśli tak, niech się nie boi. Nie będę rozповідаł, że to on. Nie będę pisał blogów i listów do gazet. Nie będę mu robił pod górę, jak... ona.

– Ona tak robiła? Pisała listy na Szymurę?

– Pisała – potwierdził. – I nie chciała przestać, choć ich nie publikowali. Pisała do gazet lokalnych i ogólnopolskich. Wszędzie, gdzie się dało pisać. Zrobili z niej wariatkę. A potem i ze mnie. Zwolnili mnie z roboty. Nie mogłem już znaleźć zatrudnienia w Mirowie, a ona nie chciała się poddać. Wynieść. Twierdziła, że tu jest nasze miejsce. Tu jest jej życie i tu się skończy. No i się skończyło.

– Gdyby to był on, nie naprowadzałby mnie na nią. Szymura...

– To gracz – przerwał mi. – Lubi grać ludźmi, lubi poruszać nimi jak pionkami. Ale... też nie sądzę, że to on.

– Więc kto? Kogo pan podejrzewa?

– Nie wiem, kim on jest, jak się nazywa i jak wygląda. Ale podejrzewam,

że to ktoś, kto ją bardzo kochał. Bardziej niż ja, bardziej niż Szymura.

## 26.

Na co dzień jesteśmy zajęci tysiącem spraw. Nosimy w sobie mnóstwo emocji, trawimy ważne rozmowy i analizujemy łamigłówki naszych relacji. Biegniemy za sukcesem, unikamy porażek, a potem przychodzi ta chwila i już nic nie jest ważne. Wszystko zostaje z boku: niedopita herbata, niedoczytana książka, szminka na ustach kochanka, debet na koncie. Śmierć już taka jest.

Miałem wrażenie, że na pogrzebie Moniki Lewińskiej było całe miasto. Całe pięćdziesiąt tysięcy pełnych nienawiści do niej, kochających ją, obojętnych, zwyczajnych i niezwykłych mieszkańców tego urokliwego zakątka centralnej Polski.

Ksiądz nie mógł się nachwalić jej zasług dla lokalnej społeczności, jej charyzmy, urody i piękna. Nawet się nie zająknął. Potem przemawiali burmistrz, dyrektor zespołu szkół, wreszcie Szymura.

Jego mowa była najbardziej osobista i nawet trochę prawdziwa.

– Nie jest tajemnicą, że się z Moniką poróżniliśmy. Że mieliśmy gorsze chwile, że nieraz było nam razem nie po drodze. Mogłem mówić o niej nawet złe rzeczy, mogłem jej źle życzyć, ale prawda jest taka, że ją kochałem. Nie jak mężczyzna kocha kobietę, lecz jak przyjaciel kocha przyjaciela. Ta kobieta, może nie przez wszystkich lubiana, miała przynajmniej jakieś poglądy, których potrafiła do końca bronić. Była pełna życia, pasji, nie poddawała się przeciwnościom, walczyła. Walczyła... za was wszystkich. Za nas wszystkich. Pokazywała nam, jak należy postępować, jak dumnie nosić swoją chwałę i swoją hańbę, jak nie pozostać biernym na cierpienie, jak zauważać zło. Zło, to ono ją napędzalo i to ono ją zabiło, ale my nie pozwolimy, by zwyciężyło. To chcę ci obiecać, Moniko. Żegnaj. Wybacz mi wszystkie winy, jak i ja ci wybaczam. Spoczywaj w pokoju. I bądź pewna, że znajdziemy tego, kto ci to zrobił.

Szymura zszedł z mównicy i podszedł do Romana. Udawał, że chce mu złożyć kondolencje, ale ja wiedziałem, że chodzi o coś innego. Potem zbliżył

się do mnie i szepnął:

– To ten chuj. Jestem pewien.

– Ma alibi – odparłem.

– Alibi to człowiek, a nie maszyna. Jemu alibi dała maszyna. Nie wierzę w nie.

– Nie tylko maszyna. Jest przecież jeszcze coś...

– Nie wiem, jak to zrobił, ale zrobił. Fizjologia nie ma tu nic do rzeczy. Dobry zabójca dobrze planuje.

– Wątpię.

– To on. Co z Janiem?

– W środę posiedzenie.

– Wyciągnij go. Już my z Janiem rozprawimy się z kutasem, który to zrobił.

To był dobry moment, żeby omówić pewne drażliwe kwestie.

– Wznowienie postępowania to środek nadzwyczajny, wyjątkowy. Jak go wypuszczą, ktoś za to beknie. Może twój ojciec.

– O to się nie martw, rób swoje. W Warszawie możesz jechać po moim ojcu, ile wlezie, i tak w Mirowie nikt nie usłyszy. Byle Janio wyszedł na wolność.

Nie było stypy. Poza Romanem nie przyszedł nikt z rodziny. Ani jego, czyli od strony Białków, ani Moniki. Jej przybrani rodzice już nie żyli, sami też nie mieli żadnych bliskich, a Koszalin jest daleko. Komu w domu dziecka chciałoby się jechać na pogrzeb dawnej podopiecznej?

Poszliśmy z Basią i Anią na obiad, na pizzę do pizzerii u Włocha, którego ponoć też sprowadził tu Szymura, a potem do kina na którąś z kolejnych części „Opowieści z Narnii”. Ania patrzyła jak urzeczona. Uwielbiała filmy o innych światach, takie, w których bohaterowie mogą uciec w marzenia, wejść do szafy i znaleźć się w jakiejś baśni. Nawet jeśli w tej baśni wcale nie było szczególnie różowo, trzeba było walczyć o wolność i sprawiedliwość.

Wieczór był ciepły. Ulice pełne spacerowiczów. Nie zauważyłem nikogo ubranego na czarno. Nikt już nie pamiętał o pogrzebie i śmierci, a minęło ledwie kilka godzin. Z kina pojechaliśmy po Rosę, a potem wróciliśmy z nią do centrum.

Zjedliśmy lody i do późna siedzieliśmy na rynku w knajpce ze stolikami na zewnątrz. Rosa wybiegała się w parku i była ledwo żywa. Ulokowała się w nogach Ani i skulona w kłębek obserwowała przechodniów.

Na rynku w Mirowie od maja do października codziennie się coś dzieje. Występują uliczni artyści, muzycy, organizowane są koncerty lub potańcówki. Miasto żyje w dwójnasób, jest znacznie ciekawsze i weselsze niż zimą.

Tego akurat dnia mogliśmy oglądać pantomimę. Przedstawienie o śmierci. Pomyślałem, że to dość szczególne wyczucie chwili. Nawet potem zasugerowałem jednemu mimowi, że powinni mieć weselszy spektakl na wiosenne wieczory, że w taką noc jak ta chcemy myśleć o życiu i miłości, a nie...

– Nie mamy wesołego repertuaru – odparł. – Tylko ponure przedstawienia o złych ludziach i śmierci podobają się naszym widzom.

Kiedy trochę się wyludniło, Ania odeszła na bok i przysiadła na rogu knajpki pod pretekstem, że chce być bliżej kolejnego przedstawienia. Występowała jakaś para. Byli dobrzy. Śpiewali o miłości, choć smutnej i tragicznej, a nie wesołej. Grali na gitarach. Ale moja córka miała inny cel, nie zamierzała koncentrować się na ich występie.

– Znów chce być sama. – Basia posmutniała. – Pewnie boi się, że gdy będzie zbyt blisko, usłyszymy jej myśli.

Wtedy postanowiłem nagle, że muszę opowiedzieć swojej żonie o wątpliwościach, które mnie trawiły, o całej tej historii z Lewińską, o jej mężu. Słuchała uważnie, choć udawała, że robi to tylko z grzeczności, że niewiele ją to interesuje. Nie miała pretensji, gdy powiedziałem, że to ja odwiozłem Monikę tamtej nocy. Nie zapytała, czemu jej od razu nie powiedziałem. Sam to wyjaśniłem.

– Bałem się, że coś sobie pomyślisz.

– Ufam ci – ucieła. A potem spojrzała na mnie, jakby chciała dodać: „A ty mi ufasz?”. Ale nie dodała.

– Wczoraj byłem u jej męża.

– Po co? Będziesz go bronił?

– Nie jest oskarżony.

– Ale to jego podejrzewają, prawda?

- Ma alibi.
- Ale go podejrzewają?
- Tak.
- Będziesz go bronił?
- Nie, raczej nie.
- To po co do niego poszedłeś?

Nie wiedziałem, jak jej to wytłumaczyć. Nie chciałem, żeby się o mnie martwiła.

- Lewiński nazywał się kiedyś Białek - zmieniłem temat. - Przyjął nazwisko żony, bo uważał, że jest mniej skompromitowane niż jego. Jego ojciec był nauczycielem. Dobrym nauczycielem. Przyjaźnił się z uczniami. To było dawno temu, trzydzieści parę lat. Lewiński był wtedy małym szkrabem. Zorganizowano dzieciakom taką przygodę - noc nad zalewem. Pilnowało ich kilku nauczycieli. Wypadu na wyspę nie było w planach, ale Białek zdecydował się wypłynąć z czwórką podopiecznych na nocny rejs po zalewie. Łódź się przewróciła. Tylko on dopłynął do brzegu. Żadnemu z dzieciaków się nie udało. Żeby uratował chociaż jednego...

Basia milczała dłuższy czas. Co mogła powiedzieć?

- Ludzie uważali, że nie powinien być wrócić, prawda?
- Uważali, że zamiast ratować dzieci, stchórzył, że dbał tylko o siebie. Oczywiście poniósł konsekwencje prawne za niedopilnowanie podopiecznych. Został nawet skazany w zawiasach za nieumyślne narażenie dzieciaków na niebezpieczeństwo utraty życia. Ale gorsze było to, co zgotowali mu ludzie. Gazety nie chciały zapomnieć. Zaszczuto go. Dziennikarze szukali na niego różnych haków i znaleźli, że był szpiclem, że robił wcześniej wiele złych rzeczy. Nagonka była skuteczna. Najdrobniejszy brud z życiorysu mu wyciągnęli. Nie miał szans. Wiesz, chyba każdy chciał, włącznie z członkami jego najbliższej rodziny, żeby się w końcu zabił. Nikt nie jest w stanie wytrzymać takiego nękania.

- Przerazające.
- Tak, przerażające.
- Zabił się?
- Nie wiem. Nie ma o tym nigdzie śladu. Bańka nic nie wie, przynajmniej



tak twierdzi. Ciec w biurze prokuratora powiedział mi, że stary Białek wyjechał, uciekł. To byłoby zrozumiałe. Ale zaraz dodał, że jego zdaniem to nieprawda.

– To co się z nim stało?

– Ktoś podobno widział, jak Białek wchodzi do zalewu, brodzi w wodzie, w końcu płynie w noc i już nie wraca. Ludzie mówili, że popłynął tam, gdzie powinien był zostać już dawno. Gdyby tamtej nocy, gdy zginęły dzieciaki, on także nie wrócił, wszystkie tajemnice zostałyby z nim. A tak przywłókł ze sobą prawdziwy śmietnik, niszcząc życie synowi i całej rodzinie. Zabawne? A może tylko pouczające?

– Raczej smutne.

– Białek nie wypłynął. Może straszy nocami dzieci Mirowa. Każde miasto ma swoje ciemne sprawy, które skrywa.

– Nie ma człowieka bez tajemnic. Nie ma miasta bez skazy. Wielu ma coś do ukrycia. A Tomasz Mauer jest tylko jeden. – Roześmiała się, ale zaraz znów posmutniała. I powtórzyła ostatnie zdanie.

Ja też je powtórzyłem.

Tomasz Mauer jest tylko jeden.

I nawet nie przypuszczałem, jak blisko byłem już wówczas naciśnięcia guzika, który miał uruchomić prawdziwą lawinę tragicznych także dla mnie zdarzeń.

Jak bardzo zbliżyłem się do odkrycia największej tajemnicy Mirowa, najczarniejszej karty tego pozornie sielankowego miasta niczym niewyróżniającego się wśród innych wakacyjnych kurortów.

## 27.

Przeznaczenie lubi płać figle, zwodzić, żonglować przypadkami, flirtować z różnymi innymi zmiennymi czasu i przestrzeni. Przystawać tuż przed krawędzią, przekonywać nas, że powinniśmy skręcić, zawrócić lub iść dalej. Podsuwa nam różne przeczucia i myśli – raz prowadzące do zguby, innym razem do szczęścia. Czasem szaleńców skłania do refleksji,

a stonowanych na co dzień stoików ośmiela do skoku życia. Wyławia z tłumów bohaterów, ukrywa tchórzy, wydaje wyroki, jakże wielokrotnie niezrozumiałe, jak niesprawiedliwe.

Kiedyś szukałem jakiejś uniwersalnej postawy, która uchroniłaby mnie przed tymi wszystkimi niespodziankami. Jakiegoś wychwyty, by nie dać się zaskoczyć i już nigdy nie zdawać się na ślepy los. Po latach zorientowałem się, że przede wszystkim trzeba umieć zaakceptować fakt, że los się odmienia. Uznać swoją bezsilność w sytuacjach, na które nie mamy wpływu.

Czułem to. Czułem, że jestem gdzieś na krawędzi. Miałem wrażenie, że flirtuję z czymś potężnym i niezwykłym, znaczącym, ale też nieuchronnym. Dzięki temu, że kiedyś już znalazłem się po drugiej stronie, że widziałem światelko, czułem, jak unoszę się w innym, równoległym świecie, byłem w stanie rozpoznać symptomy. Wiedziałem, że trafiłem na coś więcej niż tylko proste zabójstwo, że za nim kryje się dużo poważniejsza tajemnica. I wiedziałem, czułem to instynktownie, że sprawa Jana Wiśnika też się z nią wiąże. Jakaś macka, mniejsza lub większa, sięga do niej i może się nawet okazać kluczowa. A jeśli tak, to jaka jest moja rola w tym wszystkim? Co mam zrobić, co powinienem, by wybrnąć z sytuacji właściwie? By zrobić to, co należy? By nie budzić się potem z kołującym sercem, móc sobie przed lustrem spojrzeć w oczy?

Nikomemu dotąd nie zwierzyłem się z tego, nawet Basi, ale obawiałem się, że Wiśnik jest potrzebny Szymurze do czegoś niecnego. Że wpływowi biznesmeni wyciąga dawnego przyjaciela na wolność nie dla sprawiedliwości, nie, żeby mu pomóc, ale ma zgoła odmienne założenia.

Wyczuwałem to w samym Wiśniku, w jego wstrzemięźliwej postawie, wystraszonych oczach. Jakby się bał, że wyjdzie na wolność i w normalnym życiu sobie nie poradzi.

Z drugiej strony można było na to spojrzeć zgoła inaczej. Szymura wszystko zaplanował, wysłał mnie do Szelkowa, na spotkanie z Lewińską, pokazał akta spraw, które prowadził dream team Wandzlik i Mirowski. Może zależało mu, bym liznął trochę prawdy o jego ciemnej stronie. Może chciał mnie tym nawet zmotywować, bym sprawę jego kolegi z podwórka poprowadził z przekonaniem, starannie.

Coś było nie tak. Bardzo nie tak.

Oczywiście mogłem się mylić, ale podświadomie wiedziałem, że nie tym razem, że znaki są zbyt wyraźne, umieszczone zbyt blisko mojej drogi, bym je zlekceważył.

Na dwa dni przed posiedzeniem, z niedzieli na poniedziałek, miałem sen, dziwnie realny, choć sięgający czasów sprzed wielu lat. Kilkunastu. W snach tak już jest, że wszystko może się zdarzyć i jakoś dziwnie koresponduje z teraźniejszością.

Siedziałem w środku grupy wsparcia trzeźwiejących alkoholików. Siedziałem, a raczej leżałem w łóżku pod kołdrą, w gorączce, z dreszczami, a inni rozmawiali o swoich problemach, które wydawały mi się takie nieistotne, bo przecież to ja byłem najbardziej chory.

Wśród tych ludzi rozpoznawałem twarze dawnych braci z terapii. Ale po chwili, gdy przyjrzałem się uważniej, zrozumiałem, że to wcale nie są oni. Zamiast moich towarzyszy niedoli na miejscach uzależnionych siedzieli ludzie, z którymi przebywałem ostatnio: Szymura, Bańka, Stenka, burmistrz, proboszcz.

Ludzie, których traktowałem niemal jak przyjaciół, a co do których ostatnio znacząco zacząłem zmieniać zdanie.

Siedzieli i dyskutowali o Janie Wiśniku i o tym, czy będę w stanie go wyciągnąć, pomóc im go dopaść. Zakończyć jakąś starą sprawę, która wisiała nad Mirowem od dawna, kładła się cieniem na historii miasta, stawiała pod znakiem zapytania jego przyszłość i przyszłość wszystkich obecnych. To było dla nich bardzo ważne. Ta rozmowa miała swój kontekst związany z ich doświadczeniami sprzed lat. Wszyscy byli uwikłani w jakieś odległe zdarzenia.

Nie pamiętam postaw i wypowiedzi tych ludzi. One jakby nie miały znaczenia, bo liczyło się i tak słowo tylko jednego z nich. Szymury. Może dlatego jego akurat zrozumiałem i wiedziałem, że to, co powiedział, było złe, przykre, niesprawiedliwe i gorszące. Z jego ust padły słowa, które raniły, które niosły ze sobą wymowne znaczenie, które porażały, nakazały mi się obudzić.

Basia głaskała mnie po głowie. Uspokajała.

– Znowu? Wróciły?

Opowiadałem jej sny. Te najstraszniejsze. Te, które zdołałem zapamiętać.

Te z czasów alkoholowej delirki, napędzane tygodniowym ćpaniem i podsycane w okresach próby wyjścia z ciągu. Jeden straszniejszy od drugiego. Tak realne, że aż niemożliwe, z pogranicza psychoz, które nieważem na jawie. Przeskakujące kaskadowo w ten sposób, że nigdy nie byłem pewien, czy kolejne przebudzenie jest prawdziwe, czy tylko znów umysł ze mnie żartuje. Chciałeś wrażeń, no to masz. Co teraz powiesz? Podoba ci się? Jak się czujesz, widząc, jaka jest potęga wyobraźni, jak wielkim jest magiem i czarodziejem? Jak bardzo potrafi cię wystraszyć?

– Tak – skłamałem.

Sen był straszny, ale jednak nie z tej serii. To był sen proroczy.

Może dlatego w poniedziałek po ogarnięciu paru spraw w kancelarii urwałem się niby na lunch, choć wcale nie byłem głodny, i od razu ruszyłem do kościoła. Idąc, rozglądałem się w poszukiwaniu Wiedźmy, ale nigdzie jej nie było. Dziwne, przecież był poniedziałek. No ale ostatnio widziałem ją pod kancelarią w środę, więc może zmieniła terminarz albo coś jej się pomieszało w głowie.

„Może powinienem to zgłosić? – pomyślałem. – A może się z tego wypowiedać?”

Dawniej nie byłem specjalnie wierzący czy praktykujący. Na msze nie chodziłem prawie wcale. Jednostkowe okazje: śluby, pogrzeby i inne uroczystości w najbliższej rodzinie. Nie lubiłem tłumów w kościołach podczas niedzielnych czy świątecznych zgromadzeń, na polską modłę przesyconych jadem podziałów. Nie rozumiałem ludzi w odświętnych ubraniach klepiących na pamięć te wszystkie formuły. Nie miałem potrzeby przebywania we wspólnocie wiernych. Nie dawali mi poczucia bycia z nimi, nie dawali potrzebnego wsparcia. Szydziłem z nich. Może nie oficjalnie, nie wprost, ale gardziłem nimi, uważałem za zacofanych i prymitywnych.

Kiedy starałem się przerobić przyczyny swojej uległości wobec używek, doszedłem do wielu wniosków. Przedwczesna śmierć ojca, kompleksy... Mógłbym wymieniać różne powody, które doprowadziły mnie do uzależnienia, ale po latach doszedłem do wniosku, że prawda była dużo bardziej banalna. Żyłem po prostu bez Boga, bez wartości, bez drogowskazu. Jak autostopowicz jechałem przez życie okazją, przypadkowo zmieniając towarzystwo, autorytety i wyznawane ideały. Jak kameleon przyjmowałem nauki kolejnych mentorów, obyczaje następnych świt.

Papierowy stateczek płynący bez celu.

Zmieniło się to po jednej zapaści. Gdy otworzyłem w szpitalu oczy, powiedziano mi, że już mnie w tym życiu nie było. Że przez ostatnie dni oddychała za mnie maszyna, komputer rejestrował czynności życiowe, podczas gdy inne urządzenia utrzymywały mnie przy egzystencji, ale tak naprawdę przebywałem w innym świecie.

Trzy dni. Trzy dni bez wyroku. W zawieszeniu, w progu innego wymiaru. Gdzieś, nie wiadomo gdzie. Co się wtedy działo z moim umysłem? Z duszą? Z tym, co nienazwane?

Przez jakiś czas przed zapaścią było ze mną już naprawdę źle. Pieniądze, sukces zawodowy nie dawały mi satysfakcji. Kiedy to wszystko osiągnąłem, nie odczułem bynajmniej przyływu szczęścia. Wręcz przeciwnie, szukałem dalszych doznań. Eksperymentowałem z narkotykami, wydawałem pieniądze na zbytki. Chcąc wzmocnić doznania, musiałem się nieźle odurzać. Na sucho było jakoś nijak – normalnie. Żeby w ogóle odczuwać jakieś emocje poza rozpaczą, zwiększałem dawki. Wchodziłem głębiej w otchłań. Hedonizm to studnia bez dna.

Ktoś jednak nade mną czuwał i wiem, że czuwa nadal.

Kiedyś spacerowałem bez celu po Łazienkach, to był marzec, świeciło słońce, choć było jeszcze zimno. Sprawa w sądzie, którą zaplanowano na cały dzień, spadła i nie miałem żadnych planów, spotkań, obowiązków. Nie miałem ochoty wracać do kancelarii. Wiele razy przejazdem przyglądałem się temu miejscu i chciałem je odwiedzić. Wielki park w środku miasta i ludzie spacerujący, jakby zatrzymał się dla nich czas. Jak oni to robią? Chciałem tam pobyc. Nigdy jakoś nie było okazji. Kupiłem więc duże latte w Starbucksie i łąziłem po alejkach wśród kojącej zieleni, aż wreszcie przysiadłem na ławce. Przez kilka ostatnich dni wciągałem kokę i piłem wódkę. Na szczęście trochę wyhamowałem i to się nie rozkręciło. W nocy jednak od jakiegoś czasu nie spałem, jadłem niewiele, piłem wodę i kawę. Kiedy tak siedziałem, powoli schodził ze mnie stres związany ze sprawą, która się nie odbyła. Poczuję się senny. Dostrzegłem, że w moim kierunku idzie grupka młodych ludzi. Szli z życiem, z pogodą ducha. Zagadywali przechodniów, rozdawali jakieś ulotki. Wreszcie zatrzymali się obok mnie.

– Jestem Marcin. Możemy się za ciebie pomodlić? – spytał z uśmiechem jeden z nich.

Miał nie więcej niż dwadzieścia lat. Pomyślałem, że to jakiś żart albo mam do czynienia z szaleńcem. Ale trwało to tylko moment, bo za chwilę zrozumiałem, że przecież to nic takiego, że ta oferta z niczym się nie wiąże, że ten człowiek chce mi coś dać od siebie, zupełnie niczego w zamian nie oczekując. Nie było w jego pytaniu żadnego wyrachowania, nadmiernej pewności siebie czy też poczucia wyższości.

– Czemu nie? – bąknąłem.

Młodzi ludzie złożyli nade mną ręce i zamknęli oczy.

Szeptali modlitwę. Prosilili za mnie:

– Przyjdź i przemień jego serce, zabierz pustkę i beznadziejność. Otwórz jego oczy i myśli.

I wtedy to się stało. Zadziałała jakaś niewidzialna siła i poczułem się wreszcie spokojny, jakby ktoś zabrał te wszystkie ciężary, które nosiłem w swojej głowie.

Osunąłem się z oparcia i ułożyłem tułów na ławce. Poddąłem się tej mocy. Poczulem ulgę i zalało mnie szczęściem. Czułem się cudownie ten jeden raz w życiu. Odeszły wyrzuty, kompleksy i oskarżenia. Nieważne, co było wcześniej i jakie popełniłem występki, On mnie nie przekreślił i nigdy nie zostawił.

Straciłem przytomność. Ktoś wezwał karetkę. Przez trzy dni, kiedy leżałem w śpiączce na intensywnej terapii, zobaczyłem całe swoje życie: cierpienie, które zadałem innym, krzywdy wyrządzone samemu sobie.

Od tego momentu wiem to na pewno. Nie jestem sam.

Potem co jakiś czas powracały do mnie przebliski. Czułem w nich dziwny spokój, coś niezwykle czystego, doskonałego. To coś dało mi nadzieję, jakby przepowiadało, że wszystko się odmieni, że spotkam w końcu Basię, że pojawi się Ania i zostaną uratowani.

Nawet jeśli zdarzały się wpadki, nie potępiąłem się, po prostu starałem się nie brnąć w to dalej. Odkryłem, że to był ten diabelski mechanizm, który mnie gubił. Zamiast pozbierać się po upadku marnowałem czas na gnuśnym lamencie, że nic nie jestem wart, jakby nie było jutra. Wreszcie zrozumiałem, że to tylko upadki.

Potem bardzo pomógł mi Kościół. Nie mury budynków, nie wspólnota, nawet nie wyznawanie prawdy. Kościół pozwalał mi odnaleźć w sobie jakiś

taki tajemny pokój, gdzie mogłem rzeczywiście pogadać z Bogiem, jakkolwiek go nazwiemy, namalujemy, określimy.

W Mirowie główny kościół został postawiony tuż przy rynku. Pięćsetletnie mury, częściowo zachowane do dziś, wzniesli benedyktyni, którzy przybyli tu z Francji. Któryś z możliwych biskupów, fundatorów opactwa, wyłożył środki na ten zbożny cel. Zakonnicy porzucili wszystko, by zgodnie ze złożonym ślubem oddać się całkowicie Bogu. W kryptach, które należały obecnie do tutejszej parafii, spoczywały ich trumny pieczętujące zasadę przywiązania do jednego domu zakonnego aż do końca życia. Zaraz po wojnie komuniści, wykorzystując fakt, że mnisi zostali przez nazistów zesłani do Dachau, zagospodarowali ruiny opactwa na skład zboża. Potem w ramach nowo powstałej parafii miejscowa ludność wzniosła kościół.

Z dawnej, wielowiekowej tradycji opactwa poza duchem kościoła odbudowanego kilkanaście lat po drugiej wojnie światowej został patron tutejszej parafii – święty Benedykt z Nursji. Na wspartym kolumnami portyku współcześni wyryli napis: „Nie chcę śmierci grzesznika, lecz aby się nawrócił i żył”.

Olbrzymia nawa wypełniona była ciszą i pustką. Poczulem w nozdrzach przyjemny zapach palonego kadzidła, którym nasyciły się mury kościoła. Na zewnątrz było dość gorąco, w środku zaś panował kojący chłód. Zwykle w takich wnętrzach siedzi jakaś stara babinka, odmawiając różaniec, zakonnica krząta się przy ołtarzu, echo niesie szept modlitw. W tej chwili jednak nie było tutaj nikogo. Poczulem się dobrze, jakbym u progu kruchty zrzucił z pleców jakiś balast. Wyciszyłem telefon i myśli. Usiadłem w ostatniej ławce, w cieniu, żeby nikt mi nie przeszkadzał, przymknąłem oczy i rozpocząłem rozmowę. Nie wiem, ile czasu upłynęło, nie wiem nawet, czy nie zasnąłem. Ale poczułem się spokojniejszy. To nie był jakiś wielki przełom, raczej radosne uczucie, jakbym wrócił do domu. Kiedyś nie usiedziałbym w kościele minuty, teraz mógłbym tu przebywać godzinami. Nie poznałem odpowiedzi na główne pytania, ale poznałem wskazówki. Były tam, w mojej głowie. Może były tam zawsze, wystarczyło je tylko oświetlić. Ale jestem prawie pewien, że gdybym nie przyszedł do kościoła, to by się nie wydarzyło.

– Wierny Tomasz – dobiegło z boku.

Otworzyłem oczy. Kaziu stał koło mnie i patrzył z wyraźną troską. Na

jego twarzy malowało się zrozumienie. On wiedział. Wiedział, co się dzieje w tym mieście i co się dzieje ze mną. Miał pogodny wyraz twarzy, widać było, że ucieszył się z tego zaskakującego pewnie dla niego spotkania.

– Chodź, pogadamy – zaproponował, zapraszając mnie gestem w głąb kościoła.

Przeszliśmy przez prezbiterium i zakrystię do kancelarii. Nie było siostry zakonnej. Kazio wyjaśnił, że poszła na targ.

– Szykuje przyjęcie dla wikarego. Imieniny.

Wskazał mi miejsce na kanapie, sam przysiadł na fotelu obok.

– Zrobić ci herbaty, kawy?

– Nie, dziękuję. Co się dzieje? – zapytałem bez wstępów.

Kaziu zacisnął zęby, chwilę patrzył mi w oczy, jakby próbował wyczuć, czy może mi zaufać, a potem wyszeptał:

– Zło.

Pozwolił, by słowo zawładnęło przestrzenią. Rozpanoszyło się w niej, przejęło władzę nad naszym jego postrzeganiem. Miałem wrażenie, że aż światło przygasło i chyba nawet tak się stało, słońce zginęło za jakąś chmurą.

Dopiero wtedy dopowiedział:

– Jest tu. Wylazło z nory. Przenika umysły, intryguje i budzi lęk. Każda zbrodnia rodzi zemstę, gniew. Na tym polega jego triumf. Ludzie stają naprzeciwko ludzi, poróżnieni, pyszni, czują się lepsi, innych mają za gorszych. Szatan tylko zaciera ręce. Nic nie musi już robić. Wszystko rozkręca się dalej samo.

Przełknąłem ślinę. Nie chciałem być nieuprzejmy ani sprowadzać go na ziemię, mówiąc bardziej konkretnie, ale też trochę nie miałem wyjścia. Zrobiło się późno, nie miałem ochoty na teologiczne dyskusje z hazardzistą, który udaje, że nim nie jest. Choć może źle go oceniłem. Może byłem w tym niesprawiedliwy. Kim jestem, by go sądzić?

„Nie chcę śmierci grzesznika, lecz aby się nawrócił i żył”.

– Zło nie zabija. Lewińską zabił jeden z mieszkańców Mirowa, a nie zło.

– Tak, jeden z nas – przyznał. – Ale za każdą zbrodnią kryje się zły duch, jego podszept. Nikt sam z siebie nie zabija. To złożony proces, który rodzi



się w myślach, dojrzewa, a na końcu zamienia w czyn. Zło jest wyrachowane. Zachęca do walki, szuka pretekstów do zadawania krzywdy. Szatan podnieca do grzechu w imię walki ze złem. Podsyca nienawiść, dręcząc swoich wybrańców. Wiesz, podobno wszędzie zmniejsza się liczba wiernych. Mówią, że ludzie przestają chodzić do kościołów. Ale to nieprawda. W tych zwariowanych czasach, kiedy ludzie nie rozmawiają ze sobą, za to piszą do siebie wiadomości w telefonie, oceniają innych po ubiorze, poznają świat na podstawie tytułów gazet i seriali ciężko się odnaleźć, mieć jasność, co jest dobre, a co złe. Gdybyś chodził na nasze msze, wiedziałbyś, że nie ma gdzie wcisnąć palca.

– Może wierni chcą się schować przed złem? – zadrwiłem. – A może uciekają do kościoła przed wyrzutami sumienia?

– Nie, oni szukają odpowiedzi. Szukają dla siebie nadziei. Chcą drogowskazu. Każdy przecież chciałby znaleźć swoje miejsce w życiu, swoją drogę, kontakt z samym sobą. Ja, jak wiesz – ściszył głos i popatrzył na mnie z uśmiechem – również błdziłem, to znaczy błądzę. Ty też szukasz, Tomaszu, prawda?

– Może.

– Mówią ostatnio wszędzie o obcych, że oni przybywają i sprawiają problemy. Że przynoszą inne obyczaje i religie. Obawiam się, że jak tak dalej pójdzie, to jeszcze w tobie zaczną szukać zła. – Zabrzmiało to jak groźba. – A przecież jesteśmy chrześcijanami. Ludzie widzą zło w obcych, a nie widzą go w sobie. A to zło mieszkało cały czas z nami, tylko się teraz uaktywniło. Tu nie chodzi o rogatego diabełka z ogonem i kopytkami, ale niezwykle inteligentny byt. Jemu zależy na tym, by mącić, konfliktować, nastawiać przeciwko sobie ludzi, którym często się wydaje, że walczą ze złem. Z tego biorą się plotki, wrogość, zazdrość, pycha.

– Kto zabił Lewińską?

– Nie wiem.

– Jaki to ma związek z Białkiem? Co tu się dzieje?

Ksiądz zawahał się, spojrział przenikliwie gdzieś hen za okno, a potem mi opowiedział. W kilku krótkich zdaniach. Od tego momentu popatrzyłem na wszystko inaczej.

Każde miasto ma swoją legendę, którą rozumieją tylko miejscowi. Ona

jest jak piętno, grzech pierworodny, który kala umysły następnych pokoleń lękiem.

Nagle zrozumiałem, co tu jest grane, dlaczego mam tyle sprzecznych znaków i odczuć, dlaczego nie widziałem dotąd tego, co dostrzegali wszyscy inni.

## 28.

Wystarczyło wpisać w internecie parę prostych słów. Kilka grafik i kilkanaście linków, które wyświetliła przeglądarka, zawierało aż nadto danych, abym utwierdził się w przekonaniu, że powinienem pogrzebać znacznie głębiej w mrocznej historii Mirowa. Musiałem sobie to gdzieś potwierdzić, poukładać, poznać więcej szczegółów. Bo choć nie miałem powodów, by nie wierzyć Kaziowi, jakoś w głębi duszy liczyłem na to, że jego interpretacje idą zbyt daleko, że są przesadzone. To były jednak suche fakty, na które znajdowałem potwierdzenie w dość lakonicznych informacjach prasowych. Nie dało się tego przekłamać. W komentarzach internauci puszczali być może wodze fantazji, niemniej jednak były ku temu konkretne powody, zdarzenia, które po prostu miały miejsce.

Kiedy poczytałem wpisy z forum „Tajemnice Mirowa”, które ktoś założył na portalu „Gazety”, byłem pełen jak najgorszych przeczuć. Mówiły o tym samym, o czym opowiedział mi ksiądz.

Postanowiłem, że następny dzień zacznę od wizyty u Bańki. Nie było na co czekać.

„To będzie trudna rozmowa, przyjacielu” – pomyślałem z pretensją.

Miałem żal, że mi nie powiedział, że o wszystkim dowiedziałem się dopiero teraz.

Przy kolacji bezwiednie pisałem po serwetce. Często tak mam. Bazgrołę coś, robię jakieś rysunki, które nic nie znaczą. Nie wiem dlaczego. Wyłączam się w tych chwilach. Jakbym był w jakimś innym świecie, który projektuje psychika. Umysł jest w jednym miejscu, ręka w innym.

Basia zwykle nie interesuje się moimi zapiskami, za to Ania zawsze dopytuje, co mam na myśli, co to jest i chyba nigdy mi nie wierzy, gdy

mówię, że to bez znaczenia. Dawniej obrażała się, bo myślała, że nie chcę jej powiedzieć, więc zacząłem dorabiać do tego różne historie. Może miała to po mnie. Przecież ona też zmyślała z tym, że mnie rysuje, a ostatnio również w innych kwestiach. Tym razem jednak nie musiałem konfabulować.

– Białek? – zapytała. – Co to znaczy?

Aż podskoczyłem na krześle. Spojrzałem na rysunek. Rzeczywiście. Napisałem „BIAŁEK”.

– Nic takiego.

– Tato...

– Po prostu tak mi się napisało.

Zrobiła obrażoną minę, a mnie zrobiło się głupio. Nie była przecież już taka malutka, żeby dawać sobie wciskać ciemnotę.

– Dobra, przepraszam. – Westchnąłem. – Chodzi o jedną sprawę, która... którą prowadzę.

– Tego morderstwa w lesie? – Zrobiła oczy jak pięć złotych.

– Tata nie prowadzi sprawy morderstwa – odparła za mnie Basia.

– Ale morderca może będzie chciał go zatrudnić – powiedziała dziarsko ku mojemu przerażeniu Ania. – O to chodzi? Myślisz, że się do ciebie zgłosi i będziesz musiał go bronić?

– Nie. Nie wiem.

– Będziesz go bronił, gdy się zgłosi? A jeśli będzie rzeczywiście winny? Jeśli to będzie prawdziwy drań? Wtedy też będziesz go bronił?

Zabrakło mi tchu. Nie chciałem takiej rozmowy. Przekląłem się w myślach za to, że napisałem to nazwisko na serwetce.

– Białek nie żyje – podsumowała nagle moja trzynastoletnia córka. – To nie on zabija.

– Słucham?

Czyżby i ona wiedziała więcej ode mnie?

– To nie on. Opowieść o nim to tylko legenda. Dzieciaki ze szkoły układają wierszyki o tym Białku, ale przecież to bzdura. Gdyby żył, baliby się go naprawdę. Nie byłby takim postrachem na niby. Takim, o którym śpiewa się wyliczniki.

– Tak? Znasz którąś?

– Wystarczy wyjść w szkole na podwórko. Zamiast „ene due rabe” wołają: „A to be, a to fe, Białek przyjdzie i cię zje”.

– Naprawdę są takie wierszyki?

– Słowo. Jest też wiele innych. Na przykład: „Dylu dylu dylu, dzieci było tylu, ale Białek przyszedł, z wody nikt nie wyszedł”.

– Nie mów?

– Powaga. Słabe, nie?

– Słabe – przyznałem.

– Dzieciakom się podobają. Tym mniejszym, bo w mojej klasie już się tego nie opowiada, za to czasem dziewczyny piszą, że Białek był całkiem interesujący.

– Interesujący?

– Że przystojny. Na Instagramie są jego zdjęcia z tamtych lat. Widziałeś?

Nie mam Instagrama. Zatrzymałem się na Twitterze i Facebooku. Późniejsze snapchaty, watchdogi i instagramy mnie pokonały. Musiałbym przenieść życie do internetu, żeby nadążyć.

Ania pokazała mi zdjęcie tego człowieka i musiałem przyznać, że rzeczywiście był przystojny. Miał długie włosy i starannie przystrzyżoną brodę, sprawiał wrażenie artysty. Głęboko osadzone oczy patrzyły z żarliwym błyskiem. Roman też był niczego sobie. Nic dziwnego, że Monika go wybrała, że się w nim zakochała. Tyle że z przystojniaka przemienił się w lumpo-kanapowego pierdziela.

– Interesujący – szepnąłem.

Swoją drogą wydawało mi się to niepojęte, że dzieciaki dogrzebały się do jakiegoś starego zdjęcia Białka i ukłuły z niego ikonę. Pytanie tylko, czego ikoną miał być ten człowiek? Jakie wartości niosła za sobą jego demoniczna podobizna?

Ania wydeła dolną wargę i odpowiedziała na pytanie, które chodziło mi po głowie.

– Nie rozumiem tej fascynacji złem. To nie dla mnie.

Niby zwykłe zdanie, jak wiele innych. A jednak po rozmowie z księdzem wydało mi się szczególne.

– Co powiedziałaś?

– Prawie wszystkie dziewczyny z mojej klasy się w nim kochają. W tym zdjęciu. Teraz jest moda na satanizm.

– Satanizm?

– Nergal, Behemot, te sprawy...

– Ale...

– Taki satanizm popularny, nic groźnego. One sobie lubią wmówić, że się kochają w czymś ciemnym, mrocznym, złym. Normalnie na religii to pierwsze są do odpowiedzi, ale potem linkują tych wszystkich czarnych książek ciemności.

– A ty? – Byłem zdeterminowany, by natychmiast sprawdzić, czy i mojej córce nie udzieliła się ta moda na zło. Boże święty, co się z tymi dziećmi dzieje?

– Mnie to... – Chciała chyba użyć jakiegoś wulgaryzmu, ale w porę się powstrzymała i poprawiła: – Mam na to wywalone. Jakbym chciała rzeczywiście oddać się złu, to nie szukałabym go na Pudelku – zakończyła, a ja nie wiedziałem, czy miało mnie to pocieszyć, czy jeszcze bardziej zdołować.

Późnym wieczorem, kiedy zostaliśmy już sami, Basia zażartowała z czegoś, ale widząc, że wcale mnie to nie bawi, że jestem ponury, jakby nieobecny i zwyczajnie przybity, zaczęła naciskać, bym jej powiedział, co mnie gryzie.

Nie chciałem jej martwić i mówić o potencjalnym konflikcie z Szymurą, o tym, że być może będę musiał wybrać pomiędzy nim i Wiśnikiem, że czeka mnie konfrontacja i że skłaniam się ku temu, by stanąć po stronie mojego klienta, którym w tej chwili jest Wiśnik, a nie Szymura, nawet jeśli rozsądek podpowiada inaczej. Że będę musiał postawić się najważniejszej osobie w tym mieście. I sam nie jestem pewien, czy jestem do tego zdolny. Czy mi się uda.

Gryzło mnie to. Bałem się tej rozmowy, bo choć nie jestem dzieckiem, staram się, jak mogę, unikać takich sytuacji. Może właśnie dlatego znów nawiązałem do Białka i żartobliwych wyliczanek.

– Coś w nich jest – szepnęła Basia.

– Co takiego? Czyżbym do dziś tylko ja poruszał się jak we mgle? Nawet

członkowie mojej najbliższej rodziny wiedzieli więcej ode mnie. Ładny ze mnie adwokat. Błądzący we mgle troglodyta.

– Pani Renia mówi, że klątwa Białka działa. Że już niejedną śmierć ma za sobą.

– Śmierć?

– Podobno co roku ginie jakaś młoda dziewczyna. Mniej więcej w okolicach tej tragicznej rocznicy. Co roku o tej samej porze. Wiosną. Jedna ofiara.

Ta pani Renia to jednak ma niezłą fazę. I inni widać też.

– Bzdura – warknąłem.

Nie chciałem uświadamiać Basi, co jest prawdą, a co wymysłem. Byłem na siebie zły, że w ogóle podjąłem ten temat.

– Tak mówią. Renia tak mówi...

– Aha. To można już odetchnąć, bo w tym roku klątwa zabrała Lewińską.

Skinęła głową. Nie od razu podsumowała. Dopiero po dobrych dziesięciu sekundach dopowiedziała cicho:

– Niby tak. Ale klątwa zabiera. Nie wiadomo, czy morduje. Ciał tych dziewczyn zabranych przez klątwę nikt przecież nie znajduje. Jeśli to ma cokolwiek wspólnego z prawdą, o czym pewnie ty wiesz, ale nie możesz powiedzieć i dlatego ja muszę się o takich sprawach dowiadywać od pani Reni. Dobra, ja zasypiam. Nie zamierzam dać się zabić, a tym bardziej porwać. Nie tej nocy.

Słyszałem obok siebie jej spokojny, miarowy oddech, ale sam jeszcze długo nie mogłem usnąć.

Jadąc rano do Bańki, wciąż myślałem o tej rozmowie z Basią. Ciał zaginionych dziewczyn nikt nie znajduje, a ciało Lewińskiej zostało odnalezione. To by oznaczało, że morderstwo Moniki wcale nie było działaniem klątwy. Coś dopiero miało nadejść. Zakładając oczywiście, że w każdej plotce jest ziarno prawdy. Tyle że tu było tylko ziarno. Zero prawdy. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Bańkę zastałem w jego gabinecie, udawał strasznie zapracowanego. On potrafił zrobić zamęt w kilka sekund. Nakrzyczał przez telefon na policjanta, przełożył jakieś akta z kupki na kupkę, podpisał kilka

dokumentów, przekartkował kodeks i już masz, wypisz wymaluj, obraz styranego prokuratora.

– W środę rozprawa, przygotowuję się.

Zamierzałem od razu na niego napaść i wygarnąć, co o nim myślę, ale zwyciężył koniunkturalizm.

– Będziesz się upierać przy zostawieniu Wiśnika w zamknięciu?

– Przecież muszę – burknął.

– Dlaczego?

– Takie są zasady. Nie będę nazbyt gorliwy. Nie martw się. Możesz mi za to postawić obiad.

– Bańka, kurwa, rozmawiamy o człowieku...

– Dobra, to ja ci postawię.

– Nie chodzi o obiad.

– Nie? – Naprawdę wydawał się zdziwiony.

Wypuściłem głośno powietrze, a potem usiadłem naprzeciwko niego i zbliżyłem twarz do jego twarzy.

– Pogadajmy o czymś innym.

– O czym? Teraz?

– Teraz.

Opowiedziałem mu o wizycie w kościele, o wierszykach i wyliczankach ze szkolnego podwórka, o satanistycznych zabawach nastolatek, o mrocznej legendzie Mirowa, w którą nie zechciał mnie wprowadzić.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– O czym?

– Że ten Białek to legenda. Że Mirów ma swoją mroczną legendę?

– Przecież powiedziałem. Powiedziałem ci, żebyś sobie przejrzał internet.

Internet. Parę artykułów i to nieszczęsne forum. Plus opowieści pani Reni. Historie jak z kiepskich kryminalnych szmatławców, wydumane i wyolbrzymione, o rzekomo co roku znikających dziewczynach. O tym, jak klątwa Mirowa dopomina się o swoje kolejne ofiary. Oczywiście większość z nich była wyssana z palca, ale nie wszystkie.

– Ile z tego jest prawdą?

– To znaczy?

– Ile było tych zaginięć?

– Dwa.

Nie tak dużo.

– W ciągu ostatnich dziesięciu lat – odpowiedział nieco zbyt ospale.

– A wcześniej?

– Jeszcze sześć.

– W Mirowie zginęło osiem kobiet i nikt z tym nic nie zrobił?

– Prowadzono poszukiwania. Ale nie było ciał, dowodów. W każdym przypadku mogliśmy założyć, że te kobiety po prostu uciekły, wyprowadziły się, zmieniły otoczenie. Kilka z nich prawie na pewno tak zrobiło. Nic ich nie trzymało w Mirowie. Do tego trzeba by dołożyć kilka spraw wyjaśnionych. Jak morderstwo sprzed siedmiu lat po drugiej stronie zalewu, na Przyczółkach.

Była to lepsza dzielnica Mirowa, nowa, dla nowobogackich zapatrzonych w Szymurę. Wykupili sobie kawałek lasu i postawili niewielkie osiedle. Prezes się zgodził. Może po pijaku, a może z dobrego, czystego serca.

– Co to za sprawa?

– Inżynier z korporacji. Zaczytywał się bzdurami, różnymi takimi Houellebecqami i postanowił kogoś zamordować. Uznał, że kogoś obcego, to byłoby niesprawiedliwe. Nienawidził żony, więc przyjął, że to najlepszy wybór. Zabił ją, poćwiartował w piwnicy, wywiózł do lasu i zakopał. A potem zgłosił na policję, że zniknęła. Wiosną. Kolejny efekt klątwy. Nie doczyścił jednak domu. Znaleźliśmy masę materiałów obciążających, śladów krwi oraz pełno śmieci w internecie. Szukał informacji, jak należy podzielić ciało i co z nim zrobić. Część rad pisała mu na forach ekipa z policyjnego laboratorium, oczywiście od razu dając znać do CBS. Szybko go posadziliśmy.

– Ile dostał?

– Piętnaście.

– Za coś takiego?

– Mało, nie? Też uważałem, że mało. Ale sędzia mnie nie lubił i dał piętnastaka. Myślałem, że apelację wygram, ale może za mało się



przyłożyłem. Obrona podniosła, że w końcu to pierwsze zabójstwo, a ja się poczułem wywołany do tablicy i rzuciłem jakiś niesmaczny żart w stylu: następnym razem doradzamy morderstwo gdzieś na wyjeździe, a nie we własnej piwnicy. Wiesz, jacy są sędziowie. Odegrali się. Ta kobieta zresztą perfidnie go zdradzała, nagrała cały serial z różnej maści kochankami. Były podejrzenia, że ich potem szantażowała. Stare dzieje.

Westchnąłem głośno. Bańka bywał zabawny, bywał wulgarny tak, że miało się go ochotę zdzielić, ale w sumie miał swój urok. Bywały chwile, że nawet go lubiłem.

– Bańka, powiedz mi szczerze, co ty o tym myślisz?

– Szczerze?

– No.

– Szczerze to lepiej mieć raz w roku zaginięcie regularne i powtarzalne niż nieregularne kilka razy w roku. Co nie?

– Chyba nie.

Tym razem to on westchnął.

– Dobra, wiem przecież, że to jest problem. Problem Mirowa. Ale też wyolbrzymiony. Dwadzieścia lat, osiem zaginionych. Tak dużo? Jakby poszukać w większych miastach, to raczej na pewno nie byłby to problem.

– Mirów to nie większe miasto.

– Całkiem duże.

– Nie na tyle zaginięć. Wiesz dobrze, co powinieneś...

– Nie pierdol mi tu. Nie ma żadnego seryjnego.

– Jest.

– Nie ma.

– To nic nie znaczy. Nie ma dowodów.

– Bańka!

– Mówię prawdę. Są sprawy, dowodów brak.

– Dlaczego?

– Jak niby mam...

– Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

Chyba chciał skłamać, ale w końcu odetchnął głęboko i szepnął:

– Szymura zabronił.

Szymura. Zawsze może zabronić.

– Nie chciał cię rozpraszać przed sprawą Wiśnika. Bardzo mu zależy, żebyś go wyciągnął.

– To nie ma związku.

– Nie ma, ale jakbyś się zaczął zastanawiać nad tymi dziewczynami, to jeszcze byś o czymś zapomniał. A teraz priorytetem jest Wiśnik. Potem zastanowimy się, co zrobić z Lewińską i... całą resztą.

Westchnąłem. Stuknąłem palcem w blat i dopytałem:

– Czy wobec zabójstwa Lewińskiej nie należałoby tego połączyć, wznowić?

– Te dwie wcześniejsze sprawy to tylko zaginięcia – bronił się Bańka.

– Niewyjaśnione – podkreśliłem.

– Ale jednak zaginięcia. Nie ma ciała, nie ma zbrodni. Ciało Lewińskiej znaleźliśmy. Tych dwóch nie. A wcześniejsze przypadki... No przecież nie będę sięgał do zaborów, nie?

Bańka aż się spocił. Ale z drugiej strony rozumiałem go. Co innego miał mi powiedzieć? Zajmował się kiedyś zaginięciami dwóch kobiet. Te sprawy nie miały dziś znaczenia. Nie odnaleziono ciała. Nie ma po nich śladu. Dlaczego miałby łączyć to z Lewińską?

Dobrze wiedział dlaczego.

Mogliśmy tu mieć seryjnego mordercę. Groźnego dla całego miasta, znacznie poważniejszego przestępcę niż nieszczęsny Jan Wiśnik. Takiego, o którym za pięćdziesiąt lat będą układać wyliczanki, jakie do dziś układają o Białku.

Tej nocy, nocy poprzedzającej wznowiony proces Jana Wiśnika, miałem kolejny sen. I tym razem po przebudzeniu pamiętałem go doskonale. Pamiętałem, jak Witek Szymura szepcze do ucha jakiemuś innemu draniowi:

– Tomasz go dla nas wyciągnie. A potem się z nim rozliczymy.

Warszawa, miasto moich złych snów. Są sprawy i ludzie, o których chciałbym zapomnieć. Przez te wspomnienia staram się tu nie bywać. Może kiedyś mi przejdzie. Ile to już lat? A jednak ciągle to wszystko we mnie żyje. Ulice, budynki wywołują paraliżujący lęk.

Wiele lat temu, kończąc studia i spoglądając w majowe niebo ponad murami Collegium Iuridicum na Krakowskim Przedmieściu, czułem się spełniony. Marzyłem o tym, by po prostu dostać jakąś pracę, zarobić na podstawowe potrzeby.

Wcześniej chciałem zostać antykwariuszem. Czytać, spotykać ludzi, którzy gmerają po półkach pełnych książek, zatrzymując wzrok na kartach tysiąca myśli. Tak mi podpowiadało serce. Potem dostałem się (sam byłem tym zaskoczony) na aplikację adwokacką i oddaliłem się od tych marzeń.

Oddalałem się krok po kroku, nie dostrzegając, że jestem już inny. Jak ktoś, kogo znajomy spotyka po latach na ulicy i mówi mu „Ty, stary, ale jesteś gruby”.

Kariera była zazdrosna o te marzenia i zastąpiła je swoimi. Nie spoglądałem już w niebo, ale niżej. Patrzyłem na kroki i chciałem być pierwszy, rozpychałem się łokciami, zastawiałem ramieniem jak najlepszy defensor w Serie A, byle mnie nikt nie wyprzedził. Chciałem iść szybciej niż wszyscy inni na wymarzony szczyt. Zacząłem marzyć o tym, by kupić sobie nieprzemijający spokój, piękną żonę, zdrowe dzieci i wieczne wakacje od problemów. Ale to się dotąd nikomu nie udało, nie mogło się więc udać też mi. Szukałem wrażeń, odmiennych stanów świadomości, szedłem po bandzie i zaliczyłem krakę.

Pierwsza awaria. Przyszli o szóstej nad ranem, nie wyglądali na akwizytorów i nie chcieli podpisu na liście wyborczej. Sześciu detektywów z CBA i prokurator. Strzelili blachami w zaspane źrenice, potem pokazali kartkę formatu A4, na której tłustym drukiem było napisane: „Nakaz zatrzymania”. Nie ma żartów. Od tej chwili, kiedy szedłem na siku, towarzyszył mi agent. Nie chcieli kawy, wody, nie byli rozmowni, nie uśmiechali się. Ryli w komputerach, kartkowali książki, szukali w kieszeniach płaszczy i marynarek.

Dawno, a jakby dziś...

Warszawa, miasto moich złych snów. Areszt Śledczy Warszawa-Mokotów. Cella przechodnia, czterech osadzonych: graficiarz z zarzutem zniszczenia mienia; alimenciarz, co nie podjął wezwania na rozprawę, a więc się ukrywał (to nic, że od dwóch lat kładł płytki w Bawarii i nic nie wiedział o sprawie). Jest jeszcze jeden, milczy. Tak jak ja nie podaje przyczyn zatrzymania.

Może też uwierzył w swoją szczęśliwą gwiazdę? Może też uznał, że jak się ma takie plecy, nic się nie może wydarzyć? Może zachłysnął się tymi maybachami, roleksami, perskimi dywanami swoich wielkich klientów utuczonych na państwowym?

Nie chcę już o tym myśleć. Staram się skupić na jeździe, Marszałkowska jest jak zwykle zakorkowana. Na chodnikach przechodnie uciekają przed wiosennym deszczem.

Posiedzenie w sprawie uwolnienia Jana Wiśnika rozpoczęło się w środę w Sądzie Apelacyjnym bez udziału jej głównego bohatera.

Orzeczenie miało zapaść w składzie trzyosobowym. To była kwestia proceduralna. W końcu zakwestionowałem całość sprawy, podnosząc, że doszło do rażącego naruszenia przepisów procesowych.

Sędzia prowadzący przewód, młody i ambitny, miał niewiele ponad czterdziestkę. Był sprawozdawcą i pewnie jako jedyny przeczytał akta, a może tylko je przejrzał. Dwaj pozostali pełnili funkcję ozdobną.

Myślałem, że nie będzie publiczności. Tymczasem tuż przed wywołaniem sprawy pojawiła się cała święta trójca – Bańka, Stenka, Szymura, a także dwaj mecenas z Przyszowa – Mirowski i Wandzlik.

Zasiedli przed salą grzecznie na ławie po lewicy i prawicy Szymury, jakby mój wpływowy mandant obłożył się poduszkami.

Nawet przekonująco udawali, że się nie znamy, szeptali coś pod nosem, wybuchając od czasu do czasu śmiechem, jakby sobie ze mnie udanie żartowali. Aż poczułem pieczenie policzków i ukłucie w płucach. Nikt nie lubi, jak się z niego śmieją, nawet na pokaz. Stenka westchnął głośno i zawołał w moim kierunku:

– To co, panie mecenasie, dziś będzie tu sąd czy sprawiedliwość?

Nie zdążyłem odpowiedzieć.

Potem wszyscy odegraliśmy komedię z rozpisaniem na role. Sędzia

sprawozdawca i jego wazony udawali, że nie dziwią się zainteresowaniu sprawą i obecnością publiczności. Szymura, Stenka i chłopcy z Przyszowa robili miny niewiniątek i przypadkowych przechodniów. Bańka zaś podniesionym głosem perorował, jaki to niebezpieczny jest Wiśnik i jak powinien wciąż pozostawać pod nadzorem, on i jego siekiera. Złożony przeze mnie wniosek był zatem – zdaniem Bańki – bezzasadny, jego poprzodnik, prokurator rejonowy, przypadkowo tylko ojciec przedsiębiorcy Szymury, w żaden sposób nie pozostawał w konflikcie interesów i z pewnością nie powinien się wyłączać, a oskarżony Wiśnik...

– Cóż, sam sobie wystawił świadectwo poczytalności, celując siekierą w głowę nieszczęśnika Pawlaka – zakończył.

– Ale w nią nie trafił – mruknął jakby z żalem Szymura.

„I trzeba było Pawlaka utopić” – usłyszałem w głowie sarkastyczny komentarz Wandzlika. Spociłem się w sekundę, bo miałem wrażenie, że mecenas z Przyszowa naprawdę to powiedział. I to na tyle głośno, że sędziowie powinni byli usłyszeć.

Ale nie, to zdanie pojawiło się tylko w mojej głowie. Tylko tam zasadził się jakiś szatan, który nie lubił pozorowania.

Sprawozdawca chrząknął, oblizwał usta i spojrzał mi w oczy.

– Panie mecenasie? – Zachęcił do skomentowania stanowiska Bańki.

Wstałem na nogach jak z waty. Poczuję się trochę jak Keanu Reeves w pojedynku z Alem Pacino. Miałem teraz ostatnią szansę na zmianę decyzji. Chwycić pomocną dłoń diabła czy mu się postawić? I co z tego wyniknie? Co będzie tak naprawdę dobre dla Jania Wiśnika? Dla mojego klienta, człowieka, który przez dziesięć lat niesłusznie przesiedział w zamknięciu, w szpitalnych kazamatkach. Co robić?

– Panie mecenasie, pana stanowisko – upomniał sędzia.

Wysoki sędzie, chciałbym zauważyć, że rozgrywa się tutaj dość ponury, dla mnie osobiście obrzydliwy spektakl – powinienem zacząć – ze z góry znanym wynikiem (jeśli tylko sąd okaże się wystarczająco kompetentny, w co nie wątpię, choć tego nikt nie może być pewien). W rzeczywistości bezstronna publiczność z tej sali powinna być w zupełnie innym miejscu, a prokurator Bańka wcale tak naprawdę nie chce mi się przeciwstawić i gdyby tylko mógł, powiedziałby to wysokiemu sądowi wprost, a nawet

celowo by się podłożył, bo jemu jeszcze bardziej niż mnie zależy na wypuszczeniu Wiśnika. Ale że nie może sam o to wnosić, to się podkłada, licząc na to, że ja – bez patrzenia na przyzwoitość – skrzętnie to wykorzystam, a on rozłoży rozczarowany ręce i powie: „Cóż robić? Przegrałem, choć się starałem, jak mogłem”.

Myslicie, że to rzadkość, że prokurator i adwokat dogadują się za plecami? Potem odgrywają komedię, a biedni sędziowie muszą udawać bezstronnych arbitrów nieświadomych tej jawnej podłości. Sąd to teatr, zawsze tak było i tak będzie. Teatr, w którym wygrywa ten, który ustali lepszą taktykę i będzie się jej trzymał. A najlepszą taktyką jest się dogadać, a potem udawać niewiniątko.

– Wysoki sędzie, szanowny pan prokurator długo tu mówił o emocjach, o zagrożeniach, o bezpieczeństwie społecznym... – zacząłem cicho, jakby pogodzony z tym, że na takie argumenty nie mam obrony. – Mówił o narzędziach zbrodni, o siekierze... Ileż to razy padło tu słowo „siekiera”? Ile razy zostało powtórzone, odmienione przez przypadki, ozdobione przymiotnikami, jakby oskarżony Wiśnik co najmniej pół wsi wymordował, a drugie tyle zamierzał...

Bańka wyszczerzył zęby w uśmiechu, dając znać, że dobrze odczytałem jego intencje. Sędzia chrząknął i udał zniesmaczonego.

– Panie mecenasie – upomniał.

– Tak, pan prokurator niemal krzyczał, odwołując się do naszej odpowiedzialności, do naszego sumienia, do poczucia przyzwoitości, bo przecież po co prawo, po co kodeks, gdy wszystko z góry wiadomo. Jest zbrodniarz, jest siekiera, jest... całe szczęście jest narzędzie, by tego zbrodniarza ze społeczeństwa usunąć, najlepiej na zawsze...

Bańka poderwał się jak przebudzony nagle przez patrol pijak i zakrzyknął teatralnie:

– Wysoki sędzie, protestuję!

Sędzia machnął ręką, żeby sobie darował, a ja ciągnąłem:

– Pan prokurator był też uprzejmy wspomnieć o swoim poprzedniku, nie mniej szacownym panu prokuratorze Szymurze, który był łaskaw zupełnie nie dostrzegać potencjalnego konfliktu w tym, że jest ojcem osoby pozostającej w sporze z oskarżonym Wiśnikiem. – Starałem się nie patrzeć

na Szymurę, który z kolei starał się nie odbierać moich słów osobiście, ale gdy padło jego nazwisko, gdy wywołany został do tablicy jego ojciec, widziałem w oczach mojego najlepszego klienta coś tak przerażającego, że poczułem nagłą suchość w gardle. Mimo to uśmiechnąłem się znacząco. – Pewnie, może nie u nas, ale w niektórych krajach to standard. Takie Burkina Faso czy San Escobar... O tak, tam ojcowie nie tylko oskarżają wrogów ich synów, ale sami wydają i wykonują wyrok. Szczęśliwie nie siekierą tylko... maczetą.

Bańka wstał, ale nie musiał nic mówić. Sędzia, z trudem zachowując powagę, upomniał mnie i nakazał przejść do rzeczy.

– Chce pan jakoś merytorycznie uzasadnić wnioski?

– Najpierw pragnę ostudzić emocje.

– Powiedzmy, że zostały ostudzone.

– Siekiera, jak wszyscy wiemy, nie ma tutaj nic do rzeczy, bo w tym postępowaniu kognicja sądu powinna być ograniczona do oceny, czy nie doszło do naruszenia zasad uczciwego procesu.

Sędzia ledwie dostrzegalnie skinął głową. Miałem go. Pytanie, czy na pewno chciałem go „mieć”? Jeszcze jest sekunda na zawrócenie z drogi do piekła. Ostatnia sekunda.

– Czyn jest zatem kwestią wtórną i nieistotną – podjąłem – a sam udział w sprawie pana prokuratora Szymury winien skutkować uwzględnieniem wniosku. Chciałbym jednak poświęcić kilka minut na wyłuszczenie innej rzeczy, nieobjętej wnioskiem.

Bańka się lekko zdenerwował. Miałem skupić się na Szymurze za zgodą Szymury juniora przecież. Szybko i na temat. Po co mieszać „inne rzeczy”?

– Chodzi o prawo do obrony, które w niniejszym postępowaniu ewidentnie, powtarzam: ewidentnie pogwałcono.”> – Pauza. Czasem milczenie jest rzeczywiście złotem. Daje większy efekt niż tysiąc słów.

Nawet wazony się przebudziły.

– Jakiego królika ma pan w kapeluszu, mecenasie?

„Biało-czarnego, wysoki sędzie” – miałem ochotę wykrzyknąć. Tu nie ma szarości. Wszystko jest oczywiste. Tyle tylko że nie wiadomo, czy białe jest białe, a czarne czarne.

Pora na ostatni akt. Sięgnąłem do dokumentacji i odczytałem, uzupełniając miejscami formułki z akt własną interpretacją:

– U oskarżonego Wiśnika stwierdzono chorobę psychiczną w postaci choroby afektywnej dwubiegunowej, wskutek której w czasie popełnienia zarzucanego mu czynu miał zniesioną zdolność rozpoznania znaczenia swojego postępowania oraz pokierowania nim. Biegli uznali ponadto, że w ówczesnym stanie psychicznym podsądny nie może uczestniczyć w posiedzeniu, gdyż jego wypowiedzi determinowane są chorobą psychiczną, a stres towarzyszący sprawie sądowej może pogorszyć stan jego zdrowia psychicznego.

Bańka wyraźnie podenerwowany zaczął grzebać w dokumentacji. Poczzerwieniał. Nie był przygotowany na ten wątek. W ogóle nie był przygotowany do merytorycznego sporu. Sądził, że uda się to jakoś odwalić po najmniejszej linii oporu. Nie wiedział też, do czego zmierzam. A przecież nie chciał dać z siebie zrobić głupca. Porażka wliczona w cenę nie oznacza, że można nim pozamiatać podłogę, a następnie wrzucić do najbardziej śmierdzącego szaletu, nawet jeśli tam właśnie najlepiej pasował. Gdy zerkał w moim kierunku, widziałem błyszczący w oczach wyrzut: „Mogłeś uprzedzić!”. Udałem, że nie dostrzegam jego zakłopotania i podjąłem:

– Stwierdzenie przez biegłych lekarzy psychiatrów, że poczytalność Wiśnika zarówno w czasie popełnienia zarzucanego mu czynu (tempore criminis), jak i w trakcie trwania postępowania (tempore procedendi) była zniesiona, skutkowało uruchomieniem instytucji obrony obligatoryjnej.

Bańka przestał szukać. Już chyba rozumiał. Sędzia też. Mimo to zapytał:

– Do czego pan zmierza?

– Sprawa Jana Wiśnika powinna odbywać się z obowiązkowym udziałem obrońcy – zakończyłem.

– Panie prokuratorze? – Sędzia i wazony popatrzyli z ciekawością na Bańkę.

– Cóż, oczywiście Jan Wiśnik miał obro... to znaczy miał możliwość zaangażowania... obrońcy. W zasadzie jestem przekonany że, to znaczy...

Teatr. Zaczął się teatr jednego aktora.

Bańka dostał zadyszki. Wkurwi się pewnie na maksa i może kiedyś zemści. Ale cóż...



– Niestety, panie prokuratorze – powiedziałem trochę wbrew zasadom wprost do Bańki. – Nie znajdzie pan w dokumentacji informacji o obrońcy, przynajmniej nie takiej, jakiej by pan oczekiwał. Z protokołu posiedzenia, na którym zapadła decyzja o umieszczeniu Wiśnika na zamkniętym leczeniu, wynika, że stawił się jedynie mój klient, którego doprowadzono z aresztu – powiedziałem to bardzo cicho, bez cienia emocji. Prawie szeptem. Tak żeby sędziowie naprawdę chcieli mnie słuchać i chcieli zrozumieć. Czarno-białe. Zero szarości.

– Panie prokuratorze, zechce pan...

Bańka nie zechciał.

– Oczywiście, skoro tak jest w protokole, to oczywiście... – Nie wiedział biedak, co powiedzieć, więc zagrał tak, jak go uczono. Jak ci pokazują dowód, podważaj, jeśli nie możesz, udawaj, że nie widzisz związku, przeskakuj trudny temat i śpiewaj z nut: – Podtrzymuję swoje stanowisko.

– Ale jakie, panie prokuratorze? Oskarżony miał obrońcę czy nie? Co z obrońcą z urzędu?

– Moje stanowisko nie ulega zmianie – bąknął Bańka. Gapił się z wściekłością w podłogę. No to, panie Mauer, zrobiłeś ze mnie kretyna, pogwałciłeś układ. W imię czego? Szymury? Chęci pogwiazdowania, pokazania mu, jaki jesteś dobry? Pewnie, że jesteś, wszyscy o tym wiedzą. Ale czy to cię upoważnia do niszczenia innych? Przyjaciół? Zapomniałeś, że jesteśmy przyjaciółmi? W swojej nieznośnej skłonności do bycia najlepszym i najbardziej okrutnym jesteś gotów do wyburzenia wszystkich tak długo budowanych mostów?

Wygrałeś, poddaję się, nie dobijaj ofiary.

– Obrońca z urzędu się nie stawił – podjąłem. – Pan mecenas... w nadesłanym usprawiedliwieniu wskazał na kolizję terminów rozpraw i wyraził zgodę na prowadzenie sprawy pod jego nieobecność. Mój klient wprowadzie do protokołu oświadczył, że nie widzi przeszkód, by sprawa odbyła się bez adwokata, a sąd pomimo nieobecności obrońcy zakończył sprawę i... pozbył się problemu.

– Panie mecenasie – upomniał sędzia.

– Przepraszam, ale trudno mi się oprzeć podsumowaniu sprawy tak, jak na to zasługuje. – Tym razem mówiłem już bardzo głośno. – Mój klient

został osadzony w zakładzie psychiatrycznym, bo trzeba nazwać te „badania” po imieniu. Pozbawiono go wolności, możliwości obrony i prawa do uczciwego procesu, a na dodatek – zerknąłem do dokumentów, choć nie musiałem, ale to podkreślało dramaturgię – sąd zasądził obrońcy koszty obrony Wiśnika z kasy Skarbu Państwa, mimo że ten faktycznie go nie bronił. Czy mam coś dodawać? Ten człowiek przesiedział dziesięć lat w zamknięciu, bo ludzie uważali, że tak będzie lepiej, nawet jeśli nie mieli do takiego zdania prawa...

Bańka już ochłonął. Wyraźnie też odpowiadało mu przesunięcie ciężaru odpowiedzialności z prokuratora na sąd. W końcu to nie stary Szymura wsadził Wiśnika, nawet jeśli miał konflikt interesu. Sąd to zrobił. Niech teraz sąd naprawi.

– Postanowienie sądu dotknięte jest nieważnością – zakończyłem i usiadłem.

– Chce pan coś dodać, panie prokuratorze? – spytał słabym głosem sprawozdawca.

– Podtrzymuję swoje stanowisko – wyrecytował Bańka.

Zarządzono przerwę. Na korytarzu Bańka stanął tak blisko mnie, że poczułem, co jadł na śniadanie.

– Nie umrzesz śmiercią naturalną, Mauerze – warknął, a potem się rozpozgodził. – Ale z tą puentą to ci wyszło. Jak wyjechałeś z tymi kosztami, to myślałem, że sędzia spadnie ze stołka. Klasa...

Szymura, też wyraźnie uszczęśliwiony, podszedł i klepnął nas po plecach, jakby chciał pochwalić: „Sprawiły się moje dwa byczki, niby takie koguciki waleczne, a proszę jak ładnie współpracują”.

– Wiedziałem, na którego konia postawić. Ucz się, Bańka!

– Całe życie, Prezesie...

Narada trwała niezwykle krótko i była tylko formalnością. Gdy już usiedliśmy i przewodniczący odczytał sentencję orzeczenia oznajmującego, że w całości podzielono moją argumentację, głos zabrał sprawozdawca, który miał uzasadnić decyzję sądu.

Poszedł dalej, niż mogłem pomarzyć. Stwierdził, że nie podziela kwalifikacji przyjętej przez prokuraturę jakoby czyn, którego się dopuścił Wiśnik, wyczerpywał znamiona usiłowania zabójstwa.

– Można go raczej zakwalifikować jako groźbę – stwierdził, odwołując się do szeregu wyroków, w uzasadnieniu których Sąd Najwyższy zajął w podobnych sprawach takie stanowisko.

Wskazał również na zasadę proporcjonalności pozbawienia wolności do wagi czynu. Tylko zatem w przypadku, gdy nie ma wątpliwości, że właściwą karą dla sprawcy za popełnienie zarzucanego mu czynu (gdyby mógł ponosić odpowiedzialność karną) byłaby bezwzględna kara pozbawienia wolności, sąd powinien podjąć decyzję o umieszczeniu takiej osoby w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

Miało to swoje konsekwencje. Polecono, by Wiśnika natychmiast zwolnić.

Szymura aż zazgrzytał zębami z radości. Wyraźnie spodobało mu się słowo „natychmiast”.

– Ten człowiek wystarczająco się nacierpiał – zakończył sędzia.

### 30.

Dziwne uczucie. Niby wszystko jest jak trzeba. Wygrywasz, jesteś panem sytuacji, jesteś naczelnym, jesteś zwycięzcą, brawo ty. Wszystkie te reklamowe slogany w jednym. I jednocześnie świadomość, że pod lukrowaną powierzchnią coś zaczyna się ruszać, coś kipi, brzydko pachnie, zaraz wybuchnie.

Cały smród Mirowa, a co gorsza może i Szelkowa się na mnie wyleje.

Nie, to nie był smród Szelkowa. To coś we mnie śmierdziało, w mojej duszy...

Patrzyłem na rozradowanego Szymurę, na cieszącego się szczęściem patrona Bańkę, na zadowolonych z tej pięknej sielskiej atmosfery mecenasów z Przyszowa i myślałem: „Coś ty najlepszego zrobił? Jeśli oni wszyscy się tak cieszą, coś musi być nie w porządku. Nawet jak sobie będziesz wmawiał i tłumaczył, że ty tylko wykonałeś swoją robotę, zrobiłeś, co do ciebie należało, nie popełniłeś żadnego błędu, działałeś w imię sprawiedliwości, nawet jeśli wezwiesz na pomoc wszystkich świętych i tak w środku, pod warstwą obronną będzie sączyć się prawda. Zło zwyciężyło, bo zło to ONI. A ty dałeś im Jania Wiśnika. Oddałeś swojego klienta złu.

Zdradziłeś go, nawet jeśli udajesz, że jest inaczej. Zdradziłeś Monikę Lewińską. Zdradziłeś samego siebie”.

– No co ty, mistrzuniu? – Wandzlik podszedł do mnie i zarechotał mi w twarz. Poczułem papierosy i cygara, dużo papierosów i cygar. – Coś taki smutny? Rozjechałeś wysoki sąd i naszego poczciwego Bańkę jak walec mrowisko. Pokazałeś im, kurwa, jaki jesteś mocarz. Pokazałeś.

– Nasz Tomuś – pochwalił Szymura i objął mnie ramieniem. – No to kiedy jedziemy po naszego Jania? – zapytał.

Spojrzałem na zegarek.

– Jutro... – zacząłem.

– E tam, jutro – przerwał Szymura. – Sędzia przecież powiedział: „Dość się nacierpiał”. Dziś trzeba.

– Tak od razu się nie da. Musimy poczekać na protokół... – zacząłem zmyślać, szukając wzrokiem wsparcia u Bańki, ale ten postanowił wziąć odwet.

– Da się, da. Wszystko się da. Pójdziemy na obiad, pojemy, popijemy, a potem załatwimy...

– Nie jestem głodny – bąknąłem.

– No to idealnie – podsumował Witold. – My pójdziemy na obiad, a Tomuś załatwi ten świstek...

– Nakaz zwolnienia – uściślił Bańka.

– Właśnie. Tomuś, załatw dla nas ten nakaz, a jak już będziesz go miał, kolnij, a zaraz po ciebie przyjedziemy.

– Tylko nie zapomnij o odpisie wyroku – uzupełnił Bańka, a potem cała ferajna ruszyła, rozgadana i rubasznie rozbawiona, do wyjścia.

Patrzyłem za nimi i myślałem, że wcale nie wyszedłem z bagna wielkiego miasta na sielską polanę. Wydostałem się z jednego szamba, by wpaść w drugie, może jeszcze głębsze.

Przypomniało mi się też moje pierwsze zabójstwo, to znaczy sprawa o zabójstwo. Bronilem oskarżonego, ale wszyscy od pewnego momentu wiedzieli, że jest niewinny. Dopiero w trakcie postępowania przed sądem wyszło na jaw, że ma niepodważalne alibi: w chwili popełnienia zbrodni przebywał w więzieniu.

Mimo to nie tylko się przyznawał, ale nawet sam zgłosił do prokuratury. Wziął na siebie winę za czyn, którego nie popełnił. Dlaczego? Dla kasy. Była to typowa ustawka za niezłe pieniądze. Po uniewinnieniu zniknął. Ponoć kupił dom na Majorce.

Orientował się doskonale w okolicznościach sprawy, rozkładzie dnia ofiary, szczegółach, które mógł znać jedynie prawdziwy zabójca. Kiedy przez rok przebywał w areszcie, prawdziwy morderca pozacierał ślady i nie było już szans, by zebrać dowody pozwalające pociągnąć go do odpowiedzialności za czyn, którego się dopuścił.

Oskarżyciela publicznego zgubiła pycha. Miał winnego, którego do wyjawienia prawdy zmusiły rzekomo wyrzuty sumienia. A potem wszystko się posypało.

„Kurwa, Tomaszu – powiedział mi przed ostatnią rozprawą – to farsa, ale zrób mi przysługę”.

„Jaką?”

„Nie nabijaj się ze mnie. Odbębniemy to, żeby nie było podstaw do zbyt wysokiego odszkodowania, i zamknijmy sprawę. Ty będziesz miał sukces, ja spokój”.

Przystąpiłem na to. Moja mowa końcowa ograniczyła się do złożenia lakonicznego wniosku o uniewinnienie.

Klient niezłe mi zapłacił, ale czułem niesmak. Pomyślałem o zabitej młodej kobiecie, o której wszyscy zapomnieli. Jej los nikogo już nie interesował. Czterech graczy: prokurator, adwokat, sąd i oskarżony. Wszyscy chcieli skończyć sprawę i wyjść z niej z twarzą. Do dziś nie wyjaśniono tej śmierci. Zabójca krąży gdzieś na wolności.

Ściga go tylko jego sumienie.

Mnie ściga moje.

A prokuratora i sędziego?

Wyjrzałem przez okno na ulicę. Szymura z całą świtą przechodził akurat przez ulicę. Nie po pasach, jakby dając znać, że nawet w stolicy ich obowiązują inne prawa. Ktoś zatrąbił, a Wandzlik szybko wyjaśnił mu, że lepiej nie trąbić, bo ktoś kogoś może mocniej trąbnić i będzie kłopot, a po co komu kłopot z takim dużym misiem jak Wandzlik. Nie szukali zbyt długo lokalu, weszli do pierwszego z brzegu. Pomyślałem, że może chcą mieć

widok na wyjście z sądu, gdybym czasem chciał czmychnąć.

Może i dobry pomysł? Wziąć nakaz i uciec przed nimi. Może nie zauważą, jeśli się postaram.

Poszedłem do sekretariatu i poprosiłem o odpis wyroku oraz nakaz zwolnienia.

Potem szybko zbiegłem schodami na dół, w myślach opracowując możliwe podstępny, by uwolnić się od Szymury i pozostałych, dojechać do Wiśnika przed nimi i... Tylko co mogłem mu zaproponować?

Plan upadł, zanim zdążył się bardziej skonkretyzować. Przed wejściem czekał Wandzlik. Biedak musiał zjeść bardzo szybko, choć nie wyglądał na takiego, co lubi szybko jeść. Szczególnie podwójne porcje, do jakich był ponoć przyzwyczajony.

– O, już jesteś – pochwalił, sięgnął po telefon i zadzwonił do Szymury.

Po chwili Witold z ekipą dołączyli do nas i ruszyliśmy do aut. Zatrzymałem się przed mercedesem Szymury i chrząknąłem.

– No co? Coś taki nie w sosie?

– Słuchaj, Witoldzie, ja chcę z nim wcześniej porozmawiać – powiedziałem z naciskiem.

– Po co? Sam z nim rozmawiam.

– To mój klient.

Chyba zabrzmiało to poważnie, bo Szymura odstąpił.

– Dobrze. Możesz z nim porozmawiać – zaczął, a potem szybko dodał: – A potem ja z nim pogadam. To jak, jedziemy?

Jechałem pierwszy. Za mną trzy samochody: jeden prowadził Szymura, drugi Wandzlik, na końcu jechał Bańka ze Stenką. Chciał się urwać i wykręcić z dalszego ciągu, ale Witold mu nie pozwolił. Miał asystować Prezesowi do końca, bo ten dużo za to płacił.

Szymura lubił czytelne znaki, polecenia, rozkazy. Na Bańkę działały. Wiedział, co mu wolno, a czego nie.

Wjechałem na S8, a potem na autostradę i pomyślałem, żeby spróbować ich zgubić, skręcić gdzieś w bok, ale przecież to było bez sensu. Jedyne, co mógłbym uzyskać, to ich nieufność. A do szpitala i tak dotarliby przede mną.

Głośno próbowałem wymyślić jakieś wymówki. Wiśnik potrzebuje czasu, musimy załatwić sprawy prawne, formalne. Klient, który dziesięć lat spędził w zamknięciu, powinien być powoli wprowadzany do społeczeństwa. Może nawet należy przyjechać z psychiatrą albo choćby psychologiem. Może wymaga readaptacji do warunków wolnościowych. Nie powinniśmy rzucać się na niego ot tak. Spotkanie z dawno niewidzianym przyjacielem (Szymurą) może być dodatkowo jeszcze bardziej szokujące.

Ale tak naprawdę wiedziałem, że wszystko to na nic. W chwili, gdy wyjdę z Janiem poza bramę szpitala, pan i władca Mirowa go dorwie. Moja rola się skończy. Dostanę premię. Może nawet podwójną. Janio trafi w łapy Wici. Więcej nie powinno mnie obchodzić. Za zarobione pieniądze mogę się wybrać do Disneylandu albo do Włoch. Mogę odpocząć, odzyskać trochę energii, wystawić ciało na słońce lub zimno wedle upodobań. Tylko mam już Wiśnika zostawić w spokoju.

I nagle wpadłem na pewien pomysł. Podjechałem pod dyżurkę, stanąłem tuż przed szlabanem i pokazałem strażnikowi dokumenty z sądu.

– Chcę odebrać pacjenta. Chciałbym wjechać do środka, żeby nie narażać go na dodatkowy stres.

– Nie mogę pana wpuścić. Tam jest parking. – Wskazał na bok, gdzie stawali już swoimi limuzynami Szymura, Wandzlik i Bańka.

– Proszę zadzwonić do dyrektora. Na pewno się zgodzi. Zgodnie z paragrafem... – zacząłem sypać zmyślnymi przepisami, wedle których powinien mnie przepuścić, pozwolić na zabranie podopiecznego spod wejścia, a nie prawie trzysta metrów dalej.

– Dyrektora nie ma. – Dyżurny spojrzął na zegarek. – Już po piętnastej.

– To niech pan dzwoni do zastępcy.

– Zastępcy też nie ma.

– Rozumiem, że pan koniecznie chce mieć kłopoty. Czy wie pan, ile panu grozi za utrudnianie wykonania wyroku sądu? Powiem panu więcej, pan w tej chwili bierze udział w pozbawieniu tego człowieka wolności. Bo nie ma już podstawy prawnej, by go tu dalej trzymać.

Otworzył gębę, jakby chciał wejść ze mną w pyskówkę, ale napotkał spojrzenie, które długo trenowałem przed lustrem. Mówiło: „Prawo jest najważniejsze. Spróbujesz się postawić, a dostaniesz taki łomot, że

popamiętasz. Ja przychodzę z poleceniami, a nie żeby negocjować. Albo słuchasz, albo szykuj dupę do lania”.

Machnął ręką, zrezygnowany. Mało to razy naruszał regulamin? Nacisnął guzik i otworzył szlaban.

– A co mi tam. Jedź pan. Tylko, jakby co... – Nie wiedział, co powiedzieć, więc wypalił: – Niech pan się na dyrektora powoła. Że miał pan papier. Albo...

– Nic nie będzie. Zabiorę pacjenta i wyjadę.

– Dobra.

Szymura zostali przed bramą. Nie wyczuli podstęp. Gdy podjechałem na parking przed budynkiem, przystanąłem i przez chwilę patrzyłem, jak zbierają się koło mercedesa Prezesa i zaczynają naśmiewać się z czegoś. Może ze mnie?

Przejechałem do bocznych drzwi i pospiesznie ruszyłem do budynku. Przy odrobinie szczęścia miałem szansę na spędzenie paru chwil z moim klientem. Planowałem, że może jakoś dowiozę go do kancelarii, potem zamknę u siebie w biurze, zabarykaduję się i... no właśnie, i co? Jak mogłem odizolować go od Szymury? Czego zażądać od Bańki?

„Może Pinkosz pomoże? – pomyślałem. – Albo Kuchar czy ktoś inny z policji”.

To była myśl, którą musiałem jeszcze przerobić, przetrawić.

Wiśnik patrzył na mnie dłuższą chwilę, zanim zrozumiał:

– Mówi pan poważnie? Przecież...

– Możesz tu zostać. Wystarczy, że pójdziesz do lekarza i o to poprosisz.

– Nie rozumiem.

– Nie ma już podstaw prawnych, które uzasadniłyby twój pobyt w szpitalu. Przed chwilą w tej sprawie wypowiedział się sąd. W każdym momencie możesz opuścić zakład, ale nikt nie może cię do tego zmusić. Jeśli chcesz kontynuować terapię, prawdopodobnie ordynator...

– Prosiłem, żebyś tego nie robił. – Jakby przypomniał sobie, że nie tylko ja mówiłem do niego na ty, ale było też odwrotnie. – Żebyś nic nie robił. Żeby zostało po staremu.

– Może zostać po staremu.



– Nie. Jeśli mogę wyjść, to nie jest po staremu.

– Ale...

Machnął ręką i zrezygnował z dalszych wyjaśnień.

– Mogę wyjść? – Upewnił się. – I pójść gdzie chcę?

– Tak. Ale proponuję, że zawiozę cię do miasta. Jeśli chcesz, możesz przespać się dziś u mnie w kancelarii, a potem...

– Poradzę sobie.

– Przyjechałem samochodem, odwiozę cię, gdzie chcesz. Zaufaj mi. Chcę pomóc.

Patrzył na mnie zmieszany, trochę wystraszony. Zawahał się, ale potem uznał, że to nic złego.

– Dobrze – szepnął.

Patrzyłem, jak zbiera swoje rzeczy. Skromny dobytek spakował do walizki i dwóch reklamówek. Nie było tego zbyt wiele. Kilka grubych książek, w tym biblia, leksykon filmowy i atlasy roślin. Na pewno nie aż tyle, ile powinien zgromadzić przez te dziesięć lat. Wziąłem reklamówki, on taszczył walizkę. Na końcu korytarza czekało kilku pielęgniarzy i oddziałowa.

– Jak my sobie bez ciebie poradzimy, Janio?

Czule pożegnał się z każdym z osobna, a ja patrzyłem jak idiota, wspominając „Lot nad kukułczym gniazdem”. Wydawało mi się, że to ja zrobiłem coś wyjątkowego, a teraz miałem wrażenie, że jest zupełnie inaczej. To Janio był tu kimś, a ja... nic nie znałem. A może poruszył mnie fakt, że pomimo spędzenia tu tylu lat w charakterze szaleńca ten człowiek sprawił, że ci wszyscy ludzie mocno się z nim zżyli.

Opiekun otworzył nam drzwi oddziału zamkniętego, uścisnął Jania i skinął mi głową.

Wolność. Tak właśnie pachniała. Lasem i swobodą. I środkiem czyszczącym, bo mimo otwartych okien wciąż bardziej czuliśmy korytarz niż powiew świeżości.

– To się dzieje naprawdę? – zapytał Janio, a potem niepewnie zszedł jeden stopień i drugi. Nagle odwrócił się i zobaczyłem w jego oczach łzy. Był szczęśliwy. Może dlatego uznałem, że trzeba to załatwić jak najszybciej.

– Szymura czeka na zewnątrz.

Zauważyłem lekkie spięcie mięśni jego twarzy, jakby zacisnął mocniej zęby. To był błysk, ułamki sekund. A potem wrócił stary Janio. Janio roślina, któremu jest wszystko jedno.

– Twój przyjaciel Szymura – dodałem prowokacyjnie.

– Nie jest moim przyjacielem – uciął krótko.

– Wiem – mruknąłem. – Czeka tam i nic na to nie mogę poradzić.

– Trudno. – Zrobił kolejny krok.

Czy to właściwy moment?

– Posłuchaj. Nie jest też moim przyjacielem. Może powinniśmy pogadać. Boję się...

Spojrzał nagle na mnie tak zupełnie trzeźwo, bez najmniejszego śladu choroby, szaleństwa czy czegokolwiek, co mogłoby odróżniać go od normalnych ludzi. W tym wzroku było pytanie: „Ty się boisz?”. Jeśli ktoś miał się tu prawo bać, to on, a nie ja.

– Boję się – powtórzyłem – że chce ci zrobić krzywdę. Czuję to.

Błysk. Krótki, wręcz drapieźny. Może wykrzesła się w nim ta sama iskra, która tamtego feralnego dnia przed dziesięcioma laty kazała mu chwycić za siekiere? Wyglądał teraz, jakby był kimś zupełnie innym, jakby wiedział więcej niż ja. Bo i wiedział. Ja byłem tylko wynajętym adwokatem. Niczego nie rozumiałem.

– Mam powody przypuszczać – dodałem – że chciał cię wyciągnąć, żeby... mieć do ciebie dostęp... kontrolować... może załatwić niedokończoną sprawę.

Nie chciałem nazywać pewnych podejrzeń, nie chciałem mówić wprost, bo po pierwsze to były tylko podejrzania, a po drugie Szymura wciąż nie był dla mnie kimś obcym, nie był jedynie klientem. Nie jest łatwo działać wbrew własnym interesom, a to właśnie robiłem. Stałem po cienkim lodzie.

Skrzywił się, jakbym puścił bąka.

– Nie – mruknął krótko.

Nie wiedziałem, co znaczy to „nie”.

Miałem ochotę nim porządnie potrząsnąć, powiedzieć coś do słuchu, ale przecież rozmawiałem z człowiekiem, który dziesięć lat spędził w odosobnieniu, w zamknięciu. Nawet jeśli nie był szaleńcem, mógł się nim

stać.

– Posłuchaj – powiedziałem najspokojniej, jak tylko umiałem. – Szymura...

– Chcesz mi pomóc? – przerwał.

– Jestem twoim adwokatem.

– Ale płaci ci Szymura – przypomniał.

– To nie ma znaczenia.

Milczał. Oczywiście, że to miało znaczenie. Chwilę zastanawiał się, czy mi zaufać, uwierzyć. Mielił ustami jakieś zdanie, które układał w głowie, a potem przełknął ślinę, jakby je konsumował zamiast wypowiedzieć. Kto ma pieniądze i płaci, ma znaczenie. Można się buntować, ale potem i tak to wróci, wypłynie jak oliwa albo raczej brutalna prawda. Kasa jest na górze. Brak kasy na dole. Janio nie miał szans z Szymurą, ja również.

Razem byliśmy równie bezsilni.

– To niebezpieczny człowiek – mruknął. – Był taki już dziesięć lat temu. Podejrzewam, że teraz jest jeszcze gorzej.

– Jest – przyznałem.

– Więc jak zamierzasz mi pomóc?

– Już mówiłem. Jestem twoim obrońcą.

Spoglądał na mnie pytająco. Doskonale wiedział, że bycie czyimś adwokatem, to nie jest wystarczający powód, by troszczyć się o jego sprawy pozasądowe.

– Nie wiem, co zdecydujesz. Możemy pojechać do mojej kancelarii i tam umieścić cię do czasu... aż nie wybierzesz sobie nowego miejsca na życie. Możemy poprosić policję o ochronę albo wywiozę cię, gdzie chcesz. Pomogę, zanim staniesz na nogi...

– Nie znam żadnych innych miejsc poza Mirowem... – zaczął, a potem nagle dodał: – I wojskiem. Ale do wojska nie wrócę.

– Możemy załatwić zakaz zbliżania się Szymury do ciebie...

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz.

Nie wierzyłem. Tak naprawdę trudno mi było przyznać, że rzeczywiście nie mam pomysłu i mam cholerny kłopot. Konflikt interesów jak diabli. No ale ten już rozstrzygnąłem. Janio był teraz, w tej jednej chwili

najważniejszy. Chciałem mu po prostu pomóc.

– Może powinieneś mi o wszystkim opowiedzieć? – zasugerowałem nieśmiało. – Jeśli moja pomoc ma mieć sens, muszę wiedzieć, co się właściwie wydarzyło dziesięć lat temu, a może jeszcze wcześniej. Co tak naprawdę stało się w tym supermarkecie i co do tego doprowadziło...

Janio stanął i się uśmiechnął. Miałem wrażenie, że w tym jednym uśmiechu jest cała prawda: „Przecież ty już wszystko wiesz. Wiesz, że Szymura to drań i zbrodniarz, że jego miejsce jest w więzieniu. Po co ci wiedzieć więcej? Tylko po to, żeby się utwierdzić w przekonaniu, że wobec czystego zła jesteś bezsilny? Że nic nie możesz poradzić, zrobić? Że przegrywasz na starcie?”.

– Zobaczymy – mruknął, jakby chciał coś dopowiedzieć, ale jeszcze nie teraz, nie w tym miejscu.

W czasie, kiedy my rozmawialiśmy na schodach, w administracji zdążyli już dopełnić formalności. Janio podpisał jeszcze kilka papierków, otrzymał wypis ze szpitala i był już na wolności.

Podeszliśmy do samochodu. Drzewa zasłaniały nas przed parkingiem zewnętrznym. Byłem zdeterminowany, by ruszyć ostro tam, gdzie poniosą mnie oczy, nie zważając na Szymurę.

Dźwięczny, tubalny głos Prezesa dobiegł do nas, zanim go zobaczyliśmy. Przeleciał alejkami pomiędzy budynkami szpitala, odbił się od murów i wrócił echem.

Otworzyłem drzwi i pomogłem Janiowi wsiąść do samochodu. Rozejrzał się i pochwalił:

– Ładny. Nigdy nie jechałem tak ładnym samochodem.

Miałem na końcu języka: „Szymura ma ładniejszy”, ale tylko podziękowałem. Wycofałem i wtedy nagle Janio położył mi rękę na kierownicy i skręcił mocno w przeciwną stronę, niż powinniśmy jechać.

– Naprawdę chcesz mi pomóc? – zapytał, świdrując mnie wzrokiem.

Potwierdziłem i wówczas Janio Wiśnik poprosił, żebym powoli przejechał za budynek, a potem przez park na tyłach szpitala. Alejka prowadziła nas przez sporej wielkości trawnik porośnięty starodrzewem i wyspami krzewów. Na końcu wysokie ogrodzenie zakończone drutem kolczastym zamykała zniszczona brama. Janio wysiadł, pogmerał przy kłódce i ją

otworzył. Do głowy by mi nigdy nie przyszło, że dalej prowadzi droga, którą można pojechać w głąb lasu.

– Mam nadzieję, że to twoje cztery na cztery da radę.

– Zobaczymy – westchnąłem.

Toyota RAV4 to nie jest typowo terenowy wóz, ale byłem wystarczająco zdeterminowany, by podjąć ryzyko. Już na początku drogi poczułem jednak, że samochód stracił przyczepność. Musiałem uważnie dodawać gazu, by nie zakopać kół w przesiąkniętych wodą dziurach po kałużach, w których zalegał torf.

– Nie jest tak źle – uspokoił mnie Janio. – To droga prowadząca na pola. Szpital ma prawie pięć hektarów własnych upraw. Część pensjonariuszy pracuje przy nich, dorabiając. Tylko kawałek jest zablocony i rozjeżdżony przez ciągniki, potem to normalna bita ścieżka, nawet fragmentami z asfaltem. Dasz radę.

Rzeczywiście, miał rację. Pokonaliśmy gorszą część trasy i wyjechaliśmy na całkiem dobrą leśną drogę. GPS wciąż pokazywał tylko pole, żadnej wyrysowanej na mapie ulicy czy choćby ścieżki. Lampka i komunikator sygnalizowały brak danych.

– Gdzie wyjedziemy?

– Gdzieś, gdzie będziemy mogli pogadać – szepnął Wiśnik.

### 31.

Zanim dotarliśmy na miejsce, musiałem się nieźle napocić. Droga, którą wskazywał Janio, prowadziła przez nieuczęszczane leśne dukty i wyłożone kamieniami klepiska na skraju odłogów.

Pomyślałem, że czas się tu dość dawno zatrzymał i nikomu nie zależało na tym, by ten teren zagospodarować. Odkąd ruszyliśmy spod szpitala, nie widziałem żadnych zabudowań. Zaniedbane łąki porosły gęstwiną chaszcy. W lasach zalegały opadłe drzewa pokryte białym nalotem trawiącej je grzybni. Wiśnik z uśmiechem spoglądał w dal. Miałem nieodparte wrażenie, że doskonale znał ten teren. W pewnym momencie

wyjechaliśmy z kolejnej alejki leśnej i nagle droga się skończyła. Stanęliśmy przed zniszczoną, skorodowaną bramą osadzoną w wysokim murze z betonowych płyt. Spojrzałem na zegarek. Mieliśmy za sobą prawie pięćdziesiąt minut jazdy, co prawda wolnej, czasem poniżej czterdziestki, ale podejrzewałem, że łącznie przejechaliśmy lasem co najmniej dwadzieścia, trzydzieści kilometrów. Co kryje to odludzie? Nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

Zmurszały mur przesiąkł wilgocią. Tuż za nim dostrzegłem dwa budynki znacząco doświadczone zębem czasu. Ściany tych budowli szpecił nadkruszony beton. Podeszliśmy bliżej zabudowań, z trudem pokonując zwały gruzu oraz wysoką trawę, jaką porosła nieuczęszczana droga.

Janio prowadził. Był skupiony i sprawiał wrażenie, że dobrze zna to miejsce.

Zabudowania wyglądały trochę jak bunkry albo jakieś koszary. Dwa wielkie, betonowe kłocce. Zero okien, żadnych śladów normalności, życia, czegokolwiek. Tylko beton, który przegrywał z przyrodą. Trawy, krzewy i drzewa powoli zagarniały zabudowania, na murach płożył się mech i wykwity grzybów, które żywiła panująca tu wilgoć. Wyglądało to trochę jak część miasta po jakiejś zagładzie.

Przypomniały mi się „Gwiezdne wojny” i planeta zabawnych misiów.

– To jakieś centrum dowodzenia obroną Gwiazdy Śmierci?

– Coś w tym rodzaju – potwierdził Janio. – Chodź, zobacz.

Poprowadził mnie do zajętych rdzą metalowych drzwi, otworzył je jak kowboj w westernie kopniakiem i weszliśmy do wilgotnego, zapuszczonego pomieszczenia. Wewnątrz panował mrok, śmierdziało stęchlizną i uryną. Wnętrze przypominało pancerny szaniec i był to obraz równie przygnębiający jak ten na zewnątrz. Żadnego tajnego laboratorium w środku, świecących lampek i setek komputerów sterujących urządzeniami. Nie wiem czemu, ale miałem nadzieję je tu zobaczyć.

Odniosłem wrażenie, że Janio poruszał się, jakby znał każdy kąt tego miejsca, mógł przemieszczać się po nim z zawiązanymi oczami. Pokój za przedsiionkiem miał kilka wąskich, głęboko osadzonych w murze szpar okiennych, przez które wpadały smugi dziennego światła. Dopiero teraz dostrzegłem zarysy wnęk. Zobaczyłem kontuar jak na recepcji i wyłamane

drzwi do jakiegoś niewielkiego zakamarka. Korytarz kończył się przejściem do dalszej części budynku.

Janio zniknął w ciemności. Wszedłem za nim, świecąc mu telefonem po plecach. W pewnym momencie skręcił w prawo. Minęliśmy śmierdzącą dużą salę, gdzie na ścianach ktoś napisał czerwonym sprayem: „Jebać ruskich” i niżej: „A ja myślałem, że to stado dzikich koni, a to czerwoni, czerwoni, czerwoni... / A ja myślałem, że to gówno z nieba leci, a to sowievi, sowievi, sowievi”.

Ten zapach, duszący amoniak. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że mury tego pomieszczenia jakoś bardziej niż reszta przesiąkły odorem fekaliiów. Najwidoczniej spełniało ono funkcję publicznej toalety w środku lasu.

Kolejne drzwi, do których prowadził Janio, były solidne i zamknięte. Jakby tu był wczoraj, sięgnął w bok, do jakiegoś zakamarka, pogmerał i nagle zawołał zadowolony:

– Jest.

Po chwili zrozumiałem, że znalazł klucz. Przekręcił zamek, który uwolnił mechanizm kilku solidnych patentów, i zaczęliśmy schodzić do podziemi. Tu dopiero było ciemno.

Ostrożnie badając grunt, pokonywałem kolejne stopnie. Wiśnik szedł przede mną na pamięć. Bałem się, że zaraz złamię kark. Gdy poświeciłem w głąb, odniosłem wrażenie, że nie ma już dalszej drogi. On jednak niczego nie wyjaśniał, tylko cierpliwie czekał, aż wreszcie do niego dołączę. Okazało się, że na dole były kolejne drzwi, tym razem otwierane za pomocą dźwigni umieszczonej pośrodku.

Gdy Janio je pchnął, rozległ się głośny huk. Jakiś mechanizm zarzęził i zaterkotał. Poświeciłem latarką i moim oczom ukazał się przedziwny widok. W sporym, przypominającym salę gimnastyczną pomieszczeniu stało ogromne akwarium, w którym można byłoby przetrzymywać rekina. Akwarium nie było wypełnione wodą. Za to w środku znajdowały się dwie klatki. Były metalowe i miały niewielkie, pionowe okienka pośrodku. Wyglądały jak kabiny wind.

Akwarium podzielono na dwie części. Każda z „wind” znajdowała się w osobnej komorze. Wzdłuż szklanej ściany przeciągnięto rury, które – jak się domyślałem – odprowadzały powietrze z pompy znajdującej się na dnie.

Przypominało to jakieś stare, zaniedbane laboratorium, jak to z „Muchy”.

Wnętrze pomieszczenia stanowiło półkulę zabudowaną litym betonem z charakterystycznymi dla tego materiału wżerami i ubytkami. Kiedy omiotłem strumieniem światła latarki mroczną przestrzeń, w oddali coś się zakotłowało, poruszyło. Omal nie dostałem zawału.

– Spokojnie, to tylko nietoperze.

– Prowadzili tu badania nad teleportacją?

– Poniekąd. Chodziło jednak o podróże w zaświaty. Z nich nie ma już powrotu – wyjaśnił Janio z uśmiechem, zaraz dodając: – To radziecki wynalazek jeszcze z czasów Stalina. W jednej z książek znalazłem opis takiego urządzenia. Podobno w „windach” umieszczano dwóch więźniów, każdego osobno, a trzeci miał zdecydować, którego z nich uratuje. Tak to wszystko wymyślono, żeby mógł wybawić tylko jedną osobę. Nie miał szans zdążyć ocalić życia dwóch więźniów. W czasie testów tej piekielnej maszyny zginęło sporo ludzi.

– Trudno uwierzyć.

– Rosjanie mają wiele tajemnic, w które trudno uwierzyć. Polacy zresztą też. Na całym świecie nie ostało się już wiele egzemplarzy Akwarium. Ciekawe jest jednak co innego. Są wyniki badań prowadzonych przez psychologów behawiorystów, z których wynika, że więzień ratownik nie był w stanie na czas podjąć decyzji, przez co obie zamknięte w klatkach ofiary umierały. Tylko nielicznym, tym najbardziej zdeterminowanym i zdolnym podjąć szybką, racjonalną decyzję, udawało się uratować jedną osobę.

– Szalone.

– Ludzie są szaleni. Od zawsze wymyślali jakieś śmiercionośne substancje i urządzenia.

Janio odnalazł w kącie świeczkę i paczkę zapalek, które jednak nie nadawały się do użycia. Mimo że nie palę, zawsze noszę przy sobie zapalniczkę. Nie wiem dlaczego. Może na wypadek, gdybym zmienił zdanie? W samochodzie mam też papierosy. Sięgnąłem do kieszeni i zapaliłem świeczkę.

Sala tortur ukazała nam się w pełnej okazałości, choć bladożółta poświata ledwie wyławiała z ciemności dwa mechanizmy do ręcznego podniesienia wind i kilka walających się po kątach przedmiotów. Jakoś dziwnie się tu



czułem. Jakbym zstąpił do piekieł.

– Mamy może ze dwie godziny, zanim się zorientują i dotrą tu przez Szelków, chyba że ich dyżurka przepuści na szpital, ale raczej nie przepuści.

– Dwie godziny – powtórzyłem.

– Wystarczy, żeby podpisać cyrograf z diabłem. Na opowieść o Szymurze może za mało – powiedział Janio tonem, jakiego się po nim nie spodziewałem. Głos miał czysty, słowa czytelne, nie był żadnym ospałym pensjonariuszem. Przypomniałem sobie opowieści Moniki Lewińskiej o nim. Przecież kiedyś to był lokalny erudyta. Medytował, poszukując samotności. Ciągle widziała go z książkami, oglądał filmy, chyba wszystkie, jakie można było wówczas obejrzeć. Nie tylko głupie i zabawne, ale też refleksyjne, poważne. Dlaczego w zasadzie założyłem, że jest głupi? Że jest kimś gorszym? Tylko z powodu jego pobytu w szpitalu? Aż miałem ochotę go przeprosić.

– Aż tak źle?

– Gorzej – mruknął Janio. – Wicia dawno temu stracił grunt. Oderwał się od ziemi jak Ikar i pofrunął. Z nieba ziemskie sprawy przestają mieć znaczenie. A słońce niespiesznie topi wosk w jego skrzydłach, jak widzę.

– Wciąż jest wysoko – przyznałem. – I pilnuje granicy.

– Podejrzewam. To... diabeł wcielony.

– Broniłeś się, prawda? Wtedy, z tą siekierą, dziesięć lat temu... broniełeś się?

Uśmiech. Delikatny, szczery.

– Gonili mnie do sklepu, chcieli wciągnąć do furgonetki i zawieść na zakład, żebym nikomu nie mógł powiedzieć, co widziałem, czego się o nich dowiedziałem. Trzech ich było. Osaczyli mnie, już prawie mieli. Wtedy zobaczyłem tę siekierę i... poleciało. Chwyciłem za nią i byłem gotów rozwalić łeb każdemu po kolei, nie tylko Pawlakowi. Wziąłem zamach, ale zrobiło się zbiegowisko. Do niczego nie doszło. Chciałem...

Przerwał i zamilkł, jakby w jednej sekundzie stracił wiarę w sens tych zwierzeń.

– Opowiedzieć o wszystkim – zachęciłem. – Chciałeś, żeby przyjechały media...

– Gdyby mnie nagrali, to bym powiedział.

– Dlaczego potem nie powiedziałeś? Na procesie czy w więzieniu? Dlaczego jak do ciebie przyszedłem pierwszy raz...

– Komu miałem powiedzieć? Mediom Szymury? Komisarzowi Szymury? Czy może prokuratorowi, który był ojcem Szymury? Nie było komu. Oni wszyscy byli winni. Ja mogłem tylko... milczeć. Dać się wtrącić do więzienia. A potem do psychiatryka. To był najniższy wymiar kary. A potem...

Sam sobie dokończyłem. Dlaczego po latach miał o tym, o czym wcześniej tak długo milczał, powiedzieć adwokatowi Szymury?

– Myślałem, że wysłał cię, żeby się upewnić, że zrozumiałem, że już mu nie będę podskakiwał, że będę milczał tak, jak milczałem. A ty... musiałeś wszystko zepsuć.

Janio Wiśnik przysiadł nagle, a potem powoli, z wyrachowaniem, całkowicie bezdusznie i bezwzględnie opowiedział mi wszystko o moim pracodawcy, moim dobrodzieju, moim... przyjacielu. O człowieku, który pozwolił mi tu, na prowincji, odżyć, dał status wpływowego bogacza. O moim łaskawcy.

Opowiedział to, co podświadomie wiedziałem, powinienem był wiedzieć, zauważyć, wyczuć, dostrzec. I znacznie więcej.

Coś, co przekraczało wyobrażenia.

Gdy kończył, poczułem, jak włosy stoją mi dęba. Wszędzie. Na ramionach, nogach, brzuchu, w każdym odkrytym i intymnym miejscu. To było nie do pojęcia, że człowiek zdolny jest do aż takiego zła.

Owszem, wiedziałem, że Szymura ima się różnych podłości. Sam przecież byłem ich świadkiem, sam nierzadko ich bronilem czy je kryłem, sam wreszcie w nich uczestniczyłem, przynajmniej jako wstrzemięźliwy obserwator, niemal notariusz, równie skrzętnie odnotowujący zaistniałe zdarzenia, co o nich zapominający.

Wiedziałem, że oszukuje, korumpuje, bezwzględnie niszczy konkurencję, potrafi podkładać innym świnię, wykorzystuje swoje koneksje. Wiedziałem, że ma na sumieniu wiele złamanych kręgosłupów, jeszcze więcej karier i sumień. Zdawałem sobie sprawę, że uwodzi, zdradza, wykorzystuje. Bezwzględnie czerpie profity ze swojej pozycji, pieniędzy, wpływów.

Ale na słowa Jania Wiśnika nie byłem przygotowany.

– To że wyżywał się na mężczyznach, mogłem jeszcze jakoś ścierpieć – mówił Janio. – W końcu samce tak mają, że się gryzą. On był alfa, rządził. Inni musieli się dostosować albo odejść. Ale trudno było znieść, gdy kogoś do siebie przywiązywał, a potem go skrupulatnie, krok po kroku niszczył. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego go to pociąga, czemu czerpie z tego taką satysfakcję. Na początku dawał nadzieję, udawał dobrego wujka, znieczulał. Potrafił na przykład biednemu pracownikowi ofiarować w prezencie mieszkanie. Kupował wdzięczność, ale później okazywało się, że to nie do końca prezent, że trzeba go spłacić, choć oczywiście na korzystnych warunkach. I ktoś zaczynał do niego należeć. Wiele było takich sytuacji. Wikłał tych wszystkich prostaczków w układ zależności. Wybierał młodych, naiwnych mężczyzn, którzy byli w potrzebie.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem akcję z kobietą, myślałem, że to zostało jakoś zaaranżowane, że oni się tak umówili. To było w piątek w nocy. Szymura zaprosił mnie na drinka i powiedział, że to będzie szczególna noc. On tak już miał, że towarzystwo i alkohol to było za mało. Szukał wrażeń, coraz bardziej wyszukanych, pławił się w okrucieństwie. Przekraczanie granic bólu i cierpienia pochłonęło go do tego stopnia, że zaprowadził w Mirowie stare rzymskie prawa.

I przyszła jedna taka, niezbyt ładna. Z lakierni, z fabryki opakowań. Znałem ją z widzenia. Prosta dziewczyna. Nawet nie pamiętałem imienia. Szymura coś jej szepnął do ucha, dał do wypicia jakąś wymyślną miksturę, a potem ona zaczęła tańczyć jak w nocnym klubie. Zatańczyła dla nas, rozebrała się, a następnie z powrotem ubrała i wyszła szczęśliwa, że do niczego więcej jej nie zmuszano.

„Co to było?” – zapytałem, a on wypalił:

„Jak to co? Nie czytałeś Herodota? Prawo pierwszej nocy”.

Dziewczyna przyszła, bo następnego dnia wychodziła za mąż za chłopaka z montażowni, a Szymura ustanowił ciche, nieformalne, ale znane wszystkim na zakładach prawo pierwszeństwa, zgodnie z którym mógł zażądać spędzenia nocy z każdą panną młodą. Oczywiście nie było to powiedziane wprost. Jeśli ktoś nie chciał stosować się do prawa, nie musiał. Ale musiał ponieść konsekwencje.

Był taki jeden, który ani myślał wydać swej połowicy przed ślubem Szymurze, to ją zgwałcili. Nieznani sprawcy. Rozumiesz już? Za to ci, którzy

się stosowali, dostawali premie, urlopy, specjalne profity. A Szymura był panem łaskawym.

Trzymano to w tajemnicy, ludzie między sobą nie chcieli o tym mówić. Ponoć tylko jedną dziewczynę wziął i zgwałcił, bo mu się przy tańcu postawiła czy może była zbyt harda i chciał się pokazać. Inne wychodziły bez szwanku. Nawet ładne. Wystarczyło, że się upokorzyły, pokazały mu nago, zaoferowały swoje wdzięki. On łaskawie odpuszczał. Do czasu. Nie byłem świadkiem, ale nie mam wątpliwości, że oczekiwał od nich więcej.

Mężowie? Nie wiem, czy wiedzieli. Może nie, a może tylko udawali. Może akceptowali, bo się opłacało. A może Szymura wybierał po prostu tych najgorszych w stadzie, niezdolnych przeciwstawić się głównemu samcowi, zbyt słabych, by pokazali kły, rzucili mu się do gardła. Na zakładach co jakiś czas miały miejsce dość zagadkowe wypadki. Kogoś poraził prąd, innego wózek widłowy wgniół w ścianę. Nikt nawet nie śmiało głośno dumać, że to może nie wypadek. Strach i kara – tak zbudował posłuch.

Kto zresztą by się mu postawił, skoro Szymura był nie tylko najbogatszy i najlepiej poukładany, z prokuratorskimi i urzędniczymi plecami, ale też zdecydowanie najbardziej męski, najsilniejszy. Młody był, krewki. Robił na zakładzie zawody bokserskie, które zawsze wygrywał. Nawet najwięksi chojracy dostawali łomot, wytrzymując góra dwie, trzy rundy. Kilka razy widziałem, jak walczy. Uśmiechał się po każdym ciosie, jakby ból go podniecał. Czasem dawał fory, spuszczał gardę i zachęcał: „No uderz, uderz mocniej”.

Przyjęło się to wszystko, choć chore, tętniące, pełne bólu, zniewag, może trochę szalone, ale jednak nikt oficjalnie się nie sprzeciwiał i pewnie trwałoby to do dziś.

Ale pewnego dnia zdarzyło się, że trzy pracownice złapano na kradzieży. Szymura wszystkim mówił, że jak kogoś złapie, to łapy poobcina. Jak rzymski pan ubzdurał sobie, że ma prawo je więzić za kradzież. Zamknął dziewczyny w jednej z pracowni na całą noc, przyszedł nad ranem z ochroną i powiedział:

„Dziewoczki, macie trzy opcje. Wybierajcie: zgłaszamy sprawę na policję i trafiacie do paki, a na cały Mirów idzie wstyd, łamiemy wam łapki w imadle czy dajecie dupy po kolei i zapominamy o wszystkim?”

Nie pytaj, co wybrały. Może nawet się wahały, ale tak naprawdę wybór był dość oczywisty. Użył sobie na nich cały jego dwór. W jego świecie było wielu wysoko postawionych ludzi. Bankierzy, sędziowie, ludzie służby, słowem elity. Wciągał ich w to. Nie mieli odwrotu. Starczyło, że raz się skusili. To tak jak z cnotą, nie ma odwrotu. Są plamy, których nie zmyjesz. Potem jedli Szymurze z ręki, tańczyli, jak im zagrał. Zamówienia, kredyty, programy unijne, dotacje... Mam wymieniać więcej? Dostawał, co chciał.

To chyba wtedy zasmakował w gwałtach. Uważał, że osiąść kogoś za pomocą siły jest bardziej męskie, daje większą satysfakcję, władzę, radochę. Szukał jakichś wysublimowanych emocji i nie znał granic. To była swoista gra, jak wszystko, co robił. Coś, co można kupić czy dostać, nie ma tak znakomitego smaku, nie podnieca tak mocno jak to, co się zdobywa siłą.

Wszystko to obserwowałem z coraz większym obrzydzeniem, buntem. Ale obserwowałem i nie reagowałem. Też byłem winny. Sam nie wkładałem palców w grzech, ale stawałem się jego współsprawcą, wprawdzie biernym, ale to jednak marne usprawiedliwienie. On żył w innych kategoriach, wyzwolił się z wyrzutów sumienia. Chciał być bogiem jak Neron za życia, prześcignąć w dziele zła Kaligulę, w zbrodni dorównać Pol Potowi.

Patrzyłem, jak wcześniej na wojnie w Jugosławii na bezceństwa i uważałem, że skoro tak jest, to widocznie Bóg tak chciał. Bóg to samo dobro. Skoro pozwala na takie rzeczy, widocznie tak musi być. Musi to do czegoś prowadzić. Może i chore myślenie, ale tak wtedy miałem.

Szymurze zaś było ciągle mało, ciągle chciał więcej. W pewnym momencie zbliżył się z ojcem, który był jeszcze większym, stokroć bardziej patologicznym psychopata. Po tym, jak przez całe lata prawie ze sobą nie rozmawiali, nagle zaczęli się spotykać i spiskować. Szymura zapraszał go na wspólne balety, razem wymyślali różne tortury i rozgrywki. Doszedł wreszcie do tego, że wszystko zawdzięcza staremu, że gdyby ten go nie gnoił za gówniarza, nic by nie osiągnął. Byłby mierny i pospolity jak to ugrzecznione tępe chłopstwo. To jego słowa. Poza tym stary okazał się partnerem do jego zabaw. Zobaczył, że jest taki sam jak on. Jego krew. Wreszcie znalazł kogoś, kto rozumiał jego pragnienia.

– Słyszałeś o polowaniach Szymury?

– Nie – zacharczałem.

Zaschło mi w gardle, nie byłem w stanie niczego powiedzieć. W głowie szumiało, jakby ktoś włączył mi starą magnetofonową taśmę ze skasowanym dźwiękiem. Mózg atakowały zarzuty i pytania, które musiały paść. Tomaszu, cóż ty najlepszego zrobiłeś? I jakaś tłąca się, słaba, przerażająca nadzieja, że to wszystko jednak jakiś żart, kłamstwo, że Janio po prostu zmyśla. W końcu jest szaleńcem, niewiarygodnym źródłem. To się nie mogło dziać. Nie w Polsce. Takie rzeczy nie mają tu miejsca. To nie jest jakaś kolonia, jakiś kraj niewolników, zdziczenia, psychopatów. Czyżby?

– Szymura obejrzał w telewizji jakiś program ekologów, którzy protestowali przeciwko polowaniom na lwy w RPA. Pewnie zgadniesz, jak zareagował.

– Sam pojechał na polowanie.

Janio aż pstryknął zadowolony palcami. W tej sekundzie wydał mi się strasznie bliski, jakby cofnął się ze trzydzieści lat, znów był młodym, fajnym chłopakiem, który klęczał przed panią Hanią w kinie, a wieczorem zasypiał nad „Hrabią Monte Christo” i „Ostatnim Mohikaninem”. Nigdy nie miał epizodu z siekierą i dziesięcioletniego pobytu na zamkniętym oddziale szpitala psychiatrycznego w Mirowie. Nigdy nie poznał Szymury.

– Nie sam, z ojcem. Wykupili wycieczkę do RPA i pojechali na miesiąc. Gdy wrócili, byli jeszcze gorsi. Zachowywali się jak wygłodzone zwierzęta. Potem pokazali mi film, który nakręcili, a jakiś czas później w paczkach przyleciały różne nielegalne trofea. Nie pokazywał ci skóry i paszczy lwa, prawda?

– Nie – przyznałem.

– Boi się, bo kiedyś jakiś organizator nastął na niego dziennikarzy z „Timesa”. Angoli czy Holendrów. Przyjechali do Mirowa i zaczęli węszyć. Komuś powiedzieli, że Szymura z ojcem wykupili polowania, a jak już zapolowali, to uciekli, nie płacąc. Jestem pewien, że to zrobili. Do czasu, aż mnie zamknęli, przynajmniej cztery razy byli na takim safari i Szymura chwalił się, że dwa razy udało mu się oszukać organizatorów, a jednego nawet pobił z wynajętymi tam, w Afryce, zbójami. Zakończył, że miał ochotę porwać drania i tu, w Polsce na niego zapolować. Po tych dziennikarzach musiał jednak trochę zwolnić. Zaprzeczał, że jeździł na polowania. Schował gdzieś filmy i skóry. A potem zamarzyły mu się polowania tutaj, w Mirowie.

W końcu mamy wspaniałe lasy.

Na początku wybierał sobie ofiarę. Mężczyznę. Silnego i sprawnego. Obchodził go, obwąchiwał, sprawdzał, na ile może sobie pozwolić. Potem zapraszał go na piwo. Wyczuwał, czy jest dość dobry, a jednocześnie nie tak silny, żeby się wyrwać z zawartego układu, podskoczyć. Wreszcie składał propozycję. Sto tysięcy w zamian za jedną noc polowania. Sto tysięcy bez względu na wynik. Sto tysięcy za jedną noc to dużo pieniędzy dla chłopca zarabiającego na taśmie tysiąka miesięcznie. Pierwsze polowanie było w miarę normalne. Facet uciekał w ubraniu, a oni go gonili z pistoletami do paintballu. Ale już drugie było inne, bo to pierwsze nie dostarczyło wystarczających wrażeń. W drugim uznali, że zwierzyna będzie uciekać nago. No bo kto widział ubrane zwierzę? No i Szymura zaczął też strzelać z broni na gumowe pociski. Biedak, którego wtedy ścigali, miał trochę złamań i naprawdę solidnie własnym ciałem zapracował na te sto tysięcy. Ale i to było mało. Stary Szymura uznał, że polowanie na żyłaste, brzydkie mięso mija się z celem. Że dużo ciekawiej poluje się na łanię niż na kozła.

– Boże – szepnąłem. Nagle wszystko zrozumiałem. Te zaginięcia przed laty. Te sześć zaginionych kobiet...

– Boże – potwierdził Janio. – Za pierwszym i drugim razem ani ja, ani nikt inny się nie zorientował. Poza tymi, którzy brali w tym udział, nikt nie wiedział, że Szymura i jego kompania polują na kobiety i je rzeczywiście zabijają. Wybierali sobie takie, których nikt nie szukał, których zniknięcie nikogo nie obchodziło. Jedna była Rumunką, druga Ukrainką, dwie kolejne pochodziły z Chin, piąta przyjechała tu z Krymu, Tatarka. Niby nikt nie wiedział...

– A ty skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem. Szymura sam mi potem opowiedział. O nich wszystkich. W mieście krążyły plotki. Zaczęto rozpowiadać tę legendę o Białku. Że to on wraca, wychodzi z jeziora i porywa kobiety, bije mężczyzn. Mało kto podejrzewał wtedy Szymurę. Białek wraca i zabija. Być może gdyby nie ostatnia ofiara, dalej by tak było. Ale tym razem wybrał sobie dziewczynę z Mirowa. Polkę. Niby pasującą do wzorca, samotną, lekko odjechaną, mieszkającą za miastem, wyalienowaną. Zapomniał jednak, że byliśmy przyjaciółmi. Ja i ta dziewczyna. Kiedy zniknęła, zacząłem pytać. Przestałem przychodzić do pracy i robiłem własne

śledztwo. Szymura początkowo reagował wstrzemięźliwie. Potem na mnie naskoczył, że wkładam łapska tam, gdzie mogą mi je obciąć. Następnie próbował przenieść mnie do Szelkowa, ale ja dalej szukałem. W końcu więc...

– Zrobił z ciebie szaleńca.

– Ale wcześniej opowiedział mi o wszystkim. O tym, jak cierpiała, jak ją wzięli w sześciu naraz w obroty. Jak ją upodlili, upokorzyli, wymęczyli, a następnie bezlitośnie zabili. Moją małą Lilkę.

Myslałem, że się rozplacze, ale tylko zamrugał oczyma.

– Lilka, tak miała na imię. Była moją jedyną przyjaciółką po tym, jak mnie zostawiła Monika. Tylko do niej mogłem głowę w tym mieście otworzyć. A on mi ją zabrał. Zabrał mi ją, bo chciał mnie mieć tylko dla siebie. Bo nie podobało mu się, że coś mi się w życiu innego udaje poza nim. Że mogę sobie znaleźć tu przyjaciela, nawet nie kochankę, tylko przyjaciela. Chciał mi to zabrać i zabrał. I opowiedział mi o wszystkich innych. Objawił mi duszę diabła. A potem śmiał się, że mogę z tym iść, gdzie chcę, a jemu i tak nikt nic nie zrobi, bo jego ojciec prokurator wszystko zatuszuje. Nie wierzyłem w to. Poszedłem do prokuratury, poszedłem na policję, poszedłem do adwokata, takiego starego Winieckiego, który już chyba nie żyje...

– Żyje. Ma syna, też adwokata.

– Poszedłem do nich wszystkich, a oni tylko rozkładali ręce. Oj, głupi Janio, kto ci uwierzy? Kto da wiarę w twoje słowa, wymyśły? Polowania na ludzi, gwałty, prawo pierwszej nocy? Czyś ty z byka spadł? Czyś ty totalnie ocipiał? Odbijałem się od nich po kolej, ale w końcu ktoś Szymurze doniósł, że musi to przerwać, bo jestem gotów od drzwi do drzwi chodzić i cały Mirów poinformować, a takiej reklamy przecież Szymura nie chciał. No więc wysłał za mną tego Pawlaka i dwóch innych. Chcieli mnie porwać. Może zrobiliby ze mnie kolejną zwierzynę. Resztę znasz. Uciekłem do supermarketu, chwyciłem za siekiere, a potem...

– Zostałeś szaleńcem.

– I było mi z tym dobrze, aż się nie pojawiłeś. Choć pewnie gdyby nie ty, to przyszedłby jakiś inny – mruknął Janio.

Usłyszałem cichy, ale szybko nasilający się terkot dochodzący gdzieś



z góry, z wielkich otworów wentylacyjnych umieszczonych w suficie. Janio uśmiechnął się znacząco.

– Już są... – mruknął.

Przypomniałem sobie, jak mówił o tym, że Szymura zna to miejsce i niedługo tu trafi.

– Skąd wie, gdzie jesteśmy?

– Nasza stara umowa. Jakbyśmy się kiedyś zgubili i nie mogli znaleźć, to spotykamy się w Centrum. Tak to kiedyś nazwaliśmy. Dawniej była tu jakaś kwatera rosyjskiego wojska. Legendy mówią, że szkolili tu oddziały specjalnych zabójców, ale pewnie to tylko legendy. Jak Rosjanie się wycofali w dziewięćdziesiątym drugim, placówkę przejęła jakaś polska tajna jednostka, podobno wywiad. Kontynuowali tu szkolenia, ale potem coś się musiało stać, bo przerwali. Szymura miał kupić Centrum, ale nie chcieli go sprzedać. Więc niszczyli niczyje, puste, straszne...

Warkot silników był coraz głośniejszy.

– Swoją drogą Ruscy to ciekawie wymyślili. Wiesz, że tu możesz wydzierać się wniebogłoso, a na zewnątrz nic nie słychać? Sprawdziliśmy z Wicią. A jak na górze zaczniesz nucić, tutaj usłyszysz jakby ze wzmacniacza. Taka konstrukcja...

To nie były samochody. Szymura widocznie uznał, że tu nie dojadą. Quady. Duże, usportowione quady. Wicia miał ich cały garaż, żeby móc szaleć po wertepach ze swoją świtą. Mnie też na nie zabierał.

– Co zamierzasz?

– Nic – Janio wzruszył ramionami. – Podejmę grę. Zobaczymy, co wymyśli Szymura.

– Chcesz...

– Może, jak mnie zabije, nie uda mu się już tak łatwo uniknąć odpowiedzialności. A może... nie będę musiał ginąć.

Przypomniałem coś sobie.

– Jeszcze jedno. Mówiłeś, że na polowania Szymura zabierał kompanów. Kim oni byli?

– To bez znaczenia. Wybierał sobie członków świty i wplątywał ich w swoje sprawy, ale to była świta, zmieniała się.

Sam przecież o tym wiedziałem. Sam doświadczyłem tych... wyborów. Dziś byłem jego wybrańcem, jutro mogę zostać skierowany do czegoś innego. Mogę stać się ofiarą jak Janio.

– Z tego, co wiem, jedno ci się udało. Dzięki twojemu wybuchowi kobiety przestały zniknąć. Szymura chyba skończył z polowaniami. – Nie wspominałem mu o dwóch przypadkach, o których mówił Bańka.

– Może tak, może nie. Może chce ze mną skończyć, żeby znów zacząć. Albo już zaczął. Może już nawet nie będzie się bawił w ukrywanie ciał, skoro ma takich dobrych adwokatów jak ty. – Janio roześmiał się gorzko.

Quady zawyły po raz ostatni.

– Chodźmy, nie dajmy im czekać.

Wyszliśmy na zewnątrz. Szymurze towarzyszyli dwaj prawnicy. Wandzlik dyszał ciężko, jakby jego tusza nie dała sobie rady z szybką jazdą na terenowym czterokołowcu.

Stałem i patrzyłem, jak mierzą się wzrokiem. Jan Wiśnik i Witold Szymura, dwaj koledzy ze szkolnych lat, dwaj przyjaciele. Pomyślałem, że Witold wyjmie teraz broń i strzeli najpierw do Jania, a potem do mnie. W ten sposób raz na zawsze pozbędzie się problemu. I nigdy nie poniesie za to konsekwencji. Ale on roześmiał się głośno, szybko podszedł do Jania i wziął go w ramiona.

– Pamiętałeś, stary brachu, pamiętałeś – rzucił.

Jego wielkie niedźwiedzie łapska objęły Wiśnika. Chudzielec zniknął niemal w tym uścisku.

Stali tak długą chwilę.

Dwaj starzy przyjaciele.

Znów razem.

## CZĘŚĆ 3

32.

Witold Szymura nie zabił Jania Wiśnika. Nic mu nie zrobił. Wręcz przeciwnie, zabrał do swojej posiadłości, oddał mu niewielki domek dla służby, który od dawna służył za graciarnię, ale teraz został wysprzątnany i przygotowany na przyjęcie gościa. Znajdujący się kilkaset metrów od rezydencji Szymury drewniany budynek zbudowano z balii lata temu. Położony na skraju okalającego posiadłość lasu komponował się z zaciszem otaczającej go dziewiczej natury. Żadne luksusy, dwa niewielkie pokoje, sypialnia i łazienka. Za to wielki telewizor z najlepszą rozdzielczością i pełnym pakietem kanałów telewizji kablowej.

– Są wszystkie filmowe. Zobaczysz, jak to się zmieniło, jakie teraz mamy tu nowości, jaki zachód...

– Pewnie dużo muszę nadrobić – szepnął Janio.

– Oj tak.

Byłem z nimi. Do nowego lokum Wiśnika podjechaliśmy meleksem. Szymura nalegał, bym im towarzyszył, żebym zobaczył, co przygotował dla „swojego najlepszego przyjaciela”. Może gdzieś podświadomie wyczuwał, że wiem więcej, że poznałem prawdę, i chciał udowodnić, że jest inaczej, że po prostu pomaga przyjacielowi.

Oczekiwałem, że Wiśnik w pewnej chwili wybuchnie i wyrzuci Szymurze to wszystko, o czym opowiedział mi w Centrum, ale widocznie doszedł do wniosku, że strategia na przeczekanie jest lepsza. Miał dużo czasu na przemyślenia. Uznałem, że to właściwe podejście. Furia nic by mu nie dała. W niczym by nam nie pomogła. Musieliśmy działać rozsądnie, z wyrachowaniem. Z takim draniem jak Szymura trzeba postępować wedle odpowiednio dobranej strategii, nie wyprzedzać faktów i nie dać się ponieść emocjom. To teatr jak w sądzie. Gra. Wygrywa ten, który opracuje strategię i się jej konsekwentnie trzyma.

Cieszyłem się, że Janio też to rozumiał, że mogłem liczyć na jego pomoc i opanowanie. Chyba nie chciałem być świadkiem jakiejś konfrontacji.

Wiśnik grał swoją rolę jak stary dobry aktor. Rolę kogoś, kto chce się ogarnąć, wyspać, wypocząć i pozbierać myśli. Szymura to chyba rozumiał. Nie pytał o szpital, nie wracał też do sprawy związanej z siekierą. Była między nimi chemia. Zupełnie jakby spotkali się w przerwie szkolnej między lekcjami, a nie po dziesięciu latach rozłąki, nie po tym, co było pomiędzy nimi dziesięć lat temu i wcześniej.

– Tu jest sypialnia. – Szymura wyglądał na wyjątkowo dumnego. – Powinieneś znaleźć w niej wszystko, co tylko sobie wymarzysz.

Rzeczywiście to miejsce zrobiło wrażenie również na mnie. Prezes nie ograniczył się do zapewnienia koledze jakiegoś szampowego komfortu. Zrobił coś wyjątkowego, w klimacie Jania. Widać było, że zadał sobie wiele trudu, by to wszystko przemyśleć i przygotować. Ściany sypialni dosłownie wyłożone były książkami.

Dużo później dowiedziałem się, że Szymura wynajął najlepszą (nie wiem, czy nie jedyną) w kraju firmę, która zajmowała się „urządzaniem bibliotek”, żeby przygotowała ten pokój dla Jania. Dwie dziewczyny na podstawie wyczerpujących i rozlazłych opowieści Szymury o Janiu w ciągu tygodnia skompletowały księgozbiór, który powinien był zaspokoić potrzeby najbardziej wymagającego czytelnika.

Janio chodził po pokoju. Był zagubiony i onieśmielony, a jednocześnie wzruszony. Brał książki do ręki i je wachał, pieszczotliwie gładził grzbiety, jakby się z nimi witał. Miał łzy w oczach i celebrował każdą chwilę.

Spojrzał na mnie z wyrzutem i trochę przepraszająco. Autentycznie się wzruszył, nie udawał. Miałem wrażenie, że chce odwołać wszystko, co powiedział. Że weźmie mnie za chwilę za ramię i szepnie do ucha, żebym zapomniał o tamtej rozmowie, że się pomylił, że jego przyjaciel Wicia Szymura jest najlepszą osobą pod słońcem, że nigdy nikogo nie skrzywdził, a jeśli nawet, to pewnie popełnił jakiś młodzińczy błąd. Dziś jest już zupełnie innym człowiekiem. Dziś możemy mu zapomnieć, że egzekwował prawo pierwszej nocy, polował na ludzi, dopuszczał się gwałtów.

Sam miałem ciągle nadzieję, że Szymura już z tego „wyrósł”, że już tak nie postępuje.

Witold doskonale Wiśnika znał. Wiedział, że ten potrzebuje spokoju, otoczenia książek i filmów, które w nim żyły od tylu już lat. Ten skromny domek na uboczu ogrodu był jak dar wotywny wyjęty z mitu ich dzieciństwa. To było coś jak wybór między czerwoną i niebieską pigułką. Szymura oferował Janiowi (i poniekąd mnie) pozostanie w Matriksie. W pięknym, bogatym, spokojnym świecie iluzji. Wybranie błękitnej pigułki zburzyłoby wszystko i zmusiło nas do walki.

O co? Czy na pewno było warto?

Sam dałem się ponieść tej scenie powrotu. Nawet w myślach usprawiedliwiałem Szymurę. Wykazał się przecież niebywałą empatią, troską o Wiśnika. Była w tym jakaś delikatność, której nigdy dotąd nie okazywał.

Po rozmowie z Lewińską patrzyłem na potężnego Szymurę jak na małego Wicię, zahukanego chłopca z małego miasta, którego ojciec był ekranem horroru. Wychudzony i zmarnowany Janio wydał mi się z kolei jego starszym bratem. Prowadził go za rękę i pokazywał inny świat. Zapalał światło w mrocznym pokoju chłopca, którego ojciec był katem. Byłem oczywiście ciągle zszokowany tym, co usłyszałem od Wiśnika, i miałem bardzo jasne poglądy na ten temat. Niemniej jednak wiedziałem, że gdzieś głęboko ta historia ma drugie dno. Może Szymura przy swej psychopatycznej naturze potrzebował „krajiny łagodności”, którą emanował Wiśnik? Może potrzebował się ogrzać przy tym ciepłym płomieniu dzieciństwa, za którym tęsknił? Janio z kolei być może ciągle chciał Wicię ratować, egzorcyzmować, ujarzmić demony, które popychały go ku złu? Ci dwaj, tak na pozór inni, być może się przyciągali.

– Pijemy?

Patrzyłem na nich, słuchałem, jak wspominają, a potem sobie poszedłem. Nie byłem tu nikomu potrzebny. Wracając do domu, myślałem, jakie to wszystko pogmatwane, jak dziwnie się potoczyło ich życie. Zastanawiałem się, czego mój klient tak naprawdę oczekuje i co mogę zrobić z całą pozyskaną niedawno wiedzą.

Zarówno Wiśnik, jak i ja, mieliśmy przecież świadomość, że nic się z tym nie da zrobić.

Cwaniak Bańka się wyłga i będzie udawał, że nic się nie dzieje. Pewnie

jakbym do niego poszedł z historią Wiśnika, wyjąłby rewolwer i kazał mi samemu strzelić sobie w łeb.

Chcesz reprezentować jakieś duchy, udaj się w zaświaty po pełnomocnictwa.

Matrix? Niech będzie. Wolę Matrix niż ganiecie za wizjami szaleńców. Słyszałeś o rosyjskiej szkole walki z politycznymi przeciwnikami? Tam od dawna posyłają ich do psychiatryków. Teraz wynalazek skomercjalizowano i wyeksportowano. Do nas też trafił. Lepiej z tym nie walczyć, bo można...

Tak by powiedział Bańka.

A może nie? Może się myliłem. W końcu on też w tamtych czasach jeszcze nie funkcjonował. Znał te stare sprawy tylko z opowieści i ewentualnie z jakichś dawnych akt, jeśli chciało mu się je przeglądać. A może nawet nie znał? Może nie dokopał się do archiwów, bo też po co miałby to robić? Żeby źle spać?

Pozostały jeszcze te dwie nowe sprawy dziewczyn. One mogły być istotniejsze, ale przecież o nich Janio nic nie wiedział, bo siedział wówczas w psychiatryku. Może jednak te dwa zaginięcia z ostatnich lat nie mają nic wspólnego z Szymurą? A może mają, ale tylko w taki sposób, że ktoś, kto ma podobną wiedzę jak Janio (i teraz ja), chce Prezesa pogrążyć?

Pinkosz.

O nim pomyślałem. Nawet przyszło mi do głowy, żeby się całkowicie sprzeniewierzyć zasadom i pojechać do tajemniczego restauratora i konkurenta Szymury. Jakby to przyjął? Pewnie z zadowoleniem. To stary wyga, ma za paznokciami niejeden bród. Nagrałby mnie i kiedyś to wykorzystał. Z pewnością dałbym się nieźle podpuścić.

Wróciłem do domu wymęczony jak nigdy.

Basia odpoczywała, czytając. Staralem się zobaczyć tytuł, ale to była jakaś dziwna książka, chyba bez żadnego tytułu.

Ania grała na komputerze. Miała słuchawki na uszach. Nie chciałem jej przeszkadzać. Kiedy siedziała w wirtualnym świecie, była niedostępna, jakby poza zasięgiem. Śmialiśmy się nieraz z Basią, że gdy nasza córka była czymś zaabsorbowana w sieci, można by ją okraść ze spodni, w które była ubrana. Rosa była zawiedziona. Siedziała u stóp Ani, zebrząc o daninę uwagi. Pogłaskałem ją i obiecałem jej spacer. Chyba zrozumiała, bo

zamerdała ogonem i odpuściła sobie wargę. Zadowolona, skuliła się w kłębek w wiklinowym koszyku. Usiadłem obok Basi i przytuliłem się do niej.

– Jak poszło w sądzie? – Przestała czytać, zaznaczając zakładką stronę, na której skończyła. Przyłgnęła do mnie i dała się głaskać po włosach. Poczulem, że dawno nie było mi tak dobrze, że pragnę, by to trwało jak najdłużej. Nie chciałem wyrwać się z Matriksu, konfrontować go ze zdrowym rozsądkiem albo logiką.

– Dobrze, wygrałem.

– Jak zawsze.

– Nie zawsze.

– Prawie.

– Dzięki tobie.

– Miły jesteś, ale za skromny. Sam wygrasz. Po prostu... masz odpowiednie podejście.

Zbyłem to milczeniem, a jednocześnie zagryzłem mocno zęby. Dobre podejście. Może powinienem zapytać ją o zdanie. Co zrobić, gdy nie ma dobrego podejścia? Gdy każde będzie złe? Gdy wszystkie furtki prowadzą nad przepaść, nie ma dobrej drogi? Gdy trzeba wybierać między złym a gorszym i ciężko zdefiniować różnice tych pojęć?

– Wypuścili go? Wiśnika?

– Tak. Odebrałem go ze szpitala.

– To dobrze.

– A jeśli kogoś zabije?

– On nikogo nie zabije. I tak za długo siedział za to, co zrobił. Tylko kogoś nastraszył. Jakoś jestem pewna, że w ostateczności nie byłby w stanie zadać ciosu.

Przypomniałem sobie opowieść Jania. Nie, wcale nie cofnąłby ręki. Podejrzewam, że wtedy, dziesięć lat temu, poszło na noże i sytuacją rządził jakiś bożek chaosu. Gdyby Pawlak podszedł mu pod siekiere, dostałby w łeb. Ale to już nie miało znaczenia. Janio bez wątplenia nie zasługiwał na to, co go spotkało.

– Co dalej?

– Jest u Szymury. – Nie wydawała się zaskoczona, mimo to dodałem: – Przyjaźnią się. Szymura oddał mu domek ogrodnika.

– A co z ogrodnikiem?

– I tak z niego nie korzystał. Przeniósł się przecież już ze dwa lata temu do siebie. W domku była graciarnia. Posprzątali tam. To miejsce pasuje do Wiśnika. On teraz potrzebuje spokoju. Musi jakoś odreagować te dziesięć lat.

– To miłe... ze strony Szymury.

Miłe. Miałem ochotę warknąć i powiedzieć jej prawdę. Prawdę, która by ją przeraziła i zmusiła mnie do działania. Tylko jakiego?

– Witold chce go mieć pod nosem – mruknąłem. – Uzależnić. Mieć kolejnego człowieka, który mu coś zawdzięcza.

– Zdaje się, że we wszystkim doszukujesz się jakichś niecnym motywacji. Nawet jeśli. To takie złe?

– Nie.

– Właśnie.

Rosa nie odpuściła. W pewnym momencie przerwała naszą rozmowę, gramoląc mi się na kolana. Kiedy próbowałem ją przesunąć na bok, założyła mi łapy na ramiona, jakby chciała powiedzieć: „Przestań już marudzić o klientach. Obiecałeś mi spacer. Nie pamiętasz?”.

Rad nierad, bo trochę padało, założyłem jej obrozę i ruszyłem do drzwi. Przed furtką zapiąłem ją na smycz.

Zazwyczaj chodziliśmy skrajem drogi, którą codziennie dojeżdżaliśmy do pracy i woziliśmy Anię do szkoły. Tym razem Rosa ewidentnie prowadziła mnie gdzie indziej. Była niespokojna, jakby coś przeczuwała. Przywarła pyskiem do wysypanego na wjeździe do domu żwiru i obwąchała teren. Ciągnęła mnie uparcie w prawo, mimo że próbowałem iść w przeciwnym kierunku. Zaczęła nawet szczekać.

Siąpił deszcz, więc w jednej ręce trzymałem parasolkę, a w drugiej smycz, przez co straciłem równowagę i omal nie wyłożyłem się jak długi, kiedy pies pociągnął mocniej. Gdyby widziała nas Ania, miałyby niezły ubaw.

Zrezygnowany uległem Rosie. Od furki do końca płotu, za którym zaczynał się las, mieliśmy około trzydziestu metrów. Suka ciągle wyrывała



się do przodu, szarpała smycz.

– Co się z tobą dzieje, mała?

Spojrzała na mnie jak człowiek.

„Niech będzie – pomyślałem. – Pokaż, co chcesz mi przekazać”.  
Wydłużyłem smycz i szedłem za nią tak szybko, jak byłem w stanie.

W pewnym momencie w gęstwinie leśnej rozległ się huk, jakby na ziemię spadł jakiś ciężki pakunek. Chwilę wcześniej usłyszałem wyraźnie charakterystyczny dźwięk pękającej gałęzi.

Rosaomal się nie udusiła. Chciała natychmiast pobiec w tym kierunku. Warczała i szczekała.

Zamarłem.

Nie, piesku, nie puszcę cię.

Rosa, choć odważna, nie miałaby szans w starciu z dzikim zwierzęciem czy innym napastnikiem. Czy ja mogłem mieć z nim szansę?

– Spokój, spokój! – Pożałowałem, że nie mam rewolweru, który dostałem od Szymury.

Odliczyłem do dziesięciu, słysząc, jak ktoś oddala się w kierunku jeziora, przedziera przez chaszczce, nie próbując już zachowywać pozorów.

Ten ktoś uciekał i byłem pewien, że to człowiek.

Zły człowiek.

Wziąłem Rosę na ręce i zaniósłem do domu. Z salonu zabrałem ze sobą latarkę i starą finkę, którą od lat trzymałem na gzymsie kominka.

Obiecałem sobie, że po kryjomu, w tajemnicy przed Basią i Anią, przeniosę sejf z bronią z kancelarii do domu.

Założyłem nieprzemakalny płaszcz. Rosa aż rwała się, by mi towarzyszyć.

– Nie tym razem, mała – mruknąłem. – To moja sprawa. Tylko moja.

Basia zerknęła znad książki.

– Gdzie idziesz?

– Rosa znalazła coś w lesie.

– Co?

Przytknąłem palec do ust i pokazałem na Anię. Dałem w ten sposób znać, że to coś niemiłego, o czym nie powinna słyszeć nasza córka. Basia

zrozumiała pewnie, że chodzi o jakieś truchło i wróciła do lektury.

Deszcz się wzmógł. Skradałem się, choć ewentualny napastnik już raczej uciekł. Odczekałem chwilę przed winklem i wsłuchałem się w ciszę. Tylko wiatr zawodził, kołysząc gałęzie drzew. W końcu ruszyłem przez las, oświetlając sobie drogę latarką i robiąc jak najwięcej hałasu, jakbym chciał spłoszyć zło.

Mniej więcej piętnaście metrów dalej, obok płotu, który oddzielał działkę od lasu iglastego, rósł cały rząd klonów. Około trzech metrów nad moją głową wisiała nadłamana gałąź jednego z nich. Mieniła się w świetle latarki słomkowym kolorem w miejscu świeżego przerwania włókien.

Podciągając się na gałęzi obok, wspiąłem się na drzewo. Stąpałem delikatnie tuż obok złamanego konaru, starając się zachować równowagę. Ostrożnie odwróciłem się w kierunku naszego domu i poczułem niepokojące mrowienie na plecach.

Pomimo rzędu tui to był doskonały punkt obserwacyjny na salon, w którym nigdy nie spuszczałyśmy na noc rolet w oknach. Basia czytała książkę, Ania ciągle patrzyła w ekran komputera.

Ktoś nas stąd obserwował i to nie od dziś. I ten ktoś chyba przestał się ukrywać, bo miałem wrażenie, że celowo dał się podejść, że chciał, żebym znalazł tę kryjówkę.

Ostrożnie zacząłem schodzić z drzewa i wtedy poczułem, że na coś nadepnałem. Światło latarki wyłowiło biały prostokąt wypchanej czymś koperty. Otworzyłem ją, wyjąłem ze środka kilka złożonych kartek z jakiejś gazety. Spojrzałem na krzykliwy tytuł tabloidu „Szczecińskie Skandale” i oniemiałem.

„Zabiła męża i dzieci!

Jaki demon opętał żonę szanowanego lekarza, która pewnej burzowej nocy chwyciła za nóż i zamordowała męża, dzieci, po czym sama odebrała sobie życie? Zbrodnia, która wstrząsnęła szczecińskim establishmentem”.

Artykuł był krótki i nie zawierał zbyt wielu szczegółów, za to został wzbogacony wstrząsającymi, okrutnymi zdjęciami ciała dzieci, mężczyzny i kobiety.

Chwilę zastanawiałem się, jaki to może mieć związek ze mną, a potem spojrzałem w kierunku domu. Zobaczyłem w oknie Basię szukającą mnie

wzrokiem i nagle zrozumiałem.

To był przekaz. Obserwator sprowokował mnie po to, by przekazać wiadomość. Dawał mi jasno znać, bym sobie darował, bo coś może się stać nie tylko mi, ale i rodzinie. Kto wie, może mnie też zabije żona, a potem się zamorduje?

Zacząłem naprawdę się bać. To przestało być już tylko intrygujące i zagadkowe. Dotychczas sprawy Szymury, Lewińskiej i Wiśnika nosiłem tylko w sobie. Traktowałem je jako wyzwanie zawodowe. Fakt: sam byłem trochę temu winny. Wyrzucałem sobie, że nie potrafiłem odmówić Witkowi, kiedy zaprosił mnie do niewinnie wyglądającej pomocy prawnej, bo to nie był już tylko tradycyjny warsztat adwokata, ale praca niemal śledcza.

Paradoksalnie im bliżej byłem prawdy, której przecież poszukiwałem, tym bardziej bałem się jej następnych odsłon. Działała jednak na mnie jak narkotyk. Zupełnie jak w mechanizmie uzależnienia byłem gotowy bez reszty się w niej zatracić, by ją obnażyć. Przeczuałem jednocześnie, że w zamian będę musiał coś stracić.

Zdarzały się w przeszłości sprawy, w których mocno nadepnałem komuś na odcisk. Wiem, że podsłuchiowano moje rozmowy, rozpytywano o przeszłość, szukano słabych stron, by mnie ośmieszyć i zdyskredytować. Jednak żaden z moich wrogów, przeciwników procesowych nie posunął się do tego, by penetrować aż tak głęboko moją prywatność. Żaden nie wysłał mi tak jawnego ostrzeżenia.

Dom to mój bunkier, moje gniazdo, tu żyją moi bliscy. Nawet najgorsi gangsterzy starali się zachować fair wobec członków rodzin swoich wrogów. Nie podkładali bomb w domach, nie zabijali żon i córek. Do czasu...

Miałem ochotę krzyknąć: „Posłuchaj mnie uważnie, draniu, i przekaz temu, kto ci płaci, że nie mam zamiaru się dalej tym zajmować. Chcę mieć spokój. Rozumiesz? Tak przekaz swojemu mocodawcy”.

Czy jednak coś by to dało?

I czy powiedziałbym prawdę?

Zbyt wiele odkryłem, zbyt daleko zabrnąłem, by z jednej strony ludzić się, że dadzą mi spokój, a z drugiej, by nagle to zostawić i przejść nad

zbrodniami Szymury do porządku dziennego. Ta wiedza stawała się niebezpieczna i, jak się okazało, zagrażała nie tylko mi.

Tej nocy w łóżku Basia jakby wyczuła mój nastrój, wahania, wątpliwości i cały mętlik w głowie, przytuliła się mocno i szepnęła:

– Kocham cię, Tomaszu Mauerze. Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham.

Doskonale wiedziałem.

I wiedziałem, że ta miłość jest za coś. Za to, kim się stałem, kim naprawdę jestem, a nie za to, jak widzą mnie inni. Wiedziałem, że nie mogę odpuścić. Moje bezpieczeństwo, a nawet bezpieczeństwo moich najbliższych, nie mogło uspić sumienia, nie mogło być gwarantem czyichś zbrodni.

W nocy niewiele spałem. Wstałem nad ranem. Popatrzyłem na Anię, potem na Basię. Zszedłem na pomost z kubkiem kawy, spojrzałem na spokojną toń jeziora, a potem wprost we wstające, oślepiające już słońce.

– Emocje nie mają tu nic do rzeczy, nie wolno im ulegać, trzeba robić swoje, Tomaszu – szepnąłem pod nosem.

I z tym ostatnim słowem tak naprawdę wiedziałem już, co zrobię. Odwróciłem się, spojrzałem na nasz dom, widząc go jakby oczami tego nocnego intruza, i postanowiłem: „Musisz działać, Mauerze, musisz wziąć sprawy w swoje ręce. Bez chaosu, podenerwowania, osobistego urazu czy zaangażowania, tak jak zawsze to robisz, jak zawsze w trudnych chwilach próby i konfrontacji schodzisz z linii strzału, ale nie uciekasz, tylko kontratakujesz. Przemyślanie i odpowiedzialnie”.

Wparowałem do Bańki z samego rana, w chwili, gdy się gdzieś zbierał.

– Nie mam czasu – warknął, ale nie pozwoliłem mu wyjść. Popchnąłem go na fotel, a potem zamknąłem drzwi na klucz.

– Musimy pogadać. Bardzo poważnie pogadać.

– To możemy robić codziennie, a w tej chwili ja muszę jechać na zdarzenie i lepiej, żebyśmy się przez ciebie nie spóźnił.

– Mam coś ważniejszego.

– Wątpię.

– A ja jestem pewien.

Bańka westchnął.

– Dobrze, o co chodzi? Byle szybko.

Zrelacjonowałem niemal wszystko, o czym powiedział mi Jan Wiśnik. Może nie tak szczegółowo, w większym skrócie, pomijając kwestie, które były zbyt drastyczne, dyskusyjne, nieprawdopodobne. Przesiałem tę opowieść przez własne sito, żeby tego nie przyjął jak rojenia wariata.

Z każdym słowem nabierałem przekonania, że robię straszną głupotę, kładę głowę pod topór, a jednocześnie rodziła się we mnie jakaś nadzieja. Jakieś słabe światełko przekazywało: Bańka jest draniem, ale nie aż takim, żeby to po nim spłynęło, żeby odłożył przekazaną mu przeze mnie relację ad acta, w niepamięć, i zwyczajnie udał, że nie słyszał. Jedyne, czym mógłby się usprawiedliwić, była mała wiarygodność świadka, ale jednocześnie obaj dobrze wiedzieliśmy, że o takiej sprawie nie da się zapomnieć, że jeśli nic z nim nie zrobimy, ten robal będzie nas pożerał do końca życia.

– Wczoraj ktoś obserwował mój dom. Ktoś mnie podgląda, rozumiesz?! – zakończyłem, niemal krzyżując.

Na początku słuchał z zaciekawieniem, potem był zaintrygowany, ale w momencie, kiedy opowiedziałem mu, co się stało wieczorem, opadł na fotel z rezygnacją. Przez chwilę milczał. Drapał się po głowie, a na koniec zobaczyłem, jak włącza się w nim niezawodna prokuratorska bariera ochronna, która pozwalała mu skanalizować rojenia jakiegoś szaleńca do przegródki z raportami pełnymi nawiedzonych wrózek i jasnowidzów. Świadek przekazał, prokurator wysłuchał. No i co dalej? Wypisać receptę? Zmieniamy dawkę? Dalej ma pan te niepokoje?

– To wszystko?

– Nie. Jest jeszcze to. – Rzuciłem mu na stół znaną pod drzewem kopertę z artykułem ze „Szczecińskich Skandali”. Patrzył oniemiały na tabloidowy artykuł o szanowanej kobiecie, którą opętał demon, doprowadzając do zabójstwa całej rodziny i samobójstwa.

– Jaki to ma związek z tobą?

– Pomyśl – mruknąłem.

– Ta kobieta chociaż istniała? Sprawdzałeś?

– Nie! – wykrzyknąłem. – To nie ma żadnego znaczenia. Przecież to oczywiste, co chciał przekazać ten „życziwy”.

Westchnął i w końcu załapał.

– No tak. Można to uznać nawet za groźbę... Ten, kto ci to wysłał, sugeruje...

– Że i moją rodzinę może to spotkać – dokończyłem za niego.

– Dostaniesz ochronę – zawyrokował. – Jeśli mówisz poważnie, jak wrócę, zaraz się tym zajmę, ale teraz naprawdę muszę wyjść. Możemy spisać twoje zeznanie i zrobić zawiadomienie. Potem wezwiemy twój klienta, żeby je powtórzył. Jeśli chcesz, przekażę sprawę do Warszawy, niech wyznaczą jakąś zamiejscową do rozpatrzenia. Co do przedawnień, sądzę...

Starłem się wyczytać z jego oczu i ust coś więcej. Z pewnością nie mogłem mu całkowicie ufać, ale on przecież też nie mógł wiedzieć, co dokładnie oznacza moja wizyta. Czy czasem nie jestem wtyką, szpiegiem kogoś postawionego wyżej niż Szymura? Czy cała sprawa nie ma drugiego dna, które badają jakieś służby? Bańka był draniem, był zausznikiem Szymury, był dyspozycyjny i wierny, ale był też urzędnikiem doskonałym. Dobrze wiedział, jak się ustawić, gdyby kiedyś w przyszłości skończył się Szymura, a zaczął Pinkosz czy inny. On robił swoje. Miał na wszystko dupokrytkę. Nie nadużył władzy, nie był winny żadnemu niedopełnieniu obowiązków, nie można było o nim nic takiego powiedzieć. Przymykał oko na Szymurę? A skąd! Po prostu nie wiedział o niczym, na co miałby owo oko przymykać. A że się przyjaźnili? To już nie wolno się z porządnymi obywatelami przyjaźnić? Wszak jak tylko się dowiedziałem, że porządny w istocie jest nieporządny, to zerwałem z nim kontakty, zrobiłem, co należy. Proszę, oto zeznanie Mauera i Wiśnika. Zrobiłem nawet więcej, bo się wyłączyłem, a sprawę przekazałem wyżej. Jestem czysty, czyścusięńki. Czystszy niż biała kartka papieru. Być może powinienem był wcześniej coś dostrzec, ale cóż, nie jestem przecież Duchem Świętym, tylko zwykłym, prostym urzędnikiem, na dodatek dość niskim i brzydkim, a miejscami wrednym.

Oto jest dowód na moją niewinność: przychodzi taki Tomasz Mauer, a Bańka co robi? Zakłada rękawiczki, pakuje protokół z zeznaniami w kopertę i przekazuje sprawę dalej, do innego rewiru, żeby nie było absolutnie żadnych podejrzeń o stronnictwo. Czy potem potajemnie pójdzie do Szymury i nie opowie mu wszystkiego, to już inna sprawa.

Obstawiałem, że nie. Przynajmniej nie od razu. Ze strachu

i wyrachowania będzie milczał, aż nadarzy się dobra okazja. Może wykorzystać sytuację, żeby przekazać mu informację, ale nie da nikomu na tacy kwitów na siebie. Pieniądze Szymury są ważne, ale jego prokuratorska dupa jeszcze ważniejsza.

– To nic nie da.

– To czego chcesz?

Właśnie. Czego ja chciałem? Nie odpowiedziałem.

– Posłuchaj, Tomku, naprawdę nie mam czasu się teraz bawić w żadne niańczenie, ale mówię: chcesz, zrobimy sprawę przeciwko Szymurze. Twój wybór. Wkurwi się na nas obu niemożebnie, ale co zrobić, skoro takie są zeznania... świadka, nawet jeśli to wariat. Niech ci będzie. Zrobimy sprawę, zbierzemy dane i wszystko wyjaśnimy. Sprawdzimy, czy były polowania, czy były te gwałty i co... się stało z tymi dziewczynami. Dorwiemy też skurwiela, który za tobą łązi i podgląda twój dom. Jak to ktoś od Szymury, będzie poszlaka, by to posłać pod nadzór do generalnego, poprosić CBS o przydział specjalnej ochrony. Ale teraz daj mi popracować z bieżącymi sprawami, bo uwierz mi, to ważniejsze. Jak chcesz, możesz jechać ze mną.

– Co się stało?

Bańka się zawahał. Może rozważał, czy wobec tego, co zrobiłem, jak jawnie wystąpiłem przeciw lokalnemu układowi, powinien nadal traktować mnie jak przyjaciela, sojusznika.

– Zaginęła kolejna kobieta – powiedział. – I chyba wiemy, kim może być sprawca.

### 33.

Kobieta nazywała się Joanna Arnold. Była samotną rozwódką. Skromną, wyciszoną, nierzucającą się w oczy miejscową cichodajką. Lokalny portal internetowy podał jednak inny szczegół, który zelektryzował lokalną społeczność:

„Zaginęła Joanna Arnold, siostra Michała Arnolda, jednego z chłopców, którzy utonęli przed laty w słynnym wypadku na Zalewie Mirowskim”.

Sprawa błyskawicznie rozeszła się po mieście. Od tej chwili miejscowi podawali sobie te informacje z ust do ust, dopowiadając coraz więcej niezweryfikowanych i coraz bardziej absurdalnych danych, plotek i przypuszczeń niemających nic wspólnego z zaginięciem kobiety. Niewinna historia obrosła legendą. Ojcowie, którzy na co dzień odprowadzali swoje pociechy do szkoły, jakby mocniej i bardziej kurczowo trzymali je za ręce. Staruszkowie chodzili parami, a mężczyźni, spoglądając przez okno, śledzili swoje połowice wzrokiem, nim bezpiecznie zniknęły w taksówkach albo autobusach komunikacji miejskiej. W spontanicznym wywiadzie udzielonym lokalnej telewizji burmistrz tonował atmosferę niepokoju, zapewniając, że miejscowa straż miejska zwiększy obsadę w patrolach oraz zapewni dodatkowe etaty do obsługi monitoringu. Na mieszkańców Mirowa padł jednak blady strach. Oni wiedzieli lepiej, czuli, że uspokajający ich głos burmistrza to kamuflaż wobec dramatu miejscowych kobiet, na które czyha skryty zbrodniarz. W mieście nie mówiono o niczym innym, jak tylko o tajemniczym zaginięciu Arnold i związku tej sprawy z ponurą historią sprzed lat: „klątwa”, „piętno”, „duch Białka powrócił” – dało się słyszeć w pełnych niepokoju rozmowach. Miejscowi śledzili w internecie rozwój sytuacji, wyczekując nowych wiadomości.

Według dziennikarza śledczego portalu Arnold wyszła w piątkową noc z domu i przez trzy dni nie wróciła. Zaginięcie zgłosiła matka kobiety, także rozwódka, niestroniąca od kieliszka i mająca złą sławę damy lekkich obyczajów, dziś już jednak zbyt zabytkowa, by znaleźć amatorów swej legendarnej gościnności. Ten ostatni passus pojawił się w komentarzach autorstwa dobrze ją znających mieszkańców Mirowa.

Policja wstępnie rozpoznała, że istotnie Joanna przez trzy dni nie dała znaku życia, a sprawa jest poważna. Fakt, że była siostrą słynnego topielca Michała Arnolda, dodatkowo podsycił zainteresowanie. Nad Mirowem, niczym upiór znów uniósł się mit Białka. Matka Joanny, stara, lecz całkiem nieźle zakonserwowana przez spirytus ropucha, także dolewała oliwy do ognia, powtarzając w jednej z rozgłośni radiowych pijackim głosem spontaniczny, przerażający apel:

– Zabiłeś mi już jedno dziecko, oddaj drugie! Ona nic ci nie zrobiła! Oddaj mi dziecko!



Naprawdę można było się przestraszyć tembru starej wiedźmy.

Bańka tego ranka nie jechał jednak do domu Joanny Arnold. Zrozumiałem to dość szybko, gdy wyruszyliśmy w kierunku wschodnim.

– Wyprowadź mnie z błędu – szepnąłem zdziwiony. – Jedziemy do Lewińskiego?

Wzruszył tylko ramionami.

Tymczasem przed domem Lewińskiego/Białka zebrał się już spory tłum. Policjanci ustawili barierki i utworzyli kordon z funkcjonariuszy. Na ogół spokojni mieszkańcy Mirowa oczekiwali stanowczych działań organów ścigania.

– Dajcie nam go, będzie spokój!

– Już my sobie poradzimy z tym potworem.

W środku czynności przeprowadzała cała ekipa śledcza. Zauważyłem, że za domem tworzył się szpaler kilkudziesięciu policjantów z prewencji, którzy przeszukiwali okolicę przy użyciu psów tropiących.

– Co się dzieje? – zapytałem.

Bańka przeklął pod nosem. Zaciągnął mnie do sypialni Białka i pokazał na łóżko.

– Skurwiel albo coś przeczuwał, albo go ktoś ostrzegł. Z samego rana się zasadziliśmy, ale jego już nie było. Za to wyro czarni zastali jeszcze ciepłe.

– Czarni?

– A co, na seryjnego drogówkę miałem wysłać? Wołałem nie ryzykować. Ten Białek czy Lewiński może i wygląda jak dupa wołowa, ale jeśli rzeczywiście to on zaszlachtował żonę, a wcześniej te dwie dziewczyny i teraz jeszcze tę Arnold, to... trzeba być przygotowanym na wszystko.

Nie grało mi to. Zdecydowanie nie grało. Roman Lewiński seryjnym? Już prędzej Bańkę bym o to podejrzewał. Nie, złe porównanie. Bańka może i był leniwym, pokrętnym, zepsutym fiutem, ale na seryjnego nie nadawał się podobnie jak Roman.

– Bańka, to jest bardzo grubymi nićmi szyte – szepnąłem.

– Nie wiem jakimi. – Wzruszył ramionami. – Mnie tam prawdopodobieństwo i wróżby mało obchodzą. Dowody są, jakie są. A będą kolejne. Powinienem go zamknąć od razu, to by może Arnold nie zginęła.

– Przecież miał alibi.

– Alibi – prychnął Bańka i powtórzył coś, co już kiedyś słyszałem od Szymury: – Maszyna to nie alibi. Pewnie znajdziemy wyjaśnienie. Poza tym... uciekł skurwiel, to winny. Jakby był niewinny, to by nie uciekł przed szóstą rano.

Logika prokuratora. Jeśli złodziej jest łysy, to znaczy, że każdy łysy kradnie.

Jakoś kompletnie mnie to nie przekonywało. Oczywiście zrozumiałem postępowanie Bańki, który w związku z oczekiwaniami wobec prokuratury chciał pokazać, że jest skuteczny. Nie wierzyłem jednak w to, by fakt, że śledczy nie zastali Lewińskiego w domu, był wystarczający do wytypowania go jako sprawcy. Coś tu nie grało. Ta teza wydawała mi się zwyczajnie naciągana. Tym bardziej gdy usłyszałem na zewnątrz głos Szymury. Uspokajał ludzi, obiecywał, że osobiście dopilnuje, by winny został ujęty i poniósł karę.

– Złapiemy skurwiela! – krzyknął. – Rozejdźcie się, już my się nim zajmujemy.

– Ta – zawołał ktoś z tłumu. – Dostanie pięć lat.

– W zawieszeniu – dodał inny głos.

– A może jak Wiśnika, wsadzicie go do psychiatryka, żeby sobie wypoczywał na nasz koszt?

– To nie miejsce dla mordercy. Dawać go nam.

– Już my sobie z nim...

Szymura cierpliwie poczekał, aż się wyszumia, a potem zapewnił, że przestępca poniesie adekwatną do zbrodni karę. Powiedział to z charyzmą i przekonująco. Podziałało. Ludzie milczeli i nikt już nie ośmielił się okazać jakiegokolwiek zwątpienia, że będzie inaczej.

Gdy po chwili wszedł do domu, unikał mojego wzroku, jakby bał się, że wyczytam w nim kłamstwo, że dowiem się czegoś, czego jeszcze nie powinienem wiedzieć.

– Co się dzieje? – zwrócił się do Bańki.

Ten zrelacjonował mu dotychczasowe ustalenia. Że kobieta zaginęła, a oni mieli coraz więcej podejrzeń w stosunku do Lewińskiego, postanowili

go więc zatrzymać, ale podejrzanego nie zastali. Skoro uciekł, winny. Tylko winny ucieka. Niewinny by poczekał, żeby wytłumaczyć.

Równie dobrze mogło być zupełnie odwrotnie. Facet zobaczył, że robi się wokół niego gęsto, na dodatek ginie kolejna kobieta. Na co miał więc czekać? Na „wizytę” policji polegającą na jednoczesnym wyłamaniu drzwi, wybiciu z buta wszystkich szyb, które poprzedza zazwyczaj wrzucenie do mieszkania gazu łzawiącego?

Bańka upewnił się, że nikt ich nie podsłucha, a potem powiedział Szymurze, że już od jakiegoś czasu zaczęli podejrzewać Lewińskiego. Komisarz Kuchar przejrzał dokładnie monitoring i wykazał, że mąż Moniki odwiedzał dziwne miejsca i dziwnie się zachowywał. Kupił na bazarze komórkę na kartę. Taką w miarę nowoczesną, na której można było spokojnie słuchać on-line tego programu telewizyjnego, dzięki któremu miał alibi, albo go nagrać. Poza tym jedna z kamer zarejestrowała, jak grzebie w śmietniku przy agencji towarzyskiej, pewnie szukając zużytych prezerwatyw, które potem wykorzystał dla zatarcia śladów, udając gwałt na Lewińskiej.

– Chcieliśmy za nim trochę dłużej pochodzić, ale po zniknięciu Arnold nie ma co czekać.

– Gdzie on może być? – zapytał Szymura.

– Nie ma obawy, wcześniej czy później go znajdziemy. Jeśli nie w Mirowie, to gdzieś w Polsce. To nie są czasy, że można sobie ot tak zniknąć.

– To ważne – podkreślił Szymura, a potem klepnął mnie w ramię: – Chodź na chwilę.

Miałem wrażenie, że jego palce są z lodu. Poczułem jakieś przejmujące zimno. Wzdrygnąłem się. Czytałem kiedyś, że źli ludzie przekazują złą energię przy okazji uścisku dłoni, klepięcia po plecach. Niemal to poczułem. Po tym, co usłyszałem od Jania, nie chciałem mieć z tym człowiekiem nic wspólnego. A jednocześnie wiedziałem, że nie mogę uciąć naszej znajomości ot tak, nie odbierać telefonów, wypowiedzieć pełnomocnictwa czy w inny sposób dać mu odczuć, jak bardzo zmieniłem o nim zdanie. Nie mogłem go też obrazić. Musiałem grać, udawać i ostatecznie bardzo dobrze przygotować się do zerwania z Szymurą

i nieuchronnego starcia z nim. Także w trosce o mojego nowego klienta: Wiśnika.

– Janio się powoli odbudowuje. Pytał o ciebie.

– To miłe.

– Wciąż potrzebuje adwokata, żeby pozamykać te wszystkie kwestie...

– Tak, oczywiście pozamykam je.

– Zmienił się. Ale to... wciąż swój chłopak, mój przyjaciel.

– Też go lubię – szepnąłem, a potem postanowiłem dać znać Szymurze, że ma do czynienia z innym Tomaszem. Że już nie jestem jego chłopcem na posyłki. – Ucieliśmy sobie dłuższą pogawędkę w Centrum.

– Tak? I co ci powiedział?

„Że jesteś pierdolonym gwałcicielem, zboczeńcem i psychopata! Że to ty powinieneś trafić do szpitala, a nie on. I zostać tam do końca życia, świrze” – miałem ochotę wykrzyknąć.

– Że planowałeś zrobić w tamtym miejscu jakiś ośrodek wczasowy.

Szymura dobrze grał nieświadomego i niewinnego.

– Stare dzieje. Wojsko nie chciało sprzedać, jakieś ruskie tajemnice tam niby są, pewno dlatego, jak najdzie ich ochota, to znów przyślą badaczy, a w międzyczasie całkiem zmarnieje.

– To prawda, że torturowano tam więźniów?

– Nie wiem.

– Nie przeszkadzałoby ci to? Robienie interesów w miejscu tortur?

– Niektórzy lubią być torturowani. Są miejsca, gdzie za tortury klienci słono płacą. Ludzie mają różne upodobania. Czemu mają ich sobie odmawiać?

– To chciałeś zrobić? Może jakiś ośrodek, gdzie można byłoby polować na ludzi?

Zapytałem i zaraz ugryzłem się w język. Szymura jednak albo był bardzo dobrym graczem, albo już wiedział od Jania, jaką posiadam wiedzę i się przygotował.

– Nie, zupełnie coś przeciwnego – odpowiedział, jakby nie odczytał aluzji albo jej w ogóle nie znalazł w moim pytaniu. – Chciałem tam zbudować ośrodek rozkoszy, a nie tortur. No ale się nie udało. Zajrzysz do Jania

wkrótce?

– Zajrzę.

– Zorganizuję jakąś kolację u mnie, no bo u niego mało miejsca i jednak nie ma luksusów. Muszę pomyśleć o jakimś innym lokum...

Nie czułem się na siłach, by prowadzić dalej tę konwersację, robiąc dobrą minę do złej gry. Zerknąłem znacząco na zegarek i udałem, że się śpieszę.

– Późno. Mam jeszcze trochę zajęć. Wybacz, pójdę już.

– Pewnie, leć.

Czułem, jak obaj patrzą za mną badawczo. Jak się zastanawiają, kim dla nich jestem, co tak naprawdę wiem i co zrobię z tą wiedzą w przyszłości.

Ja też się nad tym zastanawiałem.

Miałem niejasne przeczucie, że obaj dobrze odgrywają swoje role. Że Szymura doskonale zna treść mojej rozmowy z Janiem. Może jeszcze nie wie, że częściowo podzieliłem się tą wiedzą z Bańką, ale zaraz, kiedy tylko ich zostawię, prokurator zda mu szczegółową relację, przywoła każde moje słowo, a potem... wszystko wróci do normy. Znow będziemy udawać, że nic się nie stało. Tyle tylko, że Szymura poczeka na moment, by mnie ukarać, by się mnie pozbyć, tak jak kiedyś pozbył się Wiśnika. Kto wie, może po latach, tak jak Wiśnikowi, okaże łaskę także i mnie. Przyśle innego naiwnego Tomasza z przesłaniem: „Wyciągam rękę na zgodę, ujmij ją i weź, co ci oferuję”.

Tak mogło się to skończyć. Limit lojalności i wyrozumiałości wobec Szymury się wyczerpał. Chyba już nie potrafiłem nawet udawać, że wszystko jest po staremu. Dawno zrobiłem sobie rachunek zysków i strat dotyczący współpracy z nim. Pieniądze tak naprawdę nie miały znaczenia nawet wcześniej, a tym bardziej teraz.

Nie pojechałem do kancelarii. Nie chciałem patrzeć na inne sprawy, papiery Szymury, jego spory i waśnie. Chciałem ponad wszystko nie myśleć o tym człowieku, wygonić go ze swojej pamięci, wymazać gumką ten czas, od kiedy go poznałem. Przez chwilę miałem ochotę wjechać na autostradę i poszukać swoich starych przyjaciół.

Uciec do Warszawy, a potem może do Gdańska czy Szczecina. Przypomniał mi się jeden z klientów, któremu pomogłem wypłatać się z naprawdę poważnej kabały.

– Gdybyś kiedyś, kiedykolwiek miał problem z czymkolwiek, po prostu przyjedź.

Nie wierzyłem, że to „kiedykolwiek” z „czymkolwiek” może nastąpić, a jednak trzymałem jego wizytówkę jako jedyną pomiędzy kartami kredytowymi. Żeby w razie czego mógł znaleźć. Byłem pewien, że gdybym teraz zadzwonił, powiedziałaby:

– Jestem gotów.

Był bogatym człowiekiem, nie tak majątnym, jak Szymura, ale wystarczająco, by koszt udzielonej mi pomocy był dla niego mało istotny, może nawet całkiem niezauważalny. Wywiózłby mnie w miejsce, gdzie nawet Prezes nie miałby szans mnie dopaść. A potem dyskretnie wyciągnął z jego łap Basię i Anię. Tylko czy one chciałyby podążać za moimi demonami? Czy mam prawo zmienić wszystko w ich życiu bez żadnych konsultacji, podejmując arbitralną, choć przecież racjonalną decyzję za nas wszystkich?

Miałem kiedyś klienta, który nie oddał pieniędzy gangsterowi. Z dnia na dzień zamknął swoje stare życie, wyniósł się za granicę, zmienił tożsamość, rozpoczął wszystko od nowa. Bardzo mu teraz zazdrościłem. Nie było jednak niczego, co by go trzymało w Polsce. Nie miał żony ani dzieci. Zostawił tu tylko długi. Pomogłem mu uciec, a on po latach zadzwonił i powiedział, że ułożył sobie życie na nowo.

W takich chwilach jak ta przypominają się podobne historie, które być może są zupełnie bez znaczenia.

Podjechałem do jednej z dzikich plaż nad zalewem. Latem przychodziło tu sporo ludzi z Mirowa i wczasowiczów. W nocy ponoć nieraz można było tu spotkać kąpiących się nago kochanków. Ale szczęśliwie teraz nie było nikogo. Chciałem być sam. Usiadłem na wielkim kamieniu przy brzegu i patrzyłem na wodę. Skupiłem wzrok na jakimś szczególe toni gdzieś daleko. Świat był ciągle piękny i żaden zły człowiek tego nie zmieni. Kimkolwiek by był, nie miał mocy, by zabrać mi miłość do Basi i Ani, wiarę, że warto być dobrym, że zło prowadzi do zguby, że trzeba słuchać głosu serca. Tylko to było dla mnie tak naprawdę ważne.

Tkwiłem jednak w przeszłości, lękając się o jutro. Chciałem na chwilę zapomnieć o Lewińskiej, Wiśniku, Białku i Szymurze. Stworzyłem wokół

siebie jakiś nieprawdziwy świat wypełniony historiami tych ludzi, w którym czułem się obco. Uświadomiłem sobie, że moja prywatność stała się zaledwie namiastką, migawką, jakbym spoglądał na nią przez okno, z zewnątrz. Żyłem równolegle w dwóch światach.

Świat duchów i zbrodni coraz bardziej wypierał najbardziej intymne sfery mojego jestestwa. Pogubiłem się. Już dawno nie miałem czasu na refleksje o sobie, na jakiś rachunek sumienia. Jaki ja w ogóle jestem?

Lubię wodę. Lubię życie. Lubię bezpieczeństwo. Nie lubię wplątywać się w kłopoty. Nie chcę brać na siebie odpowiedzialności. Nie jestem typem supermena albo Don Kichota ratującego świat przed zagładą czy ludzi przed błędami. Jestem zwyczajnym człowiekiem, mam swoje słabości, i nie chcę być nikim więcej, a mimo to ciągle imają się mnie jakieś kłopoty. Spotykam toksycznych ludzi, którym ulegam. Biorę na barki ich udreki, chwytam ich za rękę i szukam wyjścia z labiryntów, w których się pogubili. Na końcu zostaję w tych labiryntach sam z nieswoimi kłopotami i nie mogę znaleźć już drogi powrotnej. Alkoholik, narkoman, niewolnik. Dlaczego nie umiem powiedzieć „nie”? Dlaczego nie potrafię o siebie zadbać?

Nigdzie mi się nie spieszyło. Spacerując brzegiem, rzucałem kamienie do wody.

Kiedy byłem dzieckiem, często szukałem tych płaskich, tak zwanych krzemyków, którymi ciskałem pod ostrym kątem w wartką toń Odry. Pomimo bystrego nurtu, przebijały się pod prąd rwącej rzeki, ślizgając się po tafli, a potem, gdy wytraciły prędkość, opadały na dno. Może ta dziecinna zabawa była jakąś przepowiednią beznadziejnej walki, którą toczyłem?

Wracając w kierunku parkingu, skróciłem sobie drogę. Poszedłem wydeptaną ścieżką, która przecinała porośnięty trawą teren rozlewiska. Mniej więcej w połowie dróżki leżał ogromny głaz, o którym opowiedziała mi niedawno Ania.

Głaz – pomnik pamięci zdobiły fotografie dzieci, które utonęły tu przed laty. Przedstawiały roześmianych, pełnych życia chłopców, przed którymi świat stał otworem, którzy mogli wiele osiągnąć, zobaczyć, przeżyć.

Którzy mogli stać się wizjonerami.

Albo mordercami – dopowiedziało coś w moim mózgu. Tak, mogli stać

się źli, a może któryś z nich już wtedy był zły i dlatego on i inni nie wrócili.

Uderzyła mnie ta myśl.

A co, jeśli któryś z nich żyje, wcale nie utonął? Może to on wraca teraz i może wcale nie jest demonem, tylko wcielonym złem, złym człowiekiem, mordercą?

„Pamięci naszych aniołków, dla których nie było ratunku”.

Tak głosił napis pod zdjęciami.

A jeśli nie byli aniołkami?

Zaraz jednak sam się skarciłem za głupie podejrzenia i brak empatii. W tym jednym prostym zdaniu wyrytym w kamieniu było dużo słusznego żalu i oskarżenia. Nie ma większego cierpienia niż strata dziecka. Nie umiałem sobie tego nawet wyobrazić, jak czuli się ich rodzice. Jesteśmy przygotowani, choć to trudne, na śmierć rodziców, znajomych, sąsiadów. Ale stracić dziecko? W tym nie ma logiki. To burzy wszystko.

Ten kamień nic nie upamiętniał, był oskarżeniem. Trudno się dziwić, że Białek nie wytrzymał, że nie potrafił już po tym wszystkim spojrzeć w oczy mieszkańców Mirowa.

Do domu dojechałem dopiero pod wieczór. Poczułem jakąś ulgę, choć wcale nie byłem mądrzejszy. Niczego nowego nie wymyśliłem. Otworzyłem drzwi i zaraz dotarło do mnie, że coś jest nie tak. Jakbym usłyszał w myślach szept: „Uważaj”.

Przeczucie.

Trudno to inaczej opisać. Nie wiem, czy było za cicho, czy inaczej pachniało niż zwykle, czy zwiتریłem pot i brud obcego mężczyzny, czy to było coś jeszcze innego, niedającego się jednak wysłować. Po prostu wiedziałem, że coś się dzieje. I że nie jest to nic dobrego.

Uciekinier siedział w salonie z Basią i Anią. O dziwo obie nie wyglądały na wystraszone. Odniosłem wrażenie, że były nawet zaciekawione jego niespodziewaną wizytą. Miał w oczach jakiś zwierzęcy strach. Przyglądał mi się badawczo, jakby nie był pewien mojej reakcji. Przez chwilę mierzyłem go wzrokiem, oczekując od niego odpowiedzi albo jakiegoś wyjaśnienia. To był mój dom, mój azyl. Wcale go tu nie zaprosiłem. Ale on milczał, spuścił głowę, uciekając przed kontaktem wzrokowym.

Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem w jak kiepskiej jest formie.



Ubłocony, spocony, w podartym ubraniu, był cieniem samego siebie. Przedarł się tu pewnie przez lasy, czując na plecach oddech pościgu tych wszystkich, którzy wydali już wyrok: „winny”. Wtedy zobaczyłem coś znacznie gorszego. W dłoni miał rewolwer. Nie trzymał go zbyt pewnie, widać było, że nie jest z nim obyty. Za słabo znałem się na tym, by ocenić, czy to jest taka sama broń jak moja lub podobna, ale tak wyglądała. Rewolwer. W głowie od razu zakiełkowało pytanie: „A jeśli ktoś wykradł go z mojej szafy pancernej i dał Romanowi?”.

Roman Białek vel Lewiński. To on właśnie siedział w moim salonie. Uzbrojony i niebezpieczny terroryzował moje dziewczyny, które nie wydawały się specjalnie sterroryzowane.

Czekał na mnie.

### 34.

– Przepraszam – rzucił po chwili milczenia. Wstał gwałtownie i położył broń na stole, jakby go parzyła. – Przepraszam – powtórzył. – To nie tak, jak pan myśli.

– Co tu się dzieje?

Basia obejmowała Anię, która wydawała się bardziej zaintrygowana niż wystraszona.

– Chyba masz nowego klienta, tato.

Lewiński zaczął mówić tak szybko i nieskładnie, że niewiele rozumiałem. Poza przeprosinami padły takie słowa jak: nie miałem wyjścia, rewolwer, pistolet, zaginiona, ludzie, strach, wrobiony, niewinny. W różnych konstelacjach i trudne do ułożenia w logiczny ciąg. Słowem: chaos. I zamęt.

– Spokojnie. Proszę się uspokoić.

Zrobiłem krok, ale wtedy on nagle znów chwycił za rewolwer. Bałem się, że wymierzy we mnie, ale nie miał takiego zamiaru. Chciał mi go po prostu pokazać.

– Łatwo powiedzieć. Ktoś mi go podrzucił, panie mecenasie, to nie moja broń, ktoś...

Z ulgą stwierdziłem, że to nie jest smith & wesson. Nie rozpoznałem marki, ale ten rewolwer różnił się od mojego. Może był odrobinę podobny, ale jedynie odrobinę. Za chwilę Lewiński znów rzucił go na stół i wtedy odczytałem napis „Gward” pod bębniem.

– Jak zobaczyłem u siebie w kuchni broń, to nie od razu się zorientowałem, co się święci, ale potem mnie olśniło, a jak przeczytałem o tej zaginionej dziewczynie, to wiedziałem już na pewno. Chcą mnie zrobić, chcą mnie załatwić. Niech pan mnie broni, panie mecenasie, bo wykończą mnie jak Monikę. Niech pan mnie broni. To są bezwzględni mordercy, ludzie zdolni do wszystkiego.

Spokojnie, tylko spokojnie.

Uniosłem dłonie do góry.

Chciałem uspokoić nie tylko jego, ale i siebie. Pomyślałem, że rzeczywiście coś tu bardzo nie gra. Podrzucony rewolwer (zakładając, że Lewiński mówi prawdę) mógł być przesądzającym dowodem winy. Przypomniałem sobie relację Bańki sprzed tygodni. To, jak dziwił się, że ktoś strzelił do Moniki po jej śmierci. Po co? Teraz już wiedziałem. Żeby wskazać „winnego”.

– Tutaj jest pan bezpieczny, tu nic panu nie grozi – powiedziałem powoli, wyraźnie, a następnie zwróciłem się do Ani: – Przyniesiesz mi koszulkę na papiery?

– Taką foliową? – zapytała.

– Tak.

Zadowolona, że może się do czegoś przydać, pobiegła do swojego pokoju.

– Basiu, zrobisz nam herbaty i może podasz szklaneczkę brandy dla naszego gościa? Bardzo cię proszę – powiedziałem z naciskiem.

Zrozumiała, że chcę z nim zostać sam na sam. Nie chciała tego. I nic na to nie mogłem poradzić.

– Poczekam, aż Ania przyniesie koszulkę – odparła, wstała jednak i stanęła przy drzwiach.

Gdy córka wróciła z całą paczką biurowych przyborów, Basia odesłała ją do jej pokoju.

Wziąłem koszulkę.

– Włóż tu broń.

– Będą na niej moje odciski – powiedział Roman.

– Ale może będą też inne. Jeśli ją teraz wytrzymamy, zatrzymamy wszystkie ślady. Skoro jesteś niewinny, musimy robić wszystko tak, żeby sąd był przekonany, że chcieliśmy ustalić prawdę, a nie ją zatuszować.

– Dobrze – zgodził się.

Włożył broń do koszulki, a ja schowałem zawiniątko do kieszeni. Kilogram w kieszeni to spory ciężar. Szczególnie taki kilogram. Poczułem się nieswojo.

– Będzie pan mnie bronił?

W jego głosie słyszałem rozpaczliwe błaganie. Ten człowiek był na granicy, u kresu wytrzymałości. Zabrano mu jego bezpieczeństwo, jego beznadziejną, upokarzającą, przykrą, wyszydzaną, ale zwyczajnie spokojną rzeczywistość, zabito żonę (którą może i niespecjalnie już się przejmował, którą może przestał kochać, ale która była nieodłączną częścią tej rzeczywistości), a zaraz potem zabrano coś znacznie dla niego ważniejszego. Ostatnią rzecz, która mu pozostała. Święty spokój.

Nie mogłem mu teraz odmówić.

– Będę – potwierdziłem. – Ale mam jeden warunek: od teraz mówi pan tylko prawdę.

– Cały czas mówiłem.

– Nie okłamuje mnie pan, mówi prawdę i słucha moich poleceń. Jedno odstępstwo od zasad i rezygnuję. Od dziś to ja jestem kierownikiem wycieczki i albo mi pan zaufa, albo będzie ufał sobie, a tego nie radzę, bo to bardzo zły pomysł i zazwyczaj się nie sprawdza.

W tamtym momencie byłem niemal pewien, że i tak zrezygnuję. Nie żałowałem go. Chyba szczerze nim pogardzałem. Miałem ochotę wrzasnąć mu prosto w twarz, że dostał od życia niebywałą szansę bycia z kimś takim jak Monika, a ją zmarnował, zepsuł i przerzucił odpowiedzialność za to na innych. To nie tak, drogi Romku. Sam jesteś winny. I sam sobie radź. A jednak z mojej deklaracji wynikało coś więcej. Wiedziałem, że nie będę mógł jej od tak wymazać. Przynajmniej nie bez jego pomocy.

– Nie będzie odstępstw.

Spojrzałem na Basię.

– Czy teraz możemy liczyć na tę herbatę?

Wyszła. Została tylko Rosa, która z zaciekawieniem obserwowała przybysza.

Poprosiłem Lewińskiego, żeby usiadł i opowiedział mi, co wydarzyło się tego dnia. Po kolei, starając się nie dać ponieść emocjom. Wypił szklaneczkę brandy przyniesioną przez Basię i to wyraźnie go uspokoiło, ale też rozwiązało mu język. Każdy klient musi się wygadać, opowiedzieć swoją prawdę i nie powinno się mu przerywać. Mówił dobre dziesięć minut, ale można było to sprowadzić do kilku zdań. Obudził się rano i poczuł niepokój. Był pewien, że dzieje się coś złego. Na stole w kuchni znalazł rewolwer. Która mogła być godzina? Koło piątej. Tak, raczej obudził go jakiś dźwięk, zwykle nie budził się o tej porze sam z siebie.

W pierwszej chwili pomyślał, że ktoś się do niego włamał, że przez nieuwagę zostawił broń i zaraz pewnie po nią wróci. Dlatego wziął ją w dłoń. Zaraz potem jednak zdał sobie sprawę, że to było głupie. Że nie powinien być niczego ruszać, że należało zawiadomić policję. Ale stało się, już się uwikłał. Uświadomił sobie, że być może trzyma w dłoni narzędzie zbrodni.

Wtedy usłyszał jakiś dźwięk za drzwiami. Wyszedł na zewnątrz i wydawało mu się, że widzi kogoś w krzakach. Pobiegnął za nim. Miał przecież w razie czego broń, choć wątpił, że byłby w stanie jej użyć. Nigdy nie strzelał. Nie wiedział nawet, czy poradzi sobie z jej odbezpieczeniem, czy wystrzeliłaby, gdyby nacisnął spust. Pościg był nieudany.

Nie dogonił tamtego, ale kiedy wracał, zauważył jakieś czarne postacie, które zaczęły się zasadzać koło jego domu. Zrozumiał, że po niego przyszli. Wtedy postanowił uciec w las. Biegł ponad godzinę. Kiedyś biegał codziennie. A teraz, kiedy dostał solidnego kopniaka adrenaliny, przypomniał sobie, że jest zdolny do wysiłku, nawet jeśli nie ma dawnej kondycji.

Wreszcie, gdy poczuł się bezpieczniej, gdzieś daleko od domu ukrył się w krzakach i wszystko dokładnie przeanalizował. Miał ze sobą tę komórkę, o której wspominał Bańka. Zanotowałem w myślach, że muszę go jeszcze o to dokładniej przepytac. Uruchomił internet. Miał przecucie, że dowie się

czegoś więcej i się nie mylił. Na regionalnym portalu już huczało o zaginięciu Joanny Arnold.

Zrozumiał, że ktoś go wrabia i będzie potrzebował dobrego adwokata. Wiedział, że prowadzi kancelarię w centrum. W sieci jednak zachowała się informacja o starym adresie, gdzie początkowo zarejestrowałem działalność. To był dom po rodzicach Basi.

– Przepraszam, że przyszedłem tutaj, ale znam te tereny, mogłem podejść od strony lasu – zakończył.

– Dlaczego nie powiedziałeś wcześniej, że masz komórkę?

– Nie przypuszczałem, że to ważne.

– Można na niej oglądać on-line programy telewizyjne, prawda?

– Tak.

– Słuchałeś na niej tego programu, który dał ci alibi?

Zawahał się.

– Policja i tak do tego dojdzie. W internecie nic nie jest anonimowe. Każdy twój krok będzie można prześledzić, odtworzyć i zabezpieczyć jako dowód w sprawie. Nie kłam.

Skinał głową i odpowiedział:

– Tak. Wolę słuchać niż oglądać. Wiele programów telewizyjnych uruchamiam sobie on-line i słucham, chodząc po lesie.

– Byłeś w domu, gdy zginęła Monika?

Znów się zawahał.

– Nie – przyznał.

– Zabiłeś ją?

– Nie!

– Zgwałciłeś?

Prawie się na mnie rzucił. Nie udawał. Na jego miejscu zachowałbym się tak samo, gdybym z tą zbrodnią nie miał nic wspólnego.

– Nie, do cholery, nie. Nic jej nie zrobiłem. Nigdy bym jej nic nie zrobił. Ja chciałem tylko... mieć pewność.

– Czego?

– Że to koniec.

– Nie rozumiem.

Roman skrył twarz w dłoniach.

– Dałem dupy, mecenasie. Dobrze wiesz, że dałem dupy. Ale ona nie chciała mnie zostawić. Nie wiem, dlaczego wciąż ze mną tkwiła, choć robiłem wszystko, żeby odeszła. Cały czas tego nie rozumiem. Może ta przysięga jednak coś dla niej znaczyła. Wie pan, to „do samej śmierci”. Chciałem, żeby mnie zostawiła i robiłem wszystko, żeby do tego doprowadzić. A jednocześnie dręczyło mnie to, bałem się, byłem zazdrosny. Wie pan, od dawna już nie sypialiśmy ze sobą. Żyliśmy obok. Piłem coraz więcej. Najgorsze było chyba to, że w pewnym momencie przestała mi robić o to awantury. Wtedy zrozumiałem, że jej już na mnie nie zależy. Pomyślałem, że pewnie kogoś ma. To jest przecież, a raczej była piękna kobieta. Gdybym znalazł dowód...

Boże, jakie to przykre...

– Gdzie byłeś?

– Śledziłem Monikę. Obserwowałem was wtedy, w knajpie u Pinkosza. Potem, kiedy ją odwoziłeś, szedłem za wami na piechotę. Zobaczyłem, jak wracasz. Wiedziałem, że do niczego między wami nie doszło, minęło zbyt mało czasu. Ucieszyłem się, że tym razem mnie nie zdradziła.

– Tym razem?

– Byłem pewien, że mnie zdradza.

– Miałeś dowody.

Skinał głowę.

– Twarde?

Znów potwierdził.

– Na przykład?

Uciekł wzrokiem.

– Nie będę o tym mówił. To... upokarzające.

– Co było dalej?

– Jakoś mnie to uspokoiło. Pomyślałem, że zrobię jej na złość i nie wrócę od razu do domu. Chciałem, żeby się martwiła, żeby zobaczyła, jak to jest czekać samemu w domu nocą. Wróciłem do miasta i siedziałem w parku. Czasem tak robiłem. Szlajałem się bez celu, chciałem, żeby to ona była

o mnie zazdrosna. Ale to było głupie, bo przecież wiedziała, że nie ma żadnych podstaw. Zbyt ją kochałem. I ona miała tego świadomość. A mimo to...

Chyba chciał wrócić do kwestii własnych postaw, wyborów i ambicji, ale zrezygnował.

– Potem wróciłem – podjął po krótkiej chwili. – Okazało się, że Moniki nie ma w domu. Poszedłem jej poszukać. I znalazłem...

Słabo to wyglądało. Bardzo słabo. Być może było prawdziwe, ale dziecinnie naiwne w kontekście zapotrzebowania lokalnej społeczności na ustalenie sprawcy zabójstwa Lewińskiej. „Sprawcą zabójstwa był zazdrosny mąż” – już widziałem te nagłówki gazet opatrzone komentarzem: „Mężczyzna miał problemy z alkoholem. Ciągle przesiadywał w domu. Ciężka mu trauma związana ze zbrodnią, której dopuścił się jego ojciec”.

Nie ma co. Bańka przy tej sprawie specjalnie się nie spoci. W zasadzie wszystko wskazywało na winę Romana. Ale miałem też poczucie, że pilnował się, żeby nie skłamać. I gdy zadałem pytanie, czy zabił, chyba jednak nie skłamał. Chyba. Równie dobrze mogłem się mylić.

– Co dalej, panie mecenasie?

Poszedłem po kartkę i długopis. Bez słowa nakreśliłem krótką formułę, w której przyszły podejrzany ustanawiał obrońcę. Powiedziałem, żeby przeczytał uważnie pełnomocnictwo. Kazałem podpisać.

Przypomniałem, że ma się bezwzględnie słuchać i nie kwestionować moich decyzji. Wreszcie spytałem, czy chce coś zjeść, uświadomiłem sobie bowiem, że nic dzisiaj nie miał w ustach. Nie chciał i wcale mnie to nie zdziwiło.

Następnie wybrałem numer telefonu komórkowego Kuchara.

– Lewiński jest u mnie – szepnąłem. – Przyjedźcie tak, żeby nie ściągnąć tu całego tłumu gapiów.

**35.**

Podobno kiedy adwokat Geir Lippestad rozważał przyjęcie obrony

w związku z nieludzką zbrodnią, której dopuścił się Anders Breivik, jego żona, która jest pielęgniarką, jednym zdaniem pomogła mu podjąć ostateczną decyzję. Wyjaśniła mężowi, że jeśli Breivik zostałby postrzelony, lekarze i pielęgniarki zrobiliby wszystko, by go ratować, bo taką mają robotę. Ich rolą nie jest ocena bliźnich, ale ocalanie życia.

Tak teoretycznie rzeczywiście jest. Na całym świecie misją adwokatury jest gorliwa obrona klienta niezależnie od własnych przekonań i ocen. Odmówić prowadzenia sprawy można tylko z ważnej przyczyny, którą absolutnie nie może być naganna ocena moralna sprawcy czy też czynów, których się dopuścił. Adwokat, wykonując swoje obowiązki, nie może szkodzić klientowi, choćby bronił największego zbrodniarza na świecie. Gdyby sprzeniewierzył się tej zasadzie, podlega nie tylko odpowiedzialności dyscyplinarnej, ale też karnej.

To czasem rodzi dylematy. Pewnie obrońcom Trynkiewicza, Humera, adwokatom zabójców księdza Popiełuszki ciężko było spojrzeć w oczy swoich klientów, przejść po porządku dziennego nad czynami, których się dopuścili, zrozumieć ich, a jednocześnie nie pamiętać o ofiarach zbrodni.

Najtrudniej chyba jest jednak być depozytariuszem wiedzy powierzonej przez klienta, której ujawnienie mogłoby się przyczynić do obrony niewinnego albo wskazania bezkarnego złoczyńcy. Spowiednik może zawsze w ramach pokuty nakazać zadośćuczynienie i wyznanie prawdy. Adwokat, który posiada taką wiedzę, musi zostawić ją tylko dla siebie. W świetle prawa jest zobligowany, by biernie obserwować, jak niewinny trafia do więzienia, a zbrodniarzowi występki uchodzą na sucho.

Ckliwy przykład lekarza i rannego złoczyńcy, który przywołała szanowna pani Lippestad, jest w tych sytuacjach zupełnie bezużyteczny. Wszystko co prawda można uzasadnić, odwołując się do górnolotnych i zgrabnych teorii, ale życie kreśli różne scenariusze i to, co wydaje się jasne, wcale takie być nie musi.

Przez wiele lat nie mogłem wymazać twarzy tego człowieka z pamięci. To był starszy pan w starym dobrym stylu. Farbował włosy na czarno, nosił się w eleganckich marynarkach, które nakładał na białą koszulę. Do dziś dźwięczy mi w uszach jego ciepły głos. Był po sześćdziesiątce, lekko kuśtykał i mówił cicho, co strasznie denerwowało sędziego.

Młody człowiek z łańcuchem na szyi i godłem na piersiach zachowywał



się wobec mojego klienta obcesowo i był stronniczy. Starszy pan miał też jakieś problemy ze słuchem, często więc musiałem mu powtarzać kwestie, które wygłaszali inni uczestnicy procesu. Był inżynierem instalacji wodnych, od wielu lat na rencie. Nie wyglądał na swój wiek. Oczytany, znający języki. Rozmowa z nim to była przyjemność. Z żoną, wziętą panią architekt, wiedli spokojne i dostatnie życie. Dość mocno je sobie jednak skomplikowali, kiedy zdecydowali się zatrudnić pomoc domową. Nie przypuszczam, by łączyło go coś więcej z tą dziewczyną niż tylko przyjaźń. Miała niespełna dwadzieścia lat. Mam ją przed oczyma. Niska, w okularach, krótko ścięta szatynka. Taka „kupa w jagodach”, jak mówił adwokat, który bronił jej z urzędu. Fakt. Na ulicy nie zwróciłbym na nią specjalnej uwagi. Pochodziła z rodziny, która nie dbała o dzieci. Matka ich porzuciła, a ojciec permanentnie żył w pijanym widzie. Jej młodsze rodzeństwo na wniosek opieki społecznej zabrano do domu dziecka. Jako rodzina zastępcza opiekowała się bratem, chłopak miał wtedy szesnaście lat.

Biegli psychiatrzy dostrzegli w związku dziewczyny i starszego pana relację mistrza i uczennicy. Mój klient namawiał ją, by się uczyła, wyrwała z patologicznego domu i zawałczyła o siebie, póki jest młoda. Mówił, że nie będzie żałować, że każdy ma szansę i choć najtrudniej zacząć coś w życiu od nowa, to potem będzie już łatwiej. Chciała zostać krawcową. Miała za sobą rok nauki w zawodówce, ale jakoś jej nie szło i rzuciła szkołę przed jej ukończeniem.

Perswazja starszego pana jednak podziałała. Za namową mistrza poszła do technikum zaocznego przy miejscowej fabryce koszul. Wynajęła pokój, w którym zamieszkała z młodszym bratem, zerwała kontakt z wiecznie pijanym ojcem i jakiś czas później obudziła się w lepszym życiu. Zaczęła się lepiej ubierać, używać perfum. Na rozprawie, po kilku miesiącach aresztu, znów była szarą myszką.

Być może sprawa by się rozmyła, ale podobno nie ma zbrodni doskonałych. Z drugiej strony, kto to wie, skoro tych doskonałych nikt nie ma interesu ujawnić.

Gdy pani architekt przez kilka dni nie pojawiła się w domu, starszy pan inżynier zawiadomił policję. Według relacji rodziny zaginionej dziewczyna miała z nim romans. Podobno całowała go w rękę, a on kupował jej kwiaty. Krótko przed zaginięciem pani architekt postawiła sprawę na ostrzu noża.

Wybieraj, albo ja, albo ona. Ludzie na stare lata nie będą się ze mnie śmiać.

„Ludzie to głupcy. Moje samopoczucie nie zależy od tego, co mówią” – odpowiedział starszy pan.

Dziewczyna pękła już w trakcie pierwszego przesłuchania. Wskazała miejsce ukrycia zwłok. Odmówiła jednak składania wyjaśnień w szerszym zakresie i tego samego dnia sąd zastosował wobec niej areszt.

Według biegłego anatomopatologa, który sporządził do akt sprawy opinię, na ciele zmarłej ujawniono kilkadziesiąt ran kłutych i mniej więcej tyleż samo rąbanych. Ofiara wykrwawiła się na skutek przerwania tętnicy szyjnej i to była bezpośrednia przyczyna jej zgonu. Według innych biegłych rany kłute zostały zadane różnymi narzędziami, na co wskazywały dwa rodzaje przekrojów ran w skórze denatki. Z powyższym korespondowało ustalenie, że intensywność, a w zasadzie siła uderzeń, która spowodowała ujawnione obrażenia, również była dwojakiego rodzaju. Wreszcie zgodnie z treścią opinii nie było możliwości, żeby jedna osoba zadała aż tyle ran w różnych miejscach korpusu ofiary, a ich umiejscowienie wskazywało, że sprawcy byli różnego wzrostu. Narzędzi przestępstwa nigdy nie odnaleziono.

Do obrony najął mnie sąsiad mężczyzny. Dobrze zapłacił, bo był przekonany, że starszy pan jest niewinny.

Byłem pełen obaw, co do jego optymizmu. Po kilku wizytach w areszcie klient wyznał mi, że pomógł jedynie w ukryciu zwłok i nie ma nic wspólnego ze zbrodnią.

Kiedy w dniu morderstwa przyszedł z zakupów, zastał dziewczynę z nożem, stojącą nad ciałem w kuchni. Było pełno krwi. Zrobiło mu się jej żal. Płakała jak dziecko. Posprząтали więc w domu, a zwłoki zakopali w ogródku.

Wyjaśnienia, które złożyła dziewczyna, brzmiały niemal identycznie, ale zgodnie z jej wersją, kiedy przyszła do domu, nad ciałem kobiety z ociekającym nożem stał staruszek.

Kwestię winy obojga, poza innymi okolicznościami, przesądziła opinia biegłych, zgodnie z którą sprawców było co najmniej dwóch. Wiedząc, co się święci, namawiałem go, żeby podał więcej szczegółów. Tłumaczyłem, że co do zasady jego odpowiedzialność nie budzi żadnych wątpliwości.

Chciałem walczyć o jak najniższy wymiar kary, ale klient musiałby się przyznać. Sugerowałem, że być może zazdrosna żona była agresywna, urządziła mu awantury albo sprowokowała go jakoś inaczej.

Nie chciał nawet o tym słyszeć. Skończyło się źle dla obojga. Dziewczynie sąd wymierzył piętnaście lat, jemu dziesięć więcej. Po wyroku, zanim konwój zakuł go w kajdanki, ostatni raz podałem mu rękę.

Patrzył mi w oczy, a potem powiedział:

„Nie zrobiłem tego”.

Kłamał? Wtedy myślałem, że tak.

Napisałem jeszcze apelację, której sąd wyższej instancji, rzecz jasna, nie uwzględnił. Wiem od innych klientów, którzy odbywali z nim karę w tym samym zakładzie, że przy każdej okazji podkreślał, że został wrobiony.

Nie mam zwyczaju odwiedzać po sprawie tych, których broniłem, ale wiem, że nie miał lekko. Uczył młodych więźniów języków i matematyki. Chodziła fama, że lubi chłopaków.

Dla własnego bezpieczeństwa po pewnych przykrych incydentach dostał celę jednoosobową.

Zmarł krótko potem na zawał. Raczej nie miał rodziny, a może rodzina nie chciała się do niego przyznać.

Myślałem o nim czasem, kiedy miałem styczność z jakimś starszym eleganckim mężczyzną. Podobno do końca życia wysyłał dziewczynie kartki z okazji imienin i urodzin do zakładu, w którym odbywała karę, i zachęcał ją, by się uczyła. Więzienia obecnie dają taką możliwość.

Dziewczynę być może dręczyły wyrzuty albo po prostu miała pretensje do młodszego brata, który przestał ją odwiedzać i odpowiadać na listy.

Podobno tuż po wyroku rozpił się i wrócił na melinę do ojca. W chwili, kiedy doszło do zbrodni, była z nim związana i chciała go chronić. Później jednak napisała do sądu, który wydał wyrok, list zawierający rzeczywisty przebieg zdarzeń. Wskazała winnych: zamordowanie żony mojego klienta to był pomysł tego młodego chłopaka.

Bał się, że siostra straci pracę i będą musieli wrócić do ojca. Dziewczyna weszła do kuchni w momencie, gdy zadawał ciosy starszej pani adwokat. Często pomagał siostrze, więc jego obecność nie wzbudziła wcześniej podejrzeń ofiary. Kiedy kobieta usiłowała się bronić, dziewczyna chwyciła

za nóż i pomogła bratu dokończyć sprawę. Po wszystkim chłopak uciekł, a ona została ze zwłokami sama. Dalszą część tej historii poznałem z wyjaśnień mojego klienta.

Nikt się jednak nie zainteresował listem, który wysłała do sądu. Nie było ciśnienia, nie miał kto popychać sprawy. Dowiedziałem się o tym długo po fakcie. Dziewczyna jest już na wolności.

Jej adwokat, który został ustanowiony z urzędu, powiedział mi kiedyś, że gdyby nie fakt, że mój klient jako pierwszy złożył wyjaśnienia, nie wymyśliłaby podobnej historii. Przyznał, że bardzo mu pasowało, by opowiedzieć ją identycznie. Chwilę przed rozprawą byli ugadani, że dziewczyna dalej będzie milczeć. To była spontaniczna decyzja.

„Wiedziałeś, że to jej brat?” – spytałem.

Uśmiechnął się zagadkowo.

Zastanawiałem się cały czas, jakbym postąpił, będąc na jego miejscu. Czy również strzegłbym powierzonej mi tajemnicy, respektując prawo i obowiązki? Czy też, mając świadomość, że łamię komuś życie, nie uchybiłbym swoim powinnościom?

Bańka był pod ścianą. Nawet jeśli zebrany materiał dowodowy pozostawiał wiele do życzenia, nie było na co czekać. Seryjny morderca, przynajmniej w świadomości mieszkańców Mirowa, nie mógł pozostać na wolności. Sprawy zaszły za daleko. Oczekiwania wobec organów ścigania były jasne. Nie zdziwiło mnie więc zbytnio, że dysponując poszlakami, prokurator postanowił przedstawić Romanowi Lewińskiemu zarzuty. Kwalifikacja również mnie nie zaskoczyła. Nielegalne posiadania broni, gwałt i zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem pasowały jak ulał do tego, co zrobił morderca z Moniką.

Jeszcze tego samego dnia, w którym zatrzymano mojego klienta, w błysku fleszy lokalnych mediów zgromadzonych na korytarzu sądu w Mirowie weszliśmy na salę rozpraw.

Bańka zreferował sędziemu wniosek o zastosowanie aresztu. Siekiera Wiśnika przy skali rażenia zarzutu postawionego Lewińskiemu wydawała się banalna, wręcz infantylna.

Skleciłem kilka słów, podnosząc, że podejrzany sam się stawiał przed oblicze organów ścigania, a zebrane dowody to zaledwie poszlaki.

Oczywiście byliśmy z Lewińskim w tej potyczce bez szans. Moja przemowa nie mogła przynieść oczekiwanego skutku.

Wystraszony, początkujący sędzia, który nigdy nie odmówił prokuraturze zastosowania aresztu i tym razem przychylił się do wniosku.

Tutejsi adwokaci śmiali się, że gdyby mu przyprowadzili wielbłąda, też by go zaaresztował. W uzasadnieniu podkreślił, że dane przedstawione przez prokuratora w wysokim stopniu uprawdopodobniają sprawstwo Lewińskiego.

Do internetu i „Głosu Mirowa” wyciekła celowo informacja, że ludzie nie powinni się już bać. Morderca został ujęty. Nikomu nic nie grozi. Prokuratura i policja, jak obiecał Witold Szymura, przywróciły w mieście bezpieczeństwo.

Nie oponowałem, mimo że nie było to po myśli linii obrony. Ale teraz rzeczywiście ważniejsze było uspokojenie nastrojów, zasypanie dołu z nieczystościami.

Bańka podczas pierwszego przesłuchania był dość agresywny. Napadł na Romana, chcąc wymusić krzykiem, by ten podał miejsce ukrycia zwłok Joanny Arnold i pozostałych zaginionych kobiet.

– Dlaczego nie schowałeś ciała swojej żony jak innych?

– Nie zabiłem mojej żony. Nie znam zaginionych kobiet. Nic im nie zrobiłem. Nie mam z tym wszystkim nic wspólnego.

– Uznałeś, że zaginięcie będzie bardziej na ciebie wskazywało niż zabójstwo?

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Długo planowałeś zamordowanie Moniki Lewińskiej?

– W ogóle nie planowałem.

– Gadaj mi tu, kurwa...

Tu już musiałem się wtrącić.

Roman miał w sumie szczęście. Gdyby dał się ująć przez policję, zamiast przyjść do mnie, Bańka z grupą specjalną, którą utworzono do tej sprawy w prokuraturze, przez dwie doby wymusiliby na nim przyznanie się do wszystkiego z zabójstwem Kennedy’ego włącznie.

Wiem po sprawach, które prowadzę, jak odbywają się czasem

przesłuchania w polskich komendach. Pewna grupa policjantów z pokolenia na pokolenie przekazuje nowym generacjom gliniarzy najgorsze tradycje odbierania zeznań, którymi posługiwano się kiedyś, w czasach, w których władzy było wszystko wolno. Widziałem nieraz sińce okularowe i inne „pamiątki” po spotkaniach świadków i podejrzanych ze stróżami prawa. Słyszałem też wielokrotnie o groźbach i szantażach.

Moja obecność niespecjalnie robiła wrażenie na Bańce, ale na glinach już tak. Nawet na Kucharze. Może dlatego prokurator postanowił postawić mi jeden z wcześniej wygranych lub obiecanych obiadów.

– Słuchaj, Tomku, skoro już ci się przyznał...

– Nie przyznał – zaprzeczyłem.

– Przecież przyszedł i przyniósł ze sobą broń.

– Powiedział, że ktoś mu ją podrzucił. Lepiej nie zanedbaj badań, bo to wykorzystam...

Machnął ręką zniecierpliwiony.

– Technicy w laboratorium wygrzebią z niej wspomnienie ze snu. Ale i tak obaj wiemy, że nic to nie da. Odciski oskarżonego są, nie? Broń w jego rękach była, nie? Tłumaczenie, że mu ją podrzucono...

– Jest tak samo prawdopodobne jak to, że nie podrzucono. Zgadnij, ile statystycznie procent?

Nie odpowiedział.

– Dokładnie pięćdziesiąt. Dopóki nie znajdziesz dowodu na pochodzenie broni i jej związek z Romanem wcześniej. Jak na razie tego nie masz, prawda?

– Do procesu coś znajdę, mądralo.

– Ale na razie nic nie masz. Masz wystraszonego chłopaka, któremu niczego jeszcze nie udowodniłeś. Nie kto inny jak Lewiński dostarczył ci dowody swojej rzekomej winy i zrobił to dobrowolnie. Mógł przecież zakopać spluwę albo wyrzucić ją do jeziora. Pamiętaj o tym. Szukaj prawdy, a nie potwierdzenia swoich tez. To może mniej wygodne, ale naprawdę ma przyszłość.

– Ty... tak poważnie. Tomku, przecież to on.

– Może tak, może nie. To tylko tezy, jakieś założenia, ale do

udowodnienia sprawstwa i winy droga jeszcze daleka.

– Sam nie wierzysz...

– To nie jest kwestia wiary. Bańka, z choinki żeś się urwał? Czekam na dowody.

– Namów go chociaż, żeby powiedział, gdzie jest ta ostatnia. Może jeszcze żyje.

– Ile razy mam powtarzać, że mój klient nie ma nic wspólnego z zaginięciem Joanny Arnold.

– Tia.

Szymura czekał na mnie w kancelarii. Uśmiechnięty, rozluźniony. Wstał, gdy wszedłem, uściskał serdecznie. Pomimo że działo się tak już dziesiątki, jeśli nie setki razy, dziwnie czułem się w jego ramionach. Obejmował mnie niebezpieczny, zły człowiek. Pieczętował w ten sposób jakąś zażyłość. Poszukiwał w tym geście braterstwa.

Powinienem powiedzieć: „Drogi panie Szymuro, z przykrością muszę poinformować, że okoliczności co najmniej jednej z prowadzonych przeze mnie spraw powodują, że jakiegokolwiek nasze relacje są niewskazane z uwagi na potencjalny konflikt interesów”.

Tak powinienem mu być powiedzieć, ale nie powiedziałem, bo wiedziałem, co by odrzekł: „Co ty, kurwa, pierdolisz?”. A ja mógłbym jedynie bardziej go rozsierdzić kolejnymi zdaniami.

– Janio naprawdę odżył – zaczął Szymura. – Nie uwierzysz, jak sobie dobrze radzi. Odzyskuje kolorki. Ogląda, czyta, ma sporo do nadrobienia. Sam chyba coś tam skrobie. Poprosił mnie nawet, bym mu sprawił maszynę do pisania, bo na komputerach biedaczyna się nie zna. Nawet z moją Wiolą się zaprzyjaźnił. Drinki sobie popijają. Wyobrażasz sobie? Wiola jest nim wręcz zachwycona. Traktuje go jak członka rodziny. Z Polą gorzej, ale za Polą to nikt nie nadaży...

– Witoldzie – zacząłem. Musiałem to jakoś powiedzieć. Jak najdelikatniej, żeby nie wyprowadzić go z równowagi. Nie miałem ochoty na fizyczną konfrontację, z której nie mogłem wyjść bez szwanku.

– Musisz zająć się sprawami Jania. Wszystkimi. Pomyślałem sobie, że z wojskiem trzeba coś zrobić. Chłopak na wojnie był, a emerytury wojskowej

nie ma. To normalne? Załatwisz to. Jak trzeba, to pozwiemy skarb państwa, a co...

– Witoldzie, jesteśmy w potencjalnym konflikcie interesów...

– W jakim, kurwa, konflikcie? Co ty mi w ogóle pierdolisz? Jest dobrze. Czemu ty ciągle szukasz dziury w całym?

– Janio Wiśnik został zamknięty w psychiatryku przez twojego ojca – przypomniałem, choć teraz to miało najmniejsze znaczenie.

– Mój ojciec to był prawdziwy kutas. Gdzie tu konflikt?

– Na to powoływałem się w sądzie, bo Janio u ciebie pracował...

– Przecież już to uzgodniliśmy...

– Tak, ale... nie o wszystkim mogę mówić. Po prostu Janio jest moim klientem...

– A moim przyjacielem. I przecież nie tylko nie zabraniam, ale nalegam, byś go dalej reprezentował, byś zrobił dla niego wszystko, co możliwe, żeby mu było lepiej. Nalegam i płacę. A może chcesz więcej pieniędzy? Wstydzisz się powiedzieć? Ile? Toż przecież znamy się już lata. Trzeba więcej, podaj tylko kwotę, a w zębach jak trzeba przyniosę.

Cały Szymura. Dla niego wszystko ma swoją cenę: przyzwoitość, cnota, etyka. Miałem na końcu języka: „To nie ma nic do rzeczy. Są problemy, z których nie można się wykupić”. Ale tego nie powiedziałem. Zresztą i tak by nie zrozumiał.

– Reprezentuję też Romana Lewińskiego – szepnąłem.

Skrzywił się, jakbym wyjął na stół coś cuchnącego.

– Tak, słyszałem. Musisz?

– Nie.

– To go olej. Wiem, przylazł ci do domu, napadł. Pod presją się zgodziłeś, więc teraz możesz powiedzieć, że to nie twoja sprawa.

Może i tak byłoby lepiej. Rozwazałem to nawet.

– Nie wierzę, że to zrobił.

– Co to ma do rzeczy?

Może dla Szymury nic. Dla mnie jednak było ważne, że być może niewinny człowiek kibluje w areszcie za zbrodnię, której nie popełnił.



– Chcę go bronić. Taki mam zawód.

Szymura zarechotał.

– No i co z tego? Chcesz, to broń. Zapłacić, to ci on nie zapłaci, ale jak chcesz... czemu nie? Kto wie, może kiedyś, jak już go skażą, napisze książkę i zostanie milionerem? Ponoć teraz gangsterzy i zabójcy sprzedają się lepiej niż celebryci. Białek... cóż, to byłoby nawet ciekawe przeczytać jego relację o ojcu i sobie. Ludzie lubią czytać wyznania drani i zbrojców.

– Witoldzie, stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji. Moja kancelaria reprezentuje ciebie i twoje firmy w sprawach gospodarczych, ale jeśli chodzi o...

– Tomku – przerwał mi. – Spasuj, ja cię grzecznie proszę albo... zaraz się wkurwię. Nie chcesz, żebym się wkurwił, prawda?!

Nie chciałem.

Więc milczałem.

– No, to rozumiem – zakończył zadowolony. – Rób swoje i przestań pierdolić głupoty. Rozmawiajmy jak przyjaciele. Zrób, co możesz dla Jania, żeby był zadowolony, a tego Romana... chcesz, to sobie broń. Dla mnie to on jest winny, ale jak uważasz inaczej... rób, co chcesz. Ja ci nie bronię.

Basia i Ania wylegiwały się na tarasie. W domu panował spokój. Pomimo wypadków ostatnich dni dziewczyny nie okazywały ani cienia niepokoju. Ania nawet uznała całe zdarzenie za fascynujące. Z charakterystyczną dla siebie flegmą, zreferowała mi, że w szkole zrobili specjalny apel, na którym opowiedziała o wizycie bandyty z pistoletem w naszym domu. Ten kazus miał posłużyć jako przyczynek do dyskusji na temat zbrodni, odpowiedzialności i prawa do obrony koniecznej. Wystąpienie Ani zostało skwitowane burzą oklasków.

– Nauczycielkom opadły kopary. Mało się nie posikały, słuchając, co się zdarzyło w naszym domu. Mam na to wywalone, ale klaskali mi, jakbym Eurowizję wygrała – zakończyła.

Kiedy Basia poszła zrobić herbatę, Ania pokazała mi na swoim laptopie profil jednej z koleżanek na Instagramie. Zawierał fotografię Lewińskiego bez czarnej przepaski na oczach. To musiało być zdjęcie sprzed paru ładnych lat. Ubrany w czarny bezrękawnik Roman prężył muskuły do

obiektywu. Z opalonej twarzy z kilkudniowym zarostem błyskały białe zęby i subtelny uśmiech macho. W podpisach roilo się od hashtagów: #przystojny, #100%facet, #jakojciec, #morderczykochanek.

– Roman ma w szkole u dziewczyn branie – zakończyła. – Wszystkie są ciekawe mojego zdania. Nagle mam całą masę przyjaciółek. Jak go wybronisz, możemy zorganizować takie zoo z jedną klatką i Romanem w środku. Będę sprzedawać bilety.

Choć cieszyłem się, że Ania ma do mnie zaufanie i wprowadza mnie w arkana marzeń swoich koleżanek, wcale nie zabrzmiało to jak dobry żart.

Basia też rozmawiała tylko o tym. Kiedy rozłożyła na ratanowym stole ciastka i filizanki z herbatą, wyraźnie podekscytowana opowiedziała, co działo się w pracy.

– Każdy pacjent chce, bym uchylila rąbka tajemnicy. Mamy kolejki jak nigdy. Doktor przyjmuje trzy razy więcej wizyt niż zazwyczaj. Są tacy, co przez lata omijali dentystę szerokim łukiem, a teraz ściągają, żeby dowiedzieć się czegoś z pierwszej ręki.

– No i co im opowiadasz?

– Prawdę.

– Prawdę? I jaka jest ta prawda?

– Że mój mąż zgarnął temu zabójcy spluwę, z którą przyszedł do naszego domu. Wziął go za krawat i zawiózł do prokuratury.

– To była bułka z masłem.

– A jak tam ciąg dalszy?

– Wszyscy odetchnęli. Zbrodniarz w więzieniu, klątwa dopełniona, nikomu nic nie grozi.

Wyraźnie widziałem, jak miasto powoli godzi się z faktami, łapie głębszy oddech po zadyszce. Dla Mirowa oskarżenie Romana Lewińskiego było zgrabnym zakończeniem tej ponurej historii. Wszyscy już go skazali i przypisali motyw. Syn poszedł w ślady ojca mordercy i sam zaczął mordować pozostałych przy życiu krewnych jego ofiar. Brzmi jak bajka, ma nawet dobre zakończenie. Czego chcieć więcej? Jakież wspaniałe wyjaśnienie. Teraz, kiedy go skazają, będzie spokój, zatriumfuje sprawiedliwość. Na jakiś czas. Na jakieś dwadzieścia pięć lat. Albo do czasu, aż nie pojawi się nowa legenda, nowa klątwa, nowy przypadek szaleńca

psychopaty. Może jakiś nieślubny syn Romana. Zło krąży po świecie.

### 36.

Bańka jakby zapomniał o mojej słabości, podczas której złamałem układ i nagadałem mu na Szymurę.

Może uznał, że warto zapomnieć. A może zrobił to z sympatii do mnie. W każdym razie nie poruszał tego tematu i miałem wrażenie, że wbrew moim oczekiwaniom nie ujawnił tamtej rozmowy. Szymura zachowywał się zbyt naturalnie wobec mnie, by mógł coś na ten temat wiedzieć. Bańka musiał uznać, że sobie wszystko przemyślałem. On zatem też zapomni i będziemy tak tkwić w błogiej nieświadomości, aż któryś nie upije się za bardzo i się nie wygada.

Ja nie piłem, więc teoretycznie Bańka był bardziej prawdopodobnym czynnikiem ryzyka. Tyle że ja miałem sumienie. Może było ono nawet jeszcze bardziej zdeterminowane, by stać na straży prawdy niż skłonność Bańki do wody. Jak długo jeszcze będę potrafił tłumić ten głos?

Sprawa Romana procedowała się sama. Proces karny jest jak stara lokomotywa, która rozpędza się powoli. Podejrzany, co istotne, siedział już w celi. Prokurator miał do przeprowadzenia szereg czynności procesowych, musiał pozlecać ekspertyzy i badania. Nikomu się nie spieszyło. Ważne, że morderca został ujęty. Reszta jawiła się formalnością, którą miał zwieńczyć wyrok dożywocia.

Ja też rzadziej go odwiedzałem, zresztą Lewiński nie domagał się żadnych zapewnień, słownego wsparcia czy czegoś podobnego. Siedział na ence, wizyta adwokata była dla niego jedną z nielicznych okazji, by zamienić z kimś słowo. Powtarzał ciągle, że jest niewinny, że ktoś go zrobił. Pogodził się chyba jednak z tym, że jest na przegranej pozycji i tylko cud, o który zapewne się modlił, może go uratować. W sumie pewnie cieszył się, że chociaż ma jakiegoś adwokata, który może przypilnuje, żeby go tak zwyczajnie nie zlinczowano.

Śledztwo za to utknęło w martwym punkcie. Nie było nowych ustaleń, podejrzany nie chciał składać wyjaśnień. Trwał przy swojej wersji, do

niczego się nie przyznawał.

– Pisz może już ten akt oskarżenia. Na co ty czekasz, Bańka? – Doradziłem pewnego dnia prokuratorowi, ale ten pokiwał mi przed nosem palcem.

– O nie, Tomaszu, tak łatwo nie będzie. Posiedzi sobie rok w areszcie, to zmięknie. Musi skruszeć, przemyśleć sobie, co zrobił. Potem napiszemy...

Tak, posiedzi sobie, to zmięknie. Ta strategia była dość zręcznie przemyślana. Areszt co trzy miesiące miał przedłużać przecież sąd. To utrzymywało wrażenie słuszności tezy postawionej przez prokuratora, na którego nie spadałyby wyłączna odpowiedzialność za niewłaściwe decyzje w przypadku, gdyby sprawa się ryła o kant sali rozpraw. Zawsze będzie można powiedzieć: „Oskarżony był aresztowany na podstawie decyzji sądu. Co trzy miesiące zmieniały się składy orzekające i wszyscy z pełnym przekonaniem przedłużali pobyt podsądnego za kratkami”. Tak więc kubek pomyj w przypadku blamażu proszę rozlewać równo, również na głowy tych panów z orłem na piersiach.

Z drugiej strony, moje doświadczenie w podobnych sprawach podpowiadało mi, że upływ czasu będzie sprzymierzeńcem Białka. Czas studzi emocje i zapal do odwetu. Spojrzenie na dowody, gdy opadnie już kurz po festiwalu gazetowej prawdy, jest inne. Okazuje się często, że zlepek danych, które wystarczyły, by oskarżyć sprawcę, w konfrontacji z dowodami przeprowadzonymi na rozprawie jest miálki.

Wiedziałem też, że jeśli rzeczywiście Białek ma coś wspólnego z zabójstwem żony, prędzej czy później pęknie. Tylko on znał prawdę i potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, czy warto jej bronić. To oczywiście nie jest żadna reguła, ale coś jest na rzeczy w powiedzeniu, że prawda się obroni. Chcemy przecież w to wierzyć.

Jednocześnie gryzła mnie inna sprawa. Cały czas intensywnie zastanawiałem się, jak mogę wyciągnąć Jana Wiśnika z łap Szymury bez wytaczania ciężkich dział, przynajmniej tymczasem. Myślałem sobie, że jak już Janio uniezależni się od Wici, stanie na nogi, wyrwie spod kontroli i wpływu Prezesa, namówię go na złożenie zeznań w prokuraturze okręgowej lub w krajówce, w Warszawie. Co prawda macki Szymury sięgały i tam, ale miałem na to pomysł. Najpierw jednak trzeba było znaleźć Janiowi jakieś mieszkanie w Mirowie, uporządkować sprawy urzędowe, może

znaleźć jakąś pracę. Aż się roześmiałem. Sam w to chyba nie wierzyłem. W mieście, w którym nic nie działa się bez wiedzy Szymury, chciałem zrobić coś całkowicie wbrew jego woli. Tylko co innego mogłem wymyślić?

Był wtorek, prawie trzy tygodnie po uwolnieniu Jania, gdy aktualne sprawy pozwoliły mi na chwilę oddechu, więc postanowiłem zamknąć się z aktami i dokumentacją Wiśnika na cały dzień.

Jak nigdy poprosiłem Wandę o kawę, zabroniłem mi przeszkadzać, zamknąłem się na cztery spusty i już po chwili utonałem we wspomnieniach, iluzjach i kłamstwach ze starych akt.

Sam się zdziwiłem, ile się tego nazbierało. Odpisy protokołów z zeznaniami świadków, dokumenty z oględzin miejsca zdarzenia, dane osobowo-poznawcze, zdjęcia, odpisy z rejestru karalności. Poza dokumentami z akt karnych przez cały ten okres, kiedy przygotowywałem wnioski o wznowienie postępowania w sprawie Jania, zgromadziłem pełną dokumentację z badań psychiatrycznych. Zapisy historii choroby prowadzone przez psychiatrów powtarzały się niezmiennie od pierwszego wpisu. W kolejnych lakonicznych adnotacjach lekarskich zgadzały się nawet przecinki. Naprzemiennie: „Pacjent w fazie mani. Pobudzony, nie śpi, ma nadmiar energii” albo „Pacjent w stanie obniżonego nastroju, epizod depresyjny. Zamknięty w sobie. Milczy. Beznadzieja, smutek”.

„Taka to już natura dwubiegunowości” – pomyślałem.

Postanowiłem się jednak skupić na czymś innym, do czego wcześniej świadomie niespecjalnie się przyłożyłem. Nie było na to czasu i niczego to nie wносиło w sprawie wniosku o wznowienie postępowania. Teraz ta część dokumentów dotyczących tak zwanego rysu podmiotowego wydała mi się interesująca. Wywiad środowiskowy był dość obszerny. Policjant, który go sporządzał, był jednocześnie kuratorem. Próbowałem się z nim skontaktować, ale okazało się, że już nie pracuje. Przeniósł się gdzieś na Pomorze. W komendzie nie wiedzieli, gdzie dokładnie.

Czytałem opinie o Janie Wiśniku sąsiadów, nauczycieli ze szkół, wreszcie kilku przełożonych z zakładów, w których pracował, i zachodziłem w głowę, jak to się stało, że ten człowiek zaprzyjaźnił się z kimś takim jak Szymura, dał mu się podejść i ovladnąć. Obydwaj byli jakby z innych bajek. Szymura to stary wyjadacz, twardo stąpający po ziemi kreator brzydoty i zepsucia. Człowiek bezwzględny, znał szelest banknotów i brudną historię ich

pochodzenia. Wiśnik stał na przeciwnym biegunie. Empatyczny romantyk nieporadny życiowo. Do tego dusza artysty. Pisał wiersze. Dużo czytał. Lubił kino. To wszystko niby już wiedziałem. Ale w aktach były też próbki literackie (ręcznie pisane), które wcześniej pomiąłem. Teraz czytałem je z trudem, bo Janio charakter pisma miał niemal lekarski. W pewnej chwili sam się zdziwiłem, że wsiąknę w te krótkie, przejmujące swoim intelektualnym ładunkiem, miejscami żarliwe, czasem melancholijne opowieści. To było dojrzałe, wnikliwe, wspaniałe. Pod każdym opowiadaniem widniała data i wynikało z niej, że chłopiec, pisząc je, miał szesnaście, siedemnaście lat. To możliwe? Przypomniałem sobie kilka głośnych debiutów literackich i pomyślałem, że gdyby tylko Janio posłał to do wydawnictwa, nigdy prawdopodobnie byśmy się nie spotkali. Może dziś siedziałby obok Pilcha, Twardocha czy Masłowskiej i oceniał rzeczywistość z zupełnie innej perspektywy?

Zamiast tego poszedł do wojska.

O tym epizodzie w aktach było najmniej. Nadwiślańska Jednostka Wojsk Zmechanizowanych jak każda mundurowa instytucja unikała informowania o swoich gwiazdach i czarnych owcach.

– Powinien pan porozmawiać z pułkownikiem Maczkiem – poinformował w końcu jeden z oficerów, do których mnie przełączano.

– Nazwisko jak znanego generała z czasów wojny.

– Nie, to żaden krewny generała – dodał dyżurny. – Denerwuje się, jak ktoś go o to pyta, więc niech pan lepiej nie pyta. Nasz Maczek sam tworzył swoją historię. Był na sześciu misjach wojskowych, w tym ostatnio w Iraku i Afganistanie. Nic nie poradzi, że za jego czasów nie było większej wojny, żeby mógł się wykazać.

– Poda mi pan numer do niego?

– Nie mogę – powiedział, a zaraz potem dodał: – Chyba że nieoficjalnie. Pułkownik Maczek to fajny facet. Uwielbia wspominać, chętnie przyjmuje media.

Zapisałem, podziękowałem i się rozłączyłem. Chwilę się wahałem przed wybraniem numeru. Jakbym przeczuwał, że to będzie coś znacznie ważniejszego, niż mi się wydaje, że dowiem się czegoś, co całkowicie zmieni moje życie. Nawet nie przypuszczałem, jak bardzo przecucie mnie

nie okłamuje.

W tym momencie rozległ się dźwięk telefonu. Wiedziałem, kto dzwoni, zanim odebrałem. Wanda miała mnie nie łączyć z nikim poza jednym wyjątkiem.

– Tak?

– Łączę z prezesem Szymurą.

Po chwili usłyszałem jego głos.

– Wyłączyłeś komórkę?

– Chciałem popracować.

– Cóż, przepraszam, że cię odrywam... – Wyczekał, aż powiem, jak działa się zwykle wcześniej, że kto jak kto, ale on zawsze może mi przeszkodzić, ale tym razem nie powiedziałem. – Dzwoniłem już do Basi, jednak pomyślałem, że możesz poczuć się... pominięty, więc postanowiłem...

– O co chodzi? – Przez chwilę pragnąłem usłyszeć, że właśnie wyszedł od niego Bańka i powiedział mu o wszystkim. O tym, jak nagadałem bzdur o jakichś polowaniach na ludzi, o gwałtach i innych bezceństwach. I niemal słyszałem słowa Szymury: „Dlaczego chcesz mnie skłócić z przyjacielem?”.

– Nic takiego, tylko organizujemy dziś małe przyjęcie. Spontaniczne. Nie męskie, z żonami. Basia już się zgodziła...

– Mam dużo pracy – mruknąłem.

– Oderwiesz się na chwilę. Zjemy kolację, pogadamy, a potem...

– Naprawdę nie wiem...

– Cóż, jeśli nie możesz, to pozwolisz, że przyślę samochód po Basię? Twoja żona jak nikt potrafi rozgrzać towarzystwo...

Zabrzmiało dwuznacznie, a ja natychmiast przypomniałem sobie, jak wróciła późno po dancingu tej nocy, gdy dostałem w głowę.

– Nie musisz, jakoś dam radę.

Roześmiał się głośno i szczerze.

– Ja to mam dar przekonywania. Bądźcie o dwudziestej. Nie spóźnijcie się, bo nie zdążycie na przemówienie.

Szymura zawsze zaczynał ważne przyjęcia przemówieniami. Lubił perorować i obserwować, z jakim przejęciem ludzie go słuchają.

Basia założyła prostą czarną sukienkę z jakiegoś taniego, sieciowego marketu, a i tak wyglądała o niebo lepiej niż Wiola ubrana w kreację na zamówienie od Diora. Poza tym moja żona nie jest robotem. Ma swoje zdanie, umie je logicznie przedstawić i uzasadnić. Jest osobą z krwi i kości.

Wiola przy niej jest... nie dokończyłem tej myśli i poczułem zawstydzenie z powodu przedmiotowego potraktowania tej kobiety. Ale trudno mi było zrozumieć, dlaczego nie tylko zgadza się na takie traktowanie, ale wręcz sama ustawia się w naszym otoczeniu jak przedmiot. Obdarzony sztuczną inteligencją, doskonale zaprogramowany, świetnie wyglądający i dopracowany w szczegółach, ale tylko przedmiot. Z drugiej strony być może był w tym jakiś zamysł. Pomyślałem, że po prostu chciała zejść z pierwszego planu, nie prowokować, zachowywać się poprawnie.

Spojrzałem po pozostałych. Bańka przyszedł z żoną, której imienia nie pamiętam, Lubosz Stenka z jakąś małąlatą w przykrótkiej kiecce, była prezenterką lokalnej telewizji, obecnie prowadzącą imprezy organizowane przez dom kultury. Adwokaci z Przyszowa pozostawali bez partnerek. Gdy na nich patrzyłem, zastanawiałem się, czy tego wieczoru ze sobą zatańczą. Był też jeden z dyrektorów finansowych Szymury z żoną, korpulentną blondynką, wyraźnie źle czującą się w naszym towarzystwie i przesadnie reagującą na żarty. Kilku osób nie znałem. Janio Wiśnik pojawił się na samym końcu. Odmieniony.

W garniturze, który Szymura musiał mu kupić w jakimś dobrym sklepie, ogolony, ostrzyżony, wypielęgnowany w salonie kosmetycznym wyglądał jak James Bond. Szczupły, męski, wspaniały. Zupełnie nie przypominał człowieka z oddziału dla najcięższych przypadków szpitala psychiatrycznego w Mirowie.

Szymura także miał na sobie dobry garnitur, białą koszulę i muszkę. Jamesa Bonda nie przypominał. Raczej któregoś z jego wrogów. Ale strój maskował brzuch i swoistą ociężałość postaci.

Podeszli do długiego stołu ustawionego w sali bankietowej sąsiadującej



przez oszkloną ścianę z krytym basenem. Szymura wskazał Janiowi krzesło obok siebie i Wioli, a następnie klasnął i poprosił, żeby wszyscy usiedli. Tylko on mógł stać podczas przemówienia. Musiał się wyróżniać.

– Dziękuję, że przyszliście, drodzy. Jesteśmy tu w swoim małym gronie prawdziwych przyjaciół, prawda? – Miałem wrażenie, że mówi te słowa głównie do mnie, a jednak byłem chyba jedyną osobą, której wzroku podczas tego wstępu i całego przemówienia później nie szukał. – Prawdziwi przyjaciele. Znamy się wszyscy już tyle lat i być może wielu z was widziało mnie ostatnio nie w formie, w złej kondycji, rozdrażnionego, nieswojego. Było wiele powodów, ale jeden, najważniejszy, toczył mój umysł od dawna, zagryzał mnie nocami, nie pozwalał skupić się na biznesie w dzień, przeszkadzał, szkodził. I dobrze, bo inaczej może bym zapomniał. Zapomniał, że kiedyś, ile to już lat temu, chyba ze trzydzieści, podałem dłoń pewnemu człowiekowi i powiedzieliśmy sobie: „Na zawsze razem”. Próbowałem zapomnieć, bo tak było łatwiej, bo tak mi się wydawało właściwie. Ale to nie było właściwe. I dziś to naprawiam.

Szymura spojrzał na Jania. Ten wydawał się rzeczywiście przejęty, wzruszony. Uśmiechnął się niepewnie. Następnie, zachęcony przez Prezesa, wstał i pozwolił się objąć, mocno wyściskać. Miałem wrażenie, że biznesmen chce go połamać w tych żelaznych kleszczach. Potem wszyscy zaczęli klaskać i też wstali, a Szymura wziął ze stołu kieliszek napelnięty szampanem i zawołał:

– Za przyjaźń! Nie ma nic ważniejszego od prawdziwej przyjaźni!

Spojrzałem na Wiolę, która mechanicznie uniosła kieliszek do ust i upiła. Potem na Basię, która uśmiechnęła się do mnie. Wypiła odrobinę alkoholu i mnie pocałowała.

– Proszę, jakie gołąbeczki – zawołał Szymura. Tym razem patrzył na mnie. Przepijał do mnie i patrzył. – Uczcie się od nich. Oto jest najwyższy stopień wtajemniczenia w przyjaźni. Prawdziwa miłość. Kochajmy się, dzieci.

Podano zupę i danie główne, jakiś zestaw dobrze przyprawionych, pieczonych mięs w towarzystwie grzybków, owoców żurawiny, borówek i sosów. Szymura starał się zagadać wszystkich gości, a potem oddał pałeczkę Stence. Ten uraczył nas opowieściami o słynnych przyjęciach Nerona i dygresjami, jak to jedzenie może być sztuką, a nie tylko

zaspokajaniem najważniejszych potrzeb.

– Każda czynność życiowa odpowiednio ozdobiona jest swoistą sztuką.

– Nawet zabijanie?

– Czemu nie. Słyszeliście, że w Krakowie wyłowiono z Wisły skórę kobiety? Ktoś uszył z niej kostium. To była forma sztuki.

– Och, proszę, nie tak makabrycznie – wtrąciła żona Bańki. – Dość się nasłucham o zbrodniach od męża.

– Albo ten syn prokuratora, co zamordował nauczycielkę, poćwiartował jej ciało i przewoził w taksówce. Syn prokuratora, uwierzycie?

Szymura pstryknął palcami do wynajętego didżeja, który posłusznie zmienił cichą, stonowaną muzykę na głośne disco. Witold spojrzął na żonę, a ta, jak zaprogramowana, wstała i poszła tańczyć. Szybko dołączyła do niej żona Bańki.

Popatrzyłem na Basię i ścisnąłem mocno jej dłoń. Musiała zrozumieć mnie opacznie, bo chciałem, żeby została, chciałem, żeby pokazała, że jest od nich inna, że nie należy do tego zbioru. Ale ona uśmiechnęła się, pocałowała mnie w policzek i dołączyła do pozostałych kobiet. Chwilę później przy stole zostali tylko mężczyźni.

Witold uśmiechnął się szeroko i chwycił butelkę wódki. Obszedł stół, polewając osobiście każdemu, wyręczając kelnerów.

– To lubię. Panie sobie zatańczą, a my w tym czasie...

Patrzyłem, jak piją kieliszek po kieliszku. Janio także. Za każdym razem, gdy wlewał w siebie alkohol, patrzył prowokacyjnie na mnie. W jego oczach widziałem coś jak wyzwanie. To nie był ten sam Wiśnik, z którym widywałem się w szpitalu, ani nie ten, który wyznał mi prawdę o Szymurze. Ale trudno było powiedzieć, że jest rozczarowany czy pogodzony z porażką. Nie, w jego wzroku było coś innego, coś jak... ciekawość. Jakby chciał mi przekazać pytanie: „No i co teraz zrobisz z tym pasztetem, Tomaszu? Jak sobie z nim poradzisz?”.

– Pan mecenas niepijący? – zapytał mnie Wandzlik.

Spojrzałem na już nieźle zrobionego adwokata z Przyszowa i odparłem z uśmiechem:

– Na antybiotyku.

– To jak norweskie biegaczki. One też wiecznie na antybiotykach – powiedział Mirowski.

– Mam norweskie korzenie – odparłem prowokacyjnie.

– Zimno, ale pięknie. Widział pan tam wieloryby, mecenasie?

– Tomasz nigdy nie był w Norwegii – odparł za mnie Szymura. – Ale mówi, że marzy, by odwiedzić kraj praprzodków.

– To może mu pomożemy – zaśmiał się Wandzlik i sparafrazował słynną reklamę, która wywołała wielki polityczny skandal. – Brakuje wrażeń, zimny Tomasz.

Janio Wiśnik cały czas patrzył w jeden punkt. Na mnie.

Potem kobiety wróciły do stołu, podano kolejne ciepłe dania, barszczyk i paszteciki, a Szymura przestał polewać, bo byłoby zbyt wolno. Nawet kelnerzy ledwie nadążali za potrzebami gości.

Basia oddychała ciężko. Miała kropelki potu na ramieniu. Lubiła tańczyć. Lubiła się w tańcu zatracić. Jak i w innych rzeczach.

– Basen – zawołał Szymura. – Pora na kąpiel.

Wstał i ruszył do części basenowej. Temperaturę wody ustawiono na trzydzieści pięć stopni. Każdy z gości mógł przebrać się w szatni w szlafrok. Każdy wiedział, że warto mieć ze sobą kąpielówki lub kostium. No chyba że ktoś zakładał kąpiel bez stroju, co też zdarzało się często, szczególnie na imprezach, na które Szymura nie zapraszał żon, za to po północy przyjeżdżały busem dziewczyny z firmy eventowej.

Basia bez skrupowania zdjęła czarną suknię. Z ulgą zobaczyłem, że ma kostium. Założyła szlafrok. Zdjąłem garnitur i szybko owinąłem się wielkim, białym ręcznikiem.

Większość gości była już mocno wcięta. Jedyne Szymura, jak zwykle, był nie do pobicia. I Janio. On też wyglądał na całkiem trzeźwego, mimo że nie miał gabarytów gospodarza. Pomyślałem, że może wcale nie pije wódki, tylko udaje. Może zamiast alkoholu, kelner polewał mu wodę?

– Bawimy się? – Usłyszałem obok głos Bańki.

Basia wskoczyła do basenu z innymi kobietami. Szymura z pozostałymi mężczyznami wyszedł do ogrodu, aby pokazać im swój nowy nabytek, jakiegoś drona, za pomocą którego mógł podglądać wszystkie zdradzające

mężów żony z Mirowa.

– Myślałem, że nie przyjdiesz.

Zabrzmiało to jak: „Myślałem, że nie będziesz miał tyle tupetu, by tu przyjść po tym, jak nagadałeś mi o Szymurze”.

– Ale dobrze, że jesteś – dodał. – Bo wiesz, każdy z nas miewa chwile zwątpienia, chwile, gdy popełnia błędy...

– Tak – mruknąłem tylko.

– Wymsknie się niejednemu. Czasem nawet wymsknie się tak, że wykrzyczy. Studiowałem w Krakowie z jednym takim oryginałem, wyjątkowo inteligentnym, który kiedyś zapił i na rynku krzyczał, że profesor Winiarek to esbek, świnią i zdrajca. A potem profesor Winiarek był jego promotorem. I wypromował go, jak trzeba, pomagał mu i wspierał go. A na koniec dał mu do zrozumienia, że wiedział o wszystkim. O tym, jak go ten kumpel wyzywał na rynku. A mimo to nie zemścił się, bo przecież ten mój kolega powiedział prawdę. Po wszystkim profesor zapytał: „Ale jak się pan z tym teraz czuje? Z tym, że byłem pana promotorem, a pan musiał udawać swoje prawdziwe myśli i tak się to skończyło? Jakie to uczucie być takim konformistą?”.

– No, jakie?

– Ty mi powiedz.

– Powinienem teraz wstać i nakrzyczeć o Szymurze?

– Mnie nie pytaj. To twój problem, nie mój.

Milczałem. Bańka nagle roześmiała się szczerze.

– No co ty, Tomku, przecież żartuję – potem spoważniał: – Jedno chcę ci obiecać, tamto... zostało i zostanie między nami. Nie wracajmy już do tego.

– Dzięki.

– Obiad postawisz i będziemy kwita...

– Odejmij sobie z tych, które mi jesteś winien.

– To sobie dwa odejmę, bo ja jem więcej. – Wcale nie żartował w tej kwestii. – A co tam u twojego klienta?

– Co ma być?

– Nie chce się przyznać? Może jakaś ugoda?

– Grillowanie? – Nawiązałem pytaniem do słynnego procederu

ustawiania wyroków podczas imprez grillowych w pewnym mieście.

– Od razu grillowanie. Pomóc chcę człowiekowi przecież.

– Upiera się, że niewinny.

Bańka beknął, a potem powiedział zadziwiająco trzeźwo:

– Kto wie, może i niewinny.

– Niby kto niewinny?

Aż podskoczyłem. Bańka spłonął rumieńcem jak złapany z rękami pod kołdrą nastolatek. Chyba nie wiedział, ile z naszej rozmowy usłyszał Szymura. Biznesmen lekko się chwiał, przestał kontrolować brzuch, który wywalił mu się z kąpielówek. Śmiesznie wyglądał w rozchyłonym szlafroku. W rękę trzymał pustą butelkę. Podał ją Bańce.

– Wymień na pełną. Nie spiesz się.

Bańka ruszył do baru. Obejrzał się za szybą i zobaczyłem w jego oczach strach. Nie był pewien, co powiem jego dobrodziejowi, czy czasem nie porozumiem się z panem i władcą przeciw niemu i nie zawiążę jakiegoś spisku. Doszedł w tym mieście na swojej drabince na sam szczyt, zamierzał pewnie teraz przeskoczyć na inną, może w urzędzie miasta czy w starostwie, ale zanim to zrobi, musiał uważać, by nie dostać kopniaka i nie spaść. Byłem dla niego potencjalnym zagrożeniem.

– Jest jak wesz – mruknął Szymura. – Gryzie i zostawia ślady, a mnie swędzi. I interesuje się tylko tym, by móc zaspokoić głód. Zdradzi przy pierwszej okazji.

Nie skomentowałem. Szymura dobrze podsumował Bańkę.

– A jednak mi pasuje. Nie tylko dlatego, że nie mam nikogo lepszego. Wolę znać słabości ludzi i wiedzieć, czego mogę się po nich spodziewać. On jest bardzo przewidywalny.

Chyba chciał mi dać do zrozumienia, że w przeciwieństwie do Bańki ja jestem dla niego ciągle zagadką.

Roześmiał się, objął mnie ramieniem i pociągnął na bok.

– Chodź, pokażę ci coś.

Z basenu można było wejść do trzech dyskretnych sal konferencyjnych. We wszystkich dla niepoznaki były stoły, krzesła i sprzęt do prezentacji, ale podejrzewałem, że częściej służą do schadzek z hostessami niż pracy.

Może jednak się myliłem, bo w jednej z sal na stole rozstawiono jakąś makietę z plastikowych elementów. Nie była ukończona, ale musiała mieć swoje lata, bo czas przybrudził ją, pokrył miejscami kurzem.

– Tak, dobrze się domyślasz. – Wyczytał w moich oczach Szymura. – Ta makietka ma już z jedenaście lat. Zamówiłem ją na kilka miesięcy przed tym jak Jania... zamknęli.

Nagle zrozumiałem. To była makietka jakiegoś hotelu, ośrodka wypoczynkowego. Bez trudu rozpoznałem na nowo zaadoptowane do nowoczesnych kształtów budynki Centrum. Poza nimi było kilka innych domków, dwa baseny i gmach w kształcie litery H.

– To miało być pierwsze SPA z prawdziwego zdarzenia w regionie. Taki nasz Gołębiewski. Hotel pięciogwiazdkowy, część dla biedniejszych klientów i największy zespół basenowy w Polsce. Zjeżdżalnie, solanki, jacuzzi, termy, ciepłe źródła i coś dla morsów.

Bezwiednie zacisnąłem zęby, żeby nie dorzucić: „Sale tortur i strzelnice do polowań na ludzi”.

– Marzenia przysły – podsumował Szymura. – Wojsko nie chciało się zgodzić na sprzedaż... a potem jeszcze Jania mi zamknęli, a to miał być nasz wspólny... – Poglądził makietę. – Ale może to musiało poczekać, może, gdybym się wtedy zaparł, jeszcze bym przez to popłynął, bo by mnie opcje walutowe i kredyty zjadły?

Wtedy zrozumiałem, co dokładnie chce mi powiedzieć, i jeszcze bardziej mnie zmroziło.

– Z Janiem teraz dogadujemy się super – szepnął Szymura. – Możesz sobie odpuścić załatwianie mu renty czy szukanie mieszkania. Janio przypilnuje tego nowego projektu. Centrum będzie dla niego. To przyjaciel.

Przez cały wieczór nie miałem ani jednej okazji do rozmowy sam na sam z Wiśnikiem. Dopiero, gdy się zegnaliśmy, uścisnął mnie jak brata i poczułem, że coś mi wkłada do kieszeni.

Była prawie piąta rano. Nie chciałem sprawdzać przy Basi. Pojechaliśmy do domu i kiedy ona szykowała się do snu, wyjąłem gryps z marynarki. Była to wąska, może dwucentymetrowa karteczka zwinięta w rulon. Zawierała tylko dwa równoważniki zdań. Za to wypisane wersalikami:

„RATUJ MNIE. TO WRACA”.

– Janio, Jan Wiśnik. Jak miałbym nie pamiętać? Pamiętam każdego żołnierza, którego szkoliłem. Każdego, słyszy pan? Szeregowego, kaprała, sierżanta i generała. Tak, nawet generała uczyłem skakać ze spadochronem, takiego młodego, nowoczesnego, z marynarki. Szkolił się na podwodniaka, potem został dowódcą fregaty rakietowej, ale karierę zrobił dopiero w dowództwie sił lądowych, po przekwalifikowaniu. Tak został generałem, sztabowcem jak należy, a potem zapragnął nauczyć się skakać ze spadochronem i powiedzieli mu, że najlepszym instruktorem w kraju jest Maczek. I prawdę powiedzieli.

Pułkownik Maczek. Tak kazał mi do siebie mówić. Miał około sześćdziesiątki, wciąż dobrze się trzymał. Jego ruchy od razu zdradzały wojskowego, choć nie miał na sobie munduru. Krótkie, sprężyste kroki, gesty, ruchy ramion, nóg, głowy. Słowa wystrzeliwane jak pociski. Znaczące, przekazujące treść, konkretne.

– Ale odbiegam od tematu – kontynuował. – Janio Wiśnik, tak, pamiętam. Taki chudy, niezbyt sprawny. Początkowo myślałem, że w ogóle się nie nada, że sobie w powietrzno-desantowej nie poradzi. Wydolnościowo, a może i psychicznie. Bo musi pan wiedzieć, że powietrzno-desantowa to nie jest taka zwyczajna jednostka, że jakoś to będzie. Tu trzeba co dzień pilnować się przed diabłem, co dzień stawiać na szali życie. Wydawało mi się, że Janio sobie nie poradzi jak paru innych. Ale on dał sobie radę, jak wielu tych, co mi się wydawało, że sobie nie poradzą, a oni sobie poradzili.

Przyjechałem do niego o ósmej rano, na śniadanie. Poprosił mnie przez telefon, żebym się nie spóźnił, bo tego nie lubi. Przekazał, że jestem pierwszą osobą, którą przestrzega, bo ostatnio dwóch dziennikarzy do niego przyjechało i obaj się spóźnili, a wcześniej to się zwyczajnie nie zdarzało. Nie spóźniali się, a teraz zaczęli, może taka moda. A jemu się taka moda nie podoba, więc jak chcę z nim pogadać, to mam być punktualnie. Byłem. W zasadzie nie wiem, po co, bo przecież Szymura jasno dał do zrozumienia, że już mam przestać grzebać w przeszłości i zostawić Jania

jemu. Nie chciałem go zostawiać. Ale co mogłem zrobić? W czym mógł mi pomóc generał Maczek?

– Co zrobił? Ten Wiśnik. Bo pan jest adwokatem, tak? To pewnie coś zrobił?

– Nie do końca – odparłem. – Próbowano go wrobić, ale im się nie udało.

– Skurwysyny. Wielu moim chłopakom próbuje się coś wmówić. Słyszał pan o Nangar Khel? Albo o tej awanturze w Kongu? W obu moi podopieczni niby zawinili, a to polityka, panie mecenasie. Tylko polityka. Więc mówi pan, że Jania też próbowali wrobić?

– Dziesięć lat temu oskarżono go o próbę zabójstwa. Za pomocą siekiery.

– Aha. – Skrzywił się.

– Ale to nie była prawda. Bronił się przed trzema nasłanymi na niego bandziorami.

– To co innego. Dzielny chłopak. – Rozpromienił się dla odmiany.

– Skierowano go na badania psychiatryczne i posadzono.

– Skurwysyny.

– Wbrew procedurom. Nie powinni...

– Wiedziałem. Jak tylko pan, mecenasie, powiedział, że go do psychiatryka wsadzili, wiedziałem, że coś tu nie tak.

– Dlaczego? – zdziwiłem się.

– Janio, jak dobrze pamiętam, a przecież pamiętam, bo pamięć, musi pan wiedzieć, mam najlepszą, o wszystkich żołnierzach... ale nie o tym miałem, no więc Janio nie był może supermenem, nie miał daru ani do bitki, ani do strzelania, ale psychikę to miał jak Rambo.

– To znaczy? – Nie bardzo wiedziałem, czy to dobrze, czy źle.

– Nie do zdarcia. Kosił wszystkich, całymi plutonami. Mogłem mu armię twardej postawić, a on przed żadnym nie peniał. Jakby... nie odczuwał strachu. Żadnych emocji. Zwyczajnie... robot. Takich jak on... prawie nie ma. Tacy jak on są najlepszymi żołnierzami. Nic dziwnego, że go wzięli.

– Kto go wzięli?

Maczek zorientował się, że powiedział coś, czego mówić nie powinien, co może było tajemnicą, i udał, że nie usłyszał pytania.

– Taki wymoczek. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Na kompanii



wszyscy mieli większe bicepsy niż on uda. Na zajęciach ze sztuk walki bałem się, że go przeciwnicy połamią jednym ciosem, a on owszem, obrywał, ale zaraz wstawał i prosił o jeszcze. Uczył się pilnie. Gdy nie dawał sobie z czymś rady, szedł na dodatkowe zajęcia, brał lekcje i trenował. Raz znalazłem go na sali w nocy, po ciemku skubany siedział, żeby nikt nie zauważył. Ja byłem takim dowódcą, że lubiłem czasem w nocy sobie przegląd wojska zrobić. Zobaczyć, czy nie maltretują mi starzy jakiegoś kota, czy nie nazbyt dużo sobie pozwalają. W wojsku musi być porządek, musi być nauka i karność, musi być też twarda hierarchia, ale przede wszystkim w wojsku musi być przyjaźń, musi być zaufanie, że jeden drugiemu świni nie podłoży, że za partnerem wskoczy w ogień, że mu w plecy nie strzeli. W powietrzno-desantowej nie ma miejsca dla mięczaków, ale jeszcze bardziej dla sadystów. No i wchodzę do tej gimnastycznej, zapalam światło i widzę Jania, jak siedzi na środku i medytuje. Usiadł, gdy mnie usłyszał. Nie chciał, żeby ktoś go zobaczył, jak próbuje różne takie kata robić, jak ciosy wyprowadza i rzuca cieniem. Wolał już dać się złapać na siedząco. Podeszedłem, usiadłem naprzeciwko i sobie ześmy pogadali. Pamiętam jak dziś tę rozmowę, bo ten wasz Janio...

Znów przerwał, jakby sobie uzmysłowił, że może ponownie coś tajnego zdradzić.

– Tak? – ponagliłem.

– Mądrzejszy był ode mnie – dokończył Maczek. – Rozmawialiśmy trochę o świecie. Ja mu opowiadałem o swoim ojcu, też wojskowym, ale nie tym słynnym generale. – Spojrzał, szukając potwierdzenia, że wiem, że nie jest synem tego Maczka. – Mój ojciec służył na statkach, też był na misjach w Syrii. Szczęśliwie to nie tak jak teraz, spokojniej było. W wojskach ONZ służył, na Haiti był i w kilku innych miejscach. Dużo mi opowiadał o tym, ja się zawsze mądrzyłem i nigdy nie znalazłem rozmówcy, co by tak dużo wiedział o tych krajach, więcej ode mnie. A w rozmowie z Janiem to ja czułem się jak uczeń. Nawet pomyślałem... – roześmiał się – pomyślałem, że mi go wstawili, kreta jednego. Ale nie, Janio nie był kretem, po prostu był inny. Nie zdziwiłem się, kiedy to właśnie on został po roku najlepszym moim komandosem w pułku. Zmienił się, stwardniał. Dobrze go wyszkoliliśmy, a on dodał od siebie, co miał w głowie i tak... Dobry żołnierz.

– Był z panem na misji? Sam go pan na nią wybrał?

– Na misji?

– No, w Jugosławii. W aktach ze szpitala miałem informację, że był na misji...

– Nie ze mną – uciął generał. Strapił się, chyba miał coś na końcu języka, ale nie chciał tego powiedzieć.

– To z kim mógł być?

– Jak ze mną nie był, to z nikim nie był. Chcieliśmy Jania zatrzymać w wojsku, ale... on nie chciał. Odszedł zaraz po zakończeniu służby zasadniczej. Odrzucił rekomendację do szkoły podchorążych.

– Podobno zgłosił się na ochotnika...

– Tak. Był z tego rocznika, co już nie braliśmy na przymus.

– Ale nie chciał zostać dłużej... – Próbowałem pociągnąć go za język.

– No nie chciał.

– Mimo że pan go namawiał...

– Może... miał lepszą opcję.

– To znaczy?

Klepnął się po kolanach.

– Ech, na mnie już pora.

Wstał, dając mi do zrozumienia, że powinienem zaszalutować i się odmeldować.

– Panie generale, mam informację, że Jan Wiśnik był na misji w Jugosławii, został tam ranny, wstąpił się w jakiejś akcji specjalnej i dostał nawet odznaczenie od Amerykanów...

– Skoro ma pan takie informacje... Ja mówię, że nic nie wiem.

– Czego pan mi nie chce... nie może powiedzieć?

Maczek zacisnął szczękę. Wyglądał teraz jak Clint Eastwood. I patrzył na mnie, jak na niegodnego jego wzroku gryzipiórka, który nie ma szans na awans na łajdaka, choćby przebrał się w najbardziej śmierdzące ciuchy i trenował pięć lat. Słowem, patrzył jak na gówno.

– Wojsko to nie zabawa, mecenasie. Skoro czegoś nie powiedziałem, to nie miałem powiedzieć.

Wstałem, ale przy wyjściu wpadłem na jeszcze jeden pomysł.

– Przyjechałem do pana, bo chciałem załatwić Wiśnikowi papiery kombatanckie. Z tym, co mi pan powiedział...

– I tak by pan nic nie wskórał. Wiem, jaki to syf. Niby weszła nowa ustawa, pomaga, ale w wojsku papiery giną, nie ma dobrej ewidencji, a ci ze starych misji są całkowicie zapomniani. Chłopaków z Iraku i Afganistanu jeszcze jako tako traktują, choć też poniżej godności, ale tych z wcześniejszych misji, ONZ czy wręcz z Układu Warszawskiego... To już dla nich nie są kombatancki. Jakby nie walczyli za ojczyznę...

– Tak, wiem, jednak zmierzam do czegoś innego.

Zainteresował się. Był na granicy wykopania mnie z domu, ale postanowił pozwolić mi skończyć.

– Te papiery kombatanckie to był tylko pretekst. Próbuję znaleźć coś, co pomoże mi wyciągnąć Jana Wiśnika z kłopotów.

Przez chwilę miałem wrażenie, że złapie przynętę.

– Janio ma kłopoty?

– Wpadł w poważne tarapaty – odparłem z ożywieniem. – Może poważniejsze niż te z Jugosławii...

Sekunda, dwie, pięć, dziesięć...

– Więc niech go pan z nich wyciągnie – uciał.

– Z pana pomocą...

Roześmiał się.

– Ja już jestem na emeryturze.

Wypchnął mnie za drzwi, a potem patrzył, jak wsiadam do samochodu. I gdy już ruszałem, zawołał:

– I wie pan co, mecenasie? Sądzę, że Janio sobie poradzi z kłopotami. Byle pan mu nie przeszkodził...

### 39.

Coś mnie ruszyło, jakieś przecucie. Jakbym był bohaterem książki albo filmu. A jeśli ktoś mnie wrabia, próbuje w coś wkręcić? Jeśli to wszystko nie

dzieje się naprawdę? Jeśli wziąłem niewłaściwą pigułkę? Jeśli to tylko sen?

Ileż razy już tak miałem. Zagryzając zęby na języku. Do krwi. Byle tylko przetrwać. Modliłem się o jutro. Ile razy?

Zatrzymałem się na leśnym parkingu i obejrzałem wszystkie zakamarki w samochodzie. Kiedyś, dawno temu, zawsze chowałem sobie setkę gdzieś głęboko, na wszelki wypadek. To było, gdy jeszcze nie chciałem przestać. Tak samo z papierosami. Zawsze gdzieś była ukryta paczka, zwykle cała, czasem końcówka z dwoma, trzema fajkami. Raz znalazłem jednego w pokrowcu na okulary, gdy już prawie traciłem nadzieję.

Nie było żadnej flaszki. Żadnej piersiówki, setki, buteleczki hotelowej. Nie mogło być. Byłem czysty od lat. Więc dlaczego szukałem?

Może, żeby upewnić się, że to się dzieje naprawdę, że to nie jest sen? Że ta rzeczywistość, Basia, Ania, Mirów, nie skończy się gwałtownym przebudzeniem i szarym pokojem w wieżowcu w Warszawie.

Droga do Mirowa strasznie mi się dłużyła. Być może dlatego skręciłem przed miastem w kierunku szpitala psychiatrycznego. Podjechałem pod bramę, ale zrezygnowałem z przekonywania cecia, by mnie wpuścił. W komórce uruchomiłem mapę i spojrzałem, jak mogę inaczej dojechać do miejsca przeznaczenia. Potem, już szybciej, ruszyłem do Mirowa. Dojechałem na przedmieścia i przecinając osiedle domków jednorodzinnych zwane Kolonią, wjechałem w las. Kierowałem się mapą do momentu, gdy GPS zdechł, pokazując jedynie wielką, bezkresną zieloną plamę.

Jechałem ostrożnie, wciąż nie będąc pewnym, czy chcę dotrzeć tam, gdzie zmierzałem, więc w Centrum byłem prawie godzinę później. Dwa razy zatrzymywałem się po drodze, raz cofałem ze ślepej uliczki. Ale w końcu trafiłem. Zaparkowałem w tym samym miejscu, co ostatnio, i ruszyłem do budynków.

Nie zauważyłem żadnych zmian, a jednocześnie wszystko wydawało się inne. Może dlatego, że próbowałem jakoś wpisać w ten krajobraz i te zniszczone budynki to, co miało powstać na podstawie makiety z domu Szymury.

Nowoczesny kompleks SPA, pięć gwiazdek, mnóstwo rodzin, dzieci, biznesmenów, prawników, finansistów i rentierów. Szymura zbuduje dla

nich autostradę, parking i dziesiątki atrakcji, by wyciągnąć od nich kasę. Ale czyż nie tego chcemy? I czy kogoś będzie obchodziło, że kiedyś było tu jakieś tajne więzienie, ośrodek szkolenia czy tortur, że może mordowano tu ludzi? Jeśli podczas prac odkryją jakieś zakopane w ziemi zwłoki, może zrobią atrakcję archeologiczną. Może poza SPA będzie gabinet luster i czarnej magii?

Pchnąłem drzwi. Zimno przeszło mnie do szpiku kości. Drżałem jak kiedyś nad ranem na ciężkim kacu, kiedy z trudnością mogłem utrzymać się na nogach. Mieszanka słodkawych odchodów i wilgoci z pleśniejącym betonem uderzyła w nozdrza. Słyszałem jakby echo starych czasów uwięzione w tych murach. Ile wyrządzono tu krzywd i złamano charakterów? Betonowe ściany niosły odgłos siąpiących z sufitu kropel wody, które obumierały jak czyjeś życie, uderzając o klepisko. W oddali, jakby poziom niżej, majaczył szum niespokojnej toni, w którego tle bulgotał cicho filtr napowietrzający wodę.

Chciałem natychmiast zobaczyć pomieszczenie z windami, które pokazał mi Wiśnik. Ruszyłem dalej. Po schodach, w ciemności, na pamięć, na złamanie karku.

Fetor się nasilał. Choć przyłożyłem do nosa chusteczkę, niewiele to pomogło, smród stawał się coraz bardziej nieznośny. Wreszcie stałem u progu. Klucz leżał w zagłębieniu, na swoim miejscu. Tam, gdzie Janio odłożył go ostatnio. W środku zapaliłem latarkę w telefonie i oniemiałem.

Akwarium zalano wodą. Byłem pewien, że wcześniej jej nie było. Że ostatnio, gdy rozmawialiśmy tu z Janiem, akwarium było puste. Teraz trzy czwarte ogromnego szklanego pudła zajmowała zielona, mętna, ciecz. Była jak gęsta, klejąca się maź. Co jakiś czas toń mąciły bańki powietrza leniwie wydmuchiwane przez pompę umieszczoną na dnie. Woda kotłowała się, jakby jakieś potężne mieszadło wprowadzało ją w ruch.

– Boże – wyrwało mi się.

Choć bałem się to sprawdzić, nabrałem pewności, że to nie przypadek, że lepka, brudna toń kryje tajemnicę, kryje... zwłoki. I ten agresywny zapach. Ciecz dziwnie pachniała, znacznie intensywniej niż w pomieszczeniach wyżej. Kiedy podszedłem bliżej, omal nie zwymiotowałem. Nie był to już tylko smród, ale odór drażniący nozdrza. Czuję jak jego intensywna, trupia woń wywraca mi wnętrzności. Za słodka, zbyt mdląca, bym mógł

pozostać w tym miejscu choćby chwilę dłużej.

Wpatrywałem się tylko przez moment w kłębiącą się za brudną szybą ciecz. Przysiągłbym, że w ułamkach sekund zawirował mi przed oczami bezwładny tułów, odsłaniając twarz kobiety. Od razu pomyślałem o Joannie Arnold.

Zaginiona dziewczyna, którą rzekomo zabił Roman Lewiński. Ktoś napełnił akwarium brudną cieczą i umieścił w środku ciało. Miarowy ruch młynka mącący toń poruszał niespiesznie postacią wokół pionowej osi tuż przy dnie. Przez sekundę przyszło mi do głowy, że powinienem wskoczyć do środka, zanurkować i wydobyć zwłoki na zewnątrz. Przecież to tylko ciało, zmarli nie mogą już zrobić żadnej krzywdy. Wtedy się zachwiałem, omal nie upadłem.

Zaraz potem nadszedł... strach.

Bałem się tyle razy w życiu, że byle co mnie nie przeraża. Przynajmniej nie tak, bym nie mógł racjonalnie myśleć. Ale też boję się szybciej od innych ludzi. Widzę na ulicy gościa, który pozornie wygląda normalnie, tylko jego oczy błyszczą inaczej, i już się go boję. Nie tak, by uciekać, ale żeby być gotowym. Ten gość z przeszłości, którego się bałem, nagle skoczył na mnie tamtego dnia i próbował uderzyć, ale byłem szybszy. Przygotowałem się. Strach mnie uratował. Na tyle, bym zdołał go odepchnąć i uciec. Strach daje siłę, pompuje w żyły adrenalinę, dzięki niemu można pokonać silniejszego od siebie przeciwnika. Albo uciec.

Biegłem. Wydawało mi się, że coś słyszę za plecami. Że coś za mną próbuje nadążyć, a może tylko stąpa. Wydawało mi się, że słyszę chichot z dołu. Że ściga mnie czyjś okrutny, pozbawiony emocji śmiech.

Gdy dobiegałem do drzwi wyjściowych, byłem prawie pewien, że ktoś je zamknął, zablokował, że zostałem tu uwięziony z mordercą.

Otwarte. Światło. Słońce. Świeże powietrze. Wcale nie śmierdziało. Czulem las i czulem szczęśliwy powiew wolności. Wtedy krzaki poruszyły się i coś wystrzeliło spomiędzy nich, przebiegło mi tuż przed nosem. Coś. Zwierzę. To była sarna. Mała, zagubiona, jeszcze bardziej wystraszona niż ja. Tylko sarna.

Trzy sekundy później siedziałem w samochodzie i jechałem do Mirowa z myślą, że nigdy więcej tu nie przyjadę. Nigdy więcej. Choćby Bańka czy

Kuchar mnie zmuszali. Jak tylko dojadę do domu, dam im znać o moich podejrzeniach, o tym, że chyba wiem, gdzie powinni szukać Joanny Arnold, ale nie zgodzę się ich prowadzić. Niech sobie sami radzą. Ja jestem tylko adwokatem. Nie ścigam przestępców. Nie uwalniam porwanych. Jestem, jaki jestem. Mam prawo do strachu. I mogę po prostu go przeżyć. Mogę zapomnieć.

Gdy dojeżdżałem do domu, poczułem smród. Tym razem własnego ciała. Spojrzałem w lusterko i się przeraziłem. Biegnąc w Centrum, raz upadłem. Usmarowałem ubranie. Cały byłem brudny, pokryty mieszanką potu, błota, smarów. Miałem też otarcie na twarzy i nie mogłem sobie przypomnieć, skąd się wzięło. Przecież się nie uderzyłem, o nic się nie zadrapałem. Chyba.

Sen. Matrix. Niebieska pigułka. A może czerwona.

Zaparkowałem pod domem i odruchowo otworzyłem schowek w podłokietniku. Była tam. Małeńka buteleczka. Pełna. Zapieczętowana. Z banderolą. Niemożliwe. Nie wkładałem jej do schowka. Nikt nie mógł jej włożyć. Nie było jej w tym miejscu parę godzin wcześniej. A może tu nie zajrzałem? Może zawsze omijałem schowek w podłokietniku, bo wiedziałem, co w nim znajduje?

Nie, nie możesz. Nie wolno ci.

Tylko jedno pociągnięcie. Tylko jedno polizanie. Jeden łyk. Jeden oddech. Tylko jeden.

Otworzyłem butelkę. I wylałem całą zawartość na ziemię, wystawiając ramię przez okno. Dopiero potem powąchałem. Dopiero potem starałem się wydobyć z buteleczki jedną kropelkę.

Jedną jedyną.

Pewnie ją Basia poczuła, bo się wzdrygnęła. Nie chciała tego znieść i udawać, że nic się nie stało.

– Piłeś?

– Nie.

– Jak ty wyglądasz? Co zrobiłeś? Gdzie byłeś?

Nic, to nic. Chciałem ją przytulić, ale odtrąciła moje ramiona. Pogardziła mną jak obcym, natrętnym mężczyzną.

W głębi korytarza uchyliły się drzwi. Zobaczyłem delikatny ruch głowy

naszej córki. Spodziewałem się, że zaraz wkroczy i będzie chciała nas pogodzić, przywołać do porządku. Ale ona też mnie tu nie chciała. Cofnęła się, gotowa w każdej chwili natychmiast zatrzasnąć się w bezpiecznym schronieniu. Bała się mnie. Basia też się bała. Cofnęła się o krok.

– Nie podchodź!

Boże, co się dzieje? Dlaczego tak się dzieje? Co ty mówisz, Basiu?! Przecież to ja, Tomasz. Przecież jestem twoim mężem. Przecież... nigdy... nie... zrobiłem... ci... krzywdy. Spojrzenie na Anię. Ani tobie. Nigdy was nie skrzywdziłem. Więc... dlaczego?

– Nie podchodź, słyszysz?!

A może to były inne słowa.

Spojrzałem w lustro. Zobaczyłem w nim jakiegoś obcego człowieka. Ten człowiek nie był Tomaszem Mauerem. Nie znałem go.

Obudź się!

Uszczypnięcie, drugie. To nie sen.

– Boże.

– Tomaszu, co ty zrobiłeś?

Basia przemknęła koło mnie, weszła szybko do pokoju Ani i zatrzasnęła za sobą drzwi. Usłyszałem, jak przekręcają zamek.

Tyle razy brałem córkę na ręce, kiedy nie mogła zasnąć. Kiedy dorastała, cierpliwie odpowiadałem jej na wiele pytań. Odganiałem złe myśli i wymyślałem wesołe historie, kiedy było jej smutno. Cieszyłem się z każdego jej sukcesu. Byłem obecny we wszystkich ważnych chwilach w jej życiu, odkąd przyszła na świat. Jaką krzywdę jej zrobiłem, że zamknęła teraz przede mną drzwi?

Szarpnąłem za klamkę i omal nie wyważyłem drzwi, ale podpierały je od środka. Basia oznajmiła, że Ania ma prawo do intymności. Mają prawo się zamykać w razie, gdyby zaszła taka potrzeba. W razie... czego.

Nie spodobało mi się to. Przede mną mają się zamykać? A kim ja jestem? Przecież nie jestem jakimś przestępcą? Jestem tylko byłym alkoholikiem. Niepijącym. Nie trzeba się mnie bać.

Przypomniałem sobie jedną akcję po LSD. Jeszcze na studiach. Wziąłem pigułę po trzech dniach ostrego chłania. Żeby się wyluzować. Porządnie



mnie trafiło. Odleciałem tak, że niczego nie pamiętam. Następnego dnia opowiedziano mi, że nago straszylem recepcjonistkę w akademiku. Zabarykadowała się i zadzwoniła po policję, ale koledzy mnie ukryli na balkonie. Nagiego. Ktoś z dołu nakręcił film amatorską kamerą. Kilka lat później to nagranie umieszczono na jakimś zachodnim portalu. Nikt mnie na szczęście nie rozpoznał, nie skojarzył. Sam z trudem się na nim poznawałem. Tylko parę osób wiedziało, że to ja. Trzy, może cztery. Żadna mnie nie zdradziła.

Filmowi nadano tytuł: „Ptasiek ze Żwirek”. Wyglądałem jak bohater książki Whartona lub filmu Parkera. Ale nie to było najgorsze. Najgorsze przychodziło z opóźnieniem. W nocy, w snach. Przypominałem sobie, kim byłem po tej pigułce. Śniłem o tym. Śniłem, że byłem własnym ojcem. Ustawiałem wszystkich, a potem wymierzałem kary. Pastwiłem się nad ludźmi, których kochałem i którzy mnie kochali. I mówiłem: „Miłość jest najgorszą ze zbrodni”.

Basia nie chciała otworzyć. Poprosiła przez drzwi, żebym poszedł się wykąpać i położył się spać.

– Rano porozmawiamy.

Co tu się działo, u diabła? Rano. Przecież nie piłem. Tylko kropelkę. Przecież niczego złego nie zrobiłem? Dlaczego postępuje ze mną jak z szaleńcem?

A może...

...głupia myśl.

Może jednak nie wylałem tej butelki przez okno? Może nawet znalazłem drugą? Może poprawiłem skrętem? Może wchodząc do Centrum, byłem już po czymś? Może tabletki z biurka w kancelarii to wcale nie są pastylki miętowe czy witaminy?

Może...

Odrącony, nierozumiany, niepotrzebny. W swoim własnym domu byłem intruzem, kimś obcym dla najbliższych. Nawet pies na mnie warczał. Rosa, kiedy chciałem ją pogłaskać, omal mnie nie ugryzła.

Wtedy usłyszałem z oddali dźwięk syreny. Zbliżała się, zawodząc miarowo i coraz wyraźniej, jak na spotkanie. Zupełnie jak w filmach albo opowieściach moich klientów tuż przed zamknięciem rozdziału ich życia na

wolności. Ostry reflektor przeciął szarówkę za oknem. We wnętrzu korytarza obracał się wokół mnie jak w dyskotecie. Zatrzasnęły się drzwi samochodu, a potem usłyszałem kroki.

Idą po mnie. Mój Boże, przecież ja nic nie zrobiłem. Dobijają się do drzwi. Pięściami. Coraz mocniej i mocniej.

– Tomku, otwórz! Nie bądź głupi, otwórz!

Pierwsza myśl: „To się nie może dziać. Ja nie jestem Nicholsonem z »Lśnienia«. Nie mogłem się stać kimś takim. To jakaś pomyłka. Basia nie chroni się przede mną. Chyba że... Coś jej powiedzieli, dranie. Przekazali, że mnie szukają. Że jestem niebezpieczny. Że ma na mnie uważać, chronić przede mną siebie i Anię”.

To jakaś paranoja.

Rozejrzałem się pospiesznie. Nie mogłem się tak poddać. Nie im. Nie Bańce i Szymurze. Oni próbują ze mnie zrobić szaleńca. Chcą mnie zamknąć, bo odkryłem prawdę? Jaką? Prawdę o Centrum. Jaką prawdę o Centrum, Tomaszu? Skup się. Nie wiem jeszcze jaką, ale jestem blisko.

Muszę uciekać!

Ktoś walił mocno do drzwi. Szarpał klamkę. Usłyszałem ściszony głos rozmowy kilku mężczyzn. Wreszcie po chwili ciszy rozległ się potężny huk. Drzwi opadły jak zwodzony most, torując drogę armii funkcjonariuszy w czarnych kominiarkach.

Basia z Anią były już na zewnątrz. Jak? Rosa też szczekała z ogrodu. Może wcale ich tu wcześniej nie było? Może...

Szaleństwo. Może jednak jestem szaleńcem?

Duszący, nieznośny gaz zalał wnętrze korytarza.

Pobiegłem do salonu, a potem schodami na górę. Wyjrzałem na balkon. Stałem na nim jak wtedy, po LSD. Ale tym razem nie byłem nagi. Chyba.

Wszędzie się od nich roilo. Nawet nie wiedziałem, że w Mirowie jest aż tyle glin. Ilu ich mogło tam być? Dwudziestu, pięćdziesięciu? Może ściągnęli ich z Konina albo z Piły, z Poznania, a może z Bydgoszczy czy z samej Warszawy?

Czułem za sobą rój postaci w czarnych strojach. Policyjna grupa szturmowa. Na mnie? Szturmowcy, antyterrorysty? Na mnie?

– Tomaszu, zejdź! – Usłyszałem z dołu Bańkę. Prokurator rejonowy patrzył na mnie i zachęcał: – Zejdź na dół. Porozmawiamy.

Zszedłem. To znaczy, skoczyłem.

#### 40.

Szpital. Białe ściany. To był szpital.

Łóżko. Pasy.

Szpital. Taki specjalny szpital.

Jak długo tu byłem? Ile czasu spędziłem już w tym miejscu? Jak się nazywam?

Jestem Tomasz Mauer, prawnik, mecenas. Nie jestem szaleńcem. Nie jestem zabójcą. Nic nie zrobiłem. Nie groziłem ludziom. Nie groziłem rodzinie. Owszem, kiedyś nadużywałem alkoholu i narkotyków, ale to było dawno. Dziś jestem wyleczony. Nie piję i nie biorę używek od piętnastu lat. Nawet trochę dłużej. Wybaczone mi i sam siebie rozgrzeszyłem.

W Mirowie ani razu nie brałem.

Więc co się stało tamtej nocy? Jak wytłumaczyć to, co zrobiłem?

Bańka siedział na metalowym taborecie nieco pochylony nad łóżkiem szpitalnym, do którego mnie przywiązano. Kiedy relacjonował przebieg zdarzeń, nie odzywałem się, słuchałem. Unikał mojego wzroku, patrzył w podłogę. Dowiedziałem się, że minął już tydzień od mojego szaleńczego skoku z balkonu. Byłem agresywny, więc faszerowali mnie końskimi dawkami leków uspokajających.

Podobno spadłem na jednego gliniarza, złamałem mu palec serdeczny u prawej dłoni. Innego policjanta, który chciał mi pomóc, pogryzłem. Sobie nic nie zrobiłem. Raptem parę siniaków, kilka otarć. Potem przewróciłem kolejnego funkcjonariusza i dalej próbowałem uciec, ale mnie powalili i potraktowali gazem, który jednak nie podziałał. Jak wściekłe zwierzę ruszyłem dalej do przodu.

– Czterech musiało cię unieruchamiać, a i tak nie mogli ci wykręcić ramion. Nic nie działało. Gaz, prąd, pałki. Jakbyś w ogóle nic nie czuł. Coś ty

wziął, Tomaszu? Ja pierdole, już myślałem, że trzeba będzie do ciebie strzelać z ostrej amunicji.

Nic. Przecież niczego nie brałem. Ktoś mi musiał coś podać podstępem. Tylko kto i kiedy? Jak mogłem się wybronić, co miałem powiedzieć, żeby to zabrzmiało prawdopodobnie? Wtedy pomyślałem o Centrum, o tym dziwnym zapachu.

– To gaz.

Ktoś rozpylił gaz bojowy, wywołujący halucynacje. Zacząłem to tłumaczyć Bańce. Opowiadałem mu o Centrum, o zwłokach Arnold. Nie byłem szaleńcem. Poskładałem sobie układankę w głowie i na to mi wychodziło.

– Widziałem ją w tej wodzie.

– Tomaszu... – Wyglądał na szczerze strapionego. Mówił spokojnie i z politowaniem jak wyrozumiały dla słabości swojego rozmówcy psychiatra. – To samo mówiłeś na gorąco. Przyznałeś się nawet, że ją zabiłeś. Żebyśmy pojechali i wyciągnęli jej ciało.

– Przyznałem się?

– Pewnie po to, żebyśmy rzeczywiście pojechali. Ale spokojnie, nie uwierzyliśmy ci. – Podrapał się po głowie. Jak to jest rozmawiać z szaleńcem? Przekonywać go do czegoś, do czego nie można go przekonać?

– Wysłałem tam Kuchara i kilku innych. Dokładnie przeszukali Centrum. Poza paroma kupami i stosem puszek po piwie nic nie znaleźli.

– A woda? W akwarium była woda?

– Jaka woda? W jakim, kurwa, akwarium?

Bańka tam nie był, nie wiedział, o czym mówię. Może wcale nie trafili do ukrytego pomieszczenia na dole.

– Może niedokładnie szukali. Ona tam była. Widziałem ją.

– Kogo? – Patrzył na mnie jak na obłąkanego.

– Arnold, widziałem jej twarz.

Nabrał głęboko powietrza i wypuścił je z sykiem.

– Chyba nie powinienem ci tego mówić.

– Czego?

– Skoro ją widziałeś...

– Widziałem.

– Pływającą...

– Utopioną. Widziałem jej twarz w toni...

– Cóż, Tomaszu, Joanna Arnold znalazła się następnego dnia po twoim zatrzymaniu. W Szczecinie. Zabalowała. Poszła w długą z dwoma przystojniakami, komiwojażerami z firmy CzystaEnergia. Zapili w lesie nad zalewem tak, że nawet nie pamiętała, jak ją brali razem i osobno. A potem zapakowali ją do auta i wywieźli nad morze, do Międzyzdrojów, bo tam mieli szkolenie. W hotelu ją umieścili na cały tydzień i zrobili jej z dupy jesień średniowiecza. Człowieku, omal nie zaruchali jej na śmierć. Nie czytali gazet, nie oglądali nawet telewizji. Zresztą to zaginięcie w szerszej skali było... mało medialne. Tylko nasze lokalne gazety się nim zajmowały. Ogólnopolskie telewizje uznały, że Arnold jest za mało... atrakcyjna. Że za jakąś lumpiarą przecież nikt nie będzie lamentował, nawet jeśli ładnie to opakujemy w tragedię sprzed lat. „Supervizjer” z TVN obiecał nam, że wyślą może kiedyś ekipę do nakręcenia reportażu, ale musimy odczekać swoje w kolejce, bo ganiają teraz ruską mafię finansową i groźnego bandytę z Dolnego Śląska. Jakby nasz był mniej ważny...

W zasadzie ten potok informacji przejeżdżał mi przez głowę jak ekspres, który tylko delikatnie zwolnił na mało znaczącej stacji, na której nie miał postoju.

– Wróciła... – szepnąłem.

– Ta... już jest w domu. Nawet niespecjalnie się wstydzi. W zasadzie uważa się za lokalną bohaterkę. Zaginęła, porwał ją Białek, padła ofiarą klątwy, ale wróciła. Taki Rambo w spódnicy. Nawet Szymura zaprosił ją raz do szynku, żeby wszystkim opowiedziała. Nie załapała, że to dla jaj i że to z niej się śmieją. Tak się wkręciła, biedaczka, że szkoda gadać. Miała swoje pięć minut.

– Wróciła...

Chrząknął.

– Cóż... sam widzisz, że wobec powyższego twoje zeznanie, jakobyś widział jej twarz w wodzie... to znaczy w cieczy w Centrum...

No tak. Chyba wszystko zostało już powiedziane. Bańka patrzył na mnie z zakłopotaniem i współczuciem. Wierzyłem mu, że rzeczywiście jest przybity, że jest mu zwyczajnie przykro. Mimo wszystko mnie lubił. Byłem

dla niego przewidywalnym przeciwnikiem, a czasem partnerem.

– Słuchaj, każdemu może się zdarzyć... załamanie. Na ten moment to dobre dla ciebie miejsce. Odpocznij trochę, przemyśl sobie wszystko, a potem... potem cię przesłucham.

Wstał i ruszył do wyjścia, a ja nagle zorientowałem się, że zapomniałem o najważniejszym.

– Bańka!

– Tak? – Stań w drzwiach, nie podszedł z powrotem do łóżka.

Ruszyłem niezgrabnie ramionami.

– Możesz coś z tym zrobić?

– To znaczy?

– No wiesz, nie mogę się nawet podrapać...

Uśmiechnął się, jakbym powiedział dobry żart.

– Wraca ci poczucie humoru, to dobrze...

– Muszę się czasem przecież podrapać. Co w tym śmiesznego?

– Byle nie za mocno. Wiesz, te pasy są dla twojego bezpieczeństwa. Po twoim skoku, po tym, co robiłeś i co mówiłeś, musieli cię przywiązać. Niech tak na razie zostanie. Z czasem będzie lepiej.

– No ale teraz już jestem... normalny. Można mnie rozwiązać. Można mnie... wypuścić.

Jednak zamknął drzwi i podszedł do mnie. Nie usiadł. Stał nade mną i patrzył z tą zbolaną miną.

– Zobaczą, co się da zrobić, ale nie licz na wiele.

– Jak to?

Co tu się działo? Może miałem jakieś załamanie, może nie potrafiłem tego wyjaśnić, może mi nawet odbiło, ale przecież, u licha, nikomu nic nie zrobiłem, nawet nikomu nie groziłem, nie mówiąc już o poważniejszych rzeczach. Więc dlaczego miałem być ciągle przywiązany, dlaczego mieli mnie tu trzymać?

– Tomku, w zasadzie nie powinienem tego mówić.

– Czego, do diabła? Bańka! Czego nie powinienes mówić?

Nachylił się nade mną.

– Wiemy.

Czekałem. Myślałem, że powie coś więcej.

– Co wiecie?

– Wszystko.

– Bańka, kurwa, błagam, nie pogrążaj mnie. Nie rób ze mnie większego wariata, niż jestem. Nie mów do mnie w sposób, jakbyś należał do jakiejś sekty.

Bańka oblizwał wargi.

– Tomku, nie potępiam cię. Sam w sumie bym się skusił. Witek twierdzi, że pewnie cię sprowokowała, zabawiła się z tobą, dała do zrozumienia, że ma ochotę, a jak już byłeś gotów, to się jej niby odwidziało. Wredna dziwka. One lubią tak grać. Niejeden z nas miał podobne doświadczenia i nie pozwolił sobie na takie akcje. Te cipy myślą, że można nas zwodzić, prowokować, a potem się wycofać, bo prawo je chroni, bo zawsze mogą powiedzieć „nie”, a „nie” to znaczy „nie” i nawet jak znaczy „tak”, to może znaczyć „nie”. Ja cię rozumiem...

– Bańka, o czym ty, kurwa, pierdolisz?

Ale wiedziałem. Wiedziałem, do czego to rozumowanie ma zmierzać. Co chce powiedzieć.

– Nieźle to wymyśliłeś. Jak już mieliśmy potencjalnego sprawcę, zostałeś jego obrońcą i wszystko kontrolowałeś. Roman się przyznał, że cię chronił za kasę, że go przekonałeś, że jest w czarnej dupie, no ale przecież siedzieć za ciebie nie pójdzie...

– Bańka, czy ciebie, kurwa, Bóg opuścił?

– Znów nie powinienem tego mówić, ale jesteś na przegranej pozycji. Lepiej się trzymaj tego tutaj. – Rozejrzał się po sali. Sugerował mi, że symulowanie wariata będzie korzystniejsze niż proces. Potem dodał jakby przyjaźnie. – Posiedzisz rok, dwa, podleczą cię, wzmocnią. Tylko potrwa to trochę, trzeba zrobić papiery, testy, wywiady i takie tam...

– Ja nic nie zrobiłem.

Twarz Bańki była coraz bliżej.

– Jesteśmy po wynikach badań. To twoja sperma, Tomku. Sfajdałeś się niestety w pochwie Moniki Lewińskiej.

– Przecież.

– Niedużo, ale ci się ułało.

Kłamał, drań, kłamał.

– Sfingowaliście to – warknąłem. Byłem wściekły. – Dlaczego?

Roześmiał się.

– No właśnie, dlaczego mielibyśmy sfingować? Tomku, ty powiedz lepiej prawdę. Grajmy w otwarte karty. Nie pierdol mi tu jak żonie, tylko bądź ze mną szczery.

– Wrabiacie mnie.

– Tomaszu, po co?

– Bo ci powiedziałem o Szymurze – syknąłem. – On ci kazał? Kazał ci mnie wrobić, żebym nie szumiał. Teraz już nie jestem zagrożeniem, co nie?

Bańka spoważniał.

– Tomku, to była nasza tajemnica, ale jak chcesz, to sobie o tym gadaj. Gadaj sobie, co chcesz, ja... zrobię swoje. Sędzia i tak klepnie przymusowe leczenie i sprawa zabójstwa Lewińskiej ci się upiecze. Ale jak już stąd wyjdiesz, lepiej od razu uciekaj na drugi koniec Polski, bo ludzie w Mirowie ci tego nie zapomną. A ludzie w Mirowie mają dobrą pamięć.

#### 41.

Wierzył w to. Bańka naprawdę wierzył, że zabiłem Monikę Lewińską. Widziałem to w jego oczach, w tym jak się zachowywał, słyszałem to w jego głosie.

Nie stworzył też przemyślanej intrygi, która miała mnie pogrążyć na zlecenie Szymury. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Aktor z niego był żaden. Był jak zwykle sobą: nieokrzesany, jowialny, walił prosto z mostu. Zwyczajnie ułożyły mu się tak dowody i zeznania, a lata praktyki nauczyły go jednego: z faktami się nie dyskutuje.

Bańka jako jeden z nielicznych znanych mi prokuratorów nie lubił powiedzenia: „a jeśli coś się nie zgadza z faktami, tym gorzej dla faktów”.



Cokolwiek by o nim nie sądzić, jakkolwiek oceniać, lubić czy też nie lubić, dowody były dla niego święte. Mógł starać się je ukryć, zlekceważyć czy zignorować, ale nie dyskutował z nimi. Jeśli na coś był dowód, traktował go poważnie. Skoro nie był w stanie się go pozbyć, uznawał bez dyskusji.

I tak było w przypadku Tomasza Mauera.

Tego sądnego dnia, gdy dowiedziałem się o tym, że postawiono mi zarzut zabójstwa, Bańka został ze mną jeszcze chwilę, wyjaśnił, że podejrzewali mnie już w chwili zatrzymania i aresztowania Romana Lewińskiego. Wtedy jednak nie mieli jeszcze argumentów, by przekuć to na jakąś decyzję procesową. Sytuacja zmieniała się jednak dynamicznie. Jak po sznurku złożyli sobie do kupy fakty i przerobili je na materiał dowodowy. Najśmieszniejsze, że wcale się nie dziwiłem, że zdecydowali się mnie wreszcie zdjąć.

– Mieliśmy badania porównawcze twojego DNA z materiałem dowodowym, który znaleźliśmy na ciele Lewińskiej, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Mogłeś uprawiać z nią seks, ale nie musiałeś jej od razu zgwałcić, a tym bardziej zabić. Teoretycznie mogłeś po prostu się z nią przespać, a potem ktoś inny zgwałcił ją i zabił. Możliwe. Na tej podstawie co najwyżej byśmy udowodnili ci składanie fałszywych zeznań. Ale jak wiesz, nie bylibyśmy w stanie obronić tego w sądzie, bo ty już jako świadek, przyszedłszy podejrzany, możesz łąać jak pies i takie jest twoje święte prawo. Sąd by mnie wysmiał na sali i słusznie. Z zarzutu zabójstwa byś się wybronił z jeszcze większą łatwością. Dlatego szukaliśmy dalej. Zbadaliśmy po cichu twoją broń (podłożyliśmy ci inny egzemplarz w sejfie), ale nie pasowała do kuli znalezionej w ciele Lewińskiej. Przycisnęliśmy Romana, ale z tego też nic nie wynikło. W razie czego mieliśmy przestępcę, szukaliśmy dalej. I wiesz, co nas naprowadziło? Narzędzie zbrodni. To prawdziwe, ten polski szmelc, rewolwer, który podrzuciłeś Białkowi czy, jak wolisz, Lewińskiemu. Popeliłeś błąd, zamawiając tę broń u swojego byłego podopiecznego, człowieka, którego kiedyś broniłeś. Gdyby nie to, być może wszystko by ci się upiekło. Swoją drogą, robiłeś dobrą minę do złej gry. Obserwowałem cię jednak i jakoś mi to wszystko nie pasowało. No ale niestety ponoć nie ma zbrodni doskonalej. Przy okazji sprawdziła się stara maksyma, że największym wrogiem adwokata jest jego klient, a największym przyjacielem byłego klienta adwokata jest prokurator. Dobre, nie?

Bańka nie chciał mi powiedzieć, o którego klienta chodziło.

– Dowiesz się w sądzie, jeśli oczywiście dojdzie do procesu, bo sądzę, że skorzystasz z moich rad i zostaniesz... tutaj. – Rozejrzył się. – Opinia biegłych będzie dla ciebie raczej korzystna. Zostaniesz uznany za niepoczytalnego. Trochę to potrawa i jeszcze tu posiedzisz. Za jakiś czas złożę wnioski o umorzenie postępowania i raczej nikt nie będzie chciał cię tu trzymać w nieskończoność. Byłeś niepoczytalny. To żadna naciągana sprawa, może chwila słabości, sam nie wiem. Nieźle ci po prostu odjechało i tyle. Ja zresztą pokojarzyłem wiele faktów i jakoś mnie to nie dziwi. Ostatnio byłeś dziwny. Cóż, Tomku, jak już mówiłem, to nawet dobrze, ja się z tego cieszę. Byłoby mi bardzo przykro upierać się dla ciebie o dożywocie.

Załatwił mi chyba jeszcze zdjęcie tych pasów, bo zaraz po jego wyjściu przyszli pielęgniarze z lekarzem. Rozmawialiśmy może pięć minut. Zapewniłem, że nic sobie nie zrobię, że jest ze mną lepiej, nie mam zwidów, nie chcę skakać przez okno, łamać się, bić z kimkolwiek.

– Będę grzeczny.

Popatrzyli po sobie, podrapali się po głowach, jakby pomimo wątpliwości chcieli mi zaufać, wreszcie lekarz ledwie dostrzegalnie skinął głową, a pielęgniarze mnie uwolnili.

– Czy mogę się zobaczyć z żoną? – zapytałem.

Gryzło mnie to, odkąd odzyskałem trzeźwość umysłu.

– Dopiero po badaniach.

– Ile jeszcze potrważą?

– Komisja skończy analizę pana przypadku za tydzień. Potem prawdopodobnie ja będę pana prowadzącym. Wipler. Tak się nazywam. Rafał Wipler. Chcemy tu panu pomóc i absolutnie nie oceniamy czynu, którego się pan dopuścił. Pan się pogubił, ale to bardzo ludzkie i tak się w życiu zdarza. Proszę mi mówić doktorze Wipler.

– Dobrze, może mi pan mówić Tomaszu.

Nie wiem, czy oczekiwałem, że powie, bym też zwracał się do niego po imieniu, ale tego oczywiście nie zaproponował.

Doktor Wipler był wysoki, przystojny, sympatyczny i lekko na kacu. Poznałem to po nim. My, alkoholicy, potrafimy się rozpoznać nawet

w największym tłumie, a co dopiero w takim tête-à-tête. Z ochroniarzami w tle.

Doktor Wipler jeszcze o tym nie wiedział (za młody był, jakoś pływał po powierzchni), ale kiedyś przyjdzie mu walczyć z demonami, które ja już oswoiłem. I nie wie, jak ciężka to będzie batalia.

Komisja przeprowadziła ze mną trzy rozmowy, podczas których odpowiadałem na pytania o moje życie, doświadczenia, wreszcie o powody zachowania podczas zatrzymania, a także o moje refleksje na temat zabójstwa Lewińskiej, innych zabójstw i przestępstw. Potem rozwiązywałem różne testy, wypełniałem ankiety, opisywałem swoje uczucia związane z obrazkami, które mi pokazywali. Byłem przekonany, że wypadłem, jak należy, że nie będą mieli żadnych podstaw do stwierdzenia, że byłem niepoczytalny czy też moja poczytalność była w jakimś stopniu ograniczona. Bańka się mylił. Nie chciałem symulować choroby psychicznej. Wręcz przeciwnie. Chciałem jak najszybciej stanąć przed sądem i z otwartą przyłbicą bronić swojej niewinności.

Byłem pewien, że wygram ten proces, że prokuratura nie jest w stanie dowieść słuszności tez zawartych w oskarżeniu.

Zapomnij o dożywociu, Bańka. Jestem niewinny.

Wierzyłem w prawo pomimo wszystkich słabości i patologii związanych z jego stosowaniem. Wierzyłem w nie, bo nie zabiłem Moniki Lewińskiej. Ktoś mnie wrabiał. Pytanie tylko kto.

Jakież było moje zdziwienie, gdy po niespełna miesiącu obserwacji doktor Wipler ze szczerym uśmiechem poinformował mnie o wyniku badań.

– Tomaszu, zostajesz z nami!

To niemożliwe, a jednak uznali mnie za wariata. Właśnie przyszyto mi łatkę, przybito na czole znamię, które już na zawsze zmieni sposób postrzegania Tomasza Mauera. Odtąd to słowo będzie powtarzane we wszystkich możliwych deklinacjach. Wariat napisał, według wariata było inaczej, wariatowi nic nie wytłumaczysz, z wariatem nie ma co dyskutować. Nie ma przyszłości dla adwokata z takim stygmatem.

Byłem przygnębiony. W odróżnieniu od uradowanego Wiplera nie widziałem przyszłości w jasnych barwach.

– Zespół lekarzy nie miał żadnych wątpliwości, że nie byłeś zdolny do pokierowania swoim postępowaniem – dodał. – Jeśli dobrze się orientuję, nie możesz być osądzony. Reszta to formalności. Prokurator wniósł o skierowanie cię na przymusowe leczenie i umorzenie postępowania. Proces w zasadzie jest zakończony. Cieszysz się?

Miałem ochotę skoczyć mu do gardła. Wrobili mnie. Jak Jana Wiśnika. Tylko skuteczniej i z wykorzystaniem lepszych efektów specjalnych.

– Nie zabiłem Moniki Lewińskiej.

– Tak sądzisz – odpowiedział spokojnie, a potem się rozgadał. – To jest typowy obraz zaburzenia dysocjacyjnego tożsamości. Żebyś to dobrze zrozumiał, powiem tak: żyją w tobie co najmniej dwie osobowości i one są odrębne, mają swoją tożsamość, osobne wspomnienia. Między nimi nie ma nawet żadnego konfliktu. Jedna osobowość o drugiej po prostu nic nie wie. Tak jest na przykład teraz. Myślisz sobie: „Jestem adwokatem, nikogo nie zabiłem” i rzeczywiście nic nie pamiętasz, ale twoje ja, do którego teraz nie masz dostępu, ma własne wspomnienia. Ten drugi człowiek może mieć nawet inny tembr głosu, wskaźniki ciśnienia, to jest fenomen nauki...

– Nie zabiłem jej i nie jestem szaleńcem. Ktoś mnie wrabia – przerwałem mu zniecierpliwiony.

– Oczywiście. Nie jesteś szaleńcem. – Westchnął i dodał: – Terapię rozpoczniemy od poniedziałku. Czy godziny południowe ci odpowiadają? Możesz wybrać...

– Jestem niewinny.

Ten jego spokój i dobre samopoczucie były nieznośne. Wolałbym, żeby się ze mną kłócił. On jednak przyglądał mi się tylko z ciekawością.

– Aha... – Nagle sobie o czymś przypomniał. – Mam też inną dobrą wiadomość. W poniedziałek będziesz mógł spotkać się ze swoją żoną. Wiem, że bardzo ci na tym zależy. Doskonale to zresztą rozumiem. Z tego, co wiem, potwierdziła już, że przyjedzie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jeśli w międzyczasie nie narozrabiasz, (a nie narozrabiasz Tomku, prawda?), będzie cię mogła regularnie odwiedzać, będziecie mogli rozmawiać przez telefon. Z czasem pomyślimy o widzeniach intymnych...

„To się nie dzieje” – pomyślałem.

Naprawdę mnie załatwili. Znow przyszedł mi do głowy Wiśnik. Ten

człowiek to był jednak heros. Jak on to wszystko wytrzymał przez te dziesięć lat? No ale on nie miał do czego wracać. W przeciwieństwie do mnie.

– Co z moją córką?

– Z tego, co wiem, na razie lepiej, żebyście się nie widywali. Może później.

– Chrząknął. – Myślę, że będzie taka możliwość.

– Nie chce się ze mną widzieć?

– Porozmawiasz o tym z żoną. To co, do poniedziałku?

Był piątek.

W piątek miałem jeszcze jedną wizytę. Niespodzianka. Tuż przed południem stawił się mój adwokat. Młodszy mecenas Gryniecki. Cóż, lepszy taki niż na przykład Wandzlik. Zaprowadzili mnie do tej samej salki, w której poznałem Wiśnika. Déjà vu. Czuję się w tej sytuacji chyba podobnie jak Janio niespełna dwa miesiące temu. Potrzebowałem spokoju, samotności, nie wierzyłem w pomoc najemnego adwokata pracującego zresztą za nie moje pieniądze. Z drugiej jednak strony, nie chciałem czynić żadnych przeszkód koledze po fachu w wykonywaniu obowiązków. Sam nieraz byłem w podobnej sytuacji. Dziwiłem się tylko trochę, że Gryniecki pofatygował się osobiście. Mógł przecież przysłać którąś z aplikantek. Pomyślałem, że może powodowała nim ciekawość. W sądzie musiało aż kipieć od plotek i przekłamań. Bańka zapewne podrzucał co jakiś czas newsy, ale Gryniecki miał gadane i słynał z anegdot. Może wszystkim znudziły się już jego ograne kawały i chciał zabłysnąć czymś nowym, oryginalnym?

Spoglądał na mnie badawczo, gdy usiadłem naprzeciwko. Trwało to jednak tylko chwilę, zaraz potem wyciągnął ręce i wytarł mi twarz w swoich ramionach.

– Tomku, wszyscy się martwimy. Taka przykra sprawa. Naprawdę wierzyć się nie chce. Mam już opinię...

– Wariat. – Przerwałem mu. Nie miałem ochoty na żarty i bratanie się z człowiekiem, który będzie wspominał te spotkania jak wycieczkę do zoo.

– No wiesz – bąkał – to ma swoje dobre strony.

– Niech ci będzie. – Machnąłem ręką. – Nie gadajmy o tym.

– Wiesz, dziekan mnie poprosił, żebym się trochę o ciebie zatroszczył. Nie martw się, ogarnąłem ci kancelarię, wyznaczili mnie twoim zastępcą

na czas tej sprawy. Niestety musieli cię czasowo zawiesić w czynnościach adwokata, ale radzę sobie. Nie martw się. Czuwam.

W pierwszej chwili omal nie złapałem się za głowę. Facet, który nie wie, jak wygląda kodeks, ogarnia mi kancelarię. To tak, jakby sześciolatкови dać młotek, obcęgi i oddać mu do naprawy rolexa. Zaraz jednak pomyślałem, że to zupełnie nieistotne, nieważne.

– Dziękuję – odparłem na swój sposób szczerze.

Byłem zdawkowy. Chyba wyczuł, że rozmowa się nie klei. Podaliśmy sobie ręce i odszedł, zapewniając, że mogę na niego liczyć.

Odprowadzono mnie na świetlicę na oddziale zamkniętym.

Szpital miał trzy bloki: najbardziej strzeżony dla osób niebezpiecznych, na którym poza mną było około pięćdziesięciu chorych, oraz dwa oddziały półotwarte, z których pacjenci mogli wychodzić na przepustki, byli odwiedzani w godzinach pracy pierwszej zmiany praktycznie bez ograniczeń, pilnowano ich bardziej tak, by sobie nic nie zrobili, niż przed ucieczką.

Zostałem przydzielony do grupy Truskawek. Sala dzienna, świetlica, w której spędzaliśmy cały dzień, miała właśnie takie oznaczenie – narysowaną na drzwiach truskawkę. Tam podawano nam trzy posiłki i podwieczorek. Po kolacji odprowadzano nas do pokoi. Większość pacjentów przebywała w salach sześciuosobowych. Tylko ja i jeden starszy, mrukliwy, nieodzywający się do nikogo człowiek mieliśmy izolatki.

Przez cały czas musiał towarzyszyć nam opiekun w białym fartuchu. Czasem było ich dwóch lub trzech. Zdarzało się, że zbierali się w naszej świetlicy całą grupą. Żartowali, rozmawiali, flirtowali z terapeutką. Nami zajmowali się jakby przy okazji.

Psycholog przebywała na bloku cały czas, ale miała pod sobą dziesięć grup. Truskawek chyba nie lubiła albo uznawała, że nie nadajemy się do terapii, więc nie poświęcała nam tak dużo czasu, jak na przykład Biedronkom czy Pszczołkom.

Miała na imię Kasia. Zamieniła ze mną raz parę zdań. Udawała chyba, że nie wie, kim jestem i co zrobiłem. Starła się być miłą, ale bała się mnie. To dało się wyczuć. Bała się, że ją zaatakuję, zgwałcę i zamorduję. Była ostrożna także wobec paru innych osób. Milczka, jak nazwałem mrukliwego

staruszka, w ogóle obchodziła z daleka.

Zazwyczaj przychodziła i dawała nam do zrobienia jakieś rysunki lub prace z plasteliny. Potem wychodziła. Pracowała od poniedziałku do piątku w normalnych godzinach, to znaczy od rana do około czwartej.

W soboty i niedziele przebywali z nami tylko opiekunowie. Gdy na zakładzie nie było dyrektora, grali w gry: ping-ponga rozstawionego na jednej z sal lub w rzutki.

W nocy na bloku pozostawały dwie salowe, dwóch opiekunów i pielęgniarka. Gdy komuś odbijało, szedł do izolatki na innym piętrze. Raz zdarzyło się, kiedy już prawie spałem, że podrzucono mi jednego z pacjentów. Opiekunowie wprowadzili go do mojej izolatki, przywiązali kaftanem do ramy przykutego do podłogi łóżka i zostawili jęczącego na całą noc.

Nie wiem, czy nie mieli go gdzie wsadzić, bo pozostałe izolatki były zajęte, czy też chcieli mnie sprawdzić, dokuczyć mi, a może wziąć odwet za zbrodnię, której rzekomo się dopuściłem. Co do tego, że się jej dopuściłem, wszyscy byli tu zgodni. Nie wliczam w to oczywiście wariatów, którzy szukali ze mną kontaktu w sprawie „lulek”. Tak się tu mówiło o tabletkach, które w porze posiłków przynosiła pielęgniarka.

Markowałem od pewnego czasu ich zażywanie, bo byłem święcie przekonany, że mi szkodzą, a poza tym nie potrzebowałem przecież żadnych farmaceutyków. Jak już się ich trochę uzbierało, dałem je jednemu chłopakowi. Chodził wiecznie pobudzony, krążył za mną, wyraźnie go nosiło, co trochę mnie denerwowało. Dałem mu więc te kilkanaście żółtych pigulek i przez dwa dni po tym, jak je zażył, miałem święty spokój. Spał. Nikt na to specjalnie nie zwrócił uwagi.

Pewnej niedzieli, gdy poszedłem do łazienki, czekało na mnie trzech opiekunów. Jeden z nich bez słowa przewrócił mnie na ziemię, a potem z pomocą innych związali mnie w kaftan.

Prawdę mówiąc, zacząłem przyzwyczajać się do tego miejsca i wydawało mi się, że jestem w stanie jakoś podolać, ułożyć sobie tu życie. Nawet czułem się całkiem dobrze, bezpiecznie. Wydawało mi się, że zaczynam rozumieć reguły gry i tymczasowo jestem w stanie się do nich dostosować.

Żeby pokonać przeciwnika, trzeba go poznać.

Niedzielny incydent w łazience miał podważyć to przekonanie. Ochroniarze, którzy mnie związali, byli najsilniejszymi na oddziale. Przewodził im mężczyzna, którego nazywali Szaweł. Nie wyglądał strasznie, nie miał wielkich gabarytów czy mięśni, ale w jego oczach było coś władczego.

Szybko zrozumiałem, że chce ułożyć sobie ze mną relacje, chce mi przekazać, że albo będę go słuchał i wykonywał polecenia na pstryknięcie, albo będę częściej skazany na takie przygody jak ta. Szaweł wyjął z kieszeni nóż, przystawił mi go do krocza, przycisnął mocno, aż poczułem nieznośny ból i jęknąłem. Wtedy syknął:

– Jeśli tutaj zrobisz komuś to, co zrobiłeś tam, na zewnątrz, jeśli choćby pomyślisz o tym i spróbujesz, to się z tym pożegnasz, jasne?

Skinąłem głową. Kiedy mnie uwolnili, powiedziałem, że jestem niewinny, że nic nikomu nie zrobiłem. Szaweł wzruszył ramionami, jakby go to nie obchodziło i podsumował:

– Jeden wyskok i zmieniasz płęć, przyjacielu.

## 42.

Czasem wszystko się zawala i coś trzeba stracić, być porzuconym albo zostać żebrakiem. Przechodziłem to już, zaczynałem od nowa i nigdy potem nie żałowałem. Wręcz przeciwnie, coś obumierało, ale pojawiały się inne okoliczności, w których dość dobrze się odnajdywałem. Teraz było inaczej. Przegrałem wolność, dom, wykonywany zawód i w jakimś sensie rodzinę. Nie miałem już nic poza łatką zabójcy i szaleńca. Kiedyś jednak usłyszałem, że zawalają się tylko fasady, ale nie życie. Ono trwa i jest prawdziwe. Padają jak makiety w westernach złudzenia. Nie miałem już nikogo poza córką i żoną.

Siedziała naprzeciwko piękna jak zawsze. Upajałem się zapachem jej perfum, wpatrzony w smutną twarz, w którą zapadły się jej oczy. Pokój widzeń był zwykłym, niezabezpieczonym przed ewentualnymi napadami czy atakami pomieszczeniem.

Powstrzymała mnie, gdy chciałem ją objąć. Zdystansowana i poraniona,



nie patrzyła na mnie już tak, jak kiedyś. Mimo wszystko spodziewałem się czegoś innego. Takie chwile to przecież egzamin, ile naprawdę dla siebie znamy, ile jesteśmy w stanie sobie dać.

– Jest mi ciężko.

A mnie? Mnie nie było ciężko?

– Nie zrobiłem tego, Basiu. Jestem niewinny.

Nie odpowiedziała. Głośno przełknęła ślinę. Więc nawet ona mi nie wierzyła? Nawet ona tak naprawdę mnie nie znała?

– Dlaczego Ania nie przyszła?

Jakaś ulga odmalowała się na twarzy Basi. Wolą rozmawiać o naszej córce niż o nas.

– Powiedzieli, że jej tu nie wpuszczą – skłamała. – Że lepiej, żebym pierwszy raz odwiedziła cię sama, zobaczyła, jak tu jest, oceniła, czy mogę przyjechać z dzieckiem i na co je przygotować.

– No i co? Oceniałaś?

Wzruszyła ramionami. Jej wzrok wędrował po ścianach. Znałem ją. Dokładnie przemyślała każdą odpowiedź. Wiedziała, o co będę pytał.

– Ania też to wszystko przeżywa. Nie chodzi do szkoły, prawdopodobnie już do niej nie wróci.

– Przykro mi. – Moje słowa zabrzmiały jak „nie moja wina”, ale przecież dobrze wiedziałem, że to moja wina, choć mogłem się oszukiwać, że jest inaczej. Gdybym nie spotykał się z klientami w knajpach i nie odwoził ich do domu, to by się przecież nie wydarzyło. A że Lewińska nie była moją klientką? Tym gorzej. To wszystko miała mi ochotę wyrzucić Basia, ale nie za bardzo potrafiła. Kochała mnie dotąd bezwarunkowo. Przyjmowała wszystko, jak było. Ale na gwałt, zabójstwo i szpital psychiatryczny nie była gotowa. Jeszcze nie. Czy miałem szansę zmienić jej nastawienie? – Przepraszam, kochanie – szepnąłem. – Naprawdę...

– Czemu to się dzieje? – Zobaczyłem pierwszą łzę na jej policzku. – Dlaczego... Przecież...

– Ktoś próbuje mnie zrobić. To misterna prowokacja. Zbyt dużo odkryłem. Są ludzie gotowi wiele poświęcić, by ta prawda nigdy nie ujrzała światła. Chodzi o porwania, tortury, zabójstwa – mówiłem cały czas

konspiracyjnym szeptem. – Prawdopodobnie Szymura...

Aż podskoczyła. To jej nie pasowało. Źle, że to powiedziałem.

Błąd.

– Pomaga nam – bąknęła. – Witek. Bardzo chce pomóc. Nie zostawił cię w potrzebie. Nie odwrócił się. On jeden podał rękę...

„A ty okazujesz się takim niewdzięcznikiem” – miała na końcu języka.

– Zrobiłeś to? – zapytała nagle.

Jak mogła wierzyć, że jestem gotowy zabić, zgwałcić? Moja żona mnie nie znała?

– Nie, Basiu...

– Spałeś z nią?

– Nie, nie i nie. Nie zgwałciłem tej kobiety, nie zabiłem i nawet się z nią nie przespałem. Nie zdradziłem cię... przecież wiesz, powiedziałbym ci, gdyby...

Jak wcześniej. Przecież powiedziałem. Wyznałem winę. Płakałem i wyznawałem, choć mogłem zostawić to sobie. Nie umiałem żyć w trójkącie z kłamstwem z kobietą, którą kochałem. Błagałem o przebaczenie. A ty przyjęłaś moje słowa i je rozgrzeszyłaś. Tyle że poprosiłaś, bym nigdy więcej tego nie robił. Nawet jeśli mi się zdarzy skok w bok, mam to zachować dla siebie. Mam zawsze zaprzeczać.

Czy zatem teraz mogła mi ufać?

– Spotkałem tę kobietę tylko jeden raz. Zjadłem z nią kolację, bo miała dużo informacji na temat klienta, Jana Wiśnika. Pamiętasz, prawda?

Przytaknęła.

– Nic więcej mnie z nią nie łączyło. Jedno spotkanie, jedna kolacja.

„Parę spojrzeń i grzesznych myśli – dopowiedziałem już bezgłośnie. – Tak, miałem na nią ochotę, miałem wielką ochotę, by wziąć tę kobietę w ramiona, by poczuć na ustach jej pocałunek. Miałem, ale nic nie zrobiłem. Bo to było tylko zauroczenie, przelotna chęć. Kochałem kogoś innego. Ciebie, Basiu”.

Głośno zakończyłem:

– Odwiozłem ją do domu, wróciłem do ciebie. Ktoś mnie wrabia.

Rozmawialiśmy o tym przez chwilę, w zasadzie powtarzając po kilka razy

to samo. Byłem bezradny. Widziałem, że zupełnie do niej nie trafiam. Miała swoją prawdę i cokolwiek bym nie powiedział, nic tego nie zmieni. Wtedy się zorientowałem, że unika tematu, z którym tu przysłała, że odwleka do ostatniej chwili.

– Co się dzieje? – zapytałem w końcu.

– Wyjedziemy na jakiś czas – powiedziała. – Ja i Ania. Ten rok jest i tak zawałony, a ja muszę... zmienić środowisko.

– Wyrzucili cię z pracy?

– Nie. Nawet doktor ma więcej pacjentów. Przychodzą, żeby sobie mnie obejrzeć. Obejrzeć żonę mordercy, gwałciciela i szaleńca. Zagadują. Są ciekawi, jak wyglądam, jak mówię, jak pachnę, jak się zachowuję. Niektórzy wyobrażają mnie sobie chyba inaczej, bo wychodzą zawiedzeni. Tak więc wszystko w pracy jest w porządku, ale sądzę, że za jakiś czas doktor mnie zwolni, jeśli sama nie odejdę. Mirów też zacznie się domagać, bym sobie poszła. Może nawet Witold tak mi doradzi, choć teraz zapewnia, że mi pomoże, że da inną pracę w razie czego... Ale... To przecież nie jest moje miasto. Ania będzie naciskać. Tak więc...

– Chcesz mnie zostawić?

Chciała skłamać, ale nie zrobiła tego.

– Nie wiem.

Skinąłem głową z wdzięcznością. Trudno było oczekiwać innego zachowania, niż to, co zrobiła. I tak była delikatna.

– Gdzie pojedziesz?

– Wrócimy do Warszawy. Zapiszę Anię do szkoły na Mokotowie. A potem... zobaczymy...

– Ania tak chce?

Skinęła głową.

– Nie dziw się. Wiesz, jaka ona jest. Wiesz, że ją to porusza, że jest jej ciężko...

Znów chciałem powiedzieć: „A mnie nie jest?”. Ale czy miałem prawo wymagać od nich, by cierpiały jeszcze bardziej, wystawione na widok tych wszystkich wścibskich ludzi?

– Ania jest mocno zagubiona, a to wszystko tutaj nie pomaga.

– A ty? Odwiedzisz mnie jeszcze?

Patrzyła w moje oczy, a jakby spoglądała w dal. Miałem nadzieję, że choć skłamię. Albo że powie: „nie wiem”. Ale ona się nie odezwała.

Długo nie mogłem oderwać oczu od drzwi, gdy za nimi zniknęła. Wyobrażałem sobie, że wciąż jest w tym pokoju, trzyma mnie za rękę i szepcze jak dawniej, gdy robiłem wszystko, przez co nie można mnie było kochać: „Kocham cię bez względu na wszystko. Kocham cię, Tomasz Mauerze”.

### 43.

Przez cały tydzień chodziłem osowiały, nie bardzo miałem ochotę rozmawiać z doktorem Wiplerem, unikałem terapii. W dalszym ciągu odkładałem też psychotropy, którymi bezmyślnie chcieli mnie faszcerować. Nie byłem szaleńcem, nie potrzebowałem ich.

Miało to niestety dość przykre konsekwencje w kwestiach kulinarnych. Dotąd nie czułem smaku jedzenia. Teraz, po odstawieniu tabletek mogłem wreszcie w pełni poczuć, jak podle tu karmią.

W środę zdarzyło się coś dziwnego.

Było słonecznie i w zasadzie wszystkie grupy wyprowadzono do parku. Kilkuset wariatów w towarzystwie trzydziestu opiekunów i opiekunek. Gdybyśmy wszyscy się zebrali, moglibyśmy zrobić niezły bunt. Ale dobrze wiedziałem, że w takim miejscu to jest niemożliwe. Gdybym tak spróbował skrzyknąć innych, szybko zostałbym postawiony przez Szawła do pionu, zapakowany w kaftan i wyniesiony do izolatki. Może by mnie trochę poddusili i obili. A kto wie, może Szaweł spełniłby swoją groźbę?

Usiadłem na ławce i patrzyłem w błękitne niebo. Wyobraziłem sobie, że widzę w chmurach twarz Basi. Przeplýwała mi w myślach, zmieniając kształty. Chciałem uznać, że ją straciłem, i nie szukać już u nikogo winy. Przede wszystkim nie szukać jej w sobie. Obwinianie się niczego nie dawało i było wyczerpujące. Uznanie swojej bezsilności to pierwszy krok, żeby pójść dalej. Kołał mnie myśl, że miłość czasem wymaga rzeczy zupełnie nieracjonalnych. Są takie chwile, kiedy nie powinno się patrzeć tylko na

siebie. Rozumiałem, że Basia musiała teraz zatroszczyć się przede wszystkim o Anię. Chronić ją. Nasza córka to było jeszcze dziecko. Nie jestem jednak mordercą. Musiałem się bronić, tego nie mogłem odpuścić.

Próbowałem w spokoju przeanalizować swoją sytuację. Diagnoza psychiatrów dała mi do myślenia. Zastanawiałem się, czy to rzeczywiście możliwe, że miałem jakąś inną tożsamość, w którą przyobлекłem się tego dnia, kiedy zginęła Lewińska. To by wiele tłumaczyło, w zasadzie wszystko. Wydało mi się to jednak absurdalne, odrzuciłem tę myśl, bo pamiętam przecież spotkanie, rozmowę, jej profil, gdy znikła, odchodząc po wyjściu z samochodu. Zmrużyłem oczy. Ciągle w obłokach widziałem

Basię. Próbowałem się modlić, ale nie było mi to dane. Coś mi przeszkadzało. Poczulem, że ktoś na mnie patrzy. Otworzyłem oczy i go zobaczyłem.

To był dyrektor. Stał dość daleko w towarzystwie trzech lekarzy, siostry przełożonej i Szawła. Lustrowali mnie badawczo. Czułem, że o mnie rozmawiają, i zastanawiałem się, czy to dobrze, czy źle. Postanowiłem choćby na zewnątrz pozostawić wrażenie, że adoptuję się do nowych warunków, przyzwyczajam i odnajduję w tej rzeczywistości. Podświadomie odgrywałem przed nimi jakąś rolę. Rolę pogodzonego z wyrokiem więźnia, który nie dyskutuje już z faktami. Dawałem im znać, że nie będą mieli ze mną kłopotów. Że możemy jakoś się dogadać. W końcu to ja byłem na straconej pozycji w grze, w której oni rozdawali karty. To im powinno odpowiadać. Tak myślałem.

W piątek zdarzyło się parę nieszczęść. Rano zrobiło się jakieś poruszenie, a później okazało się, że na bloku półotwartym zmarł któryś z pacjentów. Podobno ktoś czegoś nie dopilnował i ten chory człowiek, który musiał być wiązany do łóżka, żeby sobie nie zrobić krzywdy, udusił się.

Po śniadaniu znów wyprowadzono nas na zewnątrz. Kiedy obserwowałem poruszenie wśród opiekunów i pielęgniarek biegających z miejsca na miejsce, domyśliłem się, że uzgadniają wersję, tuszują swoje winy. Nie kryli się z tym przed nami. Nasze zeznania, zeznania wariatów i tak nie miały znaczenia.

Potem, koło południa, odbiło Milczącemu. Próbował udusić jedną z Roślin, jak zacząłem nazywać niektórych pacjentów z grupy, takiego kiwającego się ciągle w przód i w tył chudego chłopaka. Chwytał go,

zaciskając kurczowo ręce na jego szyi. Ofiara upadła, a Milczący przydusił ją do ziemi kolanem.

Widziałem całą tę sytuację od początku i nie zareagowałem. Może miałem zbyt mało czasu na reakcję, może byłem zbyt zaskoczony, a może po prostu się przestraszyłem? Tak czy inaczej patrzyłem na to, jak Milczący dusi Roślinę, i nic nie robiłem. Tamten charczał, był bezbronny, zrobił się siny, dostał spazmów. Myślałem, że zaraz umrze.

Opiekunowie odciągnęli Milczącego chyba w ostatniej chwili. Napastnik trafił do izolatki. Przechodząc koło mnie, spojrzał mi w twarz, ale nie zauważyłem jakiegokolwiek znaku porozumienia w jego oczach. Były zimne jak czysty lód albo przedsiónek piekła.

O dwunastej w szpitalu pojawił się jeden z młodych prokuratorów. Przywiózł go osobiście Bańka. Poinstruował podwładnego, co ma robić przy denacie w związku z zaistniałym tego dnia zgonem, i podszedł do mnie.

Siedziałem na ławce w parku.

– Przejdziemy się? – zapytał.

– Byle nie za daleko.

– Dlaczego?

– Jeszcze mi odbije i coś ci zrobię, a tamci – wskazałem na czterech opiekunów stojących najbliżej – nie zdążą zareagować.

Bańka prychnął.

– Już się boję. Wraca ci humor, Tomaszu – zauważył.

– Wątpię, by kiedykolwiek wrócił – odrzekłem szczerze. – Zbyt wiele się wydarzyło, całe moje życie wywróciło się do góry nogami.

– Witek pozdrawia. Chciał mi dać jakieś czekoladki dla ciebie, ale nie wziąłem. Jeszcze ktoś by nagrał...

– I tak bym nie przyjął.

– Tak mu powiedziałem. Powiedziałem mu też, że sobie ubzdurałeś, że to on za wszystkim stoi, że myślisz, że to on cię wrabia.

– A nie wrabia?

– Chciał cię odwiedzić, ale to też mu odradziłem. Lepiej, żeby upłynęło trochę czasu, żeby...

– Bańka.

– Tomku, trzymaj się. Wytrzymaj trochę, a cię... wyciągniemy.

– Jak Jania?

– Właśnie.

Poczułem ukłucie w sercu. Czasem tak mam, jakby zwiastun jakiegoś zawału. Muszę wtedy mocno nabrać powietrza i to przetrzymać. Przechodzi. Czasem trzeba kilka razy powtórzyć. Aż robi się słabo. Ciekawe, czy kiedyś nie przejdzie? Zwali mnie i będzie koniec. I wszystko przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie. Co wtedy będzie? Spotkanie z Bogiem? Nowy wspaniały świat? A może pustka? Stanę się częścią jakiejś kosmicznej energii, czegoś niepojętego, niezrozumiałego? Odrodzę się? Może w ciele prześladowcy lub ofiary. Kim jestem, kim będę?

– Bańka, jednak jesteś draniem.

Splunął.

– Po prostu nie sędzę, żebyś zasłużył na to... tutaj.

– A na więzienie?

– Też nie. Lewińska była suką, już ci mówiłem, co o niej sędzę. Ilu to ludzi odetchnęło, kiedy ją... skasowałeś.

– To nie ja, Bańka. Zrozum, jestem niewinny.

– Nie ty – mruknął. – Niech będzie...

Położyłem mu dłoń na ramieniu, zatrzymałem go, zmusiłem, żeby na mnie popatrzył.

– Bańka, teraz chyba możemy porozmawiać o dowodach, co?

– No, niby możemy...

– Więc co tak naprawdę na mnie miałeś?

– Już mówiłem, proces zapewne miałby charakter poszlakowy, ale najmocniejszym dowodem byłoby narzędzie zbrodni. Rewolwer. Dość rzadki egzemplarz broni produkowanej eksperymentalnie na Wacie, Wojskowej Akademii Technicznej...

– Ten rewolwer podrzucony Lewińskiemu? À propos, co się stało z Romanem?

– Wyjechał z miasta zaraz po wypuszczeniu z aresztu. Osobiście podpisałem nakaz zwolnienia. Poradziłem mu, żeby tu nie zostawał. Jakby wrócił do domu, najpóźniej następnego dnia życzliwi zrobiliby z nim

porządek. W Mirowie tak to się już odbywa. Szanse na ich ujęcie byłyby zapewne żadne.

Machnąłem ręką.

– A rewolwer, co z nim?

– Uznaliśmy, że strzeliłeś z niego do Lewińskiej celowo, żeby zrobić w morderstwo Romana. Dobry pomysł. Mąż to zawsze atrakcyjny podejrzany, zwłaszcza syn takiego potwora jak Białek.

– Dlaczego od razu mu go nie podrzuciłem?

– Nie miałeś jak, byłeś ostrożny. Ponadto zawsze lepiej mieć koronny dowód w garści i wykorzystać go w odpowiedniej chwili.

– Bzdura.

– Rewolwer nabyłeś od niejakiego Słoniaka. Pamiętasz go?

– Bronilem Słoniaka w sprawie malwersacji giełdowych.

– Był winny, ale go wybroniłeś, prawda?

Pokiwałem głową. Doskonale pamiętam, to była łatwa sprawa. Za giełdę w Polsce ciężko kogokolwiek wsadzić. A ja byłem wtedy gwiazdą. Tę sprawę podjąłem zaraz po słynnej obronie Wolskiego, jednego z najbogatszych ludzi w Polsce. Wtedy przez rok moja twarz niemal codziennie była pokazywana w wiadomościach. Darmowa reklama. Słoniak oglądał telewizję, był od niej uzależniony. Jak go oskarżyli, nie chciał słyszeć o innym obrońcy. Dobrze wybrał.

– Jak wiesz, w CBS Słoniaka zna prawie każdy. Handluje dragami i bronią. Gdzieś musi pracować pieniądze. Pewnie nawet nie chciał na tej giełdzie spekulować i manipulować, tylko mu się coś pomyliło z powodu niewiedzy.

– Może. To tajemnica adwokacka, a ja jej zawsze przestrzegam. Jaki niby macie dowód, że to on dostarczył mi broń?

– Poszlaka – poprawił Bańka. – Ale mocna.

– Jaka?

– Operacyjnie ustaliliśmy, że broń została dostarczona do domu Słoniaka kilka dni przed tym, zanim do niego dzwoniłeś. Tego dostawcę, który zaopatrywał różnych dziwnych ludzi w Warszawce w spluwy, ci z CBS już od dawna mieli na oku. Słoniak kupował od niego wszystko, bo facet miał



dobrze ceny oraz renomę solidnego i wiarygodnego. Od jakiegoś czasu pracował jednak pod przykrywką. Gdyby nie grał na dwa fronty, już dawno by kiblował. W komendzie wojewódzkiej mają spis tych wszystkich spluw. Zanim przekazał Słoniakowi broń, z której zginęła Lewińska, obejrzał ją jak zwykle balistik z komendy wojewódzkiej. Mamy protokół, próby, badania, to ta sama spluwa, która była narzędziem zbrodni.

– Nie dzwoniłem do Słoniaka od lat.

– Kłamiesz. Mam dowód.

– Jaki?

– Telefonowałeś z kancelarii. W nocy. Jedyne, co nie dawało mi spokoju, to pytanie, po co ci była taka dziwna spluwa? Przyjąłem, że nabyłeś ją na zlecenie dla jakiegoś wyrafinowanego klienta. Nieważne i tak go nie wsypiesz. Tajemnica adwokacka, której ty zawsze przestrzegasz. Ha, ha, dobre. Jedno jest pewne. Kiedy zaszła konieczność, nie zawahałeś się, by wykorzystać tę broń do zmylenia tropów przy zabójstwie Lewińskiej.

Zamurowało mnie. Ktoś naprawdę to nieźle przemyślał i zorganizował. Zadał sobie sporo trudu, żeby mnie w to wrobić. Morderca lub ktoś, kto z nim współdziałał, musiał mieć coś wspólnego z tym tajniakiem, który grał na dwa fronty. Ci ludzie nie mają zasad, za pieniądze, za wolność zrobią wszystko.

Istniała też druga możliwość związana z przeciekami z komendy wojewódzkiej. Wolałem nawet o tym nie myśleć. Założę się, że gdyby przycisnęli Słoniaka, zeznałby, że działał na moje zlecenie albo przynajmniej, że ktoś się na mnie powoływał, bo nie może stwierdzić na pewno, że to byłem ja. W ten sposób chciałby mnie prawdopodobnie trochę wybronić, a jednocześnie pogrzyźłyby.

Kto mógł być aż tak przebiegły, tak sprytny i dobry? Szymura? Zacząłem w to wątpić. Popatrzyłem uważnie na Bańkę. Kurwa, a może to on? Prokurator rejonowy udający mojego przyjaciela w rzeczywistości pięknie mnie wmanewrował w sytuację bez wyjścia. A teraz niby ma mi pomóc się wydostać. Tylko jaki miałby w tym cel?

– Bańka. Nie zabiłem jej.

– Dobra, dobra. I tak cię z Witkiem wyciągniemy...

– Po co miałbym dzwonić ze swojej kancelarii do Słoniaka? – zapytałem

tknięty nagłą myślą.

– Jak to po co? Po broń.

– Przecież musiałem zakładać, że odkryjecie to połączenie i dojdziecie do dilerów. To bez sensu.

– E tam... Nic nie musiałeś zakładać. Broń kupiłeś dla klienta, kiedy jeszcze nie wiedziałeś, jak wygląda Lewińska. Tomaszu, daj spokój, nie gadajmy już o tym. Tkwisz w tym po uszy.

Zabrzmiało to jednak dość słabo. Może i przypisywał mi winę, przekonywał sam siebie, skupiał się na dowodach, jednak miałem wrażenie, że gdzieś głęboko mi wierzy. Bo ja po prostu nie byłem zdolny do zabicia kogokolwiek z premedytacją. Ani ja, ani ten drugi Tomasz tkwiący we mnie, którego wykreowali psychiatrzy i w którego chyba żaden z nas nie wierzył.

– Morderca dalej jest na wolności – szepnąłem. – Śmieje się z ciebie.

– Tomku...

– Może to ty będziesz jego następną ofiarą?

Prychną głośno.

– Ja? Nawet w filmie nikt by ze mnie nie zrobił ofiary seryjnego. Jestem totalnie nieciekawym typem tak dla sprawcy, jak dla widzów.

– Zawsze może zadziałać wbrew schematowi.

Tym razem nie odpowiedział. Stał w parku szpitala psychiatrycznego w Mirowie, patrzył w oczy niewinnemu osadzonemu i podobnie jak ja myślał o mordercy.

A potem przestał o nim myśleć. Bo tak było najłatwiej.

– Wracając do poprzedniej kwestii, ustaliliśmy z Witkiem...

#### 44.

Morderca. Gdzieś tam jest. Ciągłe na wolności. Może czai się do zadania kolejnego ciosu? Jaki będzie jego następny krok?

Utkwił głęboko w moim mózgu, nie mogłem myśleć o niczym innym. Starłem się, próbowałem wyrzucić go z głowy, ale przecież wiedziałem, że

na to nie pozwoli.

Zasiał w mojej duszy ziarno, zatrul ją. Czeka, aż ono zakielkuje, wypuści pędy, ukorzeni się. A wtedy przyjdzie i wyrwie je albo będzie patrzył, jak wzrasta pod jego okiem. Będzie pielęgnował, aż nadejdzie chwila, gdy podejmie decyzję, co dalej, co zrobić z moim przegranym życiem.

Wyrafinowany amator tortur. Działa metodycznie, przemyślanie, konsekwentnie. Wrobienie mnie w zbrodnię i osadzenie w szpitalu nie było jego ostatecznym celem. Nie, to prowadziło do czegoś innego. Mroziła mnie myśl o tym, do czego.

Nie wiedziałem, dlaczego mnie wybrał. Nie wiedziałem, dlaczego mu odpowiadałem. Nie wiedziałem, jakie ma dalsze plany. Ale wiedziałem, że kiedyś zostaną zrealizowane. Jeśli nie teraz, to za miesiąc, a może za rok, za pięć lat czy za dziesięć wróci. Przyjdzie, by mi spojrzeć w oczy. By wyjawić prawdę. By powiedzieć, dlaczego, i oznajmić, co dalej. Jakie jeszcze piekło mi przygotował.

W snach widziałem, co wydarzy się później. Mimo że bardzo chciałem odrzucić takie projekcje, wiedziałem, że to dopiero przedsmak piekła. Prawdziwa tortura miała nadejść.

Zaczęło się w poniedziałek. Dobry dzień jak każdy inny.

Zaczęło się od wizyty.

Przyszedł opiekun i wyprowadził mnie z sali niedługo po śniadaniu. Kazał ze sobą iść i całą drogę milczał. Przeszliśmy długimi, zimnymi korytarzami do zamkniętych drzwi bloku, potem zjechaliśmy windą na dół, minęliśmy dyżurkę i skierowaliśmy się do wyjścia do parku.

Na zewnątrz poczułem uderzenie ciepła. On i ja. Sam na sam. Przestraszyłem się, bo to było wbrew wszelkich zasadom. Pomyślałem nawet, że coś chce mi zrobić. Może prowadzi mnie sam, a dziesięciu innych czeka na zewnątrz? Czekają, żeby zrobić ze mną porządek.

Stał tam. Przy samym wejściu. Czekał.

Janio Wiśnik. Człowiek, od którego wszystko się zaczęło. Wyalienowany, wycofany, zmalretowany przez życiowe zakręty. Człowiek, który odżył. Człowiek zagadka.

Przez głowę jak rakietą przeleciały mi wszystkie myśli i wiadomości o nim, wszystko, czego się dowiedziałem z rozmów, relacji, akt, pism.

To, co ustaliłem i czego nigdy nie udało mi się zrozumieć, czego tak naprawdę nie miałem szans odkryć, bo wszystko to było iluzją, doskonale zaprojektowaną magiczną sztuczką, świetnie wymyślonym, jednak nieprawdziwym, równoległym światem.

Pielęgniarka uśmiechnęła się na jego widok od ucha do ucha. Uściskali się i zaraz potem pojawił się Szaweł. On także serdecznie przywitał się z Janiem. Odeszli na chwilę na bok, coś uzgadniali. A potem obaj opiekunowie zniknęli i zostałem sam na sam z moim dawnym klientem.

Sam na sam z zabójcą.

Wiedziałem już, że nim jest.

Od niego się zaczęło i na nim musi się skończyć.

#### 45.

– Był czas, że myślałem, że to idealne dla mnie miejsce. Polubiłem się z Szawłem, znaleźliśmy wspólny język i nić porozumienia. On widział we mnie brata krwi. Z takim sojusznikiem tutaj mogłem wszystko. A potem zaprzyjaźniłem się też z innymi. Dziesięć lat to wystarczający czas, by ukształtować otoczenie tak, jak chcemy, by wyglądało, by pracowało dla nas, by nam służyło. Dla nich to była tylko praca. Dla mnie życie, marzenia i realia. Całość mojej rzeczywistości. Miałem przewagę. Już po roku byłem inaczej traktowany niż pozostali. Po dwóch żaden z opiekunów nie myślał o mnie jak o szaleńcu. Byli pewni, że Szymura mnie tu wsadził z zemsty i czuli się winni, ale ja ich rozgrzeszyłem. Żaden z nich nie chciał postawić się Szymurze, a jednocześnie dziwili się, że ofiara wcale tego nie oczekuje. To dało mi dużą władzę nad nimi. Poczucie winy i obowiązku połączone z szansą na niemal natychmiastowe odkupienie, na dodatek praktycznie bez żadnego wysiłku i żadnego poświęcenia. Słyszałeś, że prawdziwa miłość wymaga poświęceń? Wymaga sprawdzenia w warunkach szczególnych? Też tak sądzę. Przyjaźń i miłość potrzebują sprawdzenia w sytuacjach krytycznych, inaczej ludzie gnuśnieją, są jacyś rozlażli, jest im zbyt wygodnie, w chwili próby zawiodą. Dlatego oni nie mieli szans się we mnie zakochać. Dostali jedynie okazję, by mi służyć.

Szliśmy w kierunku bramy prowadzącej do drogi w las. Byliśmy już prawie przy niej. Ja i zabójca. Ja i Janio Wiśnik. Myślałem, że przyszedł po mnie, że teraz mnie wyprowadzi na zewnątrz i tam zabije. Ale on przysiadł na ostatniej ławce i poprosił, bym zrobił to samo. Bym usiadł blisko, rozsiadł się wygodnie. Przez chwilę jeszcze wspominał pobyt w szpitalu. Znał tu każdą szparę i wszystkie zakamarki. Opowiadał o zwierzętach, o szpitalnych kotach i psach, pokazał palcem kilka drzew, w których dziecióły chowają młode, miejsca, gdzie późnym latem kwitną wrzosy. Zastanawiałem się, czy ze mnie drwi, czy może odzywa się w nim jakaś inna osobowość, drugie ja w tej równoległej rzeczywistości.

Rozluźniony, rozłożył ramiona wzdłuż oparcia i wystawił głowę do słońca. A potem opowiedział mi o swoich demonach.

Zaczął od początku, od małego chłopca klęczącego przed kasą jedyne kina w Mirowie i okolicy. Od chłopca, którego nie chciał prawdziwy ojciec.

– Dużo o nim myślałem. Zastanawiałem się, dlaczego mnie odrzucił, odszedł, uciekł. Kiedy moja mama zaszła w ciążę, wyjechał gdzieś do Słupska, a potem jeszcze dalej, na zachodnie Pomorze, do Szczecina. Rodzice go tam wywieźli, częściowo słusznie zakładając, że ucieczka będzie skuteczna, uchroni go przed konsekwencjami, a jednocześnie zdusi w zarodku wszelkie spory, kontrowersje, możliwości prowokacji. Łatwo im było zostawić przeklęty Mirów, bo tacy jak oni, bogaci, z tradycjami, wszędzie się odnajdą. Narobią smrodu, wsiadają do auta i już ich nie ma. Stać ich na straty, na pozbycie się niechcianego majątku po tanioci. Mamie chcieli zapłacić, żeby wszystko pozamykać, przekupić sumienie, ale ona była zbyt dumna. Posłała ich do diabła. Może dlatego, że namawiali ją, żeby się mnie pozbyła. „Po co ci taki bękart, taki głupi Jaś? Wszystko za ciebie załatwimy”. Podobno tak jej powiedziała moja babka. A mama miała poczucie humoru, więc dała mi Jaś na imię. Głupi Jaś. Ale ja nie byłem głupi. Wiele lat czekałem na wyrównanie rachunków z tą starą raszplą i jej synuniem, moim prawdziwym tatą. Wiele lat przygotowywałem się do zniszczenia im życia i w końcu dokonałem zemsty. Może kiedyś ci opowiem. – Przerwał na dłuższą chwilę i myślałem, że zostawi już temat ojca w spokoju, ale on był dla niego zbyt ważny. Być może udawał, że tak nie jest, ale tak naprawdę tu należało szukać przyczyny tego, kim stał się Jan Wiśnik. – Wysoki, przystojny, taki dumny był ten mój tato. Pan doktor po

latach, bo gdy mnie płodził, jedynie zwykły nastolatek. Owszem, także ładny i wymuskany, ale przecież zwykły szczył, żaden mężczyzna. Za to później wyrósł na autorytet. Same dobre opinie na forach internetowych. Mądry, a głupi, brakowało mu intuicji. Gdy patrzył mi w oczy tego dnia, ostatniego dnia swojego niby tak wspaniałego, a jednak marnego życia, nie poznał w nich siebie, nie dotknęło go żadne przeczucie, nie dała mu znać więź krwi. Nie rozumiał. Do końca nie rozumiał. A potem zająłem się jego prawdziwymi dziećmi, tymi, które chciał mieć, które wychowywał, którym dał serce, miłość, całego siebie, szczęście. I śmierć. Bo przecież zginęły przez niego. Zabiłem ich na oczach kobiety, którą wolał od mojej mamy. Ona jedna nie zasłużyła na to cierpienie, nie miała przecież pojęcia o przeszłości męża, nie wiedziała, że uciekł od kobiety, którą dawno temu pokochał, że porzucił miłość dla swojej matki, bo tak nakazywały rodzinne tradycje i konwenanse. Ta jego nowa żona błagała mnie o litość, a ja myślałem: „W zasadzie powinienem okazać jej łaskę”. Ale gdy zabiłem małe pokraki, gdy opowiedziałem jej, co zrobiłem z jej mężem, przestała prosić, nie chciała żyć. Rozwiązałem ją i czekałem, aż się na mnie rzuci, może nawet bym pozwolił jej to wszystko zakończyć, zabić mnie, może bym się nie bronił, ale ona nie chciała zemsty. Chciała po prostu odejść. Wzięła nóż i zamiast mnie zaatakować, podcięła sobie żyły, a potem wepchnęła ostrze w brzuch. Nie miała dość siły, pomogłem. Wiesz, co jest najzabawniejsze? Policja uznała, że ona zwariowała. Czytałem w gazecie, że to ją obarczono winą za śmierć męża i dzieci. Rzekomo ich zabiła, a potem popełniła samobójstwo. Ty też to czytałeś, Tomaszu, ale chyba niespecjalnie się nad tym zastanowiłeś. A gdybyś poświęcił trochę czasu tej historii, odkrył, że zabity mąż urodził się w Mirowie, kto wie, może nie byłbyś dziś tutaj...

Przypomniałem sobie tabloid „Szczecińskie Skandale” i nagle zrozumiałem, że Wiśnik nie chciał mi grozić, zostawiając ten artykuł, bym go znalazł. Nie, on chciał mnie naprowadzić na siebie. Chciał, żebym złapał trop. Ale węch Tomasza Mauera był zbyt słaby albo jego determinacja za mała. Wolał dać gazetkę Bańce, przerzucić na niego jakąś część odpowiedzialności za własną rodzinę. No to teraz masz, Tomaszu Mauerze.

– Takie proste, szybkie wyjaśnienie – ciągnął Wiśnik. – Pewnie, tak najłatwiej. Rodzice tej kobiety żyli. Pojechałem do nich, udając dziennikarza, który chce im wyjawić tajemnicę. To było tuż po wojsku,

jeszcze mi się chciało naprawiać zło. Chciałem naprawić tyle zła, ile sam uczyniłem. Wiesz, dla równowagi. Słyszałeś taką teorię, że ile zła uczynimy, tyle do nas wróci? Bzdura, ale ja sobie wymyśliłem, że jeśli czynię sprawiedliwe zło, a potem jeszcze dorzucam dobre uczynki, to zamykam niejako równanie, równoważę. Zło zresztą już wówczas traktowałem dość naukowo, jak zjawisko do poznania, a nie odczuwania. Tak więc pojechałem do nich jako dziennikarz i wyjaśniłem, że to nieprawda, co przeczytali o swojej córce, że padła ofiarą seryjnego zabójcy, a policja nie chce tego przyznać, bo w statystykach lepiej jest tak, jak jest. Żebyś widział, jacy byli szczęśliwi, gdy im to nakreśliłem. Ściskali mnie, płakali i ściskali. Ściskali zabójcę swojego dziecka za to, że wyjawiał im prawdę o śmierci ich córki.

Stara raszpla, matka mojego ojca, formalnie moja niechciana, ukryta babka, nie miała tyle szczęścia. Wyjechała z Mirowa z synusiem, jak już mówiłem, ale została w tym Słupsku, gdy jej latorośl ruszył dalej. Tam ją znalazłem w podmiejskiej wiosce. Samotną wiedźmę, bo dziadek już nie żył. Przenikliwa była, miała znacznie lepszą intuicję i od razu wiedziała, że coś ze mną jest nie tak. Od pierwszego zobaczenia. Patrzyła mi w oczy i widziała w nich diabła. Próbowwała uciekać, ale jej na to nie pozwoliłem. Mieszkała na odludziu, bo była bogata i myślała, że ochrona załatwi jej bezpieczeństwo, a tylko zagwarantowała mi spokój w tym, co zamierzałem z nią zrobić. Trzy dni. Tyle ją męczyłem, zanim zdechła. Chcesz szczegóły? Nie chcesz, tak myślałem. Powiem tylko, że jak to wiedźma, skutecznie się zdematerializowała. Zniknęła. Do dziś jest uznawana za zaginioną. W sumie mogłaby jeszcze żyć. Cóż, może kiedyś ktoś ją odnajdzie. Może ty, Tomaszu.

Zawiesił głos. Patrzył na mnie przez chwilę, zbierając żniwo. Liczył, że jego słowa wywrą odpowiednie wrażenie, że mnie wystarczająco przerażą, a to przecież było dopiero preludium.

– W zasadzie nie wiem, skąd we mnie tyle pragnienia zemsty. Przecież moje życie nie było złe, miałem dobrego ojczyrna, nie znęcał się nade mną, próbował dać mi, ile potrafił, kto wie, czy nie był dla mnie lepszy, dla mojej własnej osobistości, jakby to powiedział mój ulubiony ostatnio bohater literacki, niejaki Prabaker. Niewiele umiał, to prawda. Ale za to ile wolności mi dał, wolności czasu, przestrzeni i wyboru. Pozwolił kształtować się mojemu ja, jak tylko ono sobie chciało. Owszem, cały czas czułem, że nie

jest ojcem, że akceptuje mnie, bo musi. Ale to był taki człowiek. Starał się, jak mógł. Mama za to próbowała mi wszystko wynagrodzić. Jej miłość była jak wieża do samego nieba. Mogłeś się po niej wspinać, Tomaszu, i nie doszedłbyś do kresu, bo była bezkresna. Taka to była miłość. Miałem wszystko, co chciałem. Co prawda czasy były takie, że nie było wiele możliwości, ale w porównaniu z takim Wicią, to ja miałem dzieciństwo jak pączek w maśle czy jak to się tam mówi. Było szczęśliwe, wolne, bogate, pełne radości i możliwości. Ojciec dawał mi na książki i filmy, mogłem nie wychodzić z kina, dopóki istniało. Mama dbała o wszystkie inne moje potrzeby. Sam zacząłem szybko zarabiać, pomagając u ojczyma w zakładzie, a potem u innego takiego prywaciarza, który założył pierwszą wypożyczalnię kaset wideo w Mirowie. Wziął mnie, bo się znałem na filmach, a ja mu się odwdziczyłem, ściągając klientelę. Kasety były pirackie, ale dobrej jakości, i cały wachlarz mieliśmy: od porno, przez komedie romantyczne, do horrorów i filmów akcji. Znałem je wszystkie, oglądałem jeden po drugim, ale szczególnie lubiłem filmy o wojnie. Nie wiem, dlaczego. Po prostu wydawały mi się wyjątkowe. I to bez wyjątku. Te niskobudżetowe, klasy B i C, a także te prawdziwie artystyczne, jak „Czas Apokalipsy” czy „Pluton”, stare i nowe. Mogłem oglądać „Rambo”, a zaraz później wrzucić „Konwój”, ten stary, z Mitchumem. „Bitwę o Midway” oglądałem chyba z dziesięć razy. Bohaterowie tych filmów, zawsze odważni, zawsze godni, wielcy, wspaniali i podnoszący się z upadku, konsekwentni i do końca wierzący w zwycięstwo, a jednocześnie heroiczni i wspaniali... to oni mnie budowali. – Uśmiechnął się pod nosem na jakieś wspomnienie. – Kłóci się pewnie ten obraz z opowieściami o mnie, prawda Tomaszu?

– Niespecjalnie – odparłem.

Wcale się nie kłócił. Janio po prostu zrobił sobie świetny kamuflaż. Równoległy świat. Jeden z wielu, które służyły jego „osobistości”.

– I słusznie. Inni mieli mnie za pacyfistę, może nawet tchórza, ale ja przecież ich wszystkich rozgrywałem, kontrolowałem i prowokowałem, a jak trzeba było, to i obijałem. Nie sam, rzecz jasna. Tak, tak, za pomocą Wici obijałem, bo w nim agresja po ojcu i chęć przyłożenia komukolwiek wręcz kipiały. Wystarczyło tylko wskazać cel, a on z chęcią przystępował do działania. Bali się go na całym osiedlu, bo bił się do końca. Nawet jak od większego obrywał, nie odpuszczał. A na śmierć i życie bić się wtedy nikt



nie chciał. Tylko jeden Wicia, biedny, szukał swojej śmierci, a znalazł mentora, nauczyciela i trenera, który zrobił z niego tego, kim się stał. Dobrze go wytresowałem, co Tomaszu? A szczególnie dumny jestem z tego, że on chyba do dziś nie dostrzegł, że to wszystko... moje dzieło, że to ja doprowadziłem go do tych wszystkich sukcesów, ukształtowałem w nim zwycięzcę, że go stworzyłem. Stworzyłem... potwora.

– Dlatego poszedłeś do wojska? Chciałeś, żeby za tobą zatęsknił? Żeby zobaczył, jak źle jest bez ciebie?

Błysk żalu. Przez sekundę. Ale wyraźnie. Może dlatego pomyślałem, że skłamię. Że tak naprawdę przyczyna była inna. Monika była przyczyną. Ale do tego się nie przyzna. Tego nie powie. Jest zbyt dumny z kontrolowania emocji, żeby to powiedzieć. Nie wierzył w Miłość. Albo miłość tak go oszukała, że przestał w nią wierzyć, że uznał ją za jeden z wielu czynników zewnętrznych do wykorzystania i kształtowania swoich światów.

– Nie. Może nie uwierzysz, ale zwyczajnie mi się znudziło. Ta cała małomiasteczkowość, władza na poziomie zarządzania kurnikiem, możliwości, jakie daje takie zadupie jak Mirów, były dalekie od tego, czego oczekiwał mój geniusz. Ja chciałem zdobywać świat. Manipulować nim na skalę znacznie większą. Prawdę mówiąc, pomyliłem się, bo myślałem, że znajdę tam coś innego, coś większego, a okazało się, że świat to jest takie małe miasteczko w powiększeniu, niczym nie różni się od Mirowa, wszystko miałem tu, na miejscu, dlatego wróciłem. Ale wracając do twojego pytania czy sugestii: poszedłem do wojska z ciekawości. Śmierć, ta filmowa, mnie owładnęła. Tyle że wojsko w normalnym wydaniu nie dawało tyle możliwości. Ile powiedział ci Maczek?

– Więcej przemilczał – odparłem.

– Bo sam nie jest do końca pewien, czego był świadkiem.

Wojsko, specyficzne miejsce, miejsce pozornie nie dla takich jak Janio Wiśnik, miejsce, w którym tacy ludzie zostają outsiderami, upokarzonymi ofermami. Albo stają na drugim biegunie. Zostają dowódcami lub... ludźmi do zadań specjalnych.

– Zgarnęli mnie z przepustki, którą tylko ja tego dnia dostałem. Szukałem z nimi kontaktu, napraszałem się, starałem się zwrócić na siebie uwagę, ale wiedziałem, że to oni muszą przyjść, inaczej mnie wyczują, zdiagnozują

i odrzuca. Nie pomyliłem się. Oficer miał pseudonim Szary. Tak kazał się nazywać. Zabrał mnie do lokalu operacyjnego. Wyjął na stół flaszkę i kazał się upić, żebym do jednostki wrócił pijany, żeby nikt się nie zorientował, że jestem już jego, ich. Przedtem powiedział mi, że przejdę szkolenie specjalne, że długo szukali kogoś z moimi predyspozycjami. Łatwo jest znaleźć umięśnionych, wysportowanych, silnych mężczyzn, którzy będą przebijali pięścią hartowane szyby. Ale znacznie trudniej wyszukać kogoś, kto na widok lecącej w jego kierunku kuli nie mrugnie nawet powieką, kto potrafi patrzeć bez emocji na krew i prosto w oczy śmierci, kto wykonuje swoje zadania zamiast kierować się emocjami. Taki dla nich byłem.

Przymknąłem oczy i słuchając Jania, wyobrażałem sobie go pijanego, już po wysłuchaniu pierwszych rozkazów oficera wywiadu. Potwór spotkał potwora. Potwór nauczył się od innych potworów jeszcze więcej potworności. Jeszcze więcej zła.

Potem Wiśnik odbył szkolenia. Uczył się walki, strzelania, technik maskowania, przeżycia w niekorzystnych warunkach, wykorzystywania zwykłych przedmiotów do tworzenia broni, ładunków wybuchowych.

– Do Jugosławii przerzucono mnie jako najemnika w oddziale niejakiego Mlatko „Brata” Brstića. To był wyjątkowy drań, gwałciciel i morderca. Trudno zliczyć, ile kobiet zhańbił, ilu ludziom poobcinał ręce i głowy, ilu mężczyzn spalił, oszpecił, okaleczył, wykastrował, ilu osobiście podrzynał gardła. Dziś rządzi takim małym miastem w górach. Awansował z brata na ojczulka, wszyscy nazywają go Tatko Brstić. Może kiedyś, jak już skończę swoje sprawy w Mirowie, odwiedzę go, powspominamy stare czasy, może się nawet wspólnie w coś zabawimy...

Janio w Jugosławii nie miał nikogo mordować, nie miał interweniować i donosić ONZ czy NATO. Miał tylko patrzeć, rejestrować każdy mord. Wiedza pozyskana dzięki niemu była bezcenna, służyła do szantażowania zwyrodnialców, którzy uchowali się przed Trybunałem Sprawiedliwości, i naszych. I nikt specjalnie nie przejmował się tym, jak wpływa to na umysł młodego, wrażliwego chłopaka. Tyle że on wcale taki nie był. Nosił tylko taką maskę.

– Wróciłem po trzech latach do Polski z fikcyjnymi dokumentami, że niby stacjonowałem pod Maczkiem w siłach ONZ pod Srebrenicą. Generał to był dobry dowódca, ale nie popierał takich działań służb. Kiedy spotkaliśmy się

na jednej z uroczystości już po, nawet nie podał mi ręki, może ktoś mu nagadał, że i jego szpiegowałem...

Wrócił, w Polce nie mógł za bardzo na nikogo liczyć. Nikt mu nie dał pracy, nikt nie zadbał o weterana wojny w Jugosławii. Z niewiadomych przyczyn wywiad też o nim zapomniał. Oficer prowadzący się do niego po prostu nie zgłosił, nie przydzielono mu nowej misji. Może wyszło na jaw, że Janio nie tylko patrzył na wyczyny „Brata”, ale i ochoczo mu sekundował? Może szpieg był szpiegowany i sprawdzany? Zgodnie z wcześniejszymi rozkazami miał po prostu czekać.

– Może gdzieś ktoś zgubił dokumenty, a może po prostu uznali, że moja misja na razie dobiegła końca.

„A może – dopowiedziałem w myślach – z jakiegoś powodu w tej kwestii wcale nie chcesz mówić prawdy, może wojskowi wcale cię nie zostawili, tylko dalej wykonujesz dla nich misje...”

– Nie spodziewałem się jakiegoś powitania w Mirowie, nie chciałem fanfar i flag, ale Witek skrzyknął trochę ludzi i zrobili mi imprezę u niego w szynku. Nic szczególnego. Bardziej zrobił to dla siebie, żeby mi pokazać, jak mu się wspaniale wiedzie, jaki stał się wielki przez te cztery lata, kiedy mnie nie było. Nie wiedziałem, że aż tak mu się udało. Chyba nigdy bym nie przewidział, że to możliwe, że taki tresowany przez ojca obszcymur wykasuje wszystkich innych, przejmie państwowe mienie, dołoży od siebie dużo chęci, pomysłów, roboty i podporządkuje sobie Mirów. Oczywiście bez ojca byłoby to niemożliwe. Prokurator dawał mu dobre cynki, organizował osłonki, kumał się z innymi urzędnikami, żeby promować syna, ale trzeba Witkowi oddać, że dalej już szedł sam jak burza, miał intuicję i coraz większą siłę przebicia. Wyrósł też na silnego mężczyznę. Te razy od ojca mu się przysłużyły i nie dawał sobie w kaszę dmuchać. Gdy mnie wtedy ścisnął, podczas tego przyjęcia, czułem, jak chce mi pokazać, jaki jest silny, jak bardzo umie narzucić innym swoją wolę, jak się wyrobił. Myślał, że mi tym zaimponuje, że ma do czynienia z biednym, drobnym chuchrem Janiem. Może dlatego postanowiłem mu pokazać, że jest inaczej, jak daleko został w tyle za moim poziomem kontrolowania ludzi i ich instynktów.

Uśmiech Wiśnika zmroziłby Hannibala Lectera. W tej chwili wyglądał jak ktoś, kto potrafi stanąć w szranki z samym diabłem. Bez cienia strachu. Wtedy zrozumiałem, co tak naprawdę pomiędzy nimi zaszło, jak to się

odbyło. Janio był może fizycznie nieco słabszy od Szymury, może w uczciwym pojedynku na pięści czy w innym sporcie walki by nawet przegrał, ale w prawdziwym życiu Szymura był bez szans.

– Witold dość prosto i schematycznie pojmował świat i ludzi. Nigdy nie zrozumiał, ile zła w człowieku siedzi i jak łatwo nawiązać z nim kontakt, przebudzić je. Poszedł na łatwiznę, uzależnił się od posiadania rzeczy, podporządkowania sobie ludzi. Mnie zarabianie pieniędzy nigdy nie bawiło. To infantylne. O wiele bardziej twórcze jest co innego. Każdego można zmanipulować i ubezwłasnowolnić jak dziecko. Pobudzić do czynów i zrealizować swój cel, samemu jednak pozostając z boku, nie mając nic wspólnego ze zbrodniami, które popełnią ci wszyscy ulegli ludzie. Zwróć uwagę, że najwięksi dyktatorzy nie plamili swoich rąk krwią. Umiejętności wywierania wpływu są znacznie skuteczniejsze niż mięśnie, pałki czy nawet pistoleciki.

Tak, tego mogłem się spodziewać.

– To nie Szymura krzywdził tych ludzi na polowaniach, prawda? Ty to robiłeś...

Roześmiał się. Nawet na mnie nie spojrzał. Cały czas patrzył gdzieś w niebo, w świat równoległy.

– Ja – przyznał. – Ja i mój współnik, ojciec Witolda. Z nim rozumieliśmy się doskonale.

Z przerażeniem słuchałem, jak bez cienia emocji, bez najmniejszego współczucia i żalu mówi o cierpieniach, które wraz ze starym Szymurą zgotowali ludziom. Jak bezskutecznie próbowali wkręcić w ten proceder Witolda, jak go uwikłali, bawiąc się jego niemocą i wewnętrzną walką, konfliktem lojalności z przyzwoitością.

– Był jak dziecko we mgle. Kukielka, za której sznurki wspólnie pociągaliśmy. Tylko po to, by go rozerwać, by dać mu sprzeczne dane, całkowicie rozbieżne polecenia.

Krył ich. Musiał. I chciał. Nie mógł pozwolić, by ktoś postawił zarzuty jego ojcu czy najlepszemu przyjacielowi. Bez szemrania za wszystko płacił.

– Wituś święty nie był, sam ma sporo na sumieniu, ale przy nas był jak dziecko. Taki malutki. – Janio pokazał ręką wielkość biedronki, a potem złączył palec wskazujący z kciukiem. – Albo taki. Maciupenki. Pamiętasz te

trzy dziewczyny złapane na kradzieży? Od nich zaczęła się prawdziwa gra. On ją zaczął. Myślał, że to się nam spodoba, że dorówna nam swoją małą podłością. Zrobili sobie z tymi dziewczynami orgietkę, on i ochroniarze. Wykorzystali je na różne sposoby. Niezbyt brutalnie, żeby się za bardzo nie skarżyły. Potem je wyrzucili. Wracały upokorzone, wykorzystane, zmaltretowane, ale ciągle żywe. I dopiero wtedy to my się za nie wzięliśmy i pokazaliśmy Witoldowi, co to jest prawdziwa kara. Jak należy traktować złodziejki.

– To były te pierwsze ofiary...

– Ukrainka, Azjatka, Rumunka. Nikt się o nie nie upomniał. O kolejne też nie. Mieszkańcy Mirowa szybko zapominają obcych, ludzie tutaj obcych nie lubią, nie pytają o nich, nie żałują, nie zastanawiają się, co się z nimi dzieje, kiedy znikają. Z czasem może za bardzo się rozzuchwaliliśmy, bo Witold zaczął mieć kłopot z pracownikami. Sam nie był zbyt dobry dla ludzi, pomiatał nimi, więc go nie lubili, ale kobiety zwyczajnie zaczęły się bać. Nas i jego. Bały się tajemnic i legend o znikających dziewczynach. Legend, których nie dało się zrzucić na starego biednego topielca Białka. Pojawili się też pierwsi krewni tych zaginionych dziewczyn, wścibscy ludzie. Kiedyś przyjechał mąż jakiejś Białorusinki, miał dużo pytań, za bardzo wnikał. Obili go w knajpie i wrócił do siebie. Ale potem przyjechał jakiś ruski prokurator i z nim trzeba było uważać, takiego się już obić nie dało. Nic nie działał, nic nie znalazł, odjechał bez odpowiedzi na pytania, które postawił, ale noty do ministerstwa poszły, że u nas źle się dzieje, no i trzeba było coś z tym zrobić. Witold był za krótki, za to jego ojciec miał kogoś na samej górze. Skręcili temat i sprawa się wyciszyła...

– A ta polska dziewczyna?

– Cóż, Lilka to była trochę inna bajka. Ona się we mnie kochała, ja kochać nie potrafiłem. Ale byłem ciekaw, ile może ścierpieć dla tej miłości. Fascynowała mnie. Jednocześnie była na tyle nieakceptowana w Mirowie, że przygoda z nią wydawała się dość bezpieczna. Tak więc spróbowałem. Pozwoliłem się jej zakochać, a potem stopniowo pokazywałem, do czego jestem zdolny. Nie dotrwała do drugiego kręgu wtajemniczenia. Poległa już na pierwszym...

– Ile było kręgów?

Skrzywił się, zmarszczył brwi, liczył.

– Nie wiem, może z dziesięć. Ona nie była w stanie przyjąć nawet zwykłego gwałtu i pobicia. Więc pokazałem jej, do czego naprawdę jestem zdolny. Długo jej pokazywałem, a to pokazywanie na osobie kochającej bardzo mi się podobało. A potem Lilka... cóż, zniknęła. Ktoś zgłosił zaginięcie, przeprowadzono śledztwo. Bezskuteczne, ale Witold się wściekł, bo przecież wiedział, że to moja sprawka. Przeniósł mnie do Szelkowa, do swojego śmierdzącego kojca wstydu. Ale i tam z ojczulkiem sobie znaleźliśmy miejsce, znaleźliśmy kolejną dziewczynę, taką piękną Sylwię. Pewnie nawet o niej nie słyszałeś...

Pokręciłem głową.

– Męża miała. Szalonego, kochającego. Ale gdy z nią skończyliśmy, już jej nie kochał. Mieliśmy na to swój sposób, nie pytaj jaki. Pod koniec był pewien, że to my jesteśmy jego przyjaciółmi, nie ona. Ale to złudzenie nie uratowało go przed nami. Oj, nie. Gdybyś zechciał sprawdzić w prokuraturze. Oni nazywali się Bieńkowscy. Mieszkali w siedlisku na zachód od Szelkowa. Na zachód bardziej wiało, śmierdziało tam u nich niemożebnie, ale dopóki Szymura płacił... cóż, dziś siedlisko jest opuszczone. Nikt tam mieszkać nie chce. Nikt się nie dziwi, że Bieńkowscy się wynieśli. Tylko Witold miał już naprawdę dość mnie i ojca, posłał więc głupiego Pawlaka i dwóch takich przydupasów, żeby mnie obili i do niego przyprowadzili. Kto wie, gdyby dali radę, może Witold w złości by ze mną zrobił porządek, ale jak wiesz, chwyciłem za siekierę i zagrałem wariata, całkiem nieźle zagrałem...

– I stary Szymura musiał cię schować w psychiatryku.

Kąciki ust Jania powędrowały do boków, jakby przywoływał w myślach najlepsze wspomnienia.

– Witold ochłonął, uznał, że tak będzie najlepiej. Chyba myślał, że uda się mnie całkowicie spacyfikować. Nie przewidział, że to miejsce jest... specyficzne. Że jak się potrafi je wykorzystać, wkraść w łaski opiekunów, dyrektora, pielęgniarek, to... wszystko ci będzie wolno. Szybko przestałem być zwykłym pacjentem. Dostałem własny pokój, na uboczu. Grzeczny byłem, pomagałem, więc w ogóle przestano mnie pilnować. Wychodziłem, kiedy chciałem, nikt mnie nie kontrolował, nikt nie podejrzewał i w niczym nie ograniczał. Nie dość, że mogłem sobie poużywać na pacjentach, miałem, co tylko zechciałem z zewnątrz, bo i Szymura mi dowoził, i cały personel

służył, to jeszcze miałem takie alibi, że mogłem bezkarnie zająć się tymi, którymi chciałem, a nie tylko tymi, którzy napatoczyli się przypadkiem.

– Dwie zaginione kobiety – mruknąłem.

– Sześć – poprawił. – Dwie oficjalnie zgłoszono. Dwóch poszukiwano. Pozostałe... właściwie się nimi zaopiekowałem.

Milczałem, lecz on się dopiero rozkręcał, jakby wpadł w jakiś trans. Chciał mi powiedzieć wszystko ze szczegółami, pokazać pełnię swojego okrucieństwa wobec tych nieszczęsnych kobiet, które zamordował. Upajał się moim zgorzeniem, tak jak wcześniej cieszyło go ich cierpienie, kiedy prosiły o litość, gotowe na wszystko, by im darował życie. Jakby opowiadał o jakimś procesie twórczym. Chciał dzielić się tym doświadczeniem i szukał podziwu. Ale jednocześnie wciąż pozostawał całkowicie zimny i wyrachowany. Ten człowiek nie potrafił kochać, współczuć, cierpieć, płakać. Był jak głąz. Pozbawiony uczuć.

– Nie zapytasz o dobór ofiar? – rzucił podniecony i, nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: – Czasem zdarzało mi się zabić kogoś tak po prostu, pod wpływem impulsu. To była siła chwili. Jednak w większości przypadków działałem metodycznie, przygotowywałem ofiary do śmierci. Najpierw się nimi opiekowałem, doglądałem ich i obserwowałem jak rosną i kwitną, a potem z żalem, choć chyba to niewłaściwe słowo, wycinałem, dokładnie planując każdy ruch nożyków, każde muśnięcie palcami. Wiedziałem, że kiedyś ktoś to doceni, że zdążę o tym komuś opowiedzieć. Nie chciałem, byście myśleli, że zdawałem się na przypadek. Każda z tych śmierci miała sens.

Nagle zrozumiałem. Chyba.

– Białek – szepnąłem – Szymura i Białek. Dwa najnowsze mity Mirowa...

Aż pstryknął palcami. Był szczęśliwy jak artysta, który wreszcie znalazł zrozumienie u odbiorcy swojej sztuki.

– Właśnie. Nie zawiodłem się na tobie, Tomaszu – pochwalił mnie i z uznaniem poklepał po plecach. – Wspaniale to ująłeś. Dwie wielkie legendy Mirowa: tajemnica jeziora, tajemnica Białka oraz powoli pisząca swoją historię legenda Witka Szymury. Wszystkie moje ofiary biorą z nich początek, mają związek z mitami Mirowa. Dlatego kiedy w końcu ktoś odkryje moją tajemnicę, znajdzie klucze do poprzednich tajemnic. Miasto

zyska sławę na całym świecie. Kiedyś o małym Janiu Wiśniku, który klęczał w nieistniejącym starym kinie, by obejrzeć „Dzieci Sancheza”, ktoś nakręcił naprawdę wielki, hollywoodzki film. Zło zawsze zwycięża, sieje ziarno zemsty, lęku przed obcymi.

Seryjny. Okrutny, wyrafinowany, niezwykły. A więc nim był, do tego się przyznawał. Przyznawał się też do planu, przedstawiał motyw. Był kimś znacznie groźniejszym niż zwykły szaleniec. Był siewcą zła. Jego twórcą. Złem niewyobrażalnym, zimnym, perfidnym, do którego nie mogło się równać zło Szymury, jego adwokatów, Bańki, starego czy młodego Białka, moje własne zło sprzed lat i nowsze. Byliśmy nikim przy tym demiurgu Zła.

Są adwokaci marzący o takim kliencie, który może przynieść im sławę, napisze ich legendę. Chyba żaden by nie odmówił poprowadzenia takiej sprawy. Prawie. Bo są też tacy, którzy modlą się, by nie spotkać na swojej drodze takich ludzi. A i tak to właśnie oni staną przed najważniejszą w życiu próbą twarzą w twarz. Jakże przewrotny bywa los.

– Skoro było ci tu tak dobrze, dlaczego chciałeś wyjść? Dlaczego poprosiłeś Witolda, by mnie do ciebie posłał? Dlaczego w końcu wrobiłeś mnie w morderstwo?

Uśmiechnął się tym razem bardzo szeroko.

– Na które pytanie mam odpowiedzieć najpierw?

Zawahałem się.

– Zacznijmy od końca – zaproponował. – Uznałem, że jesteś dobrym kandydatem na zabójcę, gdy spojrzałem ci w oczy. Wiedziałem, że zło cię już kiedyś napoczęło, a potem poznałem twoją historię. Znam się na ludziach i myślę, że dokonałem właściwego wyboru.

– Jak ci się udało wrobić mnie w zakup tej broni?

Machnął ręką.

– To akurat było najprostsze. Po wpisaniu twojego nazwiska w Google na pierwszej stronie wyskakuje sprawa tego handlarza. Ustalenie jego komórki przez moich dawnych znajomych nie było żadnym problemem. Potem wystarczyło włamać się w nocy do twojego biura, ale ja miałem klucz, nie musiałem się włamywać...

Takie proste.

– Dlaczego ja? – powtórzyłem pierwsze pytanie.



Przymknął na chwilę oczy, jakby chciał przywołać jakiś obraz z przeszłości lub ze świata równoległego.

– To bardzo proste, Tomaszu.

– Dlaczego? – Mój głos zabrzmiał strasznie słabo. Zacząłem domyślać się odpowiedzi.

Janio Wiśnik wyjął z kieszeni złożoną na cztery kartkę. Był to wycinek z gazety „Głos Mirowa”, dokładnie z ostatniej strony, z rubryki towarzyskiej.

Widniało tam jedno zdjęcie zrobione podczas balu charytatywnego. Nad fotografią był nagłówek: „Witamy w Mirowie mecenasa Mauera z rodziną”.

Janio Wiśnik pogładził zdjęcie w miejscu, którego nie powinien był gładzić, i zakończył:

– Dla niej.

#### 46.

Biłem się trzy razy w życiu. Tak na poważnie. Pierwszy pojedynek z kolegą z podwórka przegrałem z kretesem. Był ode mnie wyższy, bardziej doświadczony, sprytniejszy. Ale starałem się wykorzystać swoje atuty: nieustępliwość i serce do walki. Poległem.

Drugi raz zostałem sprowokowany i adrenalina pozwoliła mi zwyciężyć. Nie pamiętam dokładnie, jaki był powód walki, ale chyba chodziło o drobiazg.

Trzeci pojedynek stoczyłem w obronie imienia jednej ze swoich towarzyszek w knajpie nad morzem. Jakiś osiłek się z niej naśmiewał, postanowiłem na to nie pozwolić.

Nie miałem najmniejszych szans, a jednak udało mi się go raz trafić i byłem z tego strasznie dumny.

Gdy opatrywał mnie lekarz, opowiadałem mu o tej dumie. Potem mówiłem o niej także dwóm pacjentom, z którymi leżałem na oddziale. Jeden sprzedawał komórki, drugi jeździł samochodem dostawczym.

Słuchali mnie z ciekawością, ale chyba bez podziwu. Może zwyczajnie

przeczuwali, jak się skończy ta historia. Trzeciego dnia odwiedziła mnie w szpitalu ta dziewczyna. Przyszła w towarzystwie mężczyzny, z którym się biłem. Powiedziała, że to jej brat.

Upewniła się, czy wszystko ze mną dobrze, pocałowała mnie w policzek, a potem wyszli. Byłem przerażony. Jeszcze bardziej, gdy „brat” kobiety wrócił, nachylił się nade mną, żartobliwie dotknął pięścią mojego policzka, mrugnął okiem i szepnął:

– Niezły cios.

Wstałem z trudem i przez okno patrzyłem, jak wychodzą objęci. Seksowna kobieta, o której marzy wielu mężczyzn, i przystojny, silny mężczyzna, który na nią zasługiwał.

Obejmowali się, ściskali, całowali.

Wsiedli do dobrego auta i odjechali.

Nigdy więcej ich nie widziałem. Jestem pewny, że ich pożycie zaczęło się w dniu, w którym brutalnie skończył się mój związek z nią.

Zastanawiałem się tylko, czy przyszli po to, żeby upewnić się, że ze mną wszystko w porządku, czy też może chcieli mnie jakoś nastraszyć, żebym nie składał zawiadomienia o pobiciu lub nie oskarżył tego mężczyzny w sądzie. Nie wiem.

Ta sytuacja nauczyła mnie jednak jednego: nie ma sensu rzucać się z pięściami na dużo silniejszego mężczyznę, jeśli nie ma absolutnej konieczności takiego ruchu.

Wiedziałem już dość o Janie Wiśniku. Wiedziałem, że jest wyszkolonym żołnierzem sił specjalnych, że nauczono go tam zabijać i torturować innych, że przez lata stał się maszyną do mordowania. Wiedziałem, że mam za przeciwnika człowieka znacznie od siebie silniejszego i bezwzględnego. Wiedziałem, że jest całkowicie zdeprawowanym, od lat pielęgnującym swoje wynaturzenia psychopata, mordercą z natury, a nie tylko przysposobienia.

Ale i tak spróbowałem.

Bez trudu zablokował cios prawą ręką, chwycił mnie za nadgarstek, wykręcił ramię, zablokował je w łokciu i sprawił mi dokładnie tyle bólu, ile było trzeba, żebym już nie próbował. Ani mniej, ani więcej.

– Już?

Skinąłem głową. Puścił mnie.

– Nie przyszedłem cię tu zabić, Tomaszu. Nie mam też zamiaru cię skrzywdzić – szepnął. – Przyszedłem dać ci szansę. Powiedzmy, że jesteś dla mnie czymś w rodzaju eksperymentu. Kto wie, może ci się uda i wygrasz. Ale żeby tę szansę wykorzystać, musisz wejść na mój poziom, a nie pozostać na swoim. Rzucanie się z łapami to zdecydowanie... rozczarowujące.

Janio Wiśnik. Seryjny morderca, zboczeniec, wyrafinowany drań z koszmaru. Przyszedł tu opowiedzieć mi swoją historię, przekazać informację, że zamierza coś zrobić Basi, bo to jej wizerunek pocierał kciukiem na gazetowym zdjęciu.

Przyszedł tu, żeby dać mi szansę? Na co?

– Kochasz ją, prawda? Bardzo ją kochasz. Mógłbyś dla niej zrezygnować z walki. Mógłbyś nawet przyznać się do zabójstwa Lewińskiej. Mógłbyś obiecać, że na zawsze tu zostaniesz, że nigdy nie wyjdiesz, byle tylko ją ochronić. Jak myślisz, dałbyś mi taką deklarację?

Boże.

– Tak – potwierdziłem bez wahania. Przysięgnę na co tylko chcesz, draniu.

– Ale pewnie byś nie dotrzymał tej obietnicy. – Cmoknął.

– Dotrzymam, jeśli tylko zostawisz ją w spokoju, dotrzymam.

– Cóż, mogłaby być moją zakładniczką. Jak myślisz, umówiłaby się ze mną na kolację? Zgodziłaby się ze mną porozmawiać? Raz, drugi, trzeci...

– Nie waż się.

– Myślę, że dla ciebie by się zgodziła. A potem, cóż, może by mi się nawet udało ją uwieść. To chyba nie byłby wielki problem?

Znów poczułem uderzenie adrenaliny, ale ból w ramieniu skutecznie mnie powstrzymał przed kolejną próbą ataku na Jania. I jego słowa:

– Spokojnie, nie mówię tego, żeby cię rozsierdzić. Wymieniamy informacje. Uwierz mi, że warto do końca wymienić dane, żebyś wiedział, na czym stoisz, ile możesz stracić i jak ochronić to, co ci jeszcze zostało. To dobra rada. Nie chcę cię prowokować. Po prostu chcę się dowiedzieć jak najwięcej, a w zamian przekażę ci tyle, żebyś...

Nie dokończył, ale wiedziałem, co zamierza powiedzieć. Chce dać mi

szansę. Na co?

– Nie przeszkadzało ci to? – zapytał i dodał, żeby nie miał wątpliwości, o co mu chodzi: – Jej przeszłość...

Skąd o tym wiedział?

– Nie – mruknąłem.

– Dla Witolda to było zupełnie niezrozumiałe. Do dziś nie może tego pojąć. Szczególnie jak za dużo wypije. Chodzi i zachodzi w głowę. Każdy ma przeszłość, każdy był w związkach. Ale związać się z... kurwą?

Już byliśmy za daleko, bym się przejął.

– Nie była prostytutką.

– Jak to mówi Witold, kurwa to charakter, nie zawód.

Zagryzłem zęby.

– Nie będę o tym z tobą rozmawiał.

– Witold to rzeczywiście prostak. Zresztą nie wie tyle, co ja. Dokładnie sprawdziłem, kim jesteś, co się z tobą działo, znam też jej historię. Mam jeszcze przyjaciół ze starych wojskowych lat. Przed nimi nie da się ukryć żadnych tajemnic, nikt dla nich nie jest anonimowy. Stąd wiem o niej wszystko...

Więcej ode mnie? Basia nie od razu mi się przyznała. Nie od razu opowiedziała mi o sobie. Już po pierwszym razie, gdy była pewna, że ją kocham, gdy powiedziałem jej to, obiecałem, że jej nie zostawię, gdy dałem dowody, jak wiele jej zawdzięczam.

Nie spotkaliśmy się na forum dla uzależnionych przypadkowo. Obydwoje mieliśmy swoją ciemną stronę, swoje historie jak z najgorszych snów. Była nimfomanką. Nie potrafiła darować żadnemu mężczyźnie. Zabijała w ten sposób poczucie pustki, a jednocześnie ciągle uciekała przed prawdziwym uczuciem, bo stałość napawała ją lękiem. Sypiała, z kim popadnie. Małymi, wysokimi, białymi, czarnymi, inteligentnymi, głupimi, profesorami, sportowcami, robotnikami. Chciała nad nimi przez chwilę dominować, a potem ich porzucić. Gdy poznała mnie na forum, utrzymywała abstynencję, miała już trzymiesięczną przerwę. Ale zanim się spotkaliśmy, kilka razy złamała postanowienie. Kilka razy, jak się później okazało, oznaczało dziesięciu partnerów. Łącznie w życiu zaliczyła ich kilka tysięcy. Trudno to sobie wyobrazić. Nawet takiemu mężczyźnie jak ja, który

niespecjalnie wierzył w wierność.

Oboje byliśmy chorzy, oboje uzależnieni. Pomogliśmy sobie, wyzwoliliśmy się. Gdybym jej nie ufał, że może z tym zerwać, nie miałbym prawa przyjąć, że jestem w stanie wyzwolić się ze swoich słabości. Jechaliśmy na tym samym wózku.

Mimo to zdradziłem ją dwa razy. Ale teraz muszę przyznać, że obydwaj były poniekąd z zemsty. Zdradziłem moją żonę, gdyż byłem prawie pewien, że ona zrobiła to wcześniej. Raz z byłym kochankiem, którego nazywała przyjacielem, a który odwiedził nas niby przypadkiem. Drugi raz z jakimś przygodnym gościem na wakacjach, w kurorcie, gdy wyszła w nocy się przewietrzyć, nie mogąc spać. Za każdym razem czuła się winna i dostrzegałem to w jej zachowaniu, gestach, słowach. Dawała mi skrycie do zrozumienia, że popełniła błąd i chce go naprawić. Przyjmowałem to, a potem się mściłem. Dwa razy. Ale przestałem.

Tak więc Janio znał kilka moich tajemnic, w tym tę najważniejszą. A może prawie najważniejszą, bo była jeszcze jedna. Taka, o której nikt nie wiedział poza mną i Basią. Nasza największa tajemnica.

– Przeszłość nie ma znaczenia, jeśli potrafisz z nią zerwać – odparłem Janiowi.

– Czyli mnie też można w ten sposób rozgrzeszyć? Można zapomnieć, że byłem mordercą? Te wszystkie zabójstwa...

– To coś innego.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziałem. Nie potrafiłem nawet porównać go z Basią. Zresztą on nie chciał nic zmieniać.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Staralem się wyczytać w spojrzeniu Jania Wiśnika, w spojrzeniu mordercy, czego mogę po nim oczekiwać, jak bardzo jest dla mnie i dla mojej żony groźny. Czy zaryzykuje wolność, żeby zrobić jej krzywdę? Bo przecież musiał wiedzieć, przychodząc tu, odkrywając karty, że nie zostawię tego w ten sposób. Powiem Wiplerowi, przekażę Bańce, powiadomię Basię. Zrobię wszystko, żeby ją ostrzec. Więc dlaczego przyszedł? O co tu chodziło?

I wtedy zrozumiałem, że zupełnie niepotrzebnie myślę w kategoriach zdrowego człowieka, że jest to perspektywa w tym momencie dla mnie

nieosiągalna. Bo byłem tylko szaleńcem. Cóż znaczy słowo człowieka osadzonego w psychiatryku, jeszcze niedawno przykutego pasami do szpitalnej kozetki wśród kolejnych wcieleń Napoleonów, Hitlerów i pomniejszych wariatów?

Wiśnik był geniuszem. Nie było nikogo, kto by mnie wysłuchał, wziął na poważnie to, co mam do powiedzenia.

– Nie rób jej krzywdy – poprosiłem.

Roześmiał się.

– Och, chyba źle mnie zrozumiałeś. Nie zamierzam jej skrzywdzić. Poza tym... przecież byś na to nie pozwolił, prawda?

Pytanie zawisło w powietrzu, świat zatrzymał się na jedną chwilę, coś zamajaczyło mi przed oczami. To się nie dzieje, to tylko sen.

– Zostaw ją w spokoju.

– Osiągnąłem wszystko, co chciałem.

– Więc... dlaczego tu jesteś?

Uśmiech Jania Wiśnika nie dawał mi podstaw do tego, żeby mieć nadzieję.

– Wymieniamy dane, pamiętasz?

Tak, wymienialiśmy dane. Byłem już pewien, że to nie przypadek, że to ma ogromne znaczenie.

Janio Wiśnik przyszedł powiedzieć mi, że następną zamordowaną przez niego osobą będzie Basia. I nic na to nie mogę poradzić. A im bardziej będę próbował ją ochronić, tym bardziej się będę pogrążał. Jak w bagnie.

Jego śmiech długo dźwięczał mi w uszach. I to, co powiedział na sam koniec, gdy już odchodził.

– Dane. Wymieniamy dane. A ja obiecałem ci szansę. Słuchaj uważnie tego, co mówię, a potem postępuj zgodnie z podszeptami serca. To wystarczy.

Klepnął mnie w ramię i ruszył w kierunku drzwi. Patrzyłem, jak znika. Potem pozwoliłem przybyłemu pielęgniarzowi, by odprowadził mnie do ciężkich, stalowych wrót oddziału zamkniętego.

I niemal od razu zacząłem działać.

47.

Wipler skrzywił się z wyraźną niechęcią.

– Dostępu do telefonu ci nie dam, Tomaszu. Musisz zrozumieć, że dopiero się poznajemy. Może za tydzień, za dwa, w ramach nagrody, bo za dobre sprawowanie będziesz dostawał nagrody. Wolę nagradzać niż karać, więc nagrody...

– To ważne – przerwałem.

Wipler nie znosił, jak mu się przerywa. Wykrzywił usta w pogardliwym grymasie.

– Więc może przekaz mi, co i komu chcesz powiedzieć, a ja podam dalej.

– Muszę porozmawiać z żoną.

– Chcesz z nią porozmawiać, więc poproszę, żeby przyjechała. Może tak być?

– Dobrze, poproś.

– Doktorze – przypomniał, że nie jesteśmy na ty.

– Panie doktorze.

Skinał głową, coś zapisał.

– Coś jeszcze?

– Chciałbym, żeby pan skontaktował mnie z prokuratorem Bańką, doktorze.

– Po co?

– Przypomniały mi się istotne szczegóły dotyczące jednego z prowadzonych śledstw. To bardzo ważne. Mówimy o sprawie morderstwa.

– Tego, które popełniłeś?

„Nie popełniłem żadnego morderstwa” – miałem ochotę warknąć. Pokręciłem głową.

– Innego.

– Prokurator będzie wiedział, o co chodzi?

– Wątpię. Niech do mnie jak najszybciej zadzwoni albo przyjedzie.

– Dobrze.

Nic więcej zrobić nie mogłem. Tak przynajmniej sobie tłumaczyłem. Nie wiem, czy Wipler coś w ogóle zrobił, ale tego dnia nie zadzwoniła ani Basia, ani Bańka.

Jakież to straszne uczucie wiedzieć, że coś się ma w zanadru, a nie ma jak tego wykorzystać, przekazać innym, chronić ich.

Drugim źródłem cierpienia dla człowieka przyzwyczajonego do wolności i nowoczesnej formy komunikacji jest bezsilność spowodowana brakiem jakiegokolwiek możliwości skontaktowania się z ważnymi dla nas osobami.

Do czasu zamknięcia w szpitalu zawsze mogłem zadzwonić, do kogo chciałem. Dopiero teraz to doceniłem. Nawet podczas terapii, w zamknięciu. Miałem komórkę, mogłem ją wyjąć, wbić numer i trzy sekundy później komuś nawrzucać albo wyznać miłość i nienawiść. Mogłem.

Dziś było inaczej.

Moje życie przestało do mnie należeć, stało się zakładnikiem przypisanej mi zbrodni, niewolnikiem diagnozy, którą mi postawiono.

Nie byłem już adwokatem Tomaszem Mauerem, kimś zasługującym na uwagę, kogo warto posłuchać. Szaleniec i morderca to moje nowe imię i nazwisko.

Cały czas chodziły mi po głowie pytania: „Czemu Janio Wiśnik tak zaryzykował? Czemu przyszedł do mnie i opowiedział mi to wszystko?”. Łudziłem się, że być może nafaszerował swoje relacje i wspomnienia kłamstwami, że może nie wszystko było dokładnie tak, jak to opowiedział, ale czułem instynktownie, że ogólny obraz nie mijał się z prawdą.

Po co zatem wyznał mi wszystko? Co chciał przez to osiągnąć?

Wymiana danych.

Dwa dni po wizycie Jania Basia i Bańka wciąż milczeli, ale zwróciłem uwagę na specyficzne zachowanie dyrektora.

Był to człowiek po pięćdziesiątce, lekko styrany, chudy, zarośnięty, zmęczony. W jego oczach błyszczała cała galaktyka straconych szans. Z tego, co słyszałem, miał ambicje polityczne, ale coś poszło nie tak. Jakies



jego upodobania czy błędy sprawiły, że się nie powiodło. Nie został ministrem, posłem ani nawet radnym. Relacje z politykami pozwoliły mu jedynie na objęcie skromnego stanowiska dyrektora prowincjonalnego szpitala psychiatrycznego. Czy mógł być z tego zadowolony, dumny? Wątpliwe. Wyglądał na zgorzkniałego człowieka, który wszystko w życiu przegrał.

Dowiedziałem się od pielęgniarki, że podobno żona go zostawiła. Z dziećmi miał słaby kontakt. Zaliczył dwa czy trzy romanse i znów był sam. Coraz częściej zostawał na noc w szpitalu. Z własnej woli, bez racjonalnego powodu. Owszem, mógł tłumaczyć to nawałem pracy, problemami z raportami, koniecznością przyjrzenia się różnym strategiom na przetrwanie w coraz trudniejszych dla takich placówek czasach.

Rozpoznałem po jego wyglądzie, że nie sypia zbyt dobrze, że noce spędza w fotelu w biurze zamiast we własnym łóżku. Raz pielęgniarze zażartowali o dyrektorze w mojej obecności. Innym razem udało mi się sprowokować Szawła, by powiedział parę zdań o przełożonym.

Wcale mu się nie podobało, tak jak i innym opiekunom, że dyrektor jest ciągle blisko, że sypia w swoim gabinecie. Nikogo przecież nie kontrolował, sam powinien obawiać się kontroli, która ujawniłaby, dlaczego tkwi nocami w pracy, dlaczego nie sypia dobrze, dlaczego zamyka się z własnymi demonami. Dla braci nie ma przecież gorszej tortury niż przebywanie sam na sam ze sobą.

Tylko dlaczego w ogóle w myślach nazywałem go bratem? Jakieś przeczucie mówiło mi, że to nie przypadek. Inne podpowiadało: to jest klucz. Janio nieprzypadkowo zwrócił mi na niego uwagę.

Nieprzypadkowo szepnął na koniec, że dyrektor to bardzo porządny człowiek, że jemu także był bratem. Wreszcie zrozumiałem. Brat. Tak mówiliśmy do siebie w grupie, tak zwracaliśmy się do siebie na spotkaniach, mitingach i zjazdach.

Brat. Klucz. Szansa. Wolność.

Następnego dnia poprosiłem Szawła, by umożliwił mi wizytę u dyrektora. Roześmiał się.

– Po co?

– Myślę, że mam mu coś ważnego do powiedzenia.

- Przekażę. Co ważnego?
- Chcę porozmawiać z nim osobiście.
- Zobaczę, co się da zrobić.

Godziny się dłużyły. Nawet nie wiedziałem, czy mam jeszcze czas, by cokolwiek uratować. Być może Wiśnik zrealizował już swój plan i było za późno, by coś zdziałać. Nocami widziałem Basię z Janem Wiśnikiem. Widziałem, jak morderca ją osacza, jak uwodzi moją ukochaną, kobietę, której zawdzięczałem życie i która przeze mnie może je stracić. Chciałem ją ostrzec, krzychałem i waliłem pięściami w dźwiękoszczelną szybę tego koszmarne obrazu.

Kiedy przychodził wreszcie sen, łudziłem się, że nagle koszmar się skończy. Otworzę oczy w domu, obok Basi, przytulę ją i Anię, stanę na pomoście i wszystko wróci do normy. To były jednak tylko złudzenia.

Budziłem się spocony, bliski szaleństwa, gotowy, by z sobą skończyć, a potem uspokajałem się i przyjmowałem reguły gry.

Janio Wiśnik prowokował mnie, skłaniał do zachowań emocjonalnych, a jednocześnie cały czas słyszałem echo tej rozmowy, które przekazywało, że to błąd, że przegram, że takie działania zaprowadzą mnie do izolatki i nigdy jej już nie uratuję.

W piątek, gdy wróciłem wieczorem do pokoju, na stoliku nocnym znalazłem karteczkę. Dostałem znak, na który czekałem. Były na niej trzy hasła: „Szawel”, „dyrektor”, „sobota”. I jeden rozkaz poniżej: „Postaraj się!”.

A więc nadchodziło nieuniknione.

W sobotę dyżur wieczorny pełnił Szawel. Wszystko działało się więc zgodnie z planem. To była moja szansa.

– Możesz przekazać dyrektorowi, że chcę z nim porozmawiać.

– Za ile? – Nie miałem pieniędzy. Roześmiał się. – Żartowałem. O czym? O czym chcesz z nim rozmawiać? Co mam przekazać?

– O Świętej Barbarze – szepnąłem.

Bąłem się, że Szawel prychnie śmiechem, zacznie ze mnie szydzić albo podpuszczać, ale wcale tak nie zareagował.

– Tylko tyle?

Zastanawiałem się, czy dodać coś więcej, bardziej go naprowadzić, ale

uznałem, że tyle wystarczy.

Jeśli Szaweł przekaze dyrektorowi hasło, może zadziała.

A może nie.

Po kolacji pozwolono mi się wykąpać, a potem o dziewiątej umieszczono w izolatce. Położyłem się na wąskim szpitalnym łóżku i nasłuchiwałem, jak opiekunowie zamykają pacjentów w ich pokojach. Zamierzali się szybko uwinąć. Była sobota. O dziesiątej chcieli mieć już całą pracę za sobą, żeby wraz z nocną zmianą zasiąść do dzielenia łupów z tygodnia i zacząć zabawę. Sobota była dniem opiekunów i pielęgniarek. Jak wszędzie na świecie dniem imprezowym.

Izolatka była dobrze wyciszona na wypadek, gdybym się darł, gdybym był szaleńcem głośnym, a nie cichym, ale i tak wydawało mi się, że ich słyszę. Stukanie kieliszkami, wznoszenie toastów, muzykę, pierwsze kroki taneczne, tupanie stóp, głośniejsze oddechy, jakieś szarpanie. Słyszałem, jak się obłapiają, jak sobie dogadzają.

Słyszałem to wszystko, mimo że nie powinienem był słyszeć.

Okolo jedenastej wydawało mi się, że ktoś stanął pod moimi drzwiami, nasłuchiwał chwilę, a potem odszedł.

Dwunasta. Nic się nie działo.

Nie spałem. Przeczucie nie pozwalało mi zasnąć.

Cichy chrobot zamka i drzwi stanęły otworem. Było po północy. Szaweł lekko chwiał się na nogach.

– Chodź – zawołał.

Opiekunowie już spali. Przeszliśmy koło ich pokoju. Szaweł otworzył ciężkie drzwi oddziału zamkniętego. Pomyślałem, że mógłbym się z nim zmierzyć, ale uznałem, że jest za silny, nawet pijany.

Przeszliśmy przez skwerek do niskiej przybudówki budynku biurowego. Na parterze w jednym pokoju paliło się słabe światło. To był gabinet dyrektora.

Szaweł chrząknął przed wejściem, a potem zapukał. Ze środka nie dobiegło żadne: „proszę” czy „wejść”. Dyrektor zamykał się na klucz. Usłyszałem podwójne szczęknięcie zamka i po raz pierwszy stanęliśmy twarzą w twarz, spojrzeliśmy sobie w oczy.

Brat. Nie pomyliłem się. Widziałem go kiedyś u Świętej Barbary, znacznie wcześniej niż proboszcza, dawno temu. Pewnie gdyby nie wskazówka Wiśnika, nie poznałbym go.

Skąd Wiśnik wiedział? A może to był przypadek?

– Wejź – szepnął dyrektor.

Podał dłoń Szawłowi i odprawił go skinieniem.

– Na pewno da pan sobie radę, dyrektorze? – zapytał opiekun.

Dyrektor poklepał Szawła po ramieniu i powiedział jakby do niego, ale bardziej do mnie:

– Nic mi z twojej strony nie grozi, prawda, Tomaszu?

Szawel odszedł, a dyrektor zamknął drzwi gabinetu na klucz i wyjął z szafki biurka butelkę jima beama. Była prawie pełna. Za chwilę dołączyła do niego szklanka napełniona do połowy.

– Cóż, Tomaszu, więc już się spotkaliśmy? – Skinąłem głową. – To musiało być dawno temu. Nie byłem w Świętej Barbarze dobre... – policzył w myślach – siedem, osiem lat. Jak widzisz, jak znakomitej większości nie udało mi się wytrwać. A tobie?

Dyrektor znów sięgnął do szafki.

Cały czas zastanawiałem się gorączkowo, czy jestem w stanie pokonać go w walce, czy uda mi się go obezwładnić i uciec z gabinetu. I czy to jest najlepsze wyjście.

„Nie działaj w emocjach. Myśl” – nakazałem sobie.

Ręka dyrektora pojawiła się znów na stole. Obok butelki z whisky postawił drugą szklankę. Pustą. A potem napełnił ją do połowy i przesunął w moim kierunku.

Wtedy zdecydowałem.

Walka musiała poczekać. Może będzie niepotrzebna.

– Nie – szepnąłem. – Mnie też się nie udało.

Są alkoholicy, którym wystarczy jeden kieliszek, by się zatracić bez reszty. Podświadomie latami czekają na ten moment, by odpłynąć w dal. Po dekadach abstynencji stają bezbronni jak dzieci z butelką twarzą w twarz i choć wiedzą, że zawsze muszą z nią przegrać, stają w szranki.

Po długim czasie niepicia alkohol potrafi szybko ściąć. Choć jak każdy alkoholik nie umiałem kontrolować picia, poprzysięgałem sobie, że będę ostrożny, że będę potrafił powiedzieć sobie dość. To on miał się upić, nie ja. Potem dopiero miał nastąpić kolejny krok.

Opowiadaliśmy sobie swoje historie, przy czym dyrektor w ogóle nie pytał o morderstwo i powody mojego osadzenia w ośrodku, a ja nie dążyłem trudnych dla niego kwestii rodzinnych i zawodowych. Mieliśmy inny wspólny temat. Temat rzekę. W końcu kiedyś porwał nas ten sam nurt zatracenia, który każdemu z nas coś zabrał, utopił i upił. Mówiliśmy o poniesionych stratach, niewykorzystanych szansach i niezrealizowanych celach. Sącząc procenty, które były za to wszystko odpowiedzialne, każdy z nas przyznał się do swoich klęsk.

Wypiłem trzy szklanki mdlącej i ciepłej whisky, gdy poczułem, że to jest granica, której nie wolno mi przekraczać. Druga granica, bo pierwszą przekroczyłem w chwili, gdy okłamałem dyrektora.

Zacząłem zastanawiać się, czy uderzyć go w głowę butelką, czy też powinienem wybrać coś mocniejszego, by mieć pewność, że straci przytomność. Lustrując wnętrze gabinetu, rozglądałem się za taką bronią, gdy nagle zorientowałem się, że zasnął.

Powoli zagłębił się w fotelu i odpłynął. Byłem tak blisko. Kropla więcej, a dołączyłbym do jego snów. Miałem ochotę pić dalej. Oszukiwałem się, że mogę jeszcze, że wobec wyzwania, które przede mną stoja, jest to nawet wskazane. Tak mi podpowiadało pijane ja, które domagało się więcej procentów.

Odczekałem minutę, starając się uspokoić oddech. Upryływające sekundy sprawiły, że rozsądek przejął kontrolę nad złudzeniami, że jestem w stanie wypić tylko trochę i na tym poprzestać. Postanowiłem, że nie wypiję już ani kropli. Potem wziąłem w rękę ciężki, mosiężny puchar. Na tabliczce odczytałem napis: „Nagroda za zajęcie II miejsca w Ogólnopolskim Turnieju Piątek w Piłce Nożnej Osób Niepełnosprawnych”.

Basia. Tylko ona się liczy. To powtarzałem sobie, gdy zamierzałem się na głowę dyrektora.

Jeden cios i po sprawie. Może dwa. Trzy. Zabiję go, rozbiję mu mózg na sto kawałków, a wtedy na pewno nikt mnie nie powstrzyma.

Policzyłem do trzech. Na trzy miałem uderzyć. Wziąłem duży zamach i wtedy dyrektor na chwilę otworzył oczy. Patrzył na mnie nieobecny wzrokiem, jakby przeżywał dalej jakiś pijacki sen. Potem znów odpłynął. Nie stanowił zagrożenia. Pomyślałem, że nawet jak się obudzi, pewnie nie będzie pamiętał o mojej wizycie.

Wyszedłem najciszej, jak umiałem.

Starając się kryć między drzewami, pobiegłem w kierunku parku i bramy prowadzącej na pola.

Wolność.

Noc była ciepła. Lekki podmuch kołysał las. Miałem na sobie flanelową koszulę i długie spodnie dresowe. Na zakładzie nie kazano nam nosić żadnych specjalnych strojów czy pidżam, więc nie różniłem się mocno od rolnika, grzybiarza czy robotnika. Obiegnąłem ogrodzenie i ruszyłem poboczem wzdłuż drogi w kierunku Mirowa. Starłem się poruszać, idąc skrajem lasu, żeby w razie czego zniknąć pośród drzew, ale o tej porze nikogo nie spotkałem. Gdyby ktoś jechał drogą, z pewnością z daleka zobaczyłbym światła i usłyszał silnik.

Przez pięć lat na tyle poznałem Mirów i okolice, że nie miałem trudności w dotarciu do swojego osiedla i przemknięciu pod osłoną lasu do domu. Basia. Ania. Za chwilę je zobaczę. To dodawało mi sił. Czulem mocniejsze bicie serca.

Było po drugiej w nocy, gdy wszedłem przez furtkę. Dziwne, w salonie pomimo późnej pory ciągle było jasno. Kiedy zbliżyłem się do okna, dostrzegłem jakieś postaci z serialu w ekranie telewizora. Drzwi na balkon były uchylone. Wszedłem do środka. Ciszę mąciły dialogi prowadzone przez bohaterów filmu. Cmoknąłem na psa, lecz Rosa nie zaszczekała. Na stole stała zgaszona świeczka, pusta butelka po winie i nieposprzątane naczynia po kolacji. Trzy zastawy. Basia, Ania i... ktoś jeszcze. Nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Jan Wiśnik nie pozostawił nic przypadkowi. Zaplanował każdy szczegół, nawet tę kolację.

Porwał je. Porwał moje dziewczyny. „Może tylko Basię?” – pomyślałem z nadzieją. Ale ona też błyskawicznie przysła.

Wziąłem do rąk karteczkę z wiadomością podobną do tej, którą otrzymałem wcześniej. Tylko jedno słowo. W zasadzie niepotrzebne.

„Centrum”.

Zszedłem do garażu, wyprowadziłem rower i minutę później pędziłem już na złamanie karku leśną ścieżką, myśląc, że tylko cudem jestem w stanie dotrzeć na miejsce.

Las przypominał scenografię z jakiejś gry gore, klimatycznego horroru. Pachniało intensywnie mieszanką dymu z ognisk znad zalewu i nocnej wilgoci unoszącej się z runa. Pomimo wątego światła lampki rowerowej i słabo widocznej drogi, jechałem wiedziony instynktem, bez wahania podejmując na rozdrożach trafne decyzje. Kilkukrotnie ugrzęzłem w torfie, raz upadłem, uderzając się boleśnie o ramę. Adrenalina była jednak silniejsza od bólu, pozwalała też wykrzesać z siebie zdwojony wysiłek.

Było po trzeciej, gdy dotarłem na miejsce. Cud się zdarzył. Znalazłem Centrum, trafiłem. Biegłem na złamanie karku, choć zdawałem sobie sprawę, że szukam śmierci. Nie miałem broni, nie miałem szans z Janiem. A jednak chciałem z nimi umrzeć. Chciałem zobaczyć je jeszcze choć raz.

Żywe.

Basię i Anię.

Drzwi do piwnic były tym razem otwarte. Nie musiałem szukać klucza. Zapaliłem przenośną rowerową latarkę i poszedłem w kierunku drzwi do sali tortur. Gorączkowo łapałem oddech przed wejściem, starając się choć trochę nabrać sił i pewności. W końcu musiałem zrobić ostatni krok. Pociągnąłem za dźwignię i po chwili byłem już w środku.

A potem zobaczyłem to, co widziałem już w snach, a co moja podświadomość próbowała zakłamać, wyrzucić z myśli ze wszystkich sił.

Wewnątrz było jasno. Reflektor zasilany akumulatorem skierował strumień światła na wypełnione wodą akwarium. Kiedy wszedłem do pomieszczenia, mechanizm otwierający drzwi uruchomił zapadnię wind i obie znalazły się w brudnej, zielonej cieczy.

Wcześniej przez ułamki sekund widziałem w okienkach profile moich dziewczyn. Do ostatnich chwil, nim windy, w których były uwięzione,

opadły z impetem na dno, wyciągały do siebie ręce. Jakby prosiły siebie nawzajem o pomoc albo o wybaczenie wszystkich win.

Basia i Ania. Matka z córką wbrew naturze rozdarte i rozdzielone na zawsze.

Niemal usłyszałem w głowie głos Jania Wiśnika: „Wybór należy do ciebie, Tomaszu! Kogo wybierzesz?”.

## 49.

Nie jestem biologicznym ojcem Ani. Ania o tym nie wie. Nie tylko nie zna swojego biologicznego ojca, ale też nie wie, że mężczyzna, do którego mówi „tato”, nim nie jest.

Poznałem Basię, kiedy była w trzecim miesiącu ciąży. Nie umiała wskazać ojca dziecka. Obstawiała dwóch mężczyzn, z żadnym jednak nie chciała mieć nic wspólnego. Nie wiedzieli o niczym. Oczywiście nie było przeszkód, by ustalić sądownie ojcostwo, jednak postanowiliśmy z Basią, że nie będziemy tego dociekać. W akcie urodzenia w rubryce ojciec wpisano moje imię i nazwisko. To było poważne zobowiązanie na przyszłość, ale nie miałem żadnych wątpliwości, że tego właśnie chcę.

Po latach marnowania życia miałem cel, miałem się kim zaopiekować. Czuję całym sobą, że to znak, i nawet, gdy próbowałem sobie wmawiać, że robię głupotę, coś w głowie odpowiadało: „Tomaszu, głupot to ty narobiłeś wcześniej. Teraz masz po co żyć. Masz coś, co się naprawdę liczy, co jest dla ciebie ważne”. Wytykanie błędów innym nie ma sensu, gdy samemu mamy ich dość na sumieniu. Przeszłość jest tylko przeszłością. Warto ją znać, można próbować zrozumieć, wytłumaczyć, ale nie można nią żyć.

Odcieśliśmy się od tego, co było wczoraj, liczyło się jutro. Nawet jeśli Basia znalazła mnie ta tym forum, bo szukała ojca dla dziecka, to i tak mnie uratowała. Nawet jeśli było to działanie wyrachowane, jeśli po prostu uznała, że tak będzie dla niej najkorzystniej, opłacalnie, to w efekcie narodziła się prawdziwa miłość. Między mną, Basią i Anią.

Nigdy po urodzeniu nie pomyślałem o małej jak nie o swojej córce. Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym jej to wypomnieć,



potraktować ją jak obcą osobę.

Gdyby ktoś mi to zarzucił, dostałby w dziób. Taka myśl była w mojej głowie zakazana.

A jednak, gdy patrzyłem, jak umierają moje dwie kochane istoty, jedyne ważne dla mnie osoby, nierozzerwalne i nieporównywalne, jakaś odległa, bardzo daleka galaktyka w moim mózgu wysłała niechcianą sondę, która nadawała: „ona przecież nie jest nawet twoja, nie jest twoją rodziną, to Basia nią jest”. Następny przekaz szedł na innej nucie: „W samolotach zawsze jest napisane: najpierw ratujcie siebie, potem dzieci”.

Diabeł szeptał. Doradzał rozwiązanie, które by mnie ostatecznie pogrążyło. Ale żaden wybór nie był dobry. Każdy przynosił stratę. Które życie zabrać, a które ocalić?

Przez chwilę miałem ochotę paść na ziemię i nic nie zrobić. Patrzeć, jak umierają, a potem sam zakończyć własne życie. Przestało mieć dla mnie sens. Zaraz potem przypomniałem sobie słowa Jania o tym, że zwykle więźniowie zbyt długo zastanawiali się, kogo ratować, przez co nie udawało im się ocalić żadnego ze skazanych.

Zacząłem działać. Nie żałuję decyzji, którą podjąłem, wybór był oczywisty.

Błagając Boga, by nie było za późno, ruszyłem przed siebie. Rzuciłem się do jednej z dwóch przekładni ręcznie podnoszącej windę i zacząłem obracać dźwignią koła zębatego, wkładając w każdy nacisk maksymalną siłę. Szło jak po grudzie, ciężar windy zanurzonej w wodzie robił swoje. Choć bardzo się starałem, brakowało mi sił. Nie zrażałem się jednak, dając z siebie więcej i więcej. Chwilami miałem wrażenie, że dźwignia zaraz pęknie i cała praca pójdzie na marne. Winda unosiła się przeraźliwie wolno. Czas się dłużył, życie wisiało na włosku.

„Może już jest za próżno, Tomaszu” – odpowiadał diabeł.

Ale w końcu wysiłek zaczął przynosić efekt. Woda wypływała z klatki, odsłaniając ciało kobiety. Odniosłem wrażenie, że nie oddycha. Zablokowałem dźwignię i wdrapałem się na krawędź akwarium. Wspiąłem się wyżej, zapierając nogi o szklaną ścianę. Obrzeże wpiło mi się w ręce. Ból zranionych dłoni eksplodował w głowie jak granat hukowy. Nie powstrzymał mnie.

– Zdam radę, dam radę – szeptałem do siebie.

„Za późno, dawno za późno” – odpowiadał diabeł w mojej głowie.

Kucnąłem na krawędzi akwarium i uważając, by nie stracić równowagi, sięgnąłem do kulistej gałki otwierającej drzwi. Przekręciłem w prawo i zamek ustąpił. Drzwi od środka były całkowicie płaskie, pozbawione możliwości otwarcia, nawet gdyby więzień tkwiący w środku nie był skrepowany. Ale ona była związana za pomocą plastikowych, mocnych, jednorazowych kajdanek, które można kupić w sieci po dziesięć złotych za sztukę i których nie jest w stanie rozerwać nawet siłacz, a co dopiero taka krucha istota. Leżała na podłodze. Nie oddychała. Nie żyła. Za późno. Było za późno. Za długo się wahałem.

„Mówiłem” – syknął szyderczo diabeł.

Działaj, Tomaszu. Działaj. Nie słuchaj go. Warto. Zawsze warto próbować do końca. Do końca.

Ułożyłem ciało Ani na plecach i zacząłem uciskać pierś. Trzydzieści ucisków. Potem kilka oddechów w usta. Nie działało. Była taka zimna, biała. Kolejne trzydzieści uciśnień. Znów oddechy. Następne. I kolejne.

Kaszlnięcie. Poruszenie. Znów kaszel. Silniejszy, duszący, a jaki pożądanym.

Żyła. Oddychała.

„I tak się nie uda”.

Diabeł wciąż się śmiał, ale już nie z taką pewnością.

Ania ponownie zaczęła się dusić i kaszleć. Ułożyłem ją na boku, przytuliłem, głaskałem i błagałem: „Wróć do mnie, wróć!”, choć wiedziałem, że się udało. Że osiągnąłem sukces. Jednocześnie notując największą życiową porażkę.

Zamknąłem powieki i zacisnąłem zęby najmocniej, jak umiałem. „Musisz być twardy, Tomaszu” – powtarzałem sobie. „Nie możesz płakać, nie wolno ci nawet szlochać, nie chcesz krzyczeć”.

Nie, nie chcesz nikogo zabić.

Zło. Wygrało.

To ono było na wierzchu. Ono zawładnęło światem, zdecydowało, kim jestem, kim się stałem, kim byłem, bo przecież wcale nie byłem inny. Byłem egoistycznym sukinsynem, który myślał tylko o sobie. Moja przemiana była oszustwem. Wystarczyło zabrać mi Basię, by się o tym przekonać. Wystarczyło poddać mnie odpowiedniej próbie.

Janio Wiśnik wygrał.

Zło wygrało.

Ania żyła. To powinno mi wystarczyć. Powinienem się nią zająć, na nią przelać moją miłość. A co zrobiłem?

– Dlaczego ją zostawiłeś? Gdzie ty masz serce? – zapytał mnie Bańka, gdy tamtego ranka wyciągnąłem go z łóżka, łomocząc do drzwi.

Nie pamiętam jego pierwszych słów, tych wszystkich zdań o tym, jak wyglądam, skąd się tu wzięłem, co uczyniłem. Tak jak starałem się wyprzeć z głowy wszystkie wspomnienia Ani, jak ją ratowałem w windzie, wynosiłem z trudem z tego piekielnego akwarium na dół, jak wyślizgnęła mi się z rąk i znów straciła przytomność, jak błagałem ją: „Aniu, musimy stąd wyjść, musisz mi pomóc, nie dam rady sam cię zanieść, nie jestem herosem”.

Czekałem spokojnie, aż przebrzmia, a potem w skrócie opowiedziałem Bańce, co się stało.

Patrzył na mnie zdumiony i słuchał z rosnącym przerażeniem. Następnie wydusił to jedno pytanie, bo to mu się wydawało z tego najbardziej nieprawdopodobne.

Jak mogłem zostawić własną córkę w miejscu kaźni, w miejscu, gdzie ją uwięziono, gdzie zamordowano jej matkę?

A mnie się nie chciało tłumaczyć i podkreślać od nowa, że straciła przytomność, byłem wyczerpany, nie miałem siły, nie dałbym rady jej unieść i tu przywlec, że naraziłbym ją tym samym znacznie bardziej, niż zostawiając tam, w Centrum, pod akwarium, opatuloną moimi ciuchami i znalezionymi szmatami.

Co miałem zrobić, Bańka, no powiedz, co?

To było jedyne racjonalne działanie, a jednocześnie coś, czego będę się wstydzić już zawsze, co mi będzie wypominać i Ania, i inni, o czym napiszą pewnie potem w reportażach.

Głupi, okrutny, zły ojciec zostawia córkę...

Tymczasem Tomasz Mauer nauczył się myśleć racjonalnie nawet w takiej chwili, w chwili śmierci, niewyobrażalnej podłości, gry na emocjach, w chwili, gdy dawny Tomasz Mauer straciłby przytomność lub odebrał sobie życie. Tak byłoby pewnie dla wszystkich lepiej, co? Taka reakcja spotkałaby się ze zrozumieniem.

Tomasz Mauer nie chciał zrozumienia, nie chciał współczucia, chciał uratować córkę i... coś jeszcze. Janio Wiśnik go nauczył myślenia logicznego, odrzucenia emocji. Zło go nauczyło. Zwyciężając, pokazało mu drogę. Właściwą albo i nie, ale jedyną możliwą.

– Wezwij jak najszybciej pogotowie, sam tam jedź – syknąłem. – Zrób to i nie zadawaj więcej pytań.

Nie zadał.

Pokręcił głową z niedowierzaniem, a ja w jego oczach odnalazłem pytanie: „Kim ty się stałeś, Tomaszu? Kim jesteś?”.

Wszedł do domu, wziął telefon i zadzwonił. Sto dwanaście. To był najlepszy sposób, jedyna właściwa droga, szybsza, niż gdyby próbował przez znajomości. Karetka, Centrum, jak najszybciej. Lekarz niech jedzie terenówką, na wypadek, gdyby karetka nie zdążyła. I patrol. Już.

– Tylko się ubiorę. – Zniknął na chwilę w sypialni, wrócił dwie minuty później w dresach i adidasach. W ręku trzymał coś jeszcze. Pudło. Pudło, które dobrze znałem. – Weź, na wszelki wypadek.

Był w środku. Mój 686. Jakoś się nie zdziwiłem, że Bańka go sobie przywłaszczył, zabrał z kancelarii i nie dołączył do dowodów czy nie zdał na komendzie. Po prostu wziął do swojej sypialni.

Szymura mu kazał?

A może ktoś inny kazał Szymurze?

Może i to miał doskonale zaplanowane?

– Jedziemy – zakomenderował Bańka.

A ja już wiedziałem, że z nim nie wsiądę, nie pojedę. Nie dlatego, że się

wstydziłem Ani, że bałem się jej pytań i wzroku, w którym odnajdę wyrzut i zapowiedź, że pomiędzy nami nigdy już nie będzie tak samo, bo zło nas rozdzieliło na zawsze.

Miałem coś innego do załatwienia.

– Zaopiekuj się moją córką, Bańka. Zaopiekuj się Anią.

## 51.

Zło, ciągle o nim myślę. Jakież jest przewrotne i nieubłagane. Gdy sobie kogoś wybierze, nie ma przebaczenia. Zawsze znajdzie argument, który przeważą. Trafny, przekonujący, jednoznaczny.

Jeśli nie może drzwiami, wejdzie oknem. Będzie trzymać się blisko, osaczać, szeptać. Jeśli je wyprosimy, wyrzucimy, stłamsimy, ono się odrodzi w środku, w naszej głowie, szydząc i chichocząc: „Jest tylko jeden sposób, by się mnie pozbyć. Tylko jeden, jedyny”.

Nie pamiętam, jakiej perswazji wtedy użyło, jakich słów i szeptów, jakimi myślami mnie otuliło, co mi włożyło do głowy, że nie pojechałem z Bańką, nie zająłem się Anią, wybrałem śmierć zamiast życia.

Ale cokolwiek powiedziało, dobrze wybrało.

Musiałem to załatwić, musiałem wyśnić ten koszmar do końca. Musiałem dopaść Jania Wiśnika.

Słońce wisiało już całkiem wysoko na niebie, gdy doszedłem do posiadłości Szymury. W opłakanym stanie, w poszarpanych spodniach, w rozpiętej koszuli. Ze splotką w dłoni, której ciężar zawsze mnie przytłaczał, a którego teraz nie czułem.

Brama do willi Szymury była otwarta. Ścieżka obok drogi, park, ogród przy dworku, parking z limuzynami, terenówkami, quadami, ganek z kolumnami, ogromne, wysokie na trzy metry ciężkie wrota stojące dziś otworem jak nigdy, zapraszające. Jakby się mnie spodziewali. Jednak bez Wioli witającej na progu. W salonie, w tym ogromnym, przestronnym salonie z wielkim stołem biesiadnym, przy którym zawsze zaczynaliśmy imprezy, przy którym Szymura jadał z rodziną, siedzieli wszyscy: on, Wiola

i Pola.

I Janio Wiśnik. Trzymał ich na muszce, dzierżąc rewolwer Wici, i czekał na mnie. Czekał aż przyjdę go zabić, bo wiedział, że przyjdę i go zabiję, że wybiorę zło zamiast dobra, zemstę zamiast córki. Wiedział, że nie będę się starał skradać czy go podejść, że nie wyzwę go na pojedynek, że nie przejmę się nikim, a już na pewno takimi zakładnikami, jak Szymura i jego rodzina. Wiedział, że po prostu podejdem i nacisnę spust. Że nacisnę go siedem razy, trafiając już za pierwszym, pudłując potem dwukrotnie, a na koniec wciskając w niego kula po kuli już z bliska, bardzo bliska, jak radził mi Wicia dawno temu w lesie. Naciskając na spust czule, „jakbym pieścił kobietę”.

Wiedział, a jednak nie zareagował. Nie wymierzył we mnie, sam nie nacisnął spustu.

Dlaczego?

Dlaczego czekał na śmierć?

Czy sobie ją zaplanował? Czy miała mu dać życie wieczne?

W ostatnim spojrzeniu Jania Wiśnika znalazłem odpowiedź. Była taka prosta, jednoznaczna, oczywista.

Zło zwyciężyło.

# Epilog

Nie opisałem w pamiętniku zabójstwa Jania Wiśnika, które rzekomo popełniłem z wyjątkowym okrucieństwem, czego zapewne będzie chciał dowieść oskarżyciel.

Nie zamierzam się do niczego przyznać. Prokuratorzy i sędziowie zapewne zrobią wszystko, by uznać mnie za winnego. Kto wie, może dopną swego. Dopóki jednak nie zapadnie prawomocny wyrok, będę się bronił.

Mam najlepszego w tym kraju adwokata. Nazywa się Tomasz Mauer. To jedyny człowiek, który może mnie uratować i zarazem pogrążyć. Jedyny, którego dziś będę słuchał i któremu wierzę. Jedyny, którego interes jest zbieżny z moim.

Bańka myli się, sądząc, że liczę na jego pomoc albo pomoc Szymury. Obaj pewnie drżą na myśl, co może z tego wyniknąć, jakiego diabła stworzyli. Draży ich niepokój, bo gdy zacznie się proces, obnażę prawdę i wskażę palcem prawdziwych sprawców. Ich obu, innych możliwych Mirowa, cały Mirów.

Dziennikarze dziś już rzadko proszą o widzenia ze mną i udzielenie wywiadów, prokuratura trzyma ich z daleka, ale to cisza przed burzą. Gdy stanę w końcu na sali sądowej, gdy odpowiem na pytanie sędziego, czy przyznaję się do winy, i wygłoszę swoją mowę obronną, znów się zacznie. Jedynki gazet i czołówki telewizyjnych wiadomości zapełnią się doniesieniami z prowincjalnego miasteczka, które opanowało zło.

Będą pisać i mówić o legendach i demonach. O zbrodni i karze. Odmienią nazwiska Wiśnika, Białka i Mauera przez wszystkie przypadki. A ja będę wyszukiwał w tych relacjach makabrycznych szczegółów o zamordowanych kobietach, okrutnie skazanej na śmierć żonie adwokata, uratowanej cudem córce i zaginionym psie.

Rosy do dziś nie znaleziono. Nie wiem, co Janio z nią zrobił. Podejrzewam, że coś okrutnego, na pewno złego, bo skoro był zdolny do takich zbrodni na ludziach, to co mówić o zwierzętach? Ileż to naczytałem

się o psychopatach, którzy zaczynali właśnie od żab, kotów, psów? Z drugiej strony, coś mi podpowiadało, że Janio był inny, że choć nie miał skrupułów w starciach z ludźmi, w przypadku zwierząt postępował zupełnie inaczej. To dawało nadzieję, ale jednak Rosy nikt nie znalazł. Jedna z lokalnych dziennikarek próbowała nawet zrobić śledztwo, a potem napisała reportaż pod tyleż znaczącym, co dwuznacznym tytułem: „Tajemnicze zniknięcie psa mordercy”.

Rosa zyskała więc swoją legendę, nie na tyle jednak silną, by próbowała ją rozgryźć apelacyjna, która przejęła sprawę, czy zespół śledczych powołanych przez samego ministra do rozwikłania „Zbrodni Mirowa”. Bańka mógł jedynie modlić się, żeby nie oberwać za bardzo odłamkami. Tak samo Szymura, który wynajął do reprezentowania swoich interesów byłego ministra sprawiedliwości i trzech innych dzwonoń. Nie wiem, ile milionów wydał na reklamy w gazetach, żeby jego nazwiska nie wiązać z całą sprawą, a szczególnie z Wiśnikiem.

Ja trafiłem przed kolejną komisję biegłych, która uznała, że jestem jak najbardziej poczytalny i zdolny do odpowiadania za swoje czyny.

Przestałem być wariatem, zostałem zabójcą.

Ale nie przestałem być adwokatem.

I tak zamiast w mirowskim zakładzie psychiatrycznym wylądowałem w areszcie śledczym i jestem przesłuchiwany przez ludzi, którzy chcą dowiedzieć się ode mnie, jak było, ale nie po to, by mi pomóc, tylko żeby mnie skazać.

Wiem o tym zbyt dobrze, dlatego nie powinni oczekiwać mojego wsparcia.

Żaden młot pneumatyczny, żadna muzyka disco polo wam nie pomoże.

Zamierzam wygrać tę sprawę.

I napisać dalszą część tej historii...